

antologia inspirowana pracami  
Jakuba Różalskiego

# Inne mieba

Ewa BIAŁOLEĆKA ■ Krystyna CHODOROWSKA ■ Agnieszka HAŁAS  
Anna HRYCYSZYN ■ Aneta JADOWSKA ■ Aleksandra JANUSZ  
Anna KAŃTOCH ■ Magdalena KUBASIEWICZ ■ Anna NIEZNAJ  
Martyna RADUCHOWSKA ■ Milena WÓJTOWICZ  
Aleksandra ZIELIŃSKA

antologia inspirowana pracami  
Jakuba Różalskiego

# Inne nieba

Ewa BIAŁOŁĘCKA  
Krystyna CHODOROWSKA  
Agnieszka HAŁAS  
Anna HRYCYSZYN  
Aneta JADOWSKA  
Aleksandra JANUSZ  
Anna KAŃTOCH  
Magdalena KUBASIEWICZ  
Anna NIEZNAJ  
Martyna RADUCHOWSKA  
Milena WÓJTOWICZ  
Aleksandra ZIELIŃSKA

Kraków 2022

# Spis treści

Okładka

Strony tytułowe

Aneta Jadowska

Córka lasu Druga część Tryptyku tatarskiego

Anna Kańtoch

Współlokator

Anna Hrycyszyn

Vintagianka w Kosmosie

Aleksandra Zielińska

Stopa Słonia

Anna Nieznaj

Serce Katieńki

Milena Wójtowicz

Ulinka

Aleksandra Janusz

Dezserterka

Agnieszka Hałas

Potwór i nic

Martyna Raduchowska

Na skrzydłach sztormu

Krystyna Chodorowska

Dla wilka strzecha

Magdalena Kubasiewicz

Mówczyzni Metalu

Ewa Białołęcka

JOIK DLA OLBRZYMA

Karta redakcyjna

Galeria ilustracji

# Aneta Jadowska

\*



## Córka lasu Druga część Tryptyku tatarskiego

Tyle razy widziała w snach, jak do niej wraca, że kiedy zobaczyła go na skraju wioski, myślała, że znów śni. Ale teraz było inaczej. W sennych majakach zawsze podchodził do niej, padał na kolana, błagał ją o wybaczenie i prosił, by dała mu jeszcze jedną szansę. Nie tym razem.

Zauważył ją, nie miała wątpliwości. Jej dom mieścił się na obrzeżach wsi. Stała zaraz przy furtce. Nie podszedł. Skręcił z drogi, przeskoczył nad rowem i ruszył na przełaj, przez łąkę, obchodząc osadę łukiem.



Dłuższą chwilę patrzyła za nim, zaciskając palce na sztachetach. Drzazgi wbiły jej się we wnętrze dłoni, ale nie poczuła bólu. Nic nie

znaczył w porównaniu z tym, który rozrywał jej serce widok oddalającego się od niej Amaruta.

Przez resztę dnia jej myśli mknęły ku niemu jak pijane gołębie, nie umiała ich utrzymać w ryzach. Zmienił się przez te trzy lata. Tamtej wiosny, kiedy uciekł ze wsi pod osłoną nocy, był wysokim, szczupłym chłopakiem. Nogi lekkie do tańca, język szybki do żartów i obietnic. Obiecywał jej cały świat. Przepędzał każdego, kto choćby pomyślał, by się koło niej zakręcić. Ledwie wyrósł z chłopięcych portek, a potrafił być taki stanowczy.

– Jesteś moja. Im szybciej to zrozumieją, tym lepiej dla nich – powtarzał i patrzył na nią, jakby była dla niego całym światem.

Niewiele brakowało, by została jego żoną. Skrzynię z wianem skompletowała już dawno. Dziewczyny ze wsi uplotły jej wianek, który ostatni raz miała założyć w dniu ślubu. Tymczasem Amarut zniknął bez słowa. Czy mu się odwidziało? Wystraszył się? Czy coś jeszcze innego odmieniło mu serce? Nikt nic nie wiedział. Jego ojciec i brat przepraszali, wstyd im było, że splamił honor rodziny i Maszy. „Toć świata poza tobą nie widział!” – powtarzali.

Może i nie widział, ale kto ślepemu zabroni iść przed siebie?

\*

Kolejne dni minęły jak w złym śnie. Musiała przyznać, że czekała. Naiwna. Rozmawiała z Bahrem o nagłym powrocie jego brata, ale znów mieli same pytania, a Amarut nie spieszył się z odpowiedziami.

Wrócił odmieniony. Nie zostało nic ze smukłego chłopaka, któremu ledwie sypał się wąs. Teraz jego szerokie bary rozpychały wojskowy szynel oskubany z dystynkcji. Zakurzone oficerki wyglądały tak, jakby przeszedł w nich setki kilometrów. Z tobołkiem na plecach, z zapadniętymi policzkami pokrytymi cieniem zarostu, wyglądał jak jeden z dezertów, którzy kręcili się po okolicy, unikając równie konsekwentnie rosyjskich, jak i polskich oddziałów.

Zniknęły jego humor i swada. Sposępniał. Zaciskał zęby i na każdego zerkał spod byka, jak gdyby się spodziewał, że za chwilę wywiąże się

bójka. Jakby myślał, że nikt go tu nie chce. Jakby i on nie chciał tu być.

Czemu wrócił?

We wsi huczało od plotek, ale wszystkie milkły, kiedy się zbliżała. Starsi patrzyli na nią ze współczuciem, które ciążyło jej jak wór kamieni. Młodszy strzelali oczami, być może w nadziei, że dojdzie do jakiejś awantury i będzie o czym gadać. Więc udawała, że nic a nic jej to wszystko nie obchodzi. W końcu minęły trzy lata.

Tylko Bahr wiedział, ile ją to kosztowało i dlaczego nie przyjęła żadnego z zalotników, którzy kręcili się wokół niej, kiedy Amarut zostawił ją tuż przed ślubem. Sama mu powiedziała, że nawet bez obrączki jest wdową, a zmarły wciąż mieszka w jej sercu. Przed nim nie musiała udawać. Zapytała, czy wie, dlaczego jego brat wrócił do wsi.

Wzruszył ramionami, zagniewany.

– Kto go tam wie – burknął. – Sam chyba nie ma pojęcia. Mówi, że ojciec go tu wezwał.

Hadzi Murza Łaszkuć miał sposoby, by zmusić synów do spełniania swej woli.

Potem Masza dowiedziała się, że do grzechów przeciwko jej sercu Amarut dołożył ten najcięższy – odstępstwo od wiary. Miał szczęście, że go nie zabili za ten prawosławny krzyżyk na piersi.

Nic z tego nie rozumiała, a naprawdę chciała zrozumieć.

Dała mu kilka dni, a te przeszły w tygodnie. Myślała, że gdy narzeczony pouklada sobie jakoś relacje z ojcem i bratem, przyjdzie do niej i przeprosi. Wy tłumaczy się, a ona mu powie do słuchu. Zagniatając ciasto na chałkę, układała w głowie przemowę, którą wygłosi, kiedy to nastąpi. Dobierała przekleństwa i obelgi. Ciągle żyła w niej nadzieja, że Amarut padnie na kolana i będzie błagał ją o drugą szansę. A ona mu ją da. Jak w snach, które nawiedzały ją przez ostatnie trzy lata. Bo choć bolało przyznanie się do tego przed samą sobą, nie istniał dla niej inny.

Był jej, nawet teraz.

Ale nie przyszedł.



Bahr z synkiem wyruszyli na pielgrzymkę. Wcześniej coś musiało się zdarzyć między braćmi, bo przed ich wyjazdem Amarut przeniósł się do chaty brata. Ściskali się na pożegnanie, jakby to, co się wydarzyło, zostało zapomniane. Widać Bahr zasłużył na wyjaśnienia.

Złość rosła w niej jak drożdżowe ciasto, coraz bliższe tego, by wystąpić nad brzegi naczynia.

Może nawet dałaby sobie spokój z Amarutem (nawet uwarzyła wywar, który zabrałby jej z serca tę miłość, skoro przynosiła tylko żal i ukłucia zawodu), gdyby przy każdej okazji nie gapił się na nią jak umierający z pragnienia na ostatnią kroplę wody. Gdyby nie łąził za nią, jakby ciągle mu na niej zależało. Kiedy szła do lasu uzbierać kory brzozonej na ból zębów i gorączkę, lał jej śladem, w pewnym oddaleniu. Niczym pies, który boi się podejść do człowieka.

Za pierwszym razem myślała, że przymierza się, by porozmawiać z dala od wścibskich uszu sąsiadów. Ale nawet nie próbował podejść. Tylko gapił się na nią z daleka.

Nikt nigdy nie potrafił jej tak rozśmieszyć jak on. I tak bardzo zranić. A także, najwyraźniej, tak bardzo zirytować.

By go wiosenne powodzie porwały i zawlokły jak najdalej!

\*

Jednego dnia nieoczekiwanie przerwał milczenie. Byli głęboko w lesie. Zebrane gałęzie na opał przewiązała sznurkiem i zarzuciła sobie na plecy. Może za dużo, bo aż stęknęła pod ciężarem, ale choć ciągle było zaskakująco ciepło, ona myślała już o jesieni i zimie. Czowała, że ta ostatnia będzie ciężka. Na ojca nie mogła liczyć – od Kurban Bajram jeszcze nie wytrzeźwiał i za sprawą stałych dolewek samogonu dbał, by ten stan się nie zmienił. Wiedziała, że nie przerwie cugu, póki nie zobaczy w bańce dna, a do tego czasu mógł już spaść śnieg. Tylko poprawiła więc ułożenie pakunku na plecach i ruszyła do wioski. I ten właśnie moment Amarut uznał za odpowiedni, by przerwać milczenie. Pojawił się przy niej nagle, cichy jak duch, i powiedział:

– Daj, poniosę, ciężkie.

– Bo to jedną taką wiązkę nosiłam przez ostatnie trzy lata? – burknęła i ani myślała pozbywać się ciężaru.

– Proszę, pozwól mi – poprosił błagalnie, jakby odmową łamała mu serce.

Miał tupet!

– O, to jednak nie zapomniałeś języka w gębie! – odcięła się. – Może ja dalej będę nosiła, a ty mi ulżysz z innym ciężarem i powiesz wreszcie, czemuś mnie zostawił przed ołtarzem? Trzeba było powiedzieć: „Masza, pomyliłem się, nie kocham cię, nie chcę cię za żonę, nie chcę mieć z tobą dzieci”. Nie musiałbyś odchodzić na drugi koniec świata. Przecież bym cię nie zmusiła. Dzieciaka w drodze nie było. Sam żeś na ten ślub naciskał, jak opętany. Przez dwa lata ci się gęba nie zamykała! Teraz już nie takiś prędko do gadania, co?

Rzuciła mu wyzywające spojrzenie. Opuścił nisko głowę.

– Byłaś dla mnie za dobra. Tak było dla ciebie lepiej. Musisz mi uwierzyć – powiedział cicho.

– Nic nie muszę. Komu lepiej, temu lepiej. I to nie była tylko twoja decyzja – rzuciła ostro, ale czuła, że zaraz zacznie beczeć.

Ruszyła przed siebie.

– Masza, przepraszam! – zawołał. – Proszę, daj sobie pomóc!

– Idź do diabła, Amarat, idź do diabła! – odrzyknęła, przedzierając się przez jeżyny, które, jak na złość, zaczęły się czepiać jej spódnicy. Musiała odłożyć gałęzie, bo potrzebowała obu rąk, by się wyplątać z tych cholerników.

– Już tam byłem – odpowiedział, doganiając ją.

Złapał za sznurek i z łatwością zarzucił sobie wiązkę na plecy.

– U diabła? I tam też cię nie chcieli? – prychnęła, ale nie wyrwała mu ładunku.

Chce nosić, niech nosi. Przynajmniej wieczorem nie będzie jej bolał krzyż.

– Przywitali jak swojego – burknął. – Ale ciebie tam nie było.

– Skoro mnie chciałeś, trzeba było tu zostać i spełnić obietnicę, że będzie mi się żyło z tobą jak w niebie.

– Gdybym tylko mógł – odpowiedział z takim żalem w głosie, że Masza aż zamrugła.

Co to, do cholery, miało znaczyć? Przecież nikt go nie porwał i wołami nie odciągnął od ołtarza!

– Nie powiesz mi, czemu odszedłeś, prawda? Nie uważasz, że zasłużyłam, by wiedzieć? – zapytała ostro.

– Nie rozmawiałabyś ze mną, gdybym ci powiedział.

– Mogę też nie rozmawiać, jak mi nie powiesz.

– Możesz. Nie zdziwię się, jeśli tak zrobisz – odparł z tą nieznośną pokorą.

By go szlag jasny trafił!

Przed wioską oddał jej wiązkę.

– Co? Teraz już mogę nieść sama? – rzuciła złośliwie.

– Lepiej, żeby nas razem nie widzieli – mruknął.

– Bo co? Reputację mi zepsujesz? Jakby było co. Każdy we wsi wiedział, że nie czekaliśmy do ślubu – odpowiedziała ostro.

– To dlatego nie wysłaś za mąż? – zapytał nieoczekiwanie.

Spojrzała na niego wściekła, jakby ją spoliczkował.

– Nie wysłałam za mąż – podniosła głos – bo łajdak, któremu miałam ślubować, uciekł bez słowa wyjaśnienia i nie dawał znaku życia przez trzy lata! Widać takie moje szczęście w miłości, że ta prawdziwa nie była dla mnie.

– Kochałem cię całym sercem, Maszka – szepnął i gapił się na nią wielkimi czarnymi oczyskami tak samo żarliwie jak dawniej.

– Musiało być malutkie jak naparstek – syknęła i ruszyła do domu. Gotowała się ze złości tak bardzo, że nawet nie czuła już ciężaru gałęzi.

Ale nie mogła przestać myśleć o tym, co powiedział.

Musiała poznać prawdę.

Odczekała, aż ojciec pójdzie spać. Nie trwało to długo, samogon zmógł go jeszcze przed kurami. Oporządziła zwierzęta, swoje i te, które pod jej

opieką zostawił Bahr przed wyruszeniem na pielgrzymkę. Potem poszła do stodoły, gdzie w kącie, pod sianem, stał kufer jej matki. Mama nie żyła już od ośmiu lat, ale to nie znaczyło, że nie mogła jej pomóc uzyskać odpowiedzi.

\*

W moździerzku Masza utarła zioła z odrobiną oleju lnianego i kroplą własnej krwi utoczonej z nakłutego palca, całość przełożyła do żeliwnej miseczki i wyszła z nią przed dom.

Zmrok zapadł już dawno, okna u sąsiadów były ciemne. Nikt jej nie będzie przeszkadzał, a co ważniejsze, nikt nie zobaczy, co robi. Niektórym magia kłóciła się z religią i patrzyli na nią nieco krzywo. Co nie znaczyło, że za życia mamy nie przychodzili do niej, gdy zaczynały ich boleć zęby czy kolka rwała po nocy. Mówili, że chcą „lekarstwa”, ale przecież matka nie była felczerką czy lekarką. Wiedzieli, do kogo przychodzą po to „lekarstwo”. Wiedzieli, że może i wyszła z lasu, ale pozostała wiedźmą.

Na gałęziach zaskrzeczały sroki. Magia zawsze je przyciągała. Maszy kojarzyły się z mamą. Oficjalnie po zamążpójściu jej matka skończyła z magią, ale sroki wiedziały lepiej. Wystarczyło, że coś warzyła, splatała zaklęcie urodzaju czy ochrony spichrza przed gryzoniami, a obsiadały drzewo przed domem i płot wokół obejścia, jakby chciały mieć dobry widok. Dziś zleciały się dla Maszy i w jakiś dziwny sposób ją to wzruszyło. Może przez skojarzenie z mamą. Tęskniła za nią każdego dnia. Mama umarła, kiedy Masza miała zaledwie piętnaście lat. Nagle i niespodziewanie. Jednego dnia przyśniło jej się, że umiera, następnego rzucała się w gorączce w pościeli. Przyszła Zahyrna, obejrzała chorą. Nacisnęła jej napęczniały brzuch, a gdy mama zaskowyczała jak postrzelone zwierzę, sapnęła z żalem:

– Nic nie zrobim, Maszko. Na to zioła nie pomogą. Może jakbyśmy mieli bliżej do miasta, zdążyłoby się... Za kilka dni będzie po wszystkim.

I było. Mogły tylko poić mamę makowym wywarem, żeby złagodzić ból, który rozrywał jej trzewia. Minęło tyle lat, a Masza znów poczuła tę

samą pustkę co wtedy. Jakby śmierć zabrała jej wszystko. Może nie zakochałaby się w Amarucie tak szybko, gdyby nie ta pustka. Bo przy nim jej nie czuła. Znów była cała i żywa. Co by dziś powiedziała mama? Pewnie poparłaby pomysł rytuału.

– Lepiej wiedzieć. Nawet najsmutniejsza prawda mniej zżera duszę niż niepewność – mawiała.

Masza usiadła więc na stopniu przed izbą, chowając stopy pod fałdami lnianej spódnicy. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w noc. Sroki zaskrzeczały, jakby poczuły, że sięgnęła po nią, która była tam zawsze, nawet kiedy dziewczyna o niej nie myślała. Zabrzęczała cicho, a zapach lasu otulił Maszę znajomym ciepłem.

Ustawiła przed sobą miseczkę z pastą i podlała porcją nafty, skupiając się na słowach zaklęcia.

– Prawdę pokaże, miłość prawdziwą tego, co przeznaczony – wyszeptała, podpalając płyn.

Już po chwili ogień trawił też zioła, a płomień zmieniły kolor na różowo-fioletowy. Dym zgęstniał, uformował białą wstążkę, która wiła się nad miseczką jak żywe stworzenie. Ocierała się o Maszę, a gdy uzbierało się więcej dymu, rozlała się na całą okolicę. Snuła się dalej i dalej, szukając.

Masza czekała. Wpatrywała się w gęstą mgłę pełzającą wokół niej i rozchodzącą się po wsi. Żeby od takiej ulotności zależało jej szczęście! W duchu odliczała, ile czasu zajmie oparom dotarcie do domu Bahra.

Nagle pojawił się Amarut. Stał w progu swojej chaty, jego biała koszula odcinała się na tle ciemności. Rozłożył szeroko ramiona, zapierając się w futrynie. Usiłował przemóc potężne zaklęcie. Masza nigdy nie widziała, by ktoś był aż tak uparty. Walczył z magią, jakby siłował się z węgorzami na dnie stawu, jego ciało drżało z wysiłku, a ta niestrudzenie popychała go do przodu. Znajdował się już tak blisko, że słyszała, jak zgrzyta zębami. Czemu był takim osłem? Jakby naprawdę mógł przerwać czar! Dym już go naznaczył, oplatał niczym żmija głaz nagrany słońcem. Amarut zrobił krok, potem drugi. Złapał się płotu i przez chwilę stał nieruchomo, ale dymna wstęga zgęstniała wokół niego i popchnęła go

w kierunku dziewczyny. Kiedy minął furtkę, przestał walczyć. Podeszedł i stanął przed nią wyprostowany.

Tak, Masza była córką swojej matki! Ukryła w dłoniach twarz, by nie widział jej triumfalnego uśmiechu.

– Co mi zrobiłaś? – wychrypiął.

– Nic, zupełnie nic – odpowiedziała. – Dym miał mi przyprowadzić tego, który kocha mnie prawdziwie. I wychodzi, że to właśnie ty.

Patrzył na nią z zarem, ale nie podeszedł bliżej. Zaplótł ręce na plecach, jakby próbował się powstrzymać od wyciągnięcia ich w jej stronę. Pod koszulą zarysowały się napięte mięśnie.

– To nic nie zmienia – wycharczał w końcu. – To, że cię chcę, nie znaczy, że mogę cię mieć – powiedział i cofnął się o krok, potem kolejny. Znow walczył z jej zaklęciem. Drżał na całym ciele, na czoło wystąpiły mu krople potu, jednak ani myślał się poddać.

Jeszcze chwila, a krew puści mu się z nosa, pomyślała i przykryła miseczkę, odcinając dym. Wówczas Amarut strząsnął go z siebie jak niepotrzebną derkę i odszedł w noc.

Patrzyła bezsilna, jak wraca do chaty Bahra. Ile razy mógł jej złamać serce? Najwyraźniej więcej niż raz. Nawet po śmierci mamy nie czuła zimna, które sięgałoby aż tak głęboko, do kości, do serca. Wróciła do domu, zwinęła się na posłaniu i płakała, dopóki noc nie przerodziła się w dzień.

O świcie wstała, umyła twarz. Już czas.

Poszła do kufra mamy i wyjęła z niego pakunek owinięty woskowijką. Pachniał bagnem i lawendą, której zapach miał za zadanie odpędzać mole i inne paskudztwo. Klęcząc na klepisku, Masza rozwiązała sznurek. Palce gładziły miękką, mięsistą tkaninę. Czerwony barwnik nie wyblakł przez lata, nadal miał soczystość czerwcowych maków, czysty jak krew na śniegu. Dziewczyna wstała, a materiał spłynął kaskadą na podłogę. Zarzuciła na ramiona pelerynę mamy, naciągnęła na głowę obszerny, lekko spiczasty kaptur i zapięła trzy kościane guziki pod szyją. Zaszklili się jej oczy. Na wspomnienie przeszłości, która nie wróci. Na myśl

o przyszłości, którą musiała zniszczyć, bo nie czekało jej tam nic poza bólem i smutkiem.

- Już czas - szepnęła, jakby potrzebowała przekonać o tym samą siebie. Oddała mu sześć lat ze swych dwudziestu trzech. Starczy.

Okręciła się, a peleryna oplotła się wokół jej nóg. Cudowne uczucie! Jakby mama z nią była i wspierała ją w tym, co musiało nastąpić, jeśli Masza miała mieć jakiegokolwiek szanse na życie, miłość, dzieci i rodzinę. Ruszyła w drogę.

Szła przez wieś ciągle pograżoną we śnie, prosto do lasu. Dla takich jak ona większość odpowiedzi kryła się w lesie.

Potrzebowała huby i młodej jemioli. Wiedziała, że znajdzie je zaraz koło strumienia i zwałonego dębu, z którego próchno najlepiej nadawało się do odymiania pszczół.

Nagle usłyszała za sobą cichy trzask gałęzi. Odwróciła się gwałtownie, z łopotem peleryny. Na końcu języka miała tyradę o zakutych łbach, które mogą sobie wsadzić, gdzie słońce nie dochodzi, całe to śledzenie jej i gapienie się na nią z krzaków, ale słowa zamarły jej na ustach. Pierwszy raz ktoś do niej mierzył z broni palnej i przez chwilę pole widzenia Maszy wypełnił wylot lufy.

- Aleś mi tu sama w ręce weszła, turkaweczko - powiedział żołdak.

Uśmiechał się triumfalnie i już wiedziała, że nic dobrego jej dziś w lesie nie czeka.

\*

Amarut zatrzasnął za sobą drzwi do izby, jakby mogły odciąć go od tego dziwnego uczucia. Magia ciągle brzęczała mu w zębach i kościach. Każdą uncję woli kosztowało go odejście od Maszy. Nawet nie wiedział, że dziewczyna ma magiczną moc. O jej matce mówili różne rzeczy, ale pochodziła spoza wsi i wyszła za jednego z bogatszych gospodarzy, to nie dziwota, że nie szczydźli jej ostrych języków. Za to teraz nie miał wątpliwości: to była magia. Nie bał się jej, ale wiedział, że nie może jej ulec. Żle by się to skończyło dla Maszy.

Dlatego tak zaciekle walczył z magią ukochanej, a także z fierejem, z którym musiał dzielić ciało. Niewiele brakowało, by stracił kontrolę. To Amaruta przerażało najbardziej – jak bardzo bestia pragnęła Maszy. Nie mniej niż on. W momencie, w którym to odkrył, wiedział, że musi się trzymać od narzeczonej z daleka. Nie ufał sobie. Nie ufał fierejowi. Zaciskał palce na krzyżyku, ciężko dysząc i mamrocząc modlitwę, której nauczył go pop, kiedy pomagał mu zapanować nad bestią.

Masza zasługiwała na więcej niż na słabego mężczyznę noszącego w sobie demona. Zasługiwała na normalne życie, dobrego męża, dzieci. Tyle że fierej na samą myśl, że miałyby być żoną innego, z wściekłości orał mu duszę pazurami.

Powinien wyjechać, opuścić wieś, znaleźć się jak najdalej od Maszy i od pokusy, której nie miał prawa zaspokoić. Gdyby posiadał choć odrobinę zdrowego rozsądku, zrobiłby to. I gdyby nie obiecał ojcu marów – posługi przy śmierci. Stary twierdził, że umiera, więc ściągnął go do wsi. Jego zakłęciu Amarut też się opierał, ale fałdziej znał różne sztuczki. Miesiącami wchodził mu w sny, jątrzył, szturchał, domagał się uwagi. A im mniej Amarut spał, tym trudniej było mu trzymać fiereja w ryzach. Błędne koło.

Wrócił więc, bo co miał zrobić? Myślał, by ze sobą skończyć, ale skąd mógł mieć pewność, że tym samym zabije fiereja, zamiast go uwolnić i pozwolić mu sięgnąć po to, czego pragnął? Od trzech lat, zanim fałdziej przejął jego sny, demon często wypełniał je obrazami rzezi i zniszczenia.

Trawiła go gorączka, jak zawsze, gdy fierej był pobudzony. Oplukał twarz nad wiadrem zimnej wody, zmoczył ścierkę i położył ją sobie na karku. Oddychał chrapliwie. Coś było nie tak. Wszystko w nim krzyczało. Nie mógł usiedzieć, nerwowo krążył po izbie. Pazury i zęby fiereja wbijały się boleśnie w jego duszę. Wiedział, że gdyby spojrział w zwierciadło, ujrzałby jarzące się niczym błędne ogniki na bagnach oczy bestii.

Jakby go ludzie takim zobaczyli, jak nic skończyłby żywot nadziany na widły. Bóg tylko wie, ilu sąsiadów zabrałby za sobą. Wcisnął się w kąt między ścianą a kredensem. Ciasnota czasem pomagała wyciszyć fiereja.



Mężczyzna oddychał już spokojniej, ale błyski czerwieni pod powiekami mówiły mu, że to nie koniec, że walka jeszcze nie jest skończona.

Nagle Amaruta przeszła błyskawica bólu, który sięgnął tak głęboko, że zranił i jego, i fiereja. Demon zawył, rozjuszony. Pierwszy odkrył, co się dzieje.

– Masza! – wydusił z siebie Amarut, rozrywany wściekłością.

W tej samej sekundzie stracił kontrolę. Pazury rozerwały mu skórę, zębiska stłoczyły się w szczękach, kolory załamały się, gdy jego oczy nie były już ludzkie. Wypadł z domu z impetem, trzaskając drzwiami o ścianę.

Pędził jak ogar piekielny, szybki i zabójczy. Prosto w las. Pierwszy raz nie żałował, że tamtej nocy napatoczył się na fiereja, bo jeśli ktoś mógł zdążyć do Maszy na czas, to właśnie on. Nie walczył i nie próbował go powstrzymać. Po raz pierwszy całkowicie puścił smycz. Biegł, ledwie dotykając ziemi, bez wahania, jakby kierował nim szósty zmysł.

Nawet wpadłszy między drzewa, nie zwolnił, napędzany niesionym przez wiatr zapachem krwi i strachu Maszy. Bestia ryczała, on ryczał, jak gdyby dawał ostatnie ostrzeżenie temu, co zagrażało jego ukochanej.

Wypadł na przesmyk przy strumieniu i na ułamek sekundy poczuł obezwładniającą ulgę, bo Masza żyła, stała o własnych siłach! Po jej twarzy spływała krwawa smuga, włosy miała potargane. Jedną ręką ścisnęła poszarpaną bluzkę, drugą wymachiwała długim kijem, trzymając napastnika na dystans.

Skąd się tu wziął? Amarut nie widział go nigdy wcześniej. Mundur dezentera był zbyt brudny, żeby móc stwierdzić, z której armii się urwał. Jasne włosy nieznanego pozlepiła krew, a w dłoni ścisnął pistolet. Amarut wyczuł zapach prochu i smaru.

Demon i człowiek byli zgodni jak nigdy. Kimkolwiek jest ten człowiek, nie wyjdzie z tego lasu żywy.

Amarut rzucił się na niego z wściekłym rykiem. Lufa błysnęła ogniem, ale nic nie mogło zatrzymać fiereja, a to on teraz był u sterów. Zaciśnął ostre zębiska na twarzy żołdaka i odgryzł ją jednym kłapnięciem. Ciało opadło na ściółkę, ale bestia nie dowierzała, szarpała dalej i dalej,

wgryzała się w szyję i klatkę piersiową, nurzała się w gorącej posoce, jakby to ona mogła zbić gorączkę prędzej niż woda z wiadra.

– Amarut? – usłyszał za sobą cichy głos Maszy.

Bestia, włochata, zębata i pazurzasta, o płonących jak ognie oczach, zamarła, skulona nad rozszarpanym ciałem. Skąd Masza wiedziała? Jak mogła poznać? Kiedy tu przybiegł, nie zostało w nim już nic z chłopaka, którego znała. Odwrócił się w jej stronę, pewien, że zobaczy zgrozę i obrzydzenie. Może ten widok sprawi, że łatwiej będzie mu odejść. Może musiała w nim zabić tę ostatnią, głupią nadzieję.

Ale Masza się nie bała. Nie kuliła. Nie cofała. Zrobiła krok w jego stronę, i kolejny, wyciągając do niego rękę, jakby zamierzała go przytulić. Zaszokowany, wyprostował się nad zwłokami. Stał, z pazurami i pyskiem ociekającymi krwią, z przemoczoną posoką futrem i strzępami koszuli wiszącymi na nienaturalnie wielkim, nieludzkim ciele.

– Amarut – powtórzyła, jakby chciała, by do niej przyszedł.

Nie miała dymu, który złapałby go w twarde uścisk magii. Tylko ten słodki głos i oczy wypełnione troską. Tylko ramiona wyciągnięte w jego stronę, jakby wciąż był wart tulenia.

Nie był pewien, czyje serce ścisnęło się bardziej: jego czy fiereja. Który z nich zdecydował, by zrobić krok w jej stronę? A potem następny? Którykolwiek to był, porzuciwszy łup, stapał po ściółce na wilczych łapach i obwąchiwał powietrze między sobą a Maszą. Pachniała krwią, ale woń strachu ulotniła się już z jej skóry.

Szedł do niej, nie mogąc walczyć z pragnieniem silniejszym niż wola życia. Z głodem, który trawił go przez lata jak niegasnący płomień.

Nagle zaskomlał, gdy ból przeszył go niczym płonąca włócznia. Upadł. Próbował się dźwignąć, ale nie mógł ustać na przednich łapach. Przed oczami wirowały mu czarne plamy i nagle cały świat wypełniła jej twarz, tak blisko...

Jeśli umiera... czemu to anioł odprowadza go do piekła? Przecież nie trafi nigdzie indziej, tylko tam...

Masza walczyła, ale wiedziała, że przegrywa. Miała jeszcze nadzieję, kiedy zdołała gałęzią wytrącić żołdakowi pistolet z ręki i broń upadła na ściółkę. Jednak mężczyzna wciąż miał przewagę. Gdy rzucił się na nią i przewrócił, dociskając do ziemi, zrozumiała, że jej szanse wyjścia z tego cało są niewielkie. Był większy, cięższy i zawzięty. Mimo to się nie poddawała. Drapała, gryzła, udało jej się nawet wymacać kamień i uderzyć nim napastnika w skroń. Żeby zdechł, kanalia! Chyba chwilowo go zamroczyło, bo zdołała wydostać się spod jego cielska. Zgarnęła dłonią poszarpaną bluzkę, ale nim zdążyła uciec, odnalazł pistolet i strzelił. Pocisk odłamał kawał kory tuż przy jej głowie. Zamarła. Krew szumiała jej w uszach, serce chciało wyskoczyć z piersi jak spłoszony królik, mimo to wyprostowała się dumnie.

– Bądź miła, a nic ci nie zrobię – powiedział żołdak, wymachując pistoletem. Kłamstwo pachniało jak kwaśne jagody.

– Po moim trupie, psi synu. – Splunęła na ściółkę.

– Może być i po twoim trupie, turkaweczko, jak się szybko uwinę, to jeszcze ciepła będziesz – odrzekł z obleśnym uśmiechem.

Masza czuła się jak mysz w potrzasku. Zaciskała palce na kij, ale co mogła zdziałać przeciwko kulom?

Nagle usłyszała za plecami warczenie, potem ryk i obok niej przemknęła czarna smuga, prosto na żołdaka. Huk wystrzału sprawił, że Masza podskoczyła. Bestia się nie zatrzymała, dopadła mężczyznę i zacisnęła zęby na jego twarzy. Odgłosy pękających kości i rozrywanych tkanek rozbrzmiewały dziwnie głośno w nagle bardzo cichym lesie. Nie było krzyków, a bulgoczący oddech szybko ucichł. Bestia uniosła głowę znad trupa i w jej oczach dziewczyna dostrzegła znajomy błysk.

– Amarat? – zapytała drżącym głosem, po czym zrobiła krok w jego stronę. I jeszcze jeden.

Wyglądał jak stwory z historii, które w dzieciństwie opowiadała jej mama. Był przerażający. Obrośnięty futrem, ogromny, ociekał krwią. Ale nie bała się go. Nie potrafiłaby. Uratował ją. Kochał ją. Ten idiota ją kochał. Przyszedł za nią, zjawił się w chwili, gdy potrzebowała go najbardziej.

– Amarut. – Wyciągnęła do niego rękę.

Unióśł się znad rozszarpanego gardła żołdaka. Wstał, jakby z wahaniem, i ruszył w jej stronę. Nagle pisnął z bólu i runął na ziemię u jej stóp.

– O nie, nigdzie się nie wybierasz, łajdaku! – powiedziała twardo, klękając przed nim. – Już raz mnie zostawiłeś, nie myśl, że znów ci na to pozwolę!

Wymacała ranę pod jego żebrami. Kula przeszła na wylot, a na czarnym futrze Masza nie od razu zobaczyła krew, ale gdy dotknęła rany, jej dłonie pokryły się czerwienią. Zerwała z niego strzępy koszuli i pozwijała je w dwa grube tampony. Z własnej podartej w czasie walki bluzki zrobiła szarpie i założyła opatrunek. Z początku materiał szybko nasiąkał posoką, ale wkrótce krwawienie się zmniejszyło.

Musiąła go stąd zabrać. W chacie miała zioła, igłę i nici, i buteleczkę spirytusu, którą chowała przed ojcem. Ale Amarut musiał współpracować – przy jego rozmiarach i ciężarze nie dałaby rady go podźwignąć.

Poklepywała go po twarzy, coraz mocniej, by się ocknął.

– Nie rób mi tego, łajdaku, słyszysz? Nie zawiedziesz mnie raz jeszcze! Nawet ty nie jesteś podły do tego stopnia, by skończyć naszą historię w taki sposób, słyszysz? – powtarzała, potrząsając jego głową.

Powieki Amaruta zadrgały, ale się nie uniosły, jakby były za ciężkie.

– Słowo daję, jak się nie obudzisz i nie pójdziesz ze mną do chaty, zostawię cię tu i pozwolę gnić! Wstawaj! Jeśli wstaniesz, dostaniesz całusa. Nawet dwa! – mamrotała, próbując go dźwignąć do siadu.

Bez efektu.

– Nie zostawię cię tu, idioto, więc mi pomóż! Ich może być więcej! Musimy się schować w domu, we wsi! – przekonywała.

Powieki zatrzepotały mu jak skrzydła motyla. O tak, może i obróśł futrem, ale w środku pozostał taki jak dawniej.

– Idź – wybełkotała bestia i próbowała odepchnąć jej ramię.

- W życiu! Jak tu przyjdą i nas złapią, to będzie twoja wina, bo zostaliśmy tu przez twój osli upór!

Zadziałało. Pozwolił, by jej barki znalazły się pod jego prawym ramieniem, a sam odepchnął się od ziemi lewą ręką. Czowała pod palcami napinające się kłęby mięśni. Co mu się stało? I kiedy? Przed końcem dnia pozna odpowiedzi, tego była pewna, ale teraz najważniejsze, by go pozszywać, zanim się wykrwawi.

Szedł chwiejnie, upadłby, gdyby go nie podtrzymywała. Musiała go oprzeć o pień wierzby, żeby podnieść z ziemi pelerynę. Dwa z trzech guzików były oderwane. Zrzuciła ją sobie na ramiona, związała troczki i wróciła do Amaruta. Wydawało jej się, że teraz widzi w nim mniej bestii, a więcej chłopaka, który wrócił po latach, ale nie była pewna, czy to dobrze, czy źle. A co, jeśli to oznacza, że staje się coraz słabszy, bo się wykrwawia? Może po śmierci wróci do ludzkiej formy, jak stworzenia z opowieści mamy?

Prowadziła go w stronę wsi. Szedł sztywno, prac bezmyślnie naprzód, jakby nie całkiem kontaktował, ale gdy w polu widzenia pojawiły się zabudowania, gwałtownie się zatrzymał.

- Nie - wycharczał. - Zabijają cię...

- Nikt mnie nie zabije!

- Nie możesz tam, ze mną... - Próbował ją odepchnąć i wrócić do lasu. Idiota.

Sapnęła zirytowana.

- Nie kłóć się ze mną. Nie chcesz gościńcem, możemy łąką, ale idziemy do mnie, choćbym cię miała ogłuszyć i zawlec do domu! - zagroziła. - To już blisko, dam radę!

Chwiał się, wahał, ale w końcu posłuchał. Był za słaby, by przeskoczyć nad rowem, więc musiała go przeprowadzić dołem, przez co przemokły jej buty. Amarut nie miał butów. Zauważyła, że jego stopy bardziej przypominają ludzkie niż wilcze. Wyglądały dziwnie blado i bezbronne. Prowadziła go na przełaj, tam, gdzie po sianokosach zostało jeszcze trochę trawy, by nie poobdzierał skóry o ściernisko.

Weszli na podwórko od tyłu, przez furtkę dla bydła. Nikt ich nie widział. Zamarła, słysząc jakieś głosy, ale to tylko ojciec musiał się obudzić, znów popić, i teraz śpiewał smutne ballady, jak zawsze gdy wspominał zmarłą żonę. Nie było ryzyka, że nagle zejdzie po drabince z szopki nad spichlerzem – w tym stanie najczulej przytulał się do gąsiora. Myśl, że przyszliby żołdacy i zabrali mu jego samogon, przeraziłaby go bardziej niż obawa, że zabiorą mu jedyną córkę. Ojciec od lat umierał po kawałeczku. Odkąd stracił żonę, utracił też wolę życia. Tylko samogon pozwalał mu pływać po tym morzu żalu, jak kawałkowi kory. Bez niego poszedłby na dno jak kamień. Tak powiedział Maszy jednego razu i nie miała siły się z nim kłócić, zwłaszcza że po odejściu ukochanego sama była jak kawałek kory na oceanie smutku, ale jej bólu nie ukończyłyby nawet wódka.

Zaprowadziła Amaruta do chaty, położyła go na ławie i zabrała się do oczyszczania rany. Opatrunek nie wyglądał źle. Krew pociemniała i nie pojawiła się nowa. Kiedy dziewczyna obmacywała brzegi rany, teraz lepiej widocznej, gdy część futra zniknęła, wydawało jej się, że już się trochę zbiegła. Podobnie prezentowała się rana na plecach. (Aby ją zbadać, Masza namordowała się, zanim udało jej się posadzić rannego). Czemu więc był tak słaby? Czy stracił aż tyle krwi, czy to coś innego, groźniejszego? Starannie obmyła obrażenia, nie musiała ich nawet zszywać. Sporządziła zapobiegającą zakażeniu pastę z ziół, startej kory brzozonej i miodu i posmarowała nią dwa świeże opatrunki. Znów się siłowała, by podźwignąć Amaruta do pozycji siedzącej. Opatrzyła rany i owinęła ciało ukochanego świeżymi pasami płótna.

Czemu był taki spocony? Cała twarz, znów po ludzku gładka, jedynie z cieniem zarostu ciemniejącym na policzkach, lśniła mu od potu. Przydługie, kręcone, kruczoczarne włosy lepiły mu się do mokrego karku i czoła. Wilgotną szmatką starła pot i ślady krwi. Gdyby był przytomny, napiłaby go wywarem z kory brzozonej, ale teraz bała się, że się zachłystnie, jeśli spróbowałaby wlać mu płyn do gardła. Leciał przez ręce, nie potrafił otworzyć oczu, nawet gdy go o to prosiła, mówiła do niego, namawiała, groziła...

Uspokoiła się dopiero, kiedy zaczął pochrapywać. Może wcale nie zemdłał, tylko po prostu potrzebował snu? Nie miała pojęcia, jak regenerują się tacy jak on. Brakowało jej siły, by go zaciągnąć na łóżko, więc tylko przyniosła poduszkę, ułożyła go na ławie, trochę przykrótkiej, więc zwisały mu nogi, i przykryła go wełnianym kocem.

Zostawiła go tylko na chwilę i zmyła z siebie ślady krwi. Zmieniła rozdartą halkę i bluzkę. Otrzeпаła spódnicę z igliwia i piachu. Zerknęła w niewielkie lustro i przeklinając, zaczęła rozczesywać włosy, bo wyglądała, jakby miała kołtuny. Zaplotła je ciasno i odruchowo upięła wokół głowy. Zahyrna powtarzała, że to nie jest fryzura dla pańienek, a dla mężatek i wdów, ale Masza od dawna nie czuła się panną. Może już od dnia, kiedy Amarut spojrział na nią po raz pierwszy i zaprosił na tańce? Jedno spojrzenie w te ciemne, figlarnie roziskrzzone oczy i przepadła.

Usiadła po drugiej stronie stołu i obserwowała go czujnie, jak jastrząb łążące po podwórku pisklaki. Po godzinie nic się nie zmieniło, może poza tym, że chrapał głośniej, a jego skóra straciła częściowo swą popielatą bladeść. Masza poczuła się nieco spokojniejsza.

By zająć czymś ręce, sięgnęła po robótkę. Dźwięk uderzających o siebie drutów i ciche szuranie włóczki po stole działały kojąco.

Nim Amarut zaczął się wiercić i przebudzać, zdążyła zrobić połowę pleców swetra; kończyła właśnie trzeci rząd wypukłych rombów. Teraz powinna zacząć wzorek z kremowej włóczki, który miał ładnie kontrastować z ciemnobrązową wełną, ale to wymagało skupienia przy liczeniu oczek. Nie mogła sobie na to pozwolić, odłożyła więc robótkę do koszyka i przykryła plecionym z łyka wiekiem. Gdyby o tym zapomniała, jej kot jak nic zaopiekowałby się kłębkim. Pewnie nie od razu, bo odkąd pojawił się Amarut, kocisko gdzieś się ukrywało, ale wołała nie kusić losu.

Wstała od stołu i napełniła garnek wodą. Trochę dla zabicia czasu zaczęła kroić warzywa i odsypywać kaszy z woreczka. Pewnie będzie głodny, kiedy się obudzi. Mieszała zawartość kociołka i czekała, aż składniki się rozpadną, aby mogła zageścić zupę.

Nie musiała się oglądać, by wiedzieć, że otworzył oczy. Po prostu wyczuła nagłą zmianę w powietrzu, a na plecach gorące spojrzenie

Amaruta.

– Masz mi sporo do wyjaśnienia, nie wydaje ci się? – odezwała się, nie przestając mieszać.

Usłyszała jego głośne sapnięcie i się uśmiechnęła. Jeśli mu się wydawało, że jest miłą i potulną panienką, musiał w czasie tej trzyletniej wędrówki nieraz dostać w głowę. Była miła, jeśli chciała. Ale jej matka trzepnęłaby ją w ucho, gdyby kiedykolwiek zauważyła u niej przesadną potulność.

– Córki lasu nie są potulne. One lepią swój los, jak chcą – mawiała.

Może Masza za długo pozwalała innym, w tym jemu, by za nią lepił jej los?

\*

Nie był zachwycony, ale ona nie zamierzała się tym przejmować. Nalała mleka do dużego kubka, postawiła przed Amarutem z wyzywającym stuknięciem i powiedziała:

– Żeby ci w gardle nie zaschło, jak będziesz snuł opowieść.

Sapnął, ale tylko uniosła brew i usiadła przed nim, z założonymi na piersi ramionami.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytał.

– W sumie wszystko. Ale może zacznijmy od tego, kiedy... no wiesz.

Patrzył w jej roziskrzzone uporem oczy i wiedział, że dziewczyna nie odpuści. Zawsze była uparta.

– Tamtego wieczoru, gdy szedłem z bykowin w Zagonkach – przyznał w końcu. Trudno mu było do tego wracać. – Najgorsza noc mojego życia – dodał, jakby to jej miało wystarczyć, i zamilkł.

– Dla mnie najgorszy był ten poranek w dniu ślubu, gdy mi Bahr powiedział, że cię wywiało i nikt nie wie, gdzie jesteś. Twój ojciec chciał mi oszczędzić wstydu. Przyszedł i powiedział: „Maszo, odwołajmy, niech nie patrzą na twój smutek. Mój syn odszedł i nie wróci”. Kazałam mu nie wygadywać głupot. Dokładnie tak: powiedziałam fałdzejowi, który słynie z mądrości, że wygaduje głupoty. Bo ty, Amarut Łaszkuć, nigdy byś mnie



nie zostawił bez wyjaśnienia. – Słowa wylewały się z niej strumieniem. – Gdyby cokolwiek miało ci przeszkodzić w poślubieniu mnie, przyszedłbyś jak mężczyzna, za którego cię miałam, i wyznał mi prawdę. Nie uciekłbyś jak szczur po nocy. Niemożliwe! Znalazłam mnóstwo powodów, dla których musiałbyś nagle wyjechać. Wszystkie zakładały, że byłeś niezbyt rozsądny, wybrałeś się po pierścionek, choć mówiłam, że nie trzeba, albo po prezent ślubny... Cokolwiek, byle nie to, że uciekłeś i zostawiłeś mnie samą, żebym to wyjaśniła rodzinie i wsi. Przecież mój Amarut nie okazałby się takim łajdakiem. Nawet nie wiedziałeś, czy nie jestem przy nadziei! A wiesz, że mogłam być! Więc nie, nie będziesz mi teraz wzdychał i sapał, marszczył czoła, jakby to mi miało wystarczyć. Jakbym miała przyznać, że twoja niechęć do wyznania prawdy jest ważniejsza niż mój ból z powodu braku odpowiedzi! Więc mów! – Uderzyła dłonią o blat stołu, aż zagrzechotały łyżki w miskach.

– Zawsze byłaś uparta, ale nigdy tak – mruknął Amarut.

– Bo gdy byliśmy razem, nie dałeś mi powodu do takiej wściekłości. Nie myśl, że ktoś by się zmartwił, gdybyś nagle zniknął – dodała cierpko. – Nikt poza mną by nie tęsknił. Nikogo by nie zdziwiło, gdybyś znów odszedł bez słowa. I nikt by cię nie szukał w kupie gnoju za moją chałupą!

Amarut z trudem powstrzymał śmiech. Bestia była podniecona tymi groźbami. On – bardziej rozbawiony. Ale poddał się. Masza miała rację. Prawda jej się należała. Zaczął więc mówić.

– Urządzili mi bykowiny, chłopaki ze wsi. Ale żeby tu w oczy nie kłuć naszą dobrą zabawą, poszlim do Zagonków, do Staszka Paszucia. Miał gorzałkę, zeszło się grajków, zrobiliśmy ognisko. Cały wieczór żeśmy pili, bawili się, tańczyli i gadali głupoty. Żegnali moje kawalerstwo, bo już za chwilę miałem chodzić na krótkim pasku przy twojej spódnicy.

– Już cię widzę na tym krótkim pasku – burknęła.

– Musieli wymyślić wielką stratę, żeby ją opłakiwać i zalewać wódką – powiedział i wzruszył ramionami.

Wciąż pamiętał tamten wieczór, kiedy się szczerzył jak głupi, ilekroć mu odmalowywali te straszliwe wizje, jak to zamiast włóczyć się po robocie z kolegami, będzie gnał do żonki i grzał się w ciepłe domowego

ogniska. A przecież nie mógł sobie wyobrazić lepszej przyszłości niż tulenie Maszy na zapiecku.

– Tyle było gadania o tobie i tym przytulaniu, co go będę miał za chwilę wyżej uszu, że mi się w końcu do ciebie zatęskniło. I gdy wszyscy się już pozwalali pod stół, a w gąsiorku niewiele zostało, postanowiłem wrócić do Bahonik i śpiewać ci pod oknem, aż wyjdiesz i całusem zapłacisz mi za milczenie.

Prychnęła cicho. Teraz, gdy znów zjawił się we wsi, taki mroczny, owiany smutkiem i tajemnicą, niełatwo było pamiętać, jaki beztroski i postrzelony był wtedy. Ale tak, pijackie przyspiewki i handlowanie ciszą za całusy pasowało do Amaruta, którego kilka dni później miała poślubić. Miłość i jej ślepotą.

– To jest spory kawałek, z Zagonków do Bahonik – powiedziała tylko.

– No z dziesięć kilometrów będzie – przyznał, a oczy mu się dziwnie zaszklily.

– Byłeś pijany jak bela, sądząc z opowieści – rzuciła, gdy milczenie się przedłużało.

– A to prawda, pijany w sztok. Nogi mi się plątały, ale żem szedł, a raczej gnał niesiony na skrzydłach miłości. – Uśmiechnął się krzywo, jednak wesołość nie dosięgła jego oczu. – Tylko tak wyjaśnisz ten cud, że w ogóle trafiłem, choć szedłem na przełaj przez pola, bom zgubił drogę.

– Umknęła, niedobra – mruknęła cicho.

– Księżyc świecił, nie było tak straszno i ciemno, jak by mogło, więc trafiłem. Już widziałem Bahoniki. Nawet światło, które mi ojciec w oknie zostawił. Dopadł mnie przy mizarze. – Znów się zaciął.

Masza zamrugnęła zaskoczona.

– Chyba żeś taki pijany nie polaził na mizar? Nie przeszedłeś na drugą stronę płotu? – dopytywała.

– A przeszedłem. Głupota i gorzałka, Maszko, poszedłem na skróty, zaoszczędziłem ze dwieście metrów, nie musząc go okrążyć do drogi. – Parsknął niewesołym śmiechem.

Milczała.

– Wskoczył nagle, nawet nie wiem skąd. W jednej chwili byłem sam, a w następnej na mnie siedział i wgryzał mi się w gardło. – Nieświadomie potarł palcami dawno zagojone rany u podstawy szyi. – Nie wszystko pamiętam. Krwi było pełno, zrobiło mi się zimno, potem gorąco. Leżałem, gapiłem się w księżyc i gwiazdy i czułem, jak życie wycieka ze mnie i wsiąka w piach. Myślałem, że będziesz wściekła, jak mnie tu znajdą, i powiesz: „Co ten idiota świerkowy robił w pełnię na mizarze, nie miał po co żyć?”. A ja miałem po co żyć! Głupi byłem, ot co, ale czemu od razu musiałem stracić wszystko?

– Nie straciłeś – szepnęła.

– Jesteś pewna? – Zaśmiał się gorzko. – Czułem, jak umieram, Masza. Byłem trupem. A rano się obudziłem. Umazany krwią, ale ze zrośniętym gardłem. I z fiejem pod skórą, który dyszał i chciał iść po ciebie, wziąć cię i uczynić swoją. Jakby wiedział o świecie tylko to, o czym żem myślał w pijanym widzie i malignie, wykrwawiając się na piach. Próbowałem udawać, że nic się nie stało, że to wszystko mi się przyśniło, że ciągle jestem ten sam, jeden, twój. Ale nie byłem. To dyszało we mnie. Trzęsło mną jak w febrze, żeby się zmienić w bestię. Ledwie mnie Bahr wkurzył, a rosły mi pazury, aż przebijały skórę... Nie byłem już człowiekiem, Maszka. Ślub był coraz bliżej, a mnie roznosiło, coś wrzeszczało we mnie, wściekle i żądne krwi. W noc przed ślubem nagle się zmieniłem. W jednej chwili byłem sobą, w drugiej poskręcało mnie na ziemi, a w następnej już miałem zębiska bestii, pazury i futro. Słyszałem twój śmiech z daleka. Czułem twój zapach, choć byłaś z dziewczynami przy strumieniu, a ja byłem może kilometr dalej, przy wyrębniku. Uciekłem, Masza, bo bestia chciała biec do ciebie jak do niczego innego.

– Chciała mnie zabić?

Spojrzał na nią, jakby nie rozumiała.

– To bestia – powiedział w końcu.

– No bestia. Ale dziś zabiła żołdaka, a na mnie się nawet nie zamachnęła.

– To bestia – powtórzył, potrząsając ze smutkiem głową.

– Przyznałeś się ojcu? – zapytała. – Jako fałdziej mógłby ci pomóc.

– A kto go tam wie. Nie mówiłem mu. Uciekłem, zanim zobaczyłby, czym się stałem. Zanim powiedziałby: „Głupcze, a nie mówiłem, by nie łązić na mizar po nocy, za pełni?”. Ale znalazłem innego fałdżeja. Powiedziałem mu, prosiłem, błagałem, by mi pomógł. Strzelił do mnie. A potem pół wsi pomagało mu zapędzić mnie do stodoły, gdzie chcieli mnie wykończyć. Musiałem zabić dwóch, żeby uciec. Na moje sumienie spadło, bo może mieli rację? Może to byłoby najlepsze rozwiązanie? – Westchnął i upił mleka.

Masza czekała na ciąg dalszy, skubiąc krajkę przy rękawie bluzki. Przez ostatnie trzy lata wymyślała różne powody zniknięcia Amaruta, ale żaden nawet nie zbliżył się do historii, którą usłyszała. Może by i nie uwierzyła w nią od razu, gdyby nie dzisiejsze wydarzenia w lesie.

– Musiałem iść jak najdalej od Bahonik, od ciebie, tak by pękła ta nitka tęsknoty, co mnie ciągnęła z powrotem – wykszusił.

– I pękła? – zapytała, a widząc jego zdziwioną minę, dodała: – Przestałeś tęsknić? Zapomniałeś? Minęła ci miłość?

– Nigdy. Musiałbym sobie serce nożem wyjąć. Myślałem, żeby się zabić – przyznał. – Nawet próbowałem raz czy dwa... Tylko widzisz, za bardzo się bałem, że zabiję tylko siebie, Amaruta, ale nie bestię. A ona wróci do ciebie. Musiałem być żywy, żeby ją trzymać na smyczy. Pilnować, by się nie zmieniać. Nie ulegać pragnieniu krwi... Dwa lata się włóczyłem, nie zostawałem nigdzie na dłużej niż trzy dni, żeby nikt nie odgadł, kim jestem. Szukałem pomocy, gdzie tylko mogłem.

– Stąd krzyżyk? Ochrzciles się? – zgadła dziewczyna.

Przytaknął.

– W drodze do miasteczka spotkałem popa. Jechał bryczką i jak mnie mijał, od razu wiedział.

– Skąd? – zdziwiła się. – Przecież nic nie widać. Wróciłeś do wsi, zmieniłeś się, ale nie poznałabym, że nosisz fiereja.

– Był taki sam jak ja, Maszko. Długo rozmawialiśmy. Powiedział mi, że tylko modlitwa i krzyż trzymają jego bestię w ryzach. Że bez nich byłby krwiożerczym potworem. I że może mnie nauczyć, jak to kontrolować. Zostałem u niego. Pomagałem mu w gospodarstwie, dałem się ochrzcić,

uczyłem się, jak zamykać bestię w małym pudełku. Popadłem w rutynę, ale nie była zła, ta rutyna. Praca i modlitwa wypełniały mi dnię, jakbym był mnichem. A potem... – westchnął ciężko – zaczęły się sny. Fałdziej nie byłby sobą, gdyby mi wszystkiego nie pokomplikował. Miesiącami się opierałem, ale przecież on zawsze stawiał na swoim. – Amarut wzruszył ramionami.

Masza nic nie powiedziała. Tak jak Bahr szanował ojca, tak Amarut częściej czuł potrzebę, by mu się postawić. Starszy syn wziął po ojcu religijność i gdyby Allah był mu łaskawy, zostałby kolejnym fałdżem, świętym mędrcom rodu Łaskuciów. Ale nie miał daru. Amarut bez wątpienia nosił w sobie iskrę bożą, od małego jednak buntował się przeciwko pomysłowi pójścia w ślady ojca.

– Więc wróciłeś dla niego. Odprawić mary – podsumowała.

Niechętnie skinął głową. Nie był pewien, czy ojciec po raz kolejny nie uciekł się do podstępu. Zapewniał go, że umrze, zanim Bahr wróci z pielgrzymki, ale może to wybieg? Może za miesiąc zdarzy się „cud”, tajemnicza choroba zniknie albo darowanego czasu zrobi się nagle więcej?

Masza pochyliła się, z łokciami opartymi na blacie, i patrząc dawnemu narzeczonemu w oczy, zapytała:

– Powiedz mi, Amarut, czy gdyby nie on, gdyby nie sny i obowiązki, którymi cię obarczył, wróciłbyś? Wróciłbyś do mnie? Teraz radzisz sobie z kontrolowaniem bestii. Wróciłbyś? Zostałbyś? Czy ledwie byś pochował ojca, przepadłbyś jak wtedy, bez słowa?

Widziała, jak gwałtownie blednie.

– Nie myślałem nawet... byłem pewien, że do tego czasu będziesz miała męża i dziecko – przyznał i potarł skronie.

Spokojnie kiwnęła głową, pozornie opanowana, ale aż się w niej gotowało.

– Powiedz mi, ale szczerze. Żadnego kłamstwa, bo poznam. Czy tylko dlatego odszedłeś? Dlatego mnie porzuciłeś? Przez fiereja? – naciskała.

– A to mało? Demon pod skórą nie wystarczy? Miałem ryzykować, że któregoś dnia nie utrzymam go na smyczy i cię zabije? Zaslugujesz na

kogoś lepszego, Maszka... – zająknął się i umilkł, widząc, że Masza zaciska wściekle usta.

– Nie będziesz mi mówił, na co zasługuję, Amarut. Sama o tym decyduję. Wtedy też miałam prawo zdecydować. Nie będziesz wybierał za mnie, mówił mi, co dla mnie dobre, a co złe, bo nawet ojcu na to nie pozwalałam. Odebrałeś mi prawo wyboru, ale ja nie odbieram ci twojego. Więc czy gdybyś nie był opętany przez fiereja, chciałbyś mnie? Ślubowałbyś mi? Założyłbyś ze mną rodzinę? Bez kłamstw, bo poznam! – dodała twardo i wbiła w niego spojrzenie.

– Gdyby...

– Tak czy nie, Amarut.

– Tak – wydusił w końcu, choć tylko rozdrapywał rany i stracone nadzieje. Swoje i jej. Był u każdego świętego męża w tym kraju. Gdyby dało się pozbyć demona, ktoś już by znalazł sposób.

Ale Masza tylko kiwnęła głową, jakby to zamykało temat, i powiedziała:

– Dam ci koszulę ojca, żebyś półnago się po wsi nie plątał.

Wstała od stołu i po chwili rzuciła w niego płócienną koszulą długą do kolan, taką, jakie wciąż nosili starsi mieszkańcy wsi. Amarut założył ją przez głowę i wyszedł bez słowa. Czuł, że został odprawiony, i nie dziwił się, że chciała, by szedł w diabły. „Gdyby” to za mało.

\*

Masza biła się z myślami dwie godziny. Tymczasem zapadł zmrok, a że jesień była już późna, wkrótce zrobiło się całkiem ciemno. Nawet księżyc niewiele pomagał, bo niebo zasnuły gęste chmury.

W końcu wstała zza stołu, gotowa zrobić to, co musiała. Zarzuciła na ramiona pelerynę matki. W kącie sieni wciąż stał stary kostur, który mama zawsze zabierała ze sobą, gdy wychodziła do lasu. „Strzeżonego las ma w opiece”, mawiała.

Masza pamiętała zaskakująco wyraźnie, że raz na jakiś czas matka po prostu brała go do ręki i szła w las. Jej czerwona peleryna długo jeszcze odcinała się od ciemnej zieleni drzew. A ona i Olga machały jej zza płotu

i obiecywały sobie, że będą na nią czekać. Nigdy jednak nie doczekały jej powrotu. Następne, co pamiętały, to że leżały w łóżku, a ona pochylała się nad nimi i całowała je w czoła. Pachniała lasem i dymem ogniska. Ojciec nigdy tego nie komentował. Gdy znikąca, stawał się cichszy niż zwykle. Siedział na ławce przed chatą i w posepnym milczeniu popijał z gąsiorka. Jakby się bał, że jego żona nie wróci i nigdy więcej jej nie zobaczy. A następnego dnia, gdy już była w domu, cały promieniał, śpiewał w obejściu, czasami przynosił jej kwiaty, ale nigdy nie zająknęli się przed córkami, o co w tym wszystkim chodzi.

Raz Masza poszła za mamą. Nie uszła daleko, jeszcze nie dotarły nawet do krawędzi lasu, gdy matka odwróciła się i przykucnęła, czekając, aż Maszka ją dogoni, a potem objęła córeczkę i powiedziała:

– Jeszcze nie, kochanie, jeszcze za wcześnie dla ciebie. Kiedyś, gdy przyjdzie czas, pójdiesz ze mną, będziemy tańczyć upite księżycem, a ty poczujesz, że życie wypełnia cię jak nigdy. Ale nie dziś. Obiecałam mu, że dopiero gdy będziesz dorosła.

Masza niechętnie wróciła wtedy do domu. Na samą myśl, że musi tyle lat czekać na tańce i picie księżycy (jak się to robi? Ściąga się go na dół czy nabiera wody z jego odbiciem?), jej oczy zamglily się od łez, a energicznym krokiem w drodze powrotnej przez łąkę towarzyszyło głośne kląskanie pięt w chodakach.

Mama umarła, zanim ona i jej siostra stały się dorosłe. Nigdy nie pokazała Maszy, dokąd iść. Ale przed śmiercią wiele jej opowiadała. Gdy trawiła ją gorączka, snuła opowieści tak fantastyczne, że Maszka wkładała je między bajki. Albo wołała, by były bajkami, bo w tych historiach świat wypełniały potwory, czary i zagrożenia, od których jeżyły się włosy na głowie. Wołała wierzyć, że to tylko bajki, niż zapełniać myśli tymi wszystkimi obowiązkami, o których mówiła mama. I było jeszcze jedno...

– Rodzina, mąż, miłość są kuszące, myszko moja, ale zawsze będą podcinać ci skrzydła, chyba że znajdziesz takiego, który pozwoli ci latać. Ale to nie będzie nikt ze wsi. Żaden religijny chłopak nie zniesie tego, kim jesteśmy, myszko. A ty masz za miękkie serduszko, będziesz się okrajać i okrajać, aż mu się zmieścisz w tym pudełeczku, które dla ciebie

przeznaczył. Miłość wydaje się wszystkim, ale to moc jest wszystkim. Nie wyklucza miłości, tyle że czasem stawia nas przed wyborem. Kocham waszego ojca, kocham was, ale zawsze będzie we mnie nutka tęsknoty za tym, kim mogłam być, gdybym wybrała las, gdybym została ze swoimi siostrami. Za tym, ile mogłabym dokonać. Bo gdy było nas dwanaście, nic nie zdołaloby nas powstrzymać. Okaleczyłam siebie, ale i je. Może nigdy mi nie wybaczą – powiedziała córce w noc przed śmiercią.

Potem długo i cicho płakała, z twarzą wtuloną w poduszkę. Masza nie wiedziała, czy z bólu, czy z żalu, czy może z tęsknoty za tym życiem, o którym niewiele się dowiedziała od mamy, ale o które chyba była trochę zazdrosna. Czy my ci nie wystarczałyśmy, mamusiu? – pomyślała wtedy.

Matka uniosła głowę z poduszki, jakby słyszała myśli córki, i powiedziała żarliwie:

– Gdy musisz wybrać, którą rękę sobie uciąć, zawsze będziesz tęsknić za tą, którą straciłaś, nawet jeśli sama podjęłaś tę decyzję. I nie ma dnia, byś się nie zastanawiała: a co, gdybym miała obie ręce?

Następnego dnia mama odeszła. Pochowali ją na mizarze. Nie mówili o niej. Ojciec zaczął pić dużo więcej niż dotąd i nawet wzmianka o niej popychała go w cug. Olga, świeżo po ślubie i przy nadziei, miała swoje sprawy. A Masza... próbowała po prostu żyć. Była młoda, głupiutka, zakochała się w tym nicponiu, który strzelał do niej oczami nad ogniskiem weselnym jej siostry i swego brata.

Nie myślała za wiele o lesie ani o mamie. Ale z czasem lepiej zrozumiała pewne rzeczy. Nauczyła się słyszeć melodię lasu i czuła się w nim bezpiecznie. Nawet teraz, gdy szła tam po ciemku, krótko po tym, jak została napadnięta, była spokojna. Zaciskała palce na kosturze mamy, ale nie bała się złoczyńców. Obawiała się, że las jej nie zechce, a nawet gdyby wybaczył jej tak późne pojawienie się, pozostawały jeszcze siostry mamy. Jej sabat. Z nimi mogło pójść gorzej niż z lasem. A bez nich nie miała szans wypełnić tego, co sobie umyśliła.



Las otulił ją zapachem, który kojarzyła z mamą. Stała na ścieżce i uniosła twarz. Nie wiedziała, dokąd iść, jak je znaleźć... Ale wierzyła, że jeśli to, czego pragnęła, miało się wydarzyć, to tak się stanie. Powiedziała więc donośnie:

– Matko leśna, poprowadź mnie, pokaż mi drogę, bym trafiła do nich bezpiecznie.

Ciszę przecięło znajome skrzeczenie. Odwróciła się i prawie parsknęła śmiechem, widząc srokę siedzącą na gałęzi tuż za nią. Oczywiście, to musiała być sroka!

– Jesteś moją przewodniczką? – zapytała dziewczyna, a ptak przekrzywił głowę jakby z lekką kpina.

Zerwał się z gałęzi i sfrunął prosto na Maszę. Musiała kucnąć, by nie wplątał się jej we włosy. Sroka poleciała przodem, a Masza ruszyła za nią, mając nadzieję, że nadaży. Ale skrzydlata przewodniczka pilnowała, by jej podopieczna się nie zgubiła: przysiadła na gałęziach i skrzeczała, jakby przynaglała ją do dalszego marszu.

Dziewczyna nie wiedziała, jak długo szła. Nogi zaczęły ją trochę boleć, a las stał się bardziej obcy, gęstszy, mniej oswojony. Ścieżka jakiś czas temu zwęziła się i w końcu całkiem zniknęła, więc Masza po omacku przedzierała się przez kępy paproci i jeżyn. Chwilami wydawało się jej, że dostrzega jakąś mglistą poświatę między drzewami, ale gdy podchodziła bliżej, widziała tylko pajęczyny obwieszane perełkami rosy i zasuszonymi muchami.

– Daleko jeszcze? – zapytała nieco wystraszona.

Sroka tylko zaskrzeczała, znów podleciała kawałek i z gałęzi drzewa poganiała ją niecierpliwym pokrzykiwaniem.

Masza szła już tak długo, kierując się prawie cały czas na północ (obmacywała pnie drzew, by wiedzieć, z której strony obrosły mchem), że dawno już powinna trafić na rzekę. Tymczasem las gęstniał, a drzewa stały się większe i bardziej rozłożyste, przez co niemal całkowicie odcinały ją od światła księżyca. Pachniał inaczej niż ten tuż za nią. Bogatszy, żywczy zapach owijał się wokół niej, pobudzając wspomnienia. Gdy

dobiegła ją woń dymu, wrażenie było kompletne. Prawie poczuła na czole pocałunek matki.

Nagle drzewa się rozstały, a przed Maszą roztoczyła się okrągła polana, na której środku płonęło wielkie ognisko strzelające iskrami.

Były tam te, których szukała. Jedenastka, jak mówiła mama... Stały wokół ogniska, w czerwonych pelerynach okrywających je od stóp do głów. Jakby na nią czekały. Masza nie wiedziała, co powiedzieć, jak je przekonać, ale jedna z kobiet, nieco starsza od pozostałych, wysoka i krzepka, z zarumienionymi od ognia policzkami, odezwała się głośno:

– Długo kazałaś na siebie czekać, dziewczyno!

– Przepraszam... – zaczęła Masza, ale się zająknęła.

Kobieta machnęła ręką.

– Nie ma co strzepić języka. Potrzebowałaś czasu. Mamy cały czas tego świata i kilka minut ponad to. Nie tłumacz się, nie wstydz, jesteś i zawsze byłaś tu mile widziana.

Pozostałe uśmiechnęły się do niej i rozsunęły się, robiąc jej miejsce w kręgu wokół ognia.

Kobieta podeszła do dziewczyny, położyła dłoń między jej łopatkami i lekko popchnęła na zachętę.

– Chodź i zdradź nam, córeczko, co cię do nas przynęcało. I co wypełnia ci głowę tymi gorączkowymi wirami, jakby ganiała się tam gromada kociąt. Usiądźmy, Maszko, a ty nam wszystko opowiesz i uradzimy, czego ci trzeba – powiedziała.

Masza uśmiechnęła się z ulgą. Poczowała, jak spływa z niej napięcie. Było coś tak znajomego w głosie kobiety, w tym widoku ognia i całej jedenastki... Nie widziała ich wcześniej, a przecież w jakiś sposób znała każdą z nich. Jej serce wypełniały emocje, ale nie potrafiła rozpoznać, czy należą do niej, czy do jej mamy.

Rozłożyła na trawie czerwoną pelerynę, obok pozostałych jedenastu, które tworzyły wokół ogniska piękny krąg, jakby jeden przy drugim leżały kapelusze muchomorów. Siostry jej matki usiadły na swoich pelerynach, a ona poszła w ich ślady i przycupnęła na piętach.

Opowiedziała kobietom wszystko, co usłyszała od Amaruta – o ataku na mizarze, o fiereju, który wniknął w jej narzeczonego i pragnął jej na równi z nim. I o tym, że tuż przed ich ślubem Amarut się przemienił, po czym uciekł, by ją chronić. Opowiedziała, jak szukał pomocy, a prawie znalazł śmierć. O popie, krzyżu i zmianie wiary. O tym, jak po powrocie ciągle trzymał się z boku, mimo że wciąż ją kochał. I o ataku żołdaka, kiedy to Amarut pod postacią bestii ją ocalił, sam będąc przez niego postrzelonym. Na koniec wyznała, że teraz, skoro zna prawdę, wszystko powinno się zmienić, ale tak się nie dzieje, bo bestia ciągle stoi na drodze ich szczęściu.

Kobiety słuchały w skupieniu. Komentowały na swój sposób, to mruknięciem, to młaśnięciem pełnym dezaprobaty, to smutnym kiwnięciem głowy. W końcu najstarsza zapytała:

– Czego potrzebujesz, Maszeńko? Chcesz, żebyśmy ci tę miłość zabrały? Mamy na to wywar. Zapomnisz, że kochałaś, i pokochasz innego, gdy przyjdzie czas. Koniec wzdychania, koniec wściekania się na tego idiotę – kusiła.

Masza pokręciła głową.

– Gdyby szło o ten wywar, mateczko, to ja bym sama umiała. Nie chcę go nie kochać. On mnie kocha. I możemy być szczęśliwi. Jest tylko jedna przeszkoda. Pomóżcie mi usunąć bestię z Amaruta – poprosiła.

Kilka kobiet prychnęło śmiechem, jakby opowiedziała przedni dowcip. Jedna trzymała się za brzuch i tak rechotała, że poczerwieniały jej policzki.

– A to dobre – wyksztusiła, poklepując się po udzie. – Lepsze nawet niż te bajki popa. Krzyżyk i modlitwa! – ryknęła, a reszta znów się roześmiała na całego.

Tylko Masza nie wiedziała, co jest zabawnego w jej historii. Najstarsza wiedźma, widząc jej dezorientowanie, powiedziała:

– Maszko, opętanego duchem wilka nie wyleczysz, bo to wcale nie jest choroba. On może myśleć, że go tam na mizarze fierej zaatakował, ale to zupełnie nie tak... On się taki urodził, a to w nim drzymało. Gdy go dopadł demon, ocknęło się i go uratowało. Wilk jest silnym zwierzęciem,

opiekuńczym. Nie mógł pozwolić, żeby chłopak się wykrwawił. Nie godzi się życia marnować, gdy może być ocalone.

– Czyli on nie jest opętany? – zapytała Masza, niepewna, czy dobrze zrozumiała.

– W nim już za ciasno było, by się tam jeszcze fierej zmieścić – wyjaśniła wiedźma.

– Wilk go obronił przed demonem, a ten mu się tak odwdzięcza – mruknęła inna, z dwoma kruczoczarnymi warkoczami spływającymi na biel bluzki.

– Pewnie się spietrał, bo to dużo tak naraz – przyznała łaskawie siedząca po drugiej stronie ogniska kolejna, niższa, bardziej krępa, której oczy połyskiwały dziwnymi, srebrnymi błyskami.

– Ale żeby ten dureń, jego ojciec, nic mu nie powiedział? Nigdy to aż takie głupie nie było – dorzuciła najstarsza.

– Amarut mu się nie przyznał. Po kilku dniach, gdy się zmienił w bestię, odszedł – wyjaśniła Masza.

– Eee, stary jest fałdżem. Religia może mu mieszać w głowie, ale magii nie wyprze.

– Czy można go wyleczyć? Żeby znów był taki jaki dawniej? – zapytała z nadzieją Masza.

– Toć mówimy ci, dziewczyno, że tu nie ma co leczyć. On i wilk to jedno, a wilk w niczym nie zmienia człowieka, z którym dzieli ciało. Jak kochał, to mu nie minęło tylko dlatego, że futrem obrasta. Jak był zły, będzie za dwóch – powiedziała ta po drugiej stronie ogniska i Masza uświadomiła sobie, że jej oczy błyszczą tak samo jak oczy Amaruta, wtedy w lesie. – Użala się nad sobą, takie to niby twarde wilczysko, a miękka była – dodała i błysnęła zębami, posyłając uśmiech Maszy.

– No ślimak taki, nie? – parsknęła ta z warkoczami. – Kto by chciał ślimaka za męża?

– A może chcesz go zmienić, bo nie pasuje ci, że ma futro, zęby i pazury? – dopytywała jedna z młodszych, z policzkami ciągle zaokrąglonymi po dziecięcemu.

- Albo nie chce mieć warczących szczeniąt – dorzuciła ta, która wcześniej zaśmiewała się do łez.

- Brzydzi cię, że w pełnię porośnie futrem? Albo nie ugłaskasz, bo takie to zaborcze i gwałtowne, za dnia i w nocy? Może byś wolała jakiegoś bardziej miłutkiego? – zapytała kolejna.

Masza słuchała ich cierpliwie, wreszcie uniosła rękę i rzuciła:

- A gdyby tak było? Gdybym go takim nie chciała?

- Jesteś panią własnego losu. Nie musisz go kochać wiecznie. Mamy na to wywar, pamiętaj. Bo on już taki zostanie. Taki się urodził, taki umrze. A im szybciej się dogada ze swoim wilkiem i przestanie go traktować jak pokaranie boskie, zamiast myśleć: o, to ten, który uratował mnie przed własną głupotą, gdy żem się po pijaku szwendał po mizarze i fierej mnie dopadł, tym lepiej. Jemu też nie potrzeba takiej, co będzie kręciła nosem na jego drugą duszę – powiedziała twardo najstarsza.

Masza przymknęła powieki. Nie rozumiała, sama nie do końca rozumiała... Może źle na to patrzyła. Amarut przedstawił jej bestię jako przeszkodę na drodze do ich szczęścia, ale może powinna spojrzeć na nią zupełnie inaczej?

- A gdybym chciała być taka jak on? Gdybym chciała nosić bestię? – zapytała z nadzieją.

Ledwie to powiedziała, a błysk uznania przemknął przez lśniące srebrem oczy wiedźmy po drugiej stronie ogniska.

- Ale ty nie musisz być taka jak on – zapewniła ją najstarsza wiedźma. - Jesteś sobą. Jesteś jedną z nas. Możesz być dalece groźniejsza i potężniejsza niż jego wilk. Twoja matka tańczyła z nami i piła księżyc nawet wtedy, kiedy cię nosiła pod sercem. Nie trafiłabyś tu, nie uwarzyła wywaru, gdybyś nie była taka jak ona, jak my. Anika, nasza siostra – skinęła na tę ze srebrzącymi się oczami – ma w sobie wilka, ale gdy jest w niebezpieczeństwie, łapie za kostur czy miotłę, bo to magia jest silniejsza niż wilczyca w niej.

- Musisz tylko obudzić pełnię swojej mocy, a żaden wilk nie będzie mógł ci niczego dyktować – dodała ta o dziecinnej buzi.

– I co wtedy? – zapytała Masza, bojąc się pozwolić sobie na choć nikłą nadzieję.

– Wtedy, dziewczyno, napiszesz własną bajkę i nie pozwolisz, by jakiś futrzany ślimak mówił ci, co robić. Wiedzmy nigdy nie bały się wilków. A wilki czują do nas respekt, bo wiedzą, kto ma większe zęby – powiedziała ta z warkoczami, a pozostałe, jakby to był ich ulubiony żart, kłapnęły zębami i wybuchnęły śmiechem.

– Podobają mi się ten pomysł – powiedziała Masza. – Co muszę zrobić?

– Tańcz z nami, Maszko, aż matka lasu rozпали twój ogień!

Zerwały się ze swoich peleryn i zaczęły ściągać ubrania.

Magia, pomyślała Masza, rozpinając bluzkę, z pewnością jest łatwiejsza latem niż w środku zimy.

\*

Długo nie usiedział w chacie brata. Bestia była niespokojna. On był niespokojny.

Powinien dać Maszy czas, by przetrwała to, co jej powiedział – Amarat nie wątpił, że tylko dlatego jeszcze nie krzyczała – ale nie potrafił się trzymać od niej z daleka. Zakradł się do jej obejścia i zajrzał przez okienko. Bał się, że zobaczy ją zapłakaną i załamana, ale jej nie dojrzał. Wślizgnął się do izby w nadziei, że się schowała i zaraz ciśnie czymś ciężkim w jego tępą głowę, nie było jednak po niej śladu. Nie czuł jej zapachu, w piecu całkiem wygasło. Jej posłanie było puste. A z haczyka przy drzwiach zniknęła czerwona peleryna, którą ostatnio sobie upodobała.

Klnąc pod nosem, zaczął szukać tropu. Poszedł za nim wprost do lasu. Tu uderzyło go zbyt wiele zapachów. Wiedział, że tu była, że tędy szła, ale dokąd? Co robiła w lesie o tej porze? Nagle ogarnęły go złe przeczucia. Dopiero co słyszał, że nad rzeką zatrzymał się oddział żołnierzy... Przypomniał sobie tamtego żołdaka, pociemniało mu w oczach i wspomnienie rozrywającego mu płuco żaru rozlało się tam, gdzie wciąż swędziała świeża blizna.

Bestia szalała, zmartwiona. Próbowwała zwrócić uwagę Amaruta na coś na trawie, ale nie rozumiał. Nie potrafił z nią rozmawiać. Bał się jej, a to ją frustrowało. Wtedy dotarło do niego, że jeśli ktoś miał znaleźć Maszę, to tylko ona. Musiał wierzyć, że nie zrobi jej krzywdy.

Pierwszy raz w życiu Amarut uwolnił bestię z własnej woli. Przemiana była szybsza i mniej bolesna niż wcześniej. Nagle miał cztery łapy, słyszał każdy szelest, a jego nozdrza bez trudu odnalazły trop Maszy. Szedł w las nisko pochylony, z nosem przy ziemi, bojąc się zgubić najśladzszy znany sobie zapach. Ten, który śnił przez trzy lata prawie co noc, aż mu się ojciec wdarł we sny i odebrał jedyną przyjemność, jaka mu została w tym niewiele wartym życiu.

Amarut biegł, szybciej i szybciej, a woń Maszy owiewała go jak złota przędza. Poczul, że las się zmienia, ale nie zwracał na to uwagi, liczył się tylko ten słodki zapach!

Nagle rąbnął w coś głową, jakby zderzył się z niewidzialną ścianą. Wąchał powietrze, ale czuł tylko woń ogniska i ziół, nie Maszy. Cofał się, aż znów złapał trop, ale doprowadził go do tego samego miejsca. Amarut biegł to w jedną, to w drugą stronę wzdłuż niewidzialnego muru, nigdzie jednak nie było przerwy, którą mógłby się przedostać na drugą stronę. W trawie czerwieniły się i żółciły tylko muchomory, ale przecież Masza nie mogła zniknąć wśród nich!

Zaczął wyc z frustracji, kłapać zębami na niewidoczną przeszkodę. Pazury trafiały w pustkę, choć zaporą była na tyle masywna, że mógł się o nią oprzeć bokiem i nie przewrócić.

Bestia warknęła na niego i w jednej chwili zaczął się z powrotem zmieniać. Pierwszy raz! Widać uważała, że na dwóch nogach może lepiej poradzić sobie z tą przeszkodą niż ona, uzbrojona w zęby i pazury. Tylko jak?

Zrobił jedyne, czego nie potrafiła.

– MAAASZAAAA! – zawołał ze wszystkich sił. – MAAASZAAA!

Chodził wzdłuż bariery, którą wyczuwał równie wyraźnie jak wcześniej bestia, i wykrzykiwał imię ukochanej.

Upojona tańcem i księżycem, wypełniona magią i mocą, wirowała wokół własnej osi, z szeroko rozrzuconymi ramionami. Uśmiechała się tak mocno, że bolały ją policzki.

Najstarsza wiedźma podeszła do niej i pogłaskała ją po twarzy. Teraz Masza nie musiała pytać, by wiedzieć, że kobieta ma na imię Ulana. Znała imię każdej ze swych nowych siostr, imiona członkiń jej sabatu – Kalina, Ewa, Mira, Barbara, Siran, Saszka, Anika, Mejrem, Rasza, Zoraja. I ona, Maszka, ostatnia z dwunastu. Sabat był kompletny po raz pierwszy od śmierci jej matki. Wszystkie na tym skorzystały, ale to dla Maszy otworzył się całkiem nowy rozdział.

– Słyszysz? – zapytała cicho Ulana.

Słyszała. Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się pełną pierśią.

– Nadal chcesz tego futrzastego ślimaka? Czy mam go sobie wziąć? – zapytała Anika, mrugając figlarnie.

– Jest mój – odpowiedziała Masza. Nie mogła przestać się uśmiechać, a te słowa zalewały jej usta słodyczą, bo wiedziała, że mówią prawdę. Był jej.

– Więc idź mu to wbij do tego zakutego łba. Mężczyźni za bardzo lubią złudzenie, że to oni podejmują decyzje. A potem my musimy się szarpać z tą głupotą, co się z tego rodzi – rzuciła Barbara, na powrót spletając włosy w czarne warkocze, które rozplotły się w czasie tańca.

Masza szybko się ubrała i zarzuciła na ramiona czerwoną pelerynę. Teraz nie była to już peleryna jej matki, ale jej własna, wiedźmia i pełna mocy. Podniosła kostur. Był już czymś więcej niż tylko kawałkiem drewna, odkąd wypełniała go magia jej sabatu. Nie była pewna, czy stał się lżejszy, czy ona silniejsza.

– Wróć – powiedziała do sióstr stojących przy ognisku.

– Oczywiście, że wrócisz – odparła Ulana i uśmiechnęła się ciepło.

Dochodząc do krawędzi polany, Masza odniosła wrażenie, jakby rozchyłała się przed nią kurtyna. Magia załaskotała ją w nos.



W oddali zobaczyła Amaruta, jak błąka się między drzewami, wykrzykując jej imię. Był zachrypnięty, jak gdyby nic innego nie robił od paru godzin. Uśmiechnęła się pod nosem, widząc jego gołe nogi i strzępy koszuli jej ojca, ledwie okrywającej jego skromność.

Szła do niego, a peleryna falowała wokół niej, unoszona magią niczym wiatrem. Stała przed ukochanym i dała mu chwilę, by wchłonął pełny obraz. Czekala, aż w jego oczach błysnie zrozumienie, i zapytała:

– Boisz się mnie?

– Boję się siebie – wychrypiał.

Nie mogła powstrzymać śmiechu. Rozłożyła szeroko ramiona, odrzucając pelerynę na plecy. Moc wylewała się z niej jak fale gorąca. Ziemia pod jej stopami zrobiła się cieplejsza, a po chwili wystrzeliły z niej nowe rośliny – wysokie pnącza pokrywały się drobnymi listkami i pękatymi fioletowymi dzwoneczkami. W tych stronach mówili na nie „wiedźmie dzwonek”. Mogła za ich sprawą zabić, mogła też leczyć. Sama wytoczyła sobie drogę.

– Nie jesteś nawet w połowie tak potężny jak ja. Mogłabym cię wyrzucić na lewą stronę, gdybyś krzywo na mnie spojrział. Więc odpowiedz sobie na pytanie, wilczku, czy masz dość odwagi, by się związać z wiedźmą. Dzielić z nią izbę, łóżko. Dzielić z nią życie. Pamiętać, że gdy ją zdradzisz czy porzucisz, będziesz się modlił, by fiej wrócił i dokończył robotę, przynosząc ci łagodniejszą śmierć. Drugi raz mnie nie opuścisz, nie złamiesz mi serca bezkarnie. Teraz jest więc czas na twój wybór. Ostatnia szansa, wilczku. Kolejnej nie będzie.

Nie czekała na jego reakcję. Nie chciała prędkich odpowiedzi. Chciała tych właściwych. Musiał wiele przyswoić i co najważniejsze, wymazać z głowy to, co sam sobie tam napchał, bez sensu i ładu.

Wyminęła go i ruszyła do domu. Wyszła z lasu od innej strony, nie przy drodze, ale na łąkę, w tym samym miejscu, w którym kiedyś matka kazała jej wracać, bo jeszcze dla niej za wcześnie. Cóż, już nie była małą dziewczynką.

Świt malował niebo jak policzki niemowlęcia. Łąka ożywała pod dotykiem jej stóp i dłoni. Była życiem, mogła być śmiercią, nikt nie miał

prawa oczekiwać, że dokona wyboru czy odetnie sobie jedną rękę, by wiecznie za nią tęsknić. Chciała mieć wszystko.

A jeśli on nie przyjdzie? Ha. Oddała mu dość, by nie dawać ani odrobiny więcej na zmarnowanie. Miała buteleczkę z wywarem Ulany.

- Na wszelki wypadek - szepnęła starsza wiedźma, wsuwając jej naczynie do kieszeni.

Dam mu godzinę, pomyślała, wchodząc do chaty. Rozpaliła pod fajerką. Była tak głodna, jakby nie jadła od kilku dni.

Nie minęło pół godziny, kiedy usłyszała pukanie. Amarut stał w progu, ze swoim węzełkiem i gorejącymi miłością ślepiami. Wpuściła go.

Nie taki głupi. Nie taki miękki.

# Anna Kańtoch

\*



Współlokator

Przyjeżdża niedługo? – wyrwało mi się, choć nie znoszę ludzi, którzy powtarzają ostatnie słowa rozmówcy.

Po chwili przypomniałam sobie, że nie znoszę też ludzi, którzy gapią się z otwartymi ustami, więc je zamknęłam. Gapić się nie przestałam. Stojąca przed klatką schodową pani Ilona wyglądała zwyczajnie: ot, elegancka siedemdziesięciolatka w szarej spódnicy i białej koronkowej bluzce. Wrażenie normalności psuły jedynie niebieskie lateksowe rękawiczki na dłoniach i szpitalna maseczka, znad której spoglądały na mnie starannie umalowane oczy. Nie chodziło jednak o te nietypowe elementy stroju – do nich od początku pandemii zdążyłam już przywyknąć. Chodziło o to, co pani Ilona powiedziała.

Przyjeżdża. Niedługo. On.

Dlatego stałam jak idiotka przed wejściem na klatkę, zagradzając drogę właścicielce mieszkania, w którym wynajmowałam pokój. Kwietniowe słońce grzało mnie w kark, siatka z zakupami ciążyła w dłoni, a ja usiłowałam pozbierać myśli.

– Pani Agatko, pani przecież wiedziała, że ten pokój będzie wynajęty. – Pani Ilona musiała się zirytować, bo jej głos zabrzmiał o ton ostrzej.

Powinłam się ruszyć, zamiast tego jednak zapytałam:

– Kto to?

– Po prostu młody człowiek, który przeprowadza się do Katowic. Z powodów rodzinnych, tak powiedział.

– Nic więcej pani o nim nie wie?

– Nie. – Tym razem głos był zdecydowanie mniej ostry. Zabrzmiało w nim nawet coś, co zidentyfikowałam jako poczucie winy. Pani Ilona przestąpiła z nogi na nogę. Wyraźnie chciała już wracać do domu, a jednocześnie nie miała chyba sumienia tak całkiem mnie zbyć. – Pani przecież wie, w dzisiejszych czasach... – Wzruszyła ramionami.

Wiedziałam. Pandemia jeszcze nie rozhułała się na dobre, a nadciągający kryzys już szczyrzył zęby zza rogu i pani Ilona, która zazwyczaj szczegółowo sprawdzała nowych lokatorów, tym razem rozsądnie postanowiła nie zadawać pytań.

Musiła dostrzec niepewność na mojej twarzy, bo pośpieszyła z wyjaśnieniem:

- Powiedział, że nie ma żadnego bagażu, tylko jeden plecak. I przyjedzie pociągiem. Jestem pewna, że się dogadacie. Ja muszę uciekać.

Wyminęła mnie, zaskakująco zręcznie jak na starszą panią, i zniknęła w głębi klatki schodowej. Poszłam za nią. Gdy czekałam na windę, pani Ilona otwierała drzwi swojego mieszkania na parterze. Nie odwróciła się w moją stronę.

Przyjeżdża.

Na wysokości drugiego piętra zaczęłam się pocić i poczułam znajomy ucisk w płucach oraz niżej, tam gdzie żołądek i jelita ogłaszały bunt. Gdy wysiadałam na czwartym, wiedziałam już, że muszę się bardzo spieszyć. Wpadłam do mieszkania, jakby się paliło, rzuciłam siatkę z zakupami na szafkę w przedpokoju i nie zdejmując butów, szarpnęłam drzwi ubikacji.

Tak, miewam od czasu do czasu ataki paniki. Nie takie, jakie pokazują w filmach, kiedy nieco rozchełstane, lecz wciąż estetyczne bohaterki oddychają w papierową torebkę. Uwierzcie mi, nie ma nic estetycznego w kobiecie, która siedzi na kiblu z czołem opartym o pralkę i próbuje złapać oddech. W takich chwilach dziękuję własnemu rozsądkowi, że kiedy wynajmowałam pokój, zdecydowałam się na mieszkanie z dwiema ubikacjami: jedną połączoną z łazienką, a drugą samodzielną. Dzięki temu gdy Ewka brała prysznic, zawsze mogłam...

Ale mojej współlokatorki już nie było. Wyprowadziła się na początku marca, zanim zaczęło się całe to szaleństwo. A na jej miejsce miał się wprowadzić nowy lokator.

Mężczyzna.

Piętnaście minut później zdołałam wreszcie wstać, sięgnąć do szafki i zażyć tabletkę. Gdy xanax zaczynał powoli działać, rozpakowałam zakupy, włożyłam je do lodówki i zabrałam się za przygotowywanie prostego obiadu, choć byłam przekonana, że i tak połowę wyrzucę do kosza.

Ważylam za mało, w wieku trzydziestu lat mieszkałam w wynajętym pokoju, leczyłam się na nerwicę i byłam dziewicą – przy czym o tym

ostatnim wiedziała tylko Ewka, której nieopatrznie zwierzyłam się, gdy do seansu *Strażników Galaktyki* wypiliśmy całą butelkę wina.

Cztery powody, żeby uważać mnie za nienormalną, ale hej, powiedzcie mi, kto w dzisiejszych czasach jest normalny?

Radziłam sobie, lepiej albo gorzej.

Myślałam wciąż o Ewce, choć Bogiem a prawdą nie byliśmy żadnymi wielkimi przyjaciółkami i oprócz okazjonalnego oglądania filmów niewiele nas łączyło. Ona była towarzyska i sympatyczna, ja wprost przeciwnie, zawsze chowałam nos w książkach. Nie miałam jednak nikogo bliższego i przyznaję, że czasem mi Ewki brakowało, a pustka naszego wspólnego mieszkania działała mi na nerwy. Próbowałam znaleźć pocieszenie w fakcie, że wkrótce już nie będę sama, ale jakoś nie potrafiłam.

Może okaże się miły, powiedziała jedna strona mojej osobowości, ta bardziej optymistyczna.

A może nie, marudziła druga. To mężczyzna. Wiesz, jacy oni są. Matka zawsze ci to powtarzała.

Nie wszyscy.

Może i nie wszyscy. Ale większość tak.

Nie chciałam o tym myśleć, usiadłam więc przed komputerem. Już i tak byłam spóźniona z tłumaczeniem. Przez jakiś czas liczyłam nawet, że wydawnictwo przesunie premierę – wszystko przecież teraz stanęło – jednak nasza szefowa upierała się, że do czerwca sytuacja wróci do normalności, a ludzie, nawet ci, których kryzys mocno uderzy po kieszeni, zawsze będą kupować głupawe erotyczne kryminały.

Prawdopodobnie miała rację. Ostatecznie sześć poprzednich tomów przygód Marcii Jones sprzedało się w nakładzie prawie dwustu tysięcy egzemplarzy. To właśnie ta seria – plus drobniejsze zlecenia z niemieckiego – zapewniała mi od czterech lat pracę i choć wciąż nie było mnie stać na wynajęcie własnego mieszkania, przynajmniej nie musiałam się martwić, że umrę z głodu.

*Pchnął ją na kanapę i jednym ruchem zdarł z niej białe koronkowe majteczki. Była podniecona i przerażona jednocześnie. Ten człowiek prawdopodobnie był mordercą, ale ona na jego widok i tak robiła się cała mokra.*

Ziewnęłam. Po xanaxie zawsze chciało mi się spać, ale przygody wyuzdanej pani detektyw mogłam tłumaczyć nawet naćpana po uszy. Przez lata zżyłam się z bohaterką i traktowałam ją trochę jak Ewkę: czasem mnie irytowała, czasem nudziła, ale w gruncie rzeczy całkiem ją lubiłam. Pulpowe powieści mają swój specyficzny urok. Sama nawet parę razy się zastanawiałam, czy nie mogłabym czegoś podobnego napisać. Brak doświadczeń seksualnych nie powinien być przeszkodą, w końcu, jak miemam, autorzy kryminałów raczej nie mordują ludzi, żeby zobaczyć, jak to jest.

Dojechałam do końca rozdziału, uznałam, że na dzisiaj dosyć, i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku włączyłam Facebooka.

Od razu rzucił mi się w oczy komunikat „Aneta Jaworska oznaczyła cię w swoim poście”.

Przez chwilę zastanawiałam się, kim u licha jest Aneta Jaworska, ale w końcu rozjaśniło mi się w głowie. Moja koleżanka z dzieciństwa, która dawniej nosiła nazwisko Kopeć. Przyjęłam ją do znajomych dwa lata temu, a potem zupełnie o niej zapomniałam. Miałam wtedy mnóstwo innych problemów na głowie.

Kliknęłam w ikonkę powiadomienia i Facebook przerzucił mnie na stronę Anety, do zdjęcia plaży na Borkach, na której siedziało pięcioro nastolatków, trzy dziewczyny i dwóch chłopaków. Lato 2005 roku. Właśnie skończyliśmy ostatnią klasę gimnazjum i prawie każdy dzień spędzaliśmy nad wodą.

„Agata Strachoń, Karina Juszczak, Adam Nawrocki, pamiętacie?” – głosił podpis pod zdjęciem.

Pamiętałam, a jakże. Zamknęłam oczy, czując, jak wzbiera we mnie fala ni to smutku, ni złości. Jeśli Aneta już musiała brać udział w tym idiotycznym internetowym łańcuszku, naprawdę mogła wybrać inne

zdjęcie. Nie to, na którym byliśmy wszyscy razem, cztery osoby wciąż żywe i jedna martwa od piętnastu lat.

Wstałam i zaczęłam przechadzać się po mieszkaniu. Najchętniej wyszłabym na zewnątrz, ale tam nie było już bezpiecznego świata, który znałam, zostałam więc w domu. Nagle czterdzieści dziewięć metrów kwadratowych, na których mieszkałam z Ewką, wydało mi się pułapką. Meble z Ikei, ładne, ale pozbawione oryginalności, ściany w kolorze neutralnej bieli (kiedyś zgadałyśmy się, że Ewka wolałaby jasną zieleń, a ja róż, ale oczywiście nie mogłyśmy przemaalować nieswojego mieszkania). We wspólnym saloniku było kilka poduszek, nie pamiętam już, kto je kupił. Ja, Ewka? A może wybierałyśmy je razem w desperackiej próbie nadania naszemu nijakiemu lokum jakiegoś wyrazu?

Chodziłam tam i z powrotem, czekając na atak paniki. Nie doczekałam się, na wszelki wypadek jednak wzięłam kolejną tabletkę. Gdy sięgnęłam do lodówki, by popić ją wodą mineralną, jak zwykle zaatakował mnie widok puszek z fasolą, pomidorami i gulaszem, stojących w karnym szeregu niczym żołnierze podczas musztry. Ta obfitość zapasów powinna mnie uspokajać, ale z jakiegoś powodu na ich widok robiłam się tylko bardziej nerwowa, jakby każda z tych puszek przypominała o krążących w powietrzu zarazkach.

Wróciłam do mojego monotonnego spaceru, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Myślałam o Grześku, o którym prawie zdążyłam zapomnieć przez te wszystkie lata. O tym, jak dołączył do naszej niewielkiej drużyny tamtego gorącego lipcowego dnia, gdy wydawało nam się, że wakacje będą trwać wiecznie, a my na zawsze pozostaniemy młodzi. Myślałam też oczywiście o tym, co powinnam napisać Anecie. O jakiejś grzecznej, ale stanowczej wiadomości, która uświadomiłaby mojej byłej koleżance, że tym razem naprawdę przegięła.

\*

Gdy zbudziłam się rano, na Messengerze czekała na mnie odpowiedź od Anety.



*Sorry nie wiedziałam że tak to odbierzesz. Nie miałam nic złego na myśli. Nie wściekaj się. I fajnie że w ogóle się odzywasz. A zdjęcie już usunęłam.*

Tknęło mnie paskudne przeczucie, pośpiesznie więc przewinęłam tekst aż do mojej wiadomości z wczorajszego wieczora. Wiadomości, która może i była stanowcza, za to ani trochę grzeczna.

*co ty sobie wyobrażałaś publikując to zdjęcie? wiesz, co mogą czuć rodzice tego chłopaka, jeśli przypadkiem je zobaczą? pomyślałaś o tym?*

Gapiłam się na ten tekst i bardzo chciałam wierzyć, że napisała go inna osoba. Ale oczywiście to byłam ja, na wpół przytomna po dwóch tabletkach.

*To ja przprasam*, odpisałam pośpiesznie, połykając literki. Palce tańczyły na klawiaturze, w głowie huczał wstyd. Postanowiłam sobie, że jeśli kiedykolwiek najdzie mnie ochota na seks po pijaku, przypomnę sobie to doświadczenie, a wtedy mur beton chęć minie. Tak muszą się czuć kobiety, które rano budzą się skacowane w łóżku obok obcego faceta.

I naprawdę muszę uważać, ile tabletek biorę. Zwłaszcza teraz, kiedy o nową receptę będzie trudno.

Aneta odpisała i przez dłuższą chwilę przerzucaliśmy się poczuciem winy jak piłką. *Faktycznie nie powinnam publikować tego zdjęcia po co przypominać rodzinie o takiej tragedii*, napisała, jak zwykle unikając przecinków i od czasu do czasu gubiąc polskie znaki. *nic się przecież nie stało, w końcu rodzice Grześka muszą mieć mnóstwo zdjęć zmarłego syna, prawda?* – odpisałam. Celowo użyłam słowa „zmarłego”, a nie „zamordowanego”. Chciałam dziś być miła.

W końcu dogadałyśmy się, że winne jesteśmy mniej więcej po równo, i zaczęłyśmy rozmawiać o innych rzeczach.

*Pracuję na recepcji w przychodni*, pisała Aneta. *To znaczy na co dzień bo teraz siedzę w domu z chłopakami. Maja siedem i dziewięć lat. Kurwicy można dostać bo całymi dniami biegają po mieszkaniu a lekcje online to śmiech na sali.*

*A twój mąż?* – zapytałam z głupia frant.

Aneta odpisała dopiero po chwili.

*Jest policjantem i ciągle go nie ma w domu. W sumie mu sie nie dziwię. Też wolałabym siedzieć w pracy niz w takim pierdolniku. Dobrze że mam sąsiadkę której czasem podrzucam dzieciaki, bo inaczej bym już zwariowała. A co u ciebie?*

Pochwalałam się pracą jako tłumaczka i wycieczką na Islandię w zeszłym roku – co prawda ostatecznie nie pojechałam, bo musiałam w trybie awaryjnym kupić sobie nowego laptopa, widziałam jednak tyle zdjęć, że równie dobrze mogłabym na tej Islandii być.

*A masz kontakt z Kariną i Adamem?* – zapytałam w pewnej chwili. Nie wiem po co. Z natury nie jestem sentymentalna. Przeszłość to przeszłość i nie da się jej wskrzesić, a kobieta, z którą teraz dyskutowałam na Facebooku, wydawała mi się kimś zupełnie innym niż tamta wielkooka dziewczyna, z którą dawno temu podkładałam monety pod koła pędzących pociągów i kąpałam się na Borkach. W innych okolicznościach chciałabym, żeby te wszystkie duchy przeszłości poszły sobie i zostawiły mnie w spokoju, ale teraz... teraz potrzebowałam towarzystwa. Nawet duchów.

*Karina pracuje w korpo i niedawno rozwiodła się z mężem. Adam miewa od czasu do czasu jakies dziewczyny ale zawsze prędzej czy później wraca do mamusi. Jest programistą czy kimś takim. Wcześniej spotykaliśmy się od czasu do czasu na piwie a teraz gadamy na zoomie. Chcesz do nas dołączyć?*

Nie, pomyślałam.

*Jasne*, odpisałam. Bo zabrnęłam już za daleko, żeby się wycofać, bo wciąż gryzło mnie poczucie winy, bo Aneta w towarzystwie dwójki dzieci mogła dostawać kurwicy, ale nie wiedziała, że samotność jest jeszcze gorsza.

Zgodziłam się z wielu powodów. Każdy z nich był do dupy, ale razem popchnęły mnie w stronę, w którą nie powinnam iść.

Oczywiście gdy to sobie uświadomiłam, było już za późno.

Na początku było nas czworo. Aneta, śliczna czarnulka, choć już wtedy widać było, że z wiekiem będzie się coraz bardziej zaokrąglała. Nieco naiwna i może wolno myśląca, ale nie głupia. Karina, balansująca gdzieś pomiędzy łązącą po drzewach chłopczycą i najfajniejszą laską w klasie, wygadana i jednocześnie skonfundowana siłą swojego uroku. Adam, chłopiec, który od przedszkola wolał trzymać się z dziewczynami, słusznie podejrzewając, że chłopcy nie dadzą mu żyć. Złotowłosa i miękki, patrzący na świat rozmarzonymi oczami. Ciągnęliśmy go w krzaki, by ćwiczyć na nim pierwsze pocałunki, a on przyjmował nasze zainteresowanie ze spokojem zbyt często głaskanego kota. I wreszcie ja, córka samotnej matki, artystki twierdzącej, że mężczyźni kobietom nie są do niczego potrzebni. Raz jeden zapytałam, kim był mój ojciec, a ona leniwie wydmuchała dym z papierosa i powiedziała: „Nie mam pojęcia, złotko. Przeleciałam go w kiblu na imprezie u koleżanki. Nawet nie wiem, jak miał na imię, i zapomniałam o nim następnego dnia”. Oznajmiła to z miną jednocześnie dumną i lekceważącą, jakby dokonała jakiegoś niesamowitego wyczynu, ale przez skromność nie zamierzała się nim zbyt chwalić. Mając osiem lat, powtórzyłam tę opowieść w szkole, gdy niedawno zatrudniona nauczycielka zapytała, co robi mój tata. Byłam przekonana, że uśmiechnie się z podziwem, uznając mnie i moją matkę za osoby niezwykle oryginalne, ale ona tylko patrzyła zszokowana, podczas gdy klasa chichotała za moimi plecami. Nie śmiali się jedynie Aneta, Karina i Adam. Może właśnie dlatego trzymaliśmy się razem aż do końca gimnazjum.

Byliśmy w czwórkę, a potem Grzesiek dołączył jako piąty. Tak to się zaczęło.

Myślałam o nas przez cały dzień: gdy tłumaczyłam kolejny rozdział przygód niezmordowanej w śledztwie oraz w łóżku detektyw Marcii Jones, gdy gotowałam obiad i potem, kiedy szłam do sklepu po mleko. Miałam je kupić wczoraj, ale oczywiście zapomniałam. Teraz nie można było jak wcześniej spokojnie się przejść z karteczką wzdłuż półek – teraz należało wejść, wrzucić towar do koszyka i natychmiast wyjść, ratując życie kasjerce, która patrzyła wzrokiem takim, jakby każda dodatkowa minuta

w sklepie równała się ludobójstwu. W rezultacie miałam w domu kilkanaście puszek fasoli, ale żadnego mleka, a przecież potrzebowałam go do kawy.

Przed osiedlowym sklepikiem stała kolejka złożona z pięciu osób, grzecznie trzymających dystans. Ustawiłam się na końcu. Dzień był nieoczekiwanie pochmurny, zbierało się na deszcz. Podmuchy wiatru niosły zapach kwitnących drzew, od którego zakręciło mi się w nosie. Kichnęłam.

Stojąca przede mną kobieta odwróciła się i zmierzyła mnie złym wzrokiem.

– Pani się odsunie.

Przez chwilę zastanawiałam się, co w tej sytuacji zrobiłaby detektyw Marcia Jones. Pewnie powiedziałyby coś dowcipnego, co usadziłyby tę kobietę w miejscu. Ja zdobyłam się tylko na bąknięcie:

– Mam alergię.

– To pani z tą alergią stanie dalej.

Odsunęłam się, wpadając na mężczyznę, który zdążył ustawić się za mną w kolejce. Odwróciłam się, by zobaczyć, że odskakuje jak oparzony, a kiedy kichnęłam po raz drugi, w jego oczach ujrzałam autentyczne przerażenie. W innych okolicznościach to mogłoby być zabawne.

– Przepraszam – wymamrotałam, wycofując się rakiem.

Gdy odchodziłam, zdecydowana przeprosić się z kawą bez mleka, ścigał mnie zapach świeżej trawy, taki sam jak tamtego lata, gdy leżeliśmy na kocu tuż przy nasypie kolejowym, patrząc w niebo. Pociąg przejechał, ale w naszych uszach wciąż rozbrzmiewał stukot jego kół. Spłaszczone złotówki trzymaliśmy w spoconych dłoniach, gorące od słońca i pędu. Kładzenie monet na torach uważaliśmy już wszyscy za odrobinę dziecinne, mimo to czasem jeszcze przychodziła nam ochota na taką zabawę.

– Patrzcie, tam ktoś jest – powiedział w pewnym momencie Adam.

Nie chciałam patrzeć. Dobrze mi tak było, kiedy leżałam na plecach z przymkniętymi oczami, zastanawiając się, czy rozcapierzony cień na

niebie to moje rzęsy, czy może wybujałe trawy. Tylko to mnie w tej chwili obchodziło. Rzęsy czy trawa?

– To chłopak, w naszym wieku – zauważyła Karina, a Aneta dodała:

– Idzie do nas.

Nadal się nie poruszyłam. Chciałam, żeby ten chłopak – kimkolwiek był – sobie poszedł, żeby zniknął z naszego życia. Nie mógł być przecież nikim interesującym. We czwórkę stanowiliśmy jedność i nikogo więcej nie było nam potrzeba.

– Jest cały we krwi – powiedział wtedy Adam, a ja wiedziałam już, że przegrałam, bo widzicie, z czymś takim po prostu nie da się wygrać.

\*

Wieczorem siedziałam przy komputerze, pijąc kawę. Zabielaną, bo tuż pod klatką schodową zawróciłam w odruchu buntu i poszłam do Żabki, gdzie kupiłam karton mleka, co prawda drożej, ale za to bez kolejki i bez narażania się na to, że ktoś potraktuje mnie jak przestępczynię.

Na ekranie przede mną widniała Aneta, grubsza o dwadzieścia kilo, z ufarbowanymi na blond włosami. Mimo tuszy – a może właśnie dzięki niej – wyglądała całkiem ładnie, ładniej, niż się spodziewałam. I młodo. Wyżej, w mniejszych okienkach mogłam zobaczyć Karinę i Adama. Ona postarzała się zdecydowanie bardziej i gdybym nie wiedziała, ile ma lat, dałabym jej czterdziestkę jak nic. Przyszło mi do głowy, że moja dawna koleżanka pije, tak jak jej matka, a przedtem babka. Jak to się mówi, niedaleko pada jabłko od jabłoni. Za to widoczny w trzecim okienku Adam nie zmienił się prawie wcale. Oczywiście wydoroślał, ale poza tym był dokładnie tym samym złotowłosym chłopcem o rozmarzonym spojrzeniu, którego pamiętałam z dzieciństwa.

– Miło cię widzieć – powiedziała Karina, a jej twarz natychmiast pokazała się w głównym okienku. – Zastanawialiśmy się nawet kiedyś, czy w ogóle żyjesz.

– Aneta ma mnie w znajomych. Mogła do mnie napisać.

– Pisałam. Nie odpowiedziałaś. – Gwałtowny protest złał się z dziecięcym wrzaskiem i Aneta zniknęła z ekranu.

– Nie pisałaś – mruknęłam. Cicho, bo i tak nikt mnie nie słuchał, krzyk dziecka zagłuszał wszystko.

Napiłam się kawy, gapiąc się na Karinę i Adama, podczas gdy oni gapili się na mnie. Byliśmy niczym sfera obwąchujących się niepewnie psów. Dlatego właśnie nie przepadam za spotkaniami po latach: widzisz w twarzach obcych osób twarze kolegów z dzieciństwa i zupełnie nie wiesz, jak ich traktować. Jak przyjaciół już nie można, jak obcych nie bardzo wypada.

Wrzask cichł powoli, zmieniając się w urywane pochlipywanie.

Karina uniosła lekko kąciki ust.

– Dzieciaki są okropne, prawda? – rzuciła. – Mężczyźni zresztą też. Twoja matka miała rację. Powinnaś się cieszyć, że jesteś sama.

Ona wie, pomyślałam z bezsilną wściekłością, bo wydawało mi się przez chwilę, że we wzroku Kariny dostrzegam to samo, co czasami widywałam w oczach Ewki. Poczucie wyższości i jednocześnie litość, jakby pójście do łóżka z owłosionym, śmierdzącym typem było jakimś przedziwnym misterium i każdy – czy może raczej każda – kto tego nie doświadczył, zasługiwał na najwyższe współczucie.

– Aneta mi mówiła – rzuciła Karina wyjaśniająco, a ja dopiero po chwili załapałam, że mówi o mojej samotności, nie o dziewictwie. Byłam przewrażliwiona, ot co.

Wróciła Aneta, rozczochrana i zarumieniona.

– Przepraszam – powiedziała. – Pozwoliłam im pooglądać bajki, może zajmą się tym chociaż na dwadzieścia minut.

Dalej rozmowa potoczyła się w spodziewanym kierunku. Co tam u ciebie, jak dzieciaki, jak mąż, jak czuje się twoja mama, Adam? Musisz uważać, ona jest przecież w grupie ryzyka, nie? Nie myślałaś przypadkiem o wyprowadzce, bo chyba na to pora? – to Karina, ze złośliwym błyskiem w oku. Nie znałam jej od tej strony. Jako dziecko miała ostry język, owszem, dorosłym potrafiła pyskować, ale dla nas zawsze była miła. A może tak mi się wydawało. Może wszyscy widzieliśmy nas wyobrażonych zamiast prawdziwych.

Ja też mówiłam. Opowiedziałam raz jeszcze o wycieczce, na którą nigdy nie pojechałam, ale opowieść, w mojej wyobraźni pełna barw, zabrzmiała płasko i kartonowo, jakbym cytowała katalog biura podróży – trudno zresztą zaprzeczyć, że większość informacji zaczerpnęłam z tego właśnie miejsca. Adam opowiadał o jakiejś dziewczynie, z którą podobno „tylko się przyjaźnił”, Karina o imprezie, na którą poszła mimo kwarantanny (sześć osób, więc się nie liczy), a Aneta oczywiście o dzieciach i wiecznie nieobecny mąż.

Byliśmy tak nudni, że aż brało mnie obrzydzenie.

Stopniowo jednak rozmowa dryfowała w kierunku wspomnień z dzieciństwa. Wszystkie te: „Pamiętasz, jak...? Boże, jacy wtedy byliśmy durni”. Zaczynałam już przeczekać, jak to się skończy. Oranżada kupowana w sklepiku przy cmentarzu, buszowanie po strychach i monety kładzione na torach – większość ma takie wspomnienia z dzieciństwa. Nas tak naprawdę łączyło coś innego, znacznie głębszego i mrocznego.

Karina jak zwykle odezwała się pierwsza.

– Wiecie, że podobno mają wznowić śledztwo w sprawie śmierci Grześka?

Aneta wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Powiedziałaś ci o tym w zaufaniu!

– Jasne, a tobie w zaufaniu powiedział Piotrek. Daj spokój, przecież żadne z nas nikomu nie wygada.

Aneta zerknęła na mnie nerwowo, najwyraźniej się spodziewając, że na samo wspomnienie Grześka znowu się wścieknę.

Wzruszyłam ramionami.

– W porządku – mruknęłam.

Awantura, którą urządziłam przez Messengera, wydawała się tak odległa, jakby zdarzyła się w innym życiu. Sama nie byłam pewna, o co mi właściwie chodziło. Grzesiek nie żył, nie mogło mu zaszkodzić ani publikowanie jego zdjęć w internecie, ani tym bardziej rozmowa o jego śmierci.

– Kontaktowała się już z tobą policja? – zapytała Karina, a ja dopiero po chwili połapałam się, że mówi do mnie. Przeskakujące co chwilę okienka na ekranie mocno mnie dezorientowały.

– Nie. Czemu mieliby się ze mną kontaktować?

– Bo to ty i Aneta widziałyście mordercę. Ona ma policjanta w domu, więc pewnie już ją porządnie przemaglował. Teraz pora na ciebie.

– Nikt ze mną nie rozmawiał. – Nie miałam pojęcia, czy jestem rozczarowana tym pominięciem, czy wprost przeciwnie: czuję ulgę. – Poza tym, no wiesz, wcale nie wiemy, czy to był morderca. Widziałyśmy... po prostu kogoś.

– Tajemniczą postać między drzewami. – W głosie Kariny zabrzmiała ironia. Zacisnęłam zęby, kątem oka dostrzegając, że Aneta w okienku na górze ekranu robi dokładnie to samo.

– Naprawdę kogoś widziałyśmy.

Karina uniosła rękę.

– Czy ja mówię, że nie? I wiecie, co mi przyszło do głowy?

Pokręciłam głową. Aneta i Adam w swoich okienkach zrobili to samo.

Karina uśmiechnęła się, unosząc jeden kącik ust.

– Że jedno z nas albo nawet wszyscy wiemy, kto go zabił. Byliście tam przecież tamtego dnia, prawda? Mogliśmy coś zauważyć.

– Więcej szczegółów na temat tajemniczego człowieka? – bąknęła Aneta.

– Może, ale nie tylko. Mówiłam... ogólnie. Że gdybyśmy się postarali przypomnieć sobie wydarzenia tamtego dnia, krok po kroku, to rozwiązalibyśmy zagadkę. To jak układanie puzzli, rozumiecie? Dodaje się do siebie drobne elementy, aż w końcu powstaje cały obraz.

Karina wciąż się uśmiechała tym dziwnym, prowokacyjnym uśmiezkiem, prawie jakby miała zaraz zachichotać i powiedzieć: „Ale daliście się nabrać”. Czekałam na to, ale milczała.

Adam poruszył się niespokojnie w swoim okienku. Otworzył usta i zaraz je zamknął. Aneta wzruszyła ramionami i powiedziała coś, czego nie dosłyszałam.



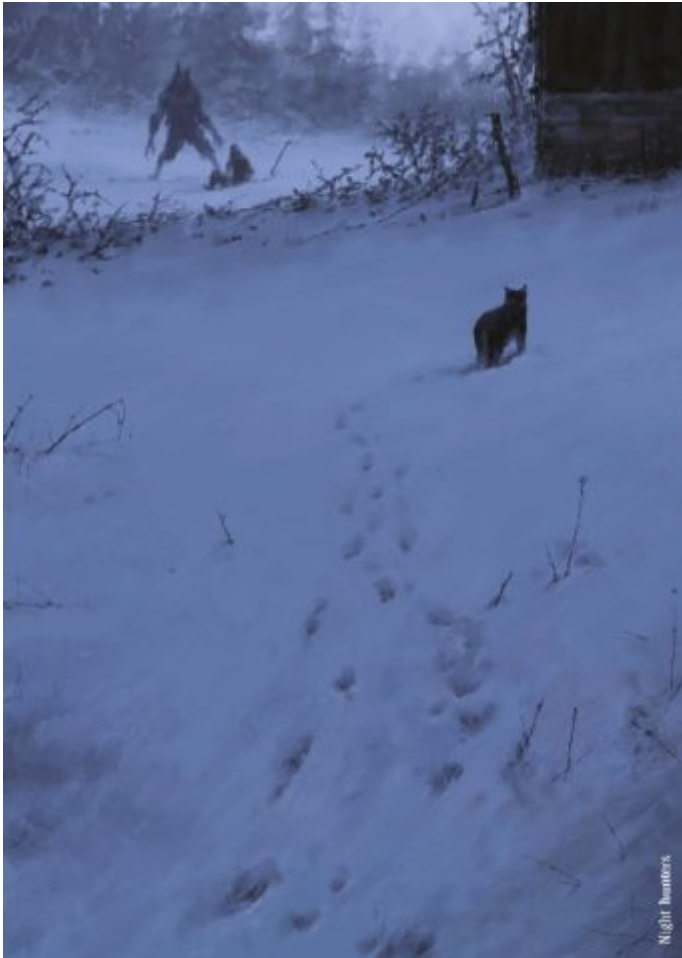
– Tak czy inaczej, pomyślcie o tym – rzuciła Karina. – W końcu co mamy lepszego do roboty?

\*

Ewka wróciła nad ranem. Przez szum stukającego w okno deszczu usłyszałam, jak otwiera drzwi – cicho, żeby mnie nie zbudzić – potyka się o coś w ciemności przedpokoju i klnie zduszonym głosem. Pewnie była na imprezie, zgadywałam w półśnie. Jutro będzie snuła się półprzytomna po mieszkaniu i błagała o tabletkę od bólu głowy. Czy miałam jeszcze zapas ibupromu? Nie potrafiłam sobie przypomnieć. Trzeba będzie sprawdzić i w razie czego przejść się do apteki.

Klamka mojego pokoju poruszyła się lekko – Ewka musiała być bardzo pijana, jeśli nie potrafiła trafić do swojego. Miałam szczerą nadzieję, że nie będę musiała zbierać jej z podłogi. Kiedyś... Nieważne zresztą.

W końcu znalazła łazienkę, bo usłyszałam szum prysznica. Powinnam teraz odetchnąć z ulgą, obrócić się na drugi bok i zapaść w głęboki sen, ale niepokój wciąż szturchał mnie pod żebrem.



Coś było nie tak.

Z łazienki dobiegało melodyjne pogwizdywanie. A przecież Ewka zawsze twierdziła, że słoń nadepnął jej na ucho. Nawet tańczyć umiała tylko w największym tłumie, po kilku piwach...

Poza tym Ewka wyprowadziła się przed miesiącem.

Myśl przedarła się przez powłokę snu i otrzeźwiła mnie w jednej chwili. Usiadłam na łóżku z mocno bijącym sercem. W łazience naprawdę ktoś był: wciąż słyszałam szum lejącej się wody i gwizdanie, w którym rozpoznawałam piosenkę *Załoga G. Przebój* lata 2005.

To ten chłopak, pomyślałam. Nowy lokator, który miał przyjechać pociągiem.

Oburzenie przynajmniej chwilowo wygrało z lękiem. Dlaczego pani Ilona mi nie powiedziała? Powinna mnie uprzedzić, przedstawić nas sobie najpierw... To nie w porządku, że obcy człowiek wchodził do mojego mieszkania, jakby było jego własne.

Wciąż czując kotłującą się w żołądku złość, uchyliłam drzwi i zerknęłam przez szparę. W padającym z łazienki świetle widziałam wiszącą na wieszaku czarną pelerynę przeciwdeszczową, nie żadne nowoczesne чудо z oddychającą membraną i diabli wiedzą czym jeszcze, tylko gumową pelerynę, jaką w czasach mojego dzieciństwa można było kupić w prawie każdej turystycznej miejscowości. Ja i mama zabierałyśmy takie peleryny na wyprawy po górach. Niżej stały rozdeptane trampki.

Szum wody ucichł, teraz słyszałam odgłos świadczący o intensywnym wycieraniu się ręcznikiem. Przed oczami stanął mi nieproszony obraz nagiego młodzieńczego ciała, który niecierpliwie odgoniłam. Coś takiego mogłaby wyobrażać sobie Marcia Jones. Ona prawdopodobnie otworzyłaby teraz szerzej drzwi i stanęła w progu w rozchylnym szlafrocisku. „Strasznie tu gorąco – powiedziałyby prowokacyjnie. – Może wymasowałbyś mi piersi kostką lodu?”

Ale ja nie miałam na sobie szlafrociska, tylko stare spodnie od dresu i wyciągniętą podkoszulkę z plamą, której od dwóch miesięcy nie potrafiłam doprać. I nie zamierzałam niczego takiego mówić.

Minęło dobrych dziesięć minut, zanim doszłam do wniosku, że jednak nie będę mieć ataku. I kolejne pięć, zanim zdecydowałam się wrócić do łóżka. Chłopak zdążył już wyjść z łazienki, a ja zobaczyłam tylko przemykający w ciemności cień, rozszczępiony wpadającym przez okno światłem parkującego pod blokiem samochodu. Cień przypominający wielkiego chudego pająka.

Gdy wreszcie udało mi się zasnąć, za oknem wstawał już nowy dzień.

Obudziłam się przed dziewiątą z ciężką głową i niejasnym uczuciem niepokoju, jakby śnił mi się koszmar.

Obcy chłopak. W nocy. W moim mieszkaniu.

A może to naprawdę był tylko sen?

Ostrożnie uchyliłam drzwi, spodziewając się zobaczyć pelerynę i rozdeptane trampki, ale przedpokój był pusty. Wyszedłam z pokoju, sprawdziłam łazienkę, szukając dodatkowej szczoteczki do zębów, ręcznika czy mydła. Też nic. Wanna była sucha, choć to akurat o niczym nie świadczyło, bo jeśli ktoś brał prysznic w nocy, wilgoć do rana zdążyłaby wyschnąć.

Czyli jednak sen, pomyślałam. Prawdopodobnie.

Ale drzwi pokoju Ewki były zamknięte. Stałam przed nimi przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, czy to ja je zatrzasnęłam poprzedniego wieczoru. Chyba nie. Drzwi zamykały się ciężko, bo trzeba było przeciągnąć skrzydło przez róg dywanu, i Ewka zazwyczaj zostawiała je uchylone – wyjątek robiła tylko wtedy, gdy przyprowadzała do domu jakiegoś faceta – a mnie tym bardziej nie chciało się z nimi szarpać.

Nasłuchiwałam, ale z pokoju nie dobiegał żaden dźwięk. Jeśli chłopak był w środku, to pewnie jeszcze spał. A może zdążył już wyjść? W końcu co ja o nim wiedziałam. Może był jednym z tych ludzi, którzy pracowali w czasie pandemii, rozwoził od świtu zakupy dla staruszków, piekł chleb albo diabli wiedzą co.

Powędrowałam do kuchni, by zrobić sobie śniadanie, choć wcale nie miałam na nie ochoty.

Będzie dobrze, pomyślałam, ściskając w ręku kubek z kawą. W końcu pracowałam w życiu z kilkoma mężczyznami i zawsze jakoś się dogadywaliśmy.

Z pokoju Ewki wciąż nie docierały żadne dźwięki, choć nasłuchiwałam naprawdę uważnie. Żadnego chrapania, odgłosów przewracania się w łóżku czy tym bardziej porannej krzątaniny. Stopniowo coraz bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że mojego współlokatora nie ma w domu. To mnie uspokoiło, zdołałam nawet wepchnąć w siebie drugą

kromkę z masłem. Wędliny i sera oczywiście zapomniałam kupić. Trudno, nie zamierzałam teraz wychodzić z domu.

Umyłam po sobie kubek oraz talerzyk, schowałam chleb w głębi szafki – jeśli chłopakowi będzie się wydawało, że może korzystać z moich zapasów, to wytłumaczę mu, jak bardzo się myli – i wróciłam do swojego pokoju. Była dziesiąta rano, przez okno wlewał się zapach skropionej deszczem ziemi. Tęskniłam za spacerem na świeżym powietrzu, zielenią i wiatrem szarpiącym włosy. Tęskniłam za wieloma rzeczami, których nie mogłam mieć.

Włączyłam laptopa i zabrałam się do pracy.

*– Spójrz na niego – powiedziała Marcia do Richarda, który stał tak blisko, że detektyw czuła na plecach jego twarde mięśnie. Może dziś wieczorem uda się go zaciągnąć do łóżka. – Patrz na te rany. Biedaczek był przed śmiercią torturowany.*

*Pochylili się nad zwłokami mniej więcej piętnastoletniego chłopca...*

Szlag.

Przerwałam stukanie w klawiaturę i zapatrzyłam się w okno. Nie będę o tym myśleć, nie będę. Na parapecie przysiadł gołąb i przyglądał mi się przez chwilę ciekawskim wzrokiem. Nie cierpię gołębi.

Grzesiek też miał piętnaście lat.

Nie wiem, jak działa pamięć innych osób. Może naprawdę istnieją ludzie, którzy wydarzenia z odległej przeszłości potrafią opowiedzieć w porządku chronologicznym. Poszliśmy tam z takiego czy innego powodu, a potem zrobiliśmy coś innego. Przyczyna i skutek, jedno wydarzenie wynika z drugich, a wspomnienia tworzą spójną historię – tak przynajmniej pokazują to w książkach i filmach. Moje wspomnienia przypominają zastygłe w czasie kadry. Grzesiek na torach, jak duch wynurzający się nie z mroku nocy, tylko z rozpalonego do białości lipcowego dnia. Krew na jego twarzy i poszarpanym ubraniu, dłonie wiszące wzdłuż boków i spoczywający w jednej z nich kamień.

– Co ci się stało? – Nieśmiały głos Anety, trzepoczący w rozgrzanym powietrzu niczym motyl.

Grzesiek waży kamień w dłoni, jakby się zastanawiał, czy nie rzucić jej go w twarz. Jest w nim mnóstwo złości. Mam dopiero piętnaście lat, ale nawet ja to widzę – i wciąż pamiętam.

W końcu kamień ląduje w trawie – chłopak celuje w gołębia, ale nie trafia i ptak podrywa się w powietrze.

Wzruszenie ramionami, Grzesiek wyciera rękawem zwisający z nosa krwawy glut.

– Dojeżdżałem takiemu jednemu, bo się czepiał. On wygląda gorzej.

Spotykaliśmy się przez cały lipiec, ale w pamięci zostały mi tylko urywki wspomnień: siedzimy na murku przed sklepem i jemy lody, kąpiel na Borkach i wzrok Grześka, błędzący po moim nastoletnim ciele. Wstydzę się, bo mam na sobie stary, rozciągnięty strój kąpielowy – od dawna już męczę matkę o nowy, wiem jednak, że w domu się nie przelewa, artystki malujące portrety na zamówienie nigdy nie zarabiały zbyt dobrze – ale Grzesiek nie zwraca uwagi na kostium, tylko na mnie. „Zostaniesz moją dziewczyną?” – pyta szeptem, kiedy pozostali chlapią się w płytkiej wodzie stawu, a ja, nagle pozbawiona tchu, odpowiadam: „Jasne”.

Nie pamiętam, co było potem. Tak wiele zapomniałam. W dzień śmierci Grześka wpadliśmy na pomysł, żeby rozpalić ognisko nad wodą, tak jak robiły to dzieciaki z liceum. Oczywiście wiedzieliśmy, że rodzice nam nie pozwolą, skłamałiśmy więc, że idziemy jak zwykle się kąpać. Mieliśmy kilka kielbasek i parę puszek piwa, a kiedy zapadł zmrok i zaczęło mżyć, goniliśmy się między drzewami. Zdawałam sobie sprawę, że moja matka lada moment przybiegnie mnie szukać – gdy chodziło o bezpieczeństwo jej jedyne dziecko, traciła cały swój wystudiowany artystyczny luz – ale nie chciałam być pierwszą, która powie, że musi wracać do domu. Zapach karkówki dobiegający od strony sąsiedniego ogniska, okrzyki ludzi popędzających się nawzajem („Szybciej, zaraz zacznie porządnie lać”), chłód mokrego piasku pod stopami.

A potem ktoś krzyczał: „Boże, on nie żyje, zabierzcie stąd te dzieci!”. I tyle. Najważniejszy dzień mojego dzieciństwa sprowadzony do kilku oderwanych od siebie scen, jak resztki spalonego w pożarze filmu.

Koło trzeciej zamieniłam rozciągnięty dres na porządną sukienkę i zrobiłam nawet lekki makijaż. Mój nowy współlokator lada moment powinien wrócić z pracy czy gdzie tam poszedł. Nie musieliśmy się przyjaźnić, ale chciałam zrobić na nim dobre wrażenie. Miła, z dystansem – taka właśnie powinnam być.

Minuty mijały. Marcia Jones zdążyła pójść do łóżka z przystojnym policjantem i odbyć długą, pełną erotycznych podtekstów rozmowę z lekarzem sądowym, podczas gdy zwłoki piętnastoletniej ofiary spoczywały zapomniane na stole sekcyjnym. Tłumaczyłam mechanicznie, cały czas podświadomie oczekując zgrzytu klucza w drzwiach. Nie doczekałam się i koło szóstej, trochę zirytowana, podeszłam pod pokój Ewki i zapukałam.

– Jest tam ktoś? – zapytałam, czując się głupio.

Cisza.

Nagle przyszła mi do głowy straszna myśl. A jeśli chłopak leży tam, za zamkniętymi drzwiami, chory albo nawet umierający? Jeśli złapał koronawirusa i przywłókł go tutaj?

Wiedziałam, że to bez sensu – przez cały dzień nie słyszałam ani jednego kaszlnięcia, a trudno przecież przypuszczać, że młody człowiek, jeszcze dziś w nocy pogwizdujący pod prysznicem, tak zwyczajnie położył się i umarł. Chyba że dostał zawału serca...?

Zdesperowana nacisnęłam klamkę, na wpół spodziewając się, że ujrzę pusty pokój, a na wpół, że na łóżku zobaczę odpoczywającego nagiego młodzieńca, pięknego jak Dawid Michała Anioła.

Drzwi okazały się zamknięte.

Poczułam ulgę, a jednocześnie zaczęłam się zastanawiać, skąd u licha mój nowy współlokator wziął klucz do tego pokoju. Przecież zgubiliśmy go z Ewką dwa lata temu...

Może pani Ilona dała mu po prostu zapasową kopię.

Zirytowałam się, przyznaję. Czy ten chłopak z góry założył, że będę grzebać w jego rzeczach? Za kogo on mnie uważał?

Koło ósmej, czując się jak kompletna kretyńka, zmyłam z siebie makijaż i poszłam pod prysznic. Obejrzałam jeszcze dwa odcinki serialu *Better Call Saul*, a potem zasnęłam.

Przed jedenastą obudził mnie dźwięk nadchodzącego esemesa. Na wpół śpiąc, sięgnęłam po komórkę.

Szlag, pomyślałam, gapiąc się w alert RCB przypominający o obowiązujących od jutra zaostrzonych ograniczeniach. Poczułam się jak w pułapce, zupełnie jakby ktoś zatrzasnął nade mną wieko trumny. Chwilę jeszcze leżałam, starając się uspokoić, a kiedy to zawiodło, zerwałam się i pobiegłam do ubikacji.

Gdy siedziałam na kiblu, usłyszałam wreszcie to, na co czekałam przez pół dnia. Cichy, ale przecież wyraźny zgrzyt klucza w zamku.

Wraca, pomyślałam. W tej wysoce nieromantycznej sytuacji dotarła do mnie jasna, wyrazista myśl.

Byłam w pułapce, owszem.

Ale, co gorsza, nie byłam w niej sama.

\*

Rano znów zastałam zamknięte drzwi, tym razem jednak w mieszkaniu było kilka śladów mojego nowego współlokatora: przewrócone krzesło w kuchni, szczątki rozbitego kubka pod stołem i zaschnięta plama na blacie.

Wrócił zalany w trupa, rozbił kubek i poszedł spać, pomyślałam z niesmakiem.

Sprzątałam, coraz bardziej wściekła. Gdy ostatnie kawałki szkła wyładowały w kuble pod zlewem, uznałam, że dłużej nie wytrzymam. Podeszłam pod drzwi pokoju, który w myślach wciąż nazywałam „pokojem Ewki”, i zapukałam. Byłam prawie pewna, że nikogo w nim nie ma, ale co mi szkodziło spróbować. Zresztą musiałam jakoś dać ujście złości.



- Jesteś tam? Nie udawaj! Zachowałeś się jak świnia, wiesz? Jeśli wydaje ci się, że będę chodzić za tobą i sprzątać, to się grubo mylisz. Słyszysz? - Walnęłam pięścią w drzwi. - Jeszcze jeden taki numer i zawiadomię panią Ilonę.

Nic, cisza.

Chociaż nie do końca.

Z głębi pokoju dobiegał suchy ni to szmer, ni klekot, brzęiący trochę jak odgłos ocierających się o siebie owadzych skrzydeł. Co u licha? Dźwięk ucichł, za to coś przemknęło mi po stopach. Cień. Cofnęłam się. Chłopak najwyraźniej odsunął dywan i teraz ze szpary pod drzwiami wylewało się jaskrawe wiosenne światło. Na tle tej słonecznej jasności coś się poruszało, drgająca szarość przesuwająca się tam i z powrotem, jakby ktoś - coś? - krążył po pokoju.

- Jesteś tam? - Za późno przyszło mi do głowy, że może powinnam użyć formy „pan”. Chrząknęłam. - Jest pan tam?

To tylko wiatr, pomyślałam. Mój nowy współlokator zostawił otwarte okno i teraz wiatr rusza firanką. Nic w tym tajemniczego czy dziwnego.

A jednak czułam się zaniepokojona.

Musiałam wyjść z mieszkania, choć na chwilę. Zresztą i tak powinnam zrobić zakupy.

Problem braku maseczki rozwiązałam bardzo łatwo - po prostu zasłoniłam usta apaszką. Wczorajsza panika wydała mi się teraz zupełnie bezsensowna. Ale tak już działał mój mózg, nic nie mogłam na to poradzić.

Zamaskowana niczym bandyta z komiksów udałam się do Żabki, gdzie miła pani poinformowała mnie, że niestety jednorazowych maseczek nie ma.

- Wszystkie wykupili dzisiaj rano, ale jutro będzie nowa dostawa. Zostawić pani paczkę?

- Tak, dziękuję - odparłam, czując się absurdalnie wdzięczna.

Z tej wdzięczności zrobiłam nawet zakupy, choć miałam pójść do Biedronki. Spieszyłam się, bo śliska apaszka wciąż zsuwała mi się z ust

i musiałam ją poprawiać. W rezultacie kupiłam masło, herbatę, parę bułek i pastę kanapkową, ale zapomniałam o serze. I o mleku. Trudno, nie będę wracać, uznałam, gdy znalazłam się na zewnątrz. Opustoszałe Szopienice sprawiały ponure wrażenie. Ludzie przemykali chodnikami jak przestępcy, witryny oblepione były kartkami: „Wejście tylko z koszykiem”, „Pamiętaj, zachowaj odstęp 2 metrów”, „W sklepie jednorazowo może przebywać 20 osób”. Na widok patroluomal nie uciekłam, choć przecież nic złego nie zrobiłam. Cholerna apaszka znowu zsuwała mi się z twarzy. Zmusiłam się, żeby przejść obok policjantów spokojnym krokiem, nie odwracając głowy. Dopiero potem przyspieszyłam. Przy delikatesach na przystanku stał tramwaj z wydzieloną strefą dla kierowcy. Zrobiło mi się gorąco. Miałam wrażenie, że zsuwam się coraz głębiej i głębiej w jakiś dziwny sen.

Na osiedlu minęłam ogrodzony taśmą plac zabaw dla dzieci i zatrzymałam się dopiero nad stawem Morawa, od którego nasze osiedle wzięło nazwę. Patrzyłam to na pustą plażę, to znów na ciemną taflę wody, starając się uspokoić. Zawsze żałowałam, że okno mojego pokoju wychodzi na parking. Ewka miała lepszy widok. Ewka, a teraz ten chłopak, którego imienia nadal nie znałam.

Nie miałam ochoty wracać do domu, ale nie chciałam też zostać tutaj, gdzie czułam się zagrożona z każdej strony, jakbym przebywała w strefie wojennej. Kobieta prowadząca za rękę małą dziewczynkę spojrzała na mnie z naganą, a ja zorientowałam się, że znów zsunęła mi się apaszka. Szlag. Popędziłam w stronę klatki schodowej, jakby ścigał mnie diabeł.

\*

Wzięłam tabletkę i pracowałam aż do trzeciej. Albo przynajmniej starałam się pracować. Potem przygotowałam sobie na obiad makaron z sosem z torebki, połowę zjadłam, a połowę, po namyśle, zamiast wyrzucać do śmieci, schowałam do lodówki. Może powinnam oszczędzać jedzenie. I papier toaletowy, cholera, o kupieniu papieru oczywiście też zapomniałam. Na szczęście miałam w domu zapas chusteczek

higienicznych, a mój współlokator niech sam się martwi, czym podetrze sobie tyłek.

Kilka razy podchodziłam pod drzwi pokoju Ewki i nasłuchiwałam, ale w środku panowała cisza. Nie wiem, czy mnie to uspokoiło, czy wręcz przeciwnie. Tamten dźwięk mógł spowodować wiatr – choć dzień był raczej bezwietrzny – albo ewentualnie jakieś zwierzę. Nie pies czy kot, bo te już dawno dałyby o sobie znać. Coś bardziej egzotycznego, co potrafiłoby siedzieć bez ruchu całymi godzinami. Nie mam nic przeciwko zwierzętom, po prostu...

...po prostu wolałabym wiedzieć.

O piątej byłam umówiona z Adamem, Anetą i Kariną na rozmowę. Jeszcze rano myślałam, żeby się od niej wykręcić pod pretekstem nawału pracy, teraz jednak poczułam, że potrzebuję odezwać się do kogoś, bo inaczej zwariuję.

Niemal od razu tego pożałowałam.

– I jak tam, zastanawialiście się nad tym, co powiedziałam? – zapytała Karina, ledwo zdążyliśmy się przywitać.

– Niby nad czym? – mruknął Adam z drugiego okienka, choć po jego minie widziałam, że zna odpowiedź. Ja też ją znałam i wcale mi się to nie podobało.

– Nad wieczorem, kiedy zginął Grzesiek. Mieliśmy się zastanowić, co każde z nas pamięta.

Aneta się skrzywiła.

– Jezu, ty mówiłaś serio? Myślałam, że tylko się wygłupiasz.

– Mówiłam serio. Zobaczysz, twój mąż będzie nam wdzięczny. Ale najpierw powiedz, czemu wznowili śledztwo.

– Co?

– Nie udawaj idiotki. Jeśli je wznowili, to znaczy, że mają nowe dowody.

– Podobno znaleźli świadka, który wtedy tam był i kogoś widział – przyznała Aneta niechętnie. – Ale pamiętajcie, mówię wam o tym...

– W największej tajemnicy, jasne, wiemy. I co ten świadek zobaczył?

– Niewiele, chociaż i tak więcej niż my.

Skinęłam odruchowo głową. Nasze zeznania na niewiele się przydały. Ciemna postać między drzewami, tylko tak potrafiłyśmy opisać potencjalnego mordercę. „Jak była ubrana? – zagadywała miła policjantka. – Wysoka czy niska? Mężczyzna czy kobieta?”. Na wszystkie pytania kręciliśmy głowami, aż wreszcie policja machnęła na nas ręką, uznając zapewne rozsądnie, że jeszcze jedno, a nie oprzemy się pokusie zmyślania.

– Co z tym świadkiem? – Karina ponagliła ociągającą się Anetę.

– Facet wyszedł na późny spacer z psem i zobaczył wysokiego, szczupłego człowieka w pelerynie przeciwdeszczowej. Prawdopodobnie mężczyznę.

Jasne, że mężczyznę. Gdy byłam dzieckiem, chroniono mnie przed poznaniem najbardziej brutalnych szczegółów, ale i tak zdołałam się dowiedzieć, że Grzesiek został pobity na śmierć czymś, czego nigdy nie znaleziono – prawdopodobnie długim, ciężkim konarem, który sprawca wrzucił potem do wody. Kobieta raczej nie mogłaby tego zrobić, nie zaprawionemu w bójkach piętnastolatkowi.

– To wszystko? – W głosie Kariny zabrzmiało rozczarowanie.

Aneta wzruszyła ramionami.

– Wszystko. To wznowienie to bardziej formalność, tak dla uspokojenia sumienia. Robert mówi, że nic z tego nie będzie.

– Będzie, jeśli my pomożemy – oznajmiła stanowczo Karina. – Jeśli nie zastanawialiście się wcześniej, to możemy to zrobić w tej chwili. Każde z nas powie, co pamięta z tamtego wieczoru, i razem poskładamy wszystko do kupy. Chyba że Agata ma coś przeciwko? Grzesiek był w końcu twoim chłopakiem.

Spojrzeli na mnie, jakby dopiero teraz sobie uświadomili, że naprawdę tu z nimi jestem. Mogłam odpowiedzieć: „Tak, mam mnóstwo przeciwko”, ale widziałam po ich twarzach, że zdążyli się już wciągnąć, nawet niechętna początkowo Aneta. Gdybym teraz powiedziała „nie”, zepsułabym im zabawę i przy okazji znowu wyszłabym na histeryzującą idiotkę.

– Nie mam.

Co to w gruncie szkodzi? – pomyślałam znużona. Pogadają, nie dojdą do żadnych wniosków i dadzą spokój.

– To zaczynamy. Ja pierwsza. Nasze ognisko nie chciało się palić, ale i tak przy nim siedzieliśmy, wtykaliśmy nasze kiełbaski w żar, żeby chociaż trochę się przypiekły...

– ...i w końcu zjedliśmy je prawie surowe. – Adam był wyraźnie rozbawiony.

– I piliśmy piwo. Ja po raz pierwszy w życiu. – Aneta skrzywiła się lekko.

– Bzdura, nie pamiętasz wycieczki do Pszczyny?

– Hej, trzymamy się naszej sprawy – mitygowała ich Karina, podczas gdy ja desperacko się zastanawiałam, odkąd to śmierć Grzeska stała się „naszą sprawą”. – Niedaleko siedziała przy grillu grupa pijanych facetów, zaczepiali mnie nawet, kiedy szłam siku, ale ich spławiłam. Banda zboczeńców.

– To mógł być jeden z nich. Nie żaden tajemniczy nieznajomy, tylko ktoś z tamtej grupy. Policja rozważała taką możliwość. Wiecie, jaki był Grzesiek...

– Lubił się stawiać.

– Ano. Jeśli jakiś facet chciałby się na nim wyżyć, toby mu odpyskował, a wtedy taki pijak mógłby chwycić za gałąź i...

– Cholera, zginął tak blisko, a my nawet niczego nie słyszeliśmy.

– Wcale nie blisko, przecież schowaliśmy się wtedy w krzakach, nie pamiętacie?

Słuchałam ich wszystkich jednym uchem. Cały czas dręczyło mnie uczucie, że przegapiłam coś ważnego. Coś, co któreś z nich powiedziało chwilę wcześniej.

– Agata?

– Hmm? – Dopiero teraz zorientowałam się, że patrzą na mnie.

– Co było po tym, jak deszcz nam zgasił ognisko?

– Ja... eee... Bawiliśmy się w chowanego?

– Daj spokój, już od dawna wtedy nie bawiliśmy się w chowanego. Serio tak to pamiętasz?

– A co wy pamiętacie?

Karina patrzyła na mnie prawie ze współczuciem.

– Poszłaś z Grześkiem między drzewa, a my się nabijaliśmy z tego, co tam teraz robicie. Nie wiem, ile to trwało. Dziesięć minut? Potem przybiegłaś do nas i krzyknęłaś...

– ...„spadamy” – wtrąciła się Aneta, a Adam skinął głową.

– Krzyknęłaś „spadamy”. Myśleliśmy, że to faktycznie zabawa, że może chcesz zrobić Grześkowi dowcip, więc pobiegliśmy za tobą, ale wtedy Karina zapaliła latarkę i zobaczyłem twoją twarz. Wyglądałaś na przerażoną.

Przytaknęli energicznie, a ja milczałam oszołomiona.

– Co ty tam widziałaś? – zapytała Aneta. – Zawsze mnie to zastanawiało.

– To samo, co ty. – Zdenerwowałam się. – Postać między drzewami. Przecież wiesz.

– To później, kiedy szukaliśmy Grześka. Ja mówię o tym, co było wcześniej. Coś cię wystraszyło i zaczęliśmy uciekać, a Grzesiek za nami wołał. A potem...

– Potem przestał – mruknęła Karina ponurym tonem, jakby ćwiczyła się do roli lektorki książek Wojciecha Chmielarza. – Agata, powiedz nam szczerze, co tam się zdarzyło? Czy on ci coś zrobił?

– Nie rozumiem, o co wam chodzi.

Aneta westchnęła.

– Nie musisz udawać, wszyscy przecież wiemy, że Grzesiek... że potrafił być agresywny. Ciągłe wdawał się w bójki albo z kimś się kłócił. Na ciebie też parę razy nawrzeszczał.

– Nieprawda.

– Owszem, prawda.

Czego oni ode mnie chcieli? Żebym przyznała, że byłam nastoletnią ofiarą przemocy? To by zgrabnie wyjaśniało moją niechęć do mężczyzn.

Ale życie nie jest takie proste. Może i niewiele pamiętałam z tamtego wieczoru, ale jedno wiem: nie bałam się Grzeška. Nawet w wieku piętnastu lat zdawałam sobie sprawę, że mój pierwszy – i jedyny jak dotąd – chłopak wdaje się w bójki, ponieważ sam jest ofiarą. Kiedyś, gdy przebieraliśmy się w krzakach do kostiumów, zauważyłam sińce na jego ramionach i zapytałam, kto mu to zrobił. „Mój stary”, wymamrotał, wyraźnie zawstydzony, zanim popędził do wody.

Owszem, kłóciłam się z Grzeškiem i czasem naprawdę potrafiłam się na niego wściec. Ale nigdy bym przed nim nie uciekała, tego byłam pewna.

– Nic się wtedy nie stało. Serio. Może po prostu źle zinterpretowaliście mój wyraz twarzy. Zresztą czemu potem nie mówiliście o tym przerażeniu?

Adam wzruszył ramionami.

– Jakoś nie było okazji. Sama wiesz.

Wiedziałam. Po śmierci Grzeška rodzice rozdzielili nas na resztę wakacji, sądząc zapewne, że łatwiej o wszystkim zapomnimy, jeśli nie będziemy się spotykać. Moja matka zabrała mnie na wycieczkę do Grecji, na którą tak naprawdę nie było nas stać, Adam pojechał do babci, Karina i Aneta na jakieś obozy. A od września poszliśmy do różnych szkół średnich i nasza przyjaźń sama zaczęła się rwać.

Niezręczne milczenie przerwała Karina.

– Skoro twierdzisz, że nic się nie stało, to nic się stało. W każdym razie po jakimś czasie zaczęliśmy Grzeška szukać, ale nie odpowiadał. Wtedy ty i Aneta zobaczyłyście tajemniczą postać między drzewami, a kobieta z namiotu usłyszała nasze wrzaski, wyszła zobaczyć, co się dzieje, i znalazła zwłoki. Ludzi od grilla już wtedy nie było, zostaliśmy tylko my i ta para pod namiotem. To oni zawiadomili policję. Ktoś ma coś do dodania?

Zgodnie potrząsnęliśmy głowami.

Zmusiłam się, żeby trochę popracować, zjadłam na kolację kanapkę z pastą rybną i obejrzałam odcinek serialu. Nie wiem, czy cokolwiek z niego zrozumiałam, bo moje myśli bezustannie krążyły wokół rozmowy na Zoomie. Z każdą chwilą byłam coraz bardziej pewna, że padło w niej jakieś ważne zdanie – albo tylko słowo – a ja je przegapiłam. Co to było? Coś o deszczu gaszącym ognisko? O mężczyznach przy grillu zaczepiających Karinę? Dorośli faceci podrywający piętnastolatkę z pewnością mogli być niebezpieczni, ale to nie musiało wcale oznaczać, że zabili jej rówieśnika. Chyba że Grzesiek stanął rycersko w obronie koleżanki... Nie, bez sensu, o czymś takim Karina by nam powiedziała, zresztą przez prawie cały czas byliśmy razem, z wyjątkiem tamtego momentu, gdy zniknęłam z Grześkiem, a potem...

Potem wróciłam przerażona, ale za cholerę nie umiałam sobie przypomnieć dlaczego.

W środku nocy obudził mnie odgłos otwieranych drzwi. Nowy współlokator, pomyślałam, bo któż by inny. Powinnam wstać, powiedzieć mu kilka nieprzyjemnych słów na temat bałaganu, jaki zastałam rano. Zapytać, co trzyma w pokoju, i przedstawić się przy okazji. To absurd, żebyśmy się tak mijali.

Ale nie potrafiłam się podnieść, bo nagle uświadomiłam sobie, że dźwięk, który przed chwilą usłyszałam, nie był szczękiem zamka drzwi wejściowych. To nie one się otworzyły.

Nikt nie wszedł do mieszkania.

Ktoś wyszedł z pokoju Ewki.

Leżałam pod kołdrą, sparaliżowana przerażeniem, na próżno tłumacząc sobie, że przegapiłam, kiedy współlokator wrócił do domu i zamknął się w swoim pokoju. Nie było powodów do paniki.

Moje ciało twierdziło inaczej.

Wymacałam stojący przy łóżku słoiczek, wysypałam na dłoń dwie tabletki i popiłam je wodą ze szklanki. Potem naciągnęłam kołdrę na głowę i czekałam, nasłuchując zwyczajnych odgłosów kogoś, kto wstał w nocy, by pójść do łazienki. Albo do kuchni, zrobić sobie herbatę. Zamiast nich usłyszałam znów ten dziwny, suchy klekot. W saloniku



zapaliło się światło i za chwilę zgasło. Po chwili ktoś przemknął obok moich drzwi, ktoś idący szybkim, drobnym krokiem.

Brzmiało to trochę tak, jakby ten ktoś miał zdecydowanie za dużo nóg.

Gdy tabletki zadziałały, zaczynało już świtać, a ja wreszcie zebrałam się na odwagę. Wstałam, uchyliłam drzwi i wyrzłam na korytarz. Z jakiegoś powodu spodziewałam się, że zobaczę na wieszaku ociekającą wodą pelerynę, ale wisiała tam tylko moja polarowa bluza.

Wycofałam się, weszłam do łóżka i z powrotem naciągnęłam kołdrę na głowę, tylko po to, by zaraz ją zerwać i usiąść gwałtownie.

Wiedziałam już, co takiego przegapiłam.

\*

Nie spałam do rana, mniej więcej co piętnaście minut sprawdzając wiadomości na Messengerze. Aneta odpisała o siódmej.

*Robert twierdzi że to była taka luzna gumowa peleryna a la poncho.*

*Po co ci to w ogóle?*

O kurwa, pomyślałam.

W 2005 roku nikt już nie chodził w takich pelerynach po mieście – może z wyjątkiem staruszek – ale ludzie nadal czasem zabierali je ze sobą na wycieczki albo na spacer po lesie. A dzisiaj? Kto dziś włożyłby gumową pelerynę zamiast kurtki z goreteksu?

*Morderca*, podpowiedziała mi wyobraźnia przemawiająca głosem Marcii Jones.

Absurd, odpowiedziałam jej, ale ona roześmiała się tylko i kazała mi zwrócić uwagę na daty. Tajemniczy lokator pojawił się zaraz po tym, jak śledztwo w sprawie śmierci Grzeška zostało wznowione. Gdyby zabójca chciał zlikwidować świadka, dość łatwo mógłby znaleźć mój adres, bo nigdy go jakoś szczególnie nie ukrywałam. Dowiedzenie się, że pokój po Ewce jest akurat wolny, też nie stanowiłoby większego problemu.

Absurd, powtórzyłam. Nie byłam przecież jedynym świadkiem. Aneta też kogoś widziała, a jej nikt nie prześladował.

*Ty mogłaś zobaczyć coś więcej. Kiedy poszłaś z Grześkiem w krzaki. Gdybyś tylko potrafiła sobie przypomnieć...*

Zatkałam uszy, jakby Marcia Jones naprawdę mówiła do mnie tym swoim irytującym, pewnym siebie głosem.

To nie ma sensu. Gdyby ten człowiek chciał mnie zabić, zrobiłby to od razu.

*Może nie chce cię zabić, tylko doprowadzić do szaleństwa, żebyś przestała być wiarygodnym świadkiem. Już teraz jesteś roztrzęsiona jak galareta.*

Nieprawda! Poza tym – chwyciłam się desperacko ostatniego argumentu – mój tajemniczy lokator to młody chłopak, jakim cudem więc mógłby zamordować kogoś piętnaście lat temu?

Ale i na to pytanie znałam odpowiedź. Pani Ilona wyrażała się o nowym lokatorze jak o kimś młodym, ponieważ dla niej wszyscy poniżej czterdziestego roku życia byli młodzi.

Starłam się oddychać powoli i spokojnie. Bałam się, owszem, ale teraz, kiedy za oknem wstał już dzień, przynajmniej nie wpadałam w panikę.

Ubrałam się i na palcach, bardzo ostrożnie, obeszlłam całe mieszkanie – z wyjątkiem pokoju Ewki, rzecz jasna. Niczego nie znalazłam. W kuchni kubek i talerzyk leżały w zlewie dokładnie tak, jak je położyłam, a na stole wciąż rozsypane były okruszki z kanapki, którą zjadłam na kolację. W łazience mój ręcznik wisiał nad wanną i nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek przesunął go, by wziąć kąpiel. Nie znalazłam niczego, co mogłoby należeć do tajemniczego współlokatora, żadnej szczoteczki do zębów, mydła, kapci w przedpokoju czy książki w saloniku. Przyszło mi do głowy, że facet mógł mieć nawyki z hostelu czy akademika, nie do końca jeszcze traktował to mieszkanie jak swoje i dlatego odruchowo zabierał wszystkie rzeczy do pokoju. Ale możliwe też... możliwe, że nigdy go tu nie było, a nocne hałasy tylko mi się przywidziały.

Jednak pokój Ewki wciąż był zamknięty, prawda?

Podeszłam pod drzwi i nasłuchiwałam przez dłuższą chwilę. Ludzie, którzy się ukrywają, rzadko potrafią siedzieć naprawdę cicho. Zdradzają

ich przyśpieszone oddechy i szmery, kiedy poruszają się niespokojnie. Wiedziałam o tym od czasów, gdy bawiliśmy się w chowanego.

Z pokoju Ewki nie dobiegał żaden dźwięk, choć stałam przy drzwiach dobre dziesięć minut.

Co powinnam zrobić teraz? Zadzwoić na policję? I co właściwie bym powiedziała? Halo, podejrzewam, że mój nowy współlokator może być mordercą Grzegorza Kowalczyka, który zginął latem 2005 roku. Nie, nie mam na to żadnych dowodów, wnioskuje po pelerynie przeciwdeszczowej i po tym, że facet zdecydowanie dziwnie się zachowuje. Całymi dniami nie ma go w domu, a w pokoju trzyma coś, co wychodzi nocą, klekocze i szeleści.

Marcia Jones miała rację, uznaliby mnie za kompletną wariatkę.

Możliwe jednak, że pani Ilona mogłaby mi pomóc. Gdybym знаła choć imię i nazwisko tajemniczego lokatora, mogłabym znaleźć go na Facebooku i nawiązać z nim kontakt. Może wtedy okazałoby się, że to zwyczajny człowiek, a te wszystkie odgłosy mają zwyczajne wyjaśnienie.

Założyłam tenisówki i nie czekając na windę, zbiegłam na parter. Zapukałam do drzwi pani Ilony, całkowicie pewna, że starsza pani zaraz otworzy. Była w końcu pandemia, wszyscy siedzieli w domach. Jednak nie otworzyła. Może poszła na zakupy albo do kościoła. Cholera. Wybrałam numer jej komórki, nie licząc jakoś szczególnie na sukces. Pani Ilona wiecznie o niej zapominała. Teraz też, dokładnie tak, jak się spodziewałam, usłyszałam z głębi mieszkania charakterystyczną melodyjkę przychodzącego połączenia. Zakląłam jeszcze raz, wróciłam windą, wzięłam kartkę i napisałam na niej: *Proszę o pilny kontakt, Agata Strachon.* Znowu zbiegłam na parter i wetknęłam ją w drzwi pani Ilony.

Gdy znalazłam się z powrotem u siebie, odruchowo już przystanąłam pod drzwiami pokoju Ewki i przyłożyłam do nich ucho. Tym razem usłyszałam wyraźnie klekoczący szelest, brzmiący trochę jak śmiech. Jakby ktoś nabijał się z moich wysiłków. Odsunęłam się, cała spocona. Co teraz? – tłukło mi się w głowie pytanie.

Pod wpływem impulsu znowu wyszłam z mieszkania i zadzwoniłam do drzwi sąsiada. Otworzył od razu.

– Co się dzieje? – Obrzucił mnie zdziwionym, ale na szczęście w miarę przychylnym spojrzeniem, a ja zbyt późno uświadomiłam sobie, że powinnam zasłonić usta i nos.

– Ja... eee... Widzi pan, mam taki mały problem. Wprowadził się do mnie niedawno współlokator i on chyba... Wydaje mi się, że trzyma coś w swoim pokoju. Jakieś zwierzę. Trochę się boję i tak sobie pomyślałam, że gdyby pan poszedł ze mną i posłuchał, co tam jest... – Urwałam niepewnie. W gruncie rzeczy liczyłam, że jeśli ten facet się zgodzi, to znajdzie jakieś rozsądne wyjaśnienie, powie: „Och, nie ma się pani czego bać, to tylko wypaczona rama przy oknie, u mnie też tak szeleściło, zanim jej nie naprawilem”.

Patrzył, jakby się zastanawiał, czy to nie jest jakiś osobliwy dowcip. Albo czy nie próbuję go podrywać. Ostatecznie jednak westchnął i w kapciach pomaszerował do mojego mieszkania.

– Proszę posłuchać. – Pokazałam mu drzwi pokoju Ewki.

Podszedł bliżej, stał tak przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Nic nie słyszę. Tam niczego nie ma.

Nieprawda, już chciałam powiedzieć, ale zorientowałam się, że sąsiad ma rację. Ja też niczego nie słyszałam. W pokoju panowała absolutna cisza.

W spojrzeniu mężczyzny dostrzegłam współczucie.

– Coś się pani wydawało. Przez tę pandemię z ludźmi dzieją się różne rzeczy. Tak mówili w telewizji. Potrzebuje pani pomocy?

– Nie, dziękuję. – Niemal wypchnęłam go na klatkę schodową, chociaż oczywiście potrzebowałam pomocy. Ale nie takiej, o jakiej myślał ten człowiek.

Gdy wyszedł, znowu przyłożyłam ucho do drzwi i tym razem, jakżeby inaczej, usłyszałam wysoki, suchy klekot, bardzo wyraźny i teraz już zdecydowanie brzmiący jak śmiech.

– Przestań! – wrzasnęłam, waląc pięściami w sosnowe drewno. – Przestań natychmiast!

Śmiech umilkł. A potem... potem do moich uszu dobiegł odgłos kroków. Drobnych, z wyraźnym dźwięcznym „łup!”, słyszalnym w momencie, kiedy stopa uderzała o podłogę. Żaden człowiek nie chodził w ten sposób. Zwierzę też nie. Tak mógłby poruszać się pająk, sześć, może więcej cienkich odnóży drobiących w nerwowym staccato. To coś... on... podszedł do drzwi z drugiej strony, a ja po raz pierwszy usłyszałam jego oddech, nie tuż przy mojej twarzy, ale znacznie wyżej, tam gdzie kończyła się framuga. Musiał być wielki, tak duży, że ledwo mieścił się w pokoju. Czułam jego masę, śmiech bulgoczący w głębi gigantycznego cielska, zapach mokrych od deszczu krzaków, dogasającego ogniska i karkówki z grilla. Odskoczyłam, rozdygotana i na wpół przytomna od zalewającej mnie paniki. Wpadłam do mojego pokoju, chwyciłam plecak, z którym wychodzę czasem na większe zakupy, i zaczęłam wrzucać do niego rzeczy. Laptopa z ładowarką, komórkę, spodnie dresowe, parę sztuk bielizny, dwie koszulki. W łazience na chybił trafił zgarnęłam z umywalki kilka kosmetyków i wybiegłam z mieszkania, w ostatniej chwili przypominając sobie, że powinnam zamknąć drzwi.

\*

Zatrzymałam się zdyszana dopiero nad stawem. Co dalej? Nie mogłam pójść do hotelu, bo nie było mnie na to stać. Mogłabym zadzwonić do Ewki, ale mieszkała teraz z chłopakiem i nie byłaby zachwycona, gdybym nagle stanęła na jej progu.

Została mi tylko matka.

Z ciężkim westchnieniem wybrałam numer i czekałam na połączenie. Dawno temu, jeszcze jako dziecko, podziwiałam jej samodzielność, to, że zdecydowała się radzić sobie w życiu bez mężczyzny u boku. Dopiero gdy miałam jakieś dwanaście lat, uczynna ciotka odciągnęła mnie na bok i poinformowała, dlaczego tak naprawdę nie mam ojca.

„To przekleństwo rodu Strachoniów – szepnęła konspiracyjnie. – Wszyscy nasi mężczyźni albo umierają młodo, albo odchodzą. Mój własny wyszedł dwadzieścia lat temu po mleko i do dzisiaj nie wrócił. Klasyka.

Twoja matka boi się, że ją spotka to samo, i dlatego woli się z nikim nie wiązać. Rozumiesz?”

Skinęłam głową. Prawda docierała do mnie powoli. Wcześniej fakt, że wśród krewnych mam prawie same kobiety, uznawałam za coś całkowicie naturalnego. A wtedy zaczęłam się nad tym zastanawiać. Rzeczywiście, długie i szczęśliwe małżeństwa rzadko zdarzały się w naszej rodzinie. Dwóch wujków popełniło samobójstwa, dziadek zmarł na zawał w wieku trzydziestu pięciu lat, było też kilka wypadków i jedna czy dwie śmierci z mniej oczywistych przyczyn. Rozwodów i zniknięć, gdy mężczyzna przepadał bez wieści, by odnaleźć się po latach na drugim końcu Polski z nową rodziną, nawet nie liczyłam.

Od tamtego dnia mój podziw dla matki zmienił się w coś niebezpiecznie bliskiego litości, a gdy zaczęłam dorastać, w pretensje. To ona i jej wieczne powtarzanie, że mężczyznom nie można ufać, zrobiły ze mnie osobę, którą teraz jestem. Tak myślałam przez lata.

– Halo? – Głos matki był rozmazany od snu. Zapomniałam, że Aleksandra Strachoń, jak przystało na prawdziwą artystkę, rzadko wstaje przed południem. – Coś się stało?

– Nic poważnego. Tylko... sąsiad zalał mi mieszkanie. Mogę się zatrzymać u ciebie na parę dni?

– Mam bałagan.

– Wiem. – Zawsze miałaś, dodałam w myślach.

Westchnęła.

– Jasne. Kiedy będziesz?

Od ulicy Zamenhoffa dzieliło mnie jakieś pół kilometra.

– Za dziesięć minut.

\*

Familok, w którym spędziłam dzieciństwo i sporą część młodości, przywitał mnie jak zwykle lekko wilgotnym chłodem i zapachem starego drewna. Schody trzeszczały pod moimi stopami, gdy wspinałam się na trzecie piętro. Klatka schodowa nie zmieniła się od czasów, gdy chodziłam do podstawówki, mieszkanie mojej matki co prawda niedawno zostało

odmalowane, ale panował w nim dokładnie ten sam bałagan, który pamiętałam z dawnych czasów. Walające się po podłodze ubrania, kartki papieru ze szkicami, tubki farby i brudne pędzle w poobijanych kubkach. I moja matka stojąca pośrodku tego wszystkiego, wysoka i chuda, ze strzeżoną jasnych włosów związanymi na czubku głowy frotką.

– Rozgość się – burknęła, podczas gdy Aria, jej stary owczarek, trącała mnie przyjaźnie pyskiem. – Ja wracam spać.

Poszłam do mojego dawnego pokoju i zwinęłam się na łóżku, w którym spałam jako dziecko, a potem nastolatka. *Jaka szkoda, że nigdy z nikim nie uprawiałaś tu seksu*, powiedziała Marcia Jones w mojej głowie, ale kazałam jej się zamknąć.

Zasnąłam, zanim zdążyłam naciągnąć na siebie koc.

\*

O dwunastej obudził mnie dolatujący z kuchni zapach smażonych naleśników. Wstałam i po raz pierwszy od wielu dni zjadłam z apetytem śniadanie.

– Ta awaria to poważna sprawa? – zapytała moja matka, stawiając na stole kubek z kawą.

– Co? – Spojrzałam na nią niezbyt przytomnie.

– No, to zalanie.

– A nie, niezbyt. Za parę dni powinni to usunąć.

Nie pytała, kto usunie ani co dokładnie się stało. Takie rzeczy nigdy jej nie obchodziły. Moja matka pod wieloma względami była archetypiczną wręcz artystką. Jakby odhaczała kolejne punkty: nieporządek w mieszkaniu, poplamione farbą ciuchy, niedbanie o prozaiczną codzienność. Nie po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że to wszystko jest, owszem, w jakiejś części prawdą, ale także starannym kamuflażem.

– I pamiętaj, dzisiaj ja gotuję, ale od jutra ty się tym zajmujesz albo jemy gotowe żarcie z Biedronki.

– Jasne – odparłam pokornie.

Wysłałam do sklepu w odrobinę lepszym humorze, a gdy odebrałam z Żabki paczkę jednorazowych maseczek, byłam już przekonana, że całe to zamieszanie z zamkniętym pokojem lada moment się wyjaśni, a ja jeszcze będę się z niego śmiać.

Tłumaczyłam aż do trzeciej, gdy na Facebooku nieoczekiwanie odezwał się Adam.

*Masz czas, żeby pogadać?*

*mam, a co?*

*Taka jedna sprawa. Wejdz na zooma.*

Weszłam. Adam czekał już na mnie w okienku.

– O co chodzi?

– O te, no wiesz, wspomnienia z dnia, kiedy zginął Grzesiek. Jest coś jeszcze i mam wrażenie, że powinnaś o tym wiedzieć.

– Czemu akurat ja? – Gardło mi się ścisnęło, a cały dobry humor rozplynął się jak bałwan na wiosnę.

– Bo to dotyczy ciebie. Kiedy zniknęłaś z Grześkiem, chwilę później poszedłem za wami. Nie pytaj po co. Chyba chciałem wyskoczyć z krzaków i was nastraszyć, jak będziecie się obmacywać. Durny pomysł, wiem. W każdym razie rozczarowałem się, bo zamiast macanek zobaczyłem kłótnię. Nie mam pojęcia, o co wam poszło, ale naprawdę solidnie na siebie wrzeszczeliście. W sumie to ty sprawiałaś wrażenie bardziej wściekłej niż on. I jeszcze... – Urwał na moment.

Nie chcę tego słyszeć, zdążyłam pomyśleć, ale on ciągnął dalej:

– Słyszałem coś za waszymi plecami. Między drzewami.

– Powinieneś powiedzieć o tym policji. To mógł być morderca.

Pokręcił głową.

– Nie sądzę. To nie brzmiało jak człowiek, prędzej jak jakieś duże zwierzę przedzierające się przez krzaki. Może to był pies tego faceta, który teraz zgłosił się jako świadek. Prawdopodobnie to nie ma nic wspólnego ze śmiercią Grześka.



– A nasza kłótnia ma?

Uciekł spojrzeniem w bok.

– Ty to wiesz, nie ja.

\*

Wzięłam Arię na spacer. Pies to idealny pretekst podczas pandemii, żeby wyrwać się z domu, bo zwierzę przecież musi załatwiać swoje potrzeby. Tym razem nie przejmowałam się więc patrolami policji, tylko śmiało szłam w stronę Borków. Za cmentarzem puściłam Arię, a sama wolnym krokiem skierowałam się nad staw, do miejsca, gdzie został znaleziony Grzesiek. Czekałam na przyływ paniki. Powinam ją poczuć, prawda? Leczyłam się na nerwicę i nawet głupia wiadomość o nakazie noszenia maseczek potrafiła wytrącić mnie z równowagi.

Ale nie poczułam nic oprócz lekkiego niepokoju i smutku.

*Cóż, jeśli to, co sugerował Adam, jest prawdą, to nie masz się czego bać,* odezwała się Marcia Jones.

A co on sugerował?

*Daj spokój, serio zamierzasz udawać idiotkę?*

Zatrzymałam się, patrząc na promienie słońca ślizgające się po gładkiej tafli wody. Wokół panowała pandemiczna pustka, ale gdy przymknęłam oczy, potrafiłam sobie wyobrazić, jak to miejsce powinno wyglądać w tak ciepły dzień. Rodzice z hałasującymi pociechami wylegający się na trawie, przyczepy kempingowe, namioty i zapach pieczonej na grillu karkówki.

Wspomnienia wracały, zagarniając mnie jak zimna, pachnąca wodorostami woda, w której zanurzałam się dawno temu, żeby wraz z przyjaciółmi płynąć do niewielkiej wyspy, która wciąż wznosiła się pośrodku stawu. Tak, pokłóciłam się z Grześkiem. Nie wiem o co, pewnie o jakieś głupstwo. Ale było naprawdę ostro, bo mój chłopak nie przebierał w słowach, a ja też potrafiłam odpyskować. Pamiętałam rosnącą we mnie wściekłość, która lada moment groziła przerwaniem wszystkich tam. Wtedy uciekłam.

Nie dlatego, że bałam się Grześka. Wręcz przeciwnie.

Uciekłam, ponieważ stanęłam twarzą w twarz z własną złością i wystraszyłam się tego, co ja mogłabym mu zrobić.

*No widzisz, to nie było takie trudne, odezwała się Marcia Jones. Teraz znasz prawdę. Ty go zabiłaś.*

Bzdura. Grzesiek żył, kiedy od niego uciekłam. Wołał nas przecież, wszyscy to pamiętają. A potem przez cały czas byłam z Anetą, Kariną i Adamem.

*Nie rozdzielaliście się, kiedy zaczęliście go szukać?*

Może i się rozdzieliliśmy. Ale wtedy nie byłam już wściekła. Wiem, bo to bym zapamiętała. Poza tym jakim cudem chuda piętnastolatka miałaby go zabić?

*Może znajdziesz odpowiedź w pokoju Ewki.* Marcia Jones zachichotała, a ja zagwizdałam na Arię i zapięłam jej smycz. Dość tych bzdur, pora wracać do domu, uznałam.

Gdy przechodziłyśmy koło cmentarza, siedzący na murku pijacek zawołał za mną, a kiedy się odwróciłam, pokazał mi dłońmi nieprzyzwoity gest.

– Masz ochotę? – zapytał, szczerząc zepsute zęby.

Gdy podeszłam bliżej, zsunął się z murka i zrejterował. Może na widok Aarii, była w końcu sporym psem.

A może na widok mnie.

\*

Nie jestem idiotką. Przeczytałam i przetłumaczyłam w życiu wystarczająco dużo kryminałów, by wiedzieć, że szanse na bycie morderczynią mam znikome. Może i traciłam czasem kontakt z rzeczywistością (*Jesteś pewna, że twój współlokator w ogóle istniał?* – szepnęła Marcia. *Kto tamtego wieczoru stłukł kubek i przewrócił krzesło?*), ale nie zabiłam Grzeška. Ciosy, które pozbawiły go życia, zostały zadane pod takim kątem, że sprawca musiał być wyższy niż ofiara, a ja przez całe gimnazjum zaliczałam się do kurdupli, dopiero w liceum zaczęłam rosnąć. Nie mówiąc już o tym, że po tak brutalnym zabójstwie morderca

z pewnością był pokryty krwią. Żaden deszcz nie zmyłby takich śladów z moich ubrań.

Czekałam, co powie Marcia, ale na szczęście siedziała cicho.

Zjadłam obiad i wróciłam do tłumaczenia. Pracowałam, od czasu do czasu zerkając na ekran komórki. Żadnej wiadomości od pani Ilony. Trzy razy do niej dzwoniłam i trzy razy odbiłam się jak od ściany. Gdyby chodziło o mojego rówieśnika, już dawno zaczęłabym panikować, ale pani Ilona nie należała do pokolenia ludzi zrosniętych ze smartfonami, postanowiłam więc czekać. Prawdopodobnie pojechała do córki albo do domku weekendowego, który miała gdzieś pod Tychami. Nie sądziłam, że jakakolwiek pandemia powstrzyma ją przed pieleniem ogródka czy co tam trzeba zrobić na działce o tej porze roku.

*Marcia Jones przeciągnęła leniwie nagie ciało i spojrzała na leżącego obok równie nagiego mężczyznę, który bawił się jej piersią.*

*– Naprawdę uważasz, że sprawcą tak brutalnej zbrodni mogłaby być kobieta? – zapytała.*

*– Naprawdę chcesz o tym rozmawiać akurat teraz? – odpowiedział z szelmowskim błyskiem w oku.*

Do północy skończyłam jeszcze jeden rozdział, odesłałam go redaktorce, po czym w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku obejrzałam odcinek Better Call Saul i zgasiłam światło. Liczyłam na to, że zasną natychmiast, tym razem jednak sen nie chciał nadejść. Zjawily się za to wspomnienia, zupełnie jakbym dzisiaj na Borkach otworzyła furtkę, za którą ukrywała się cała moja przeszłość. Zmarznięci i zmoknięci siedzimy na komisariacie w Szopienicach, miła policjantka częstuje nas herbatą, podczas gdy jej partner próbuje dodzwonić się do naszych rodziców. W 2005 roku większość ludzi miała już komórki, więc poszło sprawnie. Pierwsza zjawiała się matka Anety, z wilgotnymi włosami przylegającymi do twarzy i wytrzeszczonymi z przerażenia oczami. Potem moja, w mokrej podkoszulce z logo jakiegoś zespołu muzycznego, którego prawdopodobnie nawet nie słuchała. Jej bezsensowna pretensja, kiedy ciągnęła mnie w stronę samochodu: „Dlaczego mi nie powiedziałaś, że

masz chłopaka?”. Jakby to w tej chwili było najważniejsze. Wślizguję się na tylne siedzenie, wciąż nie do końca pojmując, co się stało na Borkach, a moja matka wciska pedał gazu i...

Musiałam zasnąć, bo gdy otworzyłam oczy, głowę miałam ciężką, jakby ktoś nasypał do niej piasku. Usiadłam na łóżku z mocno bijącym sercem. Coś mnie obudziło, ale co?

Pod drzwiami usłyszałam szelest i przez krótki, straszny moment myślałam, że to, co kryło się w pokoju Ewki, przyszło tutaj za mną. Ale to tylko Aria kręciła się niespokojnie po przedpokoju. Wiedziałam, że chce wyjść, i w pierwszym odruchu zamierzałam obudzić matkę. W końcu to był jej pies. Zlitowałam się jednak, dochodziła trzecia w nocy i moja matka prawdopodobnie dopiero co zasnęła.

- No dobra, skoro już mnie obudziłaś, to z tobą wyjdę - wymamrotałam, wsuwając stopy w tenisówki.

O szyby stukał wiosenny deszcz, wyjęłam więc z szafy w przedpokoju pierwszą z brzegu kurtkę, bo własnej oczywiście zapomniałam. To była ciężka narciarska puchówka, stosowna raczej w lutym, a nie na końcówkę kwietnia, nie miałam jednak czasu szukać innej. W kieszeni znalazłam woreczki na psie odchody. Znakomicie.

Wyszliśmy pod blok, Aria kucnęła na trawniku, a ja po niej posprzątałam. Deszcz bił o kaptur kurtki, przypominając mi tamten wieczór, gdy wsiadałam z mamą do samochodu, a ona wyglądała na wściekłą, jakbym to ja zrobiła coś złego.

Dodała gazu i... co dalej? Jakie to miało znaczenie? Pewnie wróciliśmy do domu, raz jeszcze obsztorcowała mnie za to, że nie powiedziałam jej o Grześku, a potem przytuliła - mimo wszystkich swoich wad wciąż była dobrą matką, martwiła się i...

Znów czegoś nie widziałam, jakiegoś kawałka układanki, który sprawiłby, że nagle cały obraz nabrałby sensu. Westchnęłam, pociągnęłam za smycz i Aria posłusznie podreptała za mną do domu.

W przedpokoju spróbowałam odwiesić do szafy kurtkę, ale w środku było tyle rzeczy, że nie potrafiłam domknąć drzwi. Popchnęłam je kolanem, coraz bardziej zirytowana. Wtedy urwała się poprzeczka, na

której wisały wieszaki, i z szafy szeroką falą wylały się ciuchy. Moja matka rzadko cokolwiek wyrzucała, były tam więc swetry, które pamiętały jeszcze zeszłe stulecie, wystrzępione żakiety i przedpotopowe płaszcze. Nerwowo zaczęłam wpychać to wszystko z powrotem, zanurzałam dłonie w kłębowisku, wyczuwając charakterystyczną fakturę wełny, polaru i sztruksu. A potem... potem dotknęłam czegoś innego, zimnego i gumowego. Jakbym dotykała skóry płaza. Przesunęłam czerwony golf, odsłaniając czarną pelerynę, dokładnie taką samą, jaką nosił zabójca.

Ale przecież wiedziałam, że moja matka ją ma, prawda? Sama w dzieciństwie nosiłam podobną, choć moja miała weselszy kolor. Dlaczego więc stałam teraz i gapiłam się na tę cholerną pelerynę, jakbym zobaczyła ducha?

No właśnie, dlaczego? – zagadnęła Marcia Jones zabarwionym złościwością tonem.

Mam piętnaście lat, wsiadam do auta i skulona na tylnym siedzeniu wyciągam rękę, która trafia na coś zimnego i mokrego. Matka patrzy na mnie uważnie w lusterku, ale jestem zbyt oszołomiona, by zacząć się zastanawiać, dlaczego, jeśli miała w samochodzie pelerynę przeciwdeszczową, przybiegła na komisariat w koszulce i džinsach.

Mam piętnaście lat, ukrywam się z przyjaciółmi w krzakach, sama za dobrze nie wiedząc, dlaczego to robię, przerażenie sprzed kilkunastu minut zaczyna się rozmywać, a ja wiem, że powinnam wracać do domu, jest późno, a matka zaraz przybiegnie mnie szukać. Możliwe nawet, przychodzi mi do głowy...

Możliwe nawet, że już tu jest.

Uniosłam spojrzenie znad ściskanej w dłoniach peleryny i natrafiłam na twarz mojej matki, która stała w progu swojego pokoju, o dziwo zupełnie niezaspana. Obrzuciła mnie czujnym spojrzeniem, ale nic nie powiedziała. Miałam wrażenie, że w jakimś sensie czekała na ten moment od lat.

– To byłaś ty – powiedziałam. – Ty zabiłaś Grześka.

– Chodź, zrobię herbatę. Już dawno powinnyśmy o tym porozmawiać.

Podreptałam za nią posłusznie, a Aria podreptała za mną. Uwaliała się pod stołem i całą kuchnię wypełniła woń mokrego psa.

– Byłaś tam – odezwałam się do pleców matki, która nalewała wody do czajnika. Wyrzucałam z siebie słowa, bojąc się, że jeśli nie zrobię tego teraz, to potem zabraknie mi odwagi: – Przyszłaś na Borki, zobaczyłaś, że Grzesiek na mnie wrzeszczy, zdenerwowałaś się i go zabiłaś. To ciebie widziałam. Ciebie, ubraną w pelerynę przeciwdeszczową. Wypłukałaś ją potem ze śladów krwi, z gumowanej powierzchni zesza łatwo, a jeśli na spodniach zostały jakieś plamy, to zawsze mogłaś powiedzieć, że pochłapałaś się farbą. A jednak bałaś się, że ktoś cię mógł w tej pelerynie zauważyć, dlatego kiedy tamten policjant zadzwonił, poszłaś na komisariat tylko w koszulce. Tak było, prawda?

Odwróciła się w moją stronę.

– Naprawdę uważasz, że mogłabym pobić nastolatka na śmierć?

– Dlaczego nie? Policja szukała co prawda mężczyzny, ale myślę, że wysoka, silna kobieta też dałaby radę. I zawsze byłaś wobec mnie bardzo... opiekuńcza. Ciągle powtarzałaś, że mam się trzymać z daleka od mężczyzn. I wkurzyłaś się, kiedy się dowiedziałaś, że mam chłopaka. Że miałam chłopaka – poprawiłam się.

– Wkurzyłam się, owszem. Gdybyś mi powiedziała, mogłabym cię jakoś przygotować. Ale wszystko poszło nie tak, jak trzeba. – Wzruszyła ramionami i sięgnęła po paczkę papierosów, zupełnie zapominając o wodzie, która właśnie się zagotowała.

– Przygotować na co?

Zapałiła, zaciągnęła się i wydmuchnęła dym, cały czas się gapiąc, jakby nagle wyrosły mi rogi.

– Jezu – powiedziała wreszcie. – Ty naprawdę nie wiesz co? Jakim cudem? Miałas przecież chłopaków?

Miałam jednego, chciałam powiedzieć, ale po minie mojej matki domyśliłam się, że smutna prawda o moim życiu erotycznym właśnie do niej dotarła.

- To był on - mruknęła. - Nie ja, tylko on. Kiedy zobaczyłam, że Grzesiek na ciebie wrzeszczy, obudził się i stało się to, co się stało. On też bywa... jak to określiłaś? Nieco zbyt opiekuńczy. Zwłaszcza kiedy agresorem jest mężczyzna albo chłopak. To nie była moja wina. Każda kobieta z naszej rodziny ma... swoją mroczną stronę. Swój cień. Nazwij to sobie, jak chcesz. Niektóre radzą sobie z nim lepiej, inne gorzej. Ja nigdy nie byłam w tym zbyt dobra. Myślałam, że po prostu masz to po mnie.

Nic, co powiedziała, nie miało sensu, a jednocześnie, na zupełnie innym poziomie, sens miało wszystko.

*Co naprawdę się stało tamtego wieczoru, kiedy stłukł się kubek?*

*I gdzie właściwie jest twój współlokator?*

Marcia zanosila się śmiechem, gdy z powrotem pakowałam do plecaka rzeczy i potem, kiedy wypadałam z mieszkania. Matka coś mówiła, widziałam jej poruszające się usta, ale nie usłyszałam ani słowa.

Resztę nocy spędziłam na zamkniętym z powodu pandemii placu zabaw. Deszcz co prawda już nie padał, ale wciąż było chłodno, drżałam więc, rozcierając zmarzniete ramiona. Teraz już naprawdę nie miałam dokąd iść.

Moja matka była morderczynią.

Ja prawdopodobnie też.

Postanowiłam, że jeśli znajdzie mnie tutaj patrol policji, do wszystkiego się przyznam. Powiem, żeby poszli do domu, otworzyli pokój Ewki i sami się przekonali. Ale jak na złość wokół panowała pustka, dopiero koło szóstej, gdy przysypiałam na ławce, zobaczyłam starszego mężczyznę wyprowadzającego jamniczka. Chyba chciał coś powiedzieć, ale spojrzałam na niego takim wzrokiem, że zrezygnował.

O siódmej zadzwonił telefon. Tak mnie to zdezorientowało, że minęła dobra chwila, zanim dokopałam się do komórki w plecaku. Szukając jej, wyrzuciłam wszystkie rzeczy, koronkowe majtki (*Szkoda, że nikt poza tobą ich nie widuje*) wylądowały w błocie. Sądziłam, że dzwoni moja matka albo on, mój cień. Dlaczego nie?

Ale to była pani Ilona. Oczywiście. Tylko starsze panie wstawały o tak absurdalnych porach i tylko one uważały, że wszyscy inni też to robią.

– Przepraszam bardzo, że dopiero teraz oddzwaniam – powiedziała lekko zdyszana. – Coś się stało?

Tak, pomyślałam. Mnóstwo rzeczy.

– Chciałam o coś zapytać, ale teraz to już nie ma znaczenia. Niepotrzebnie zawracałam pani głowę, przykro mi.

– Mnie też jest przykro. Z powodu tego chłopaka.

Patrzyłam, jak krople wody skapują z huśtawki. Kap, jedna kropla. Kap, druga.

– Yhy – mruknęłam, bo tylko na tyle było mnie stać.

– No wie pani, że się ostatecznie nie dogadaliście. Szkoda. – W głosie pani Ilony zabrzmiała wyraźna nagana. – Taki sympatyczny młody człowiek.

Nie dogadaliście się, pomyślałam. Cóż za dziwaczny eufemizm na określenie morderstwa.

– Na szczęście znalazłam mu miejsce u mojej koleżanki, która też wynajmuje mieszkanie. Ale, pani Agatko, pani naprawdę nie może się tak zachowywać. Nie można być taką pustelnicą. Trzeba czasem wyjść do ludzi. Spróbować być miłszą. Ja ten pokój przecież znowu wynajmę i wtedy...

Wreszcie dotarło do mnie, co pani Ilona mówi.

– Mój współlokator się wyprowadził?

– No tak, oczywiście. Powiedział, że się nie dogadujecie i dlatego musi zerwać umowę. Ale za miesiąc z góry mi zapłacił. – Ten fakt niewątpliwie ją pocieszał.

– Jak ten chłopak się nazywa? I gdzie teraz mieszka?

\*

Nazywał się Piotr Gołębiowski i przeprowadził się na ulicę Obrońców Westerplatte, też w Szopienicach. Od wyraźnie zdziwionej pani Ilony dostałam numer jego telefonu, ale nie zamierzałam dzwonić. Chciałam zobaczyć tajemniczego współlokatora na własne oczy, całego i zdrowego.



Poczekalam dla przyzwoitości do ósmej, znalazłam właściwy adres i zadzwoniłam do drzwi. Musiałam stać przy nich dłuższą chwilę, w końcu jednak otworzył mi pulchny, mniej więcej dwudziestoletni chłopak z szopą kręconych włosów. Wyglądał... pocziwie, zupełnie nie jak morderca czy ktoś, kto próbowałby doprowadzić do szaleństwa niewinną tłumaczkę.

– O Jezu, to ty. – Na mój widok próbował wycofać się w głąb mieszkania, ale mu nie pozwoliłam.

– Chcę z tobą pogadać.

– Po co? Jeśli masz pretensje o tamten wieczór, to przepraszam, jasne?

– Za co przepraszasz?

– Eeee... za wszystko. Za cokolwiek. Nieważne.

– Mogę wejść?

– Nie. Mój współlokator śpi, a ja zaraz muszę iść do pracy.

– To wyjdź na zewnątrz. Na pięć minut, obiecuję, że potem sobie pójdę. I weź kurtkę, bo jest zimno.

\*

Stał na trawniku pod blokiem, przestępując z nogi na nogę. Miał na sobie kurtkę przeciwdeszczową, czarną, trochę na niego za dużą. W kroju faktycznie przypominała pelerynę mojej matki. Tylko trochę. Cóż, nie pierwsza pomyłka, jaką w życiu popełniłam, i zapewne nie ostatnia.

– Opowiedz mi, co się stało tamtego wieczora w kuchni – poprosiłam.

Chciał chyba zapytać, jakiego wieczora, ale uznał, że to nie ma sensu, podobnie jak pytanie, po co mi to właściwie.

– Wróciłem późno, bo moja ciotka znowu się źle czuła. Niby miałem jej tylko pomagać w zakupach, ale ona kiepsko znosi pandemię, dlatego siedzę u niej praktycznie cały czas, kiedy nie jestem w pracy. Poszedłem do kuchni zrobić sobie coś do picia i wtedy... eee... wtedy przyszłaś. Przywitałem się, a ty... uhm...

– Mów dalej.

– Powiedziałaś coś dziwnego. Że jest gorąco i żebym...

Marcia Jones zachichotała, a mój żołądek wykonał fikołka. Naprawdę było ze mną źle.

– Żebyś pomasował mi piersi kostką lodu?

– No. Stałem jak wryty, a wtedy ty... wzięłaś moją rękę i położyłaś ją sobie na...

– Na cycku?

Skinał głową.

– Spanikowałem, przyznaję, i chyba cię odepchnąłem, kubek poleciał na ziemię, a ty się zdenerwowałaś. I było jeszcze coś... jakiś cień. Nie wiem. Zamknąłem pokój na klucz, a rano spakowałem się i wyprowadziłem. Przepraszam.

– Za co, przecież nic nie zrobiłeś. To była moja wina.

Wzruszył ramionami i uciekł spojrzeniem w bok. Wyglądało na to, że jest gotów powtarzać „przepraszam”, dopóki nie zostawię go w spokoju, zostawiłam więc i poszłam w stronę Morawy.

Pod drodze myślałam, że Piotr Gołębiowski naprawdę sprawia wrażenie sympatycznego chłopaka. Takiego, z którym mogłabym oglądać wieczorami filmy i dzielić się wrażeniami z pracy. Zakumplować się, jak z Ewką.

Szkoda, powtórzyłam w ślad za panią Iloną.

Straciłam moją szansę, ale przynajmniej nie musiałam się już martwić, że kogoś zabiłam.

\*

Wjechałam windą na czwarte piętro, otworzyłam drzwi i podeszłam pod pokój Ewki. W środku panowała cisza, ale wiedziałam, że tam jest. Czułam jego obecność. Czekał.

Położyłam plecak na podłodze i usiadłam obok.

– Słuchaj – powiedziałam. – Musimy poważnie porozmawiać. To nie może tak dłużej trwać. Jasne?

Zaklekotał, jakby się ze mną zgadzał.

– Pójdę teraz do kuchni, zrobię nam herbaty... Pijesz herbatę? Mniejsza z tym. Zrobię herbaty, a potem... potem usiądziemy i spróbujemy się jakoś dogadać.

f

# Anna Hrycyszyn

\*



## Vintagianka w Kosmosie

Lądowanie odbyło się nocą. Rozgrzana bańka opadała dostojnie na słupie ognia i wrzącej pary. Tuż nad ziemią wysunęła trzy mocarne łapy, które zakotwiczyły ją pewnie w miękkim gruncie. Systemy gaśnicze zdusiły płomienie usiłujące się rozprzestrzenić na łące. Pojazd stygł, podczas gdy jego pasażerowie nie mieli pojęcia, że dotarli do celu.

Pod powierzchnią planety zapanowało poruszenie. Pozornie delikatne strzępki przeciskały się pomiędzy korzonkami traw, zaintrygowane

zmianą, jaka miała nadejść.

\*

*Najlepsze biuro podróży międzyplanetarnych po tej stronie Słońca  
zaprasza na przygodę życia! Z nami wszystko może się zdarzyć!*

Brzmiało jak slogan wymyślony na poczekaniu przez młodego stażem, rozentuzjasmowanego pracownika. Holonapis kręcił się pod sufitem, rozsypywał na pojedyncze litery, opadał deszczem na podłogę, potem parował, zbijał się w chmurę nad moją głową i znów rozciągał w pulsujące wielobarwne zdanie, mające nas zachęcić do skorzystania z tego, a nie innego usługodawcy.

Mnie zachęcał wyłącznie do puszczenia pawia, a mimo to nie potrafiłam oderwać od niego wzroku. Na szczęście Artur znał mnie już wystarczająco dobrze.

– Da się to wyłączyć? – spytał, ruchem ręki wskazując opadające właśnie po raz trzeci litery. – Marcie kręci się w głowie, następne będą mdłości, a potem zamiast sprzedawać wycieczkę, trzeba będzie sprzątać.

Pracownik obsługi, który od wejścia przyglądał nam się z niewymuszonym uprzejmym uśmiechem, bez słowa wystukał na tablicie polecenie i drażniący napis zniknął, a pomieszczenie wypełniło się przyjemnym, łagodnym światłem.

– Może wody? Mam też tabletki przeciwko nadwrażliwości holo – zaproponował.

Zamrugalam i ostrożnie przeniosłam na niego spojrzenie. Gładkie policzki, nastroszone niczym igły jeża błękitne włosy i okrągłe okulary z liliowymi szklami. W tłumie nie miał szans się wyróżnić. Siedział sztywno na swojej mobilce, najwyraźniej wiedząc, że teraz każdy ruch może u mnie wywołać nieprzyjemne reakcje.

– Dzięki – wydusiłam. – Woda wystarczy, tabsy biorę stale.

– I mimo leków jest tak źle? – Nie zapanował nad zdziwieniem. – Też biorę holostopy, inaczej nie mógłbym pracować, ale u mnie, jeśli tylko o nich pamiętam, jest spoko.

- U mnie nie - warknęłam. Wkurzała mnie ta moja przypadłość, podobnie jak to, że właściwie wszędzie musiałam się z niej tłumaczyć. - Tabsy ratują mnie przed prostymi, mało ruchliwymi holo. To, co wy tu macie... - Machnęłam ręką, rezygnując z całej perory, która cisnęła mi się na usta.

Sprzedawca wyglądał na szczerze przejętego.

- Współczuję - powiedział i podjechał do dystrybutora z wodą. Powoli i ostrożnie. - Mam nadzieję, że już mija - dodał, wręczając mi kubek.

- Mija - potwierdziłam i łyknęłam wody, splukując z przełyku podchodzącą do gardła treść żołądka.

Sprzedawca odczekał jeszcze chwilę, po czym spytał:

- Możemy przejść do etapu, na którym proszę, byście usiedli i pytam, czym mogę służyć?

Rozejrzałam się, ale w pomieszczeniu stało tylko kilka mobilek. Te jednokołowe ruchome krzeselka, obecne dosłownie wszędzie, prowadzone - niczym dodatkowa kończyna - ruchami ciała i impulsami z mózgu użytkownika, stanowiły dla mnie wyzwanie nie do przeskoczenia. Kolejna rzecz, która dyskwalifikowała mnie z codzienności i skazywała na bycie vintagianką. Określenie „vintagianka” wymyśliłam, przeglądając stare katalogi z modą vintage w poszukiwaniu inspiracji dla własnych projektów. Słowo to uważałam za nadzwyczaj trafne i z uporem maniaka wrzucałam je w sieć. Chciałam, żeby się stało popularne. Może dzięki temu trafi na nie ktoś podobny do mnie i jego potrzeba przynależności zostanie choć trochę zaspokojona.

- Przepraszam. - Sprzedawca znów sięgnął do tabletu i ze schowka pod podłogą wyłonił się komplet prostych mebli: niski stolik i pompowane fotele. - Mobilki też powodują niedyspozycję? - zainteresował się.

- Nie umiem ich obsługiwać. Przewracam się - odparłam.

Brwi sprzedawcy, równie niebieskie jak włosy, podjechały w górę.

- Wbrew pozorom to nie jest zaskakujące - wyjaśnił Artur, choć nikt go nie prosił. - Zarówno problem z postrzeganiem hologramów, jak niemożność utrzymania równowagi na mobilce wynikają z niewłaściwej pracy błędnika. To właśnie dolega Marcie.

– Nie miałem zamiaru... – zająknął się sprzedawca.

Byłam pewna, że nie miał. Zirytowanie potencjalnej klientki na pewno nie jest zamiarem kogoś, kto chce zarobić. A on chciał. Każdy chciał. To jedno się nie zmieniło, mimo setek lat rozwoju ludzkości. Złoto, monety, wirtualna kasa na kontach, punkty, kredyty. Jakkolwiek to nazywaliśmy, rządziła posiadania kierowała światem.

– Chcę wykupić wycieczkę – powiedziałam, siląc się na spokój.

Tak naprawdę najbardziej chciałam wyjść, sytuacja już zdążyła mnie zmęczyć; kontakt z ludźmi sprawiał mi trudność, konieczność rozmowy, skupienia się na ich minach, gestach, słowach doprowadzała do bólu głowy i żołądka. No ale skoro wytrzymałam już tyle, to nie warto było tego marnować.

– Wycieczkę długoterminową – sprecyzowałam i usiadłam na fotelu.

Sprzedawca zsunął się z mobilki i ostrożnie zajął miejsce na drugim. Widać było, że nie jest przyzwyczajony do bezruchu. Artur stanął za mną i położył mi dłoń na ramieniu. Poczułam ciepło bijące z jego palców i napięte mięśnie moich pleców zaczęły się powoli rozluźniać.

– Mamy kilka interesujących ofert... – Sprzedawca sięgnął do tabletu i zastygł z wyciągniętą ręką.

– Ustawienie nieruchomych obrazów jest możliwe – odezwał się Artur. – Mogę pomóc.

– Nie, nie, nie trzeba, jestem przeszkolony, po prostu nigdy tego nie robiłem.

Po pierwszych ostrożnych ruchach sprzedawca nabrał pewności. Światło przygasło, a na jednej ze ścian ukazał się obraz planety.

– Najpopularniejsza z naszych wycieczek obejmuje lot pomiędzy pięcioma planetami...

Opowiadał długo i potocznie – ukryty talent, którego na co dzień zapewne nie miał jak wykorzystywać, bo znakomitej większości amatorów wycieczek pozaplanetarnych wystarczyło puścić holograficzny film. Tymczasem ja patrzyłam na nieruchome obrazy kolejnych planet, a moje myśli, kołysane niskim tembrem głosu sprzedawcy, odpływały w odległe

światy pełne majestatycznych drzew, łąk z trawami o grubych źdźbłach, falujących mór i szumiących rzecznych wodospadów. Nie było w nich betonu ani stali, słońce odbijało się w jeziorach, nie w szkłe pokrywającym mrówkowce, padał deszcz, mgła unosiła się znad pustych jak okiem sięgnąć wzgórz.

Kiedy obrazy zgasły, musiało minąć kilka chwil, zanim wróciłam do rzeczywistości.

Sprzedawca patrzył na mnie pytająco.

– Kupię najdłuższą podróż na najmniej uczęszczaną planetę – zdecydowałam.

Od tego momentu wszystko załatwiał Artur, a ja kończyłam ostatnie projekty, które miałam oddać domom mody, dla których pracowałam. Zarabiałam zdecydowanie dobrze, a wycieczka i tak kosztowała mnie trzydzieści lat życia na granicy ascezy i prawo własności mieszkania. Emerytura idealna – spełnione marzenie, przygoda, zmiana na lepsze. Nie mogłam się wprost doczekać dnia odlotu. Walizkę otrzymaną wraz z kostką reklamową i listą dopuszczalnych na pokładzie przedmiotów zapakowałam od razu pierwszego wieczoru. Potem otwierałam ją niemal codziennie i zapelniałam od nowa. Nie miałam zbyt wielu rzeczy, a jednak szybko się okazało, że limit wagowy, którego walizka nie pozwoliła mi przekroczyć, nawet mnie ogranicza. W chwilach frustracji włączałam kostkę. Artur ustawił ją na widoczek, który według niego był najładniejszy. Nie kłóciłam się – obraz uspokajał i jednocześnie wzbudzał tęsknotę.

Jezioro, rozchwierutany pomost, zamglony las i turyści. Jedno z nich łąwi ryby – sprzedawca długo rozprawiał o tym, jaka to niezwykła i ekscytująca sprawa, samemu zdobyć pożywienie – drugie myje włosy. W tle bańka podróżna. I kilka kolejnych startujących, a może dopiero lądujących na powierzchni planety. Patrzyłam na podróżników, ich wyluzowane miny, które łatwo było wziąć za znudzone. Zazdrościłam im i powtarzałam sobie, że już niedługo ja też będę mogła się nudzić pod czystym, nagim niebem. Choć raczej nie zamierzałam jeść zwierząt ani wpuszczać detergentów do zbiorników wodnych. Czy ta ryba smakowała



im szamponem? W jaki sposób pozbawili ją życia? I co dalej? Ugotowali ją? Rozpalili ogień? A może na wyposażeniu bańki była jakaś vintagiańska kuchnia?

Nigdy nie byłam w restauracji – nie jadłam dań przygotowywanych z pierwotnych składników. Moje śniadania, obiady i kolacje przychodziły do mnie w tygodniowych paczkach gotowych posiłków, które wystarczyło włożyć do przetwarzacza, ustawić urządzenie na określony smak (mój miał ich około czterdziestu do wyboru) i po minucie można było jeść. Wyglądały mało atrakcyjnie – jednolite batony w łagodnych kolorach brązu, beżu lub zieleni o mniej lub bardziej zbitej konsystencji – ale je lubiałam. Były tanie i nie wymagały ode mnie inwestowania czasu – mogłam więcej pracować i więcej oszczędzać – a ponadto zawierały wszystko, czego potrzebowało moje ciało, gdyż firma dietetyczna weryfikowała je, opierając się na comiesięcznych badaniach podstawowych.

Jakie wrażenie na języku zostawiała ryba złowiona w jeziorze? Jaką fakturę miało jej mięso? Czy ością naprawdę można się zadławić na śmierć?

– Tyle rzeczy cię interesuje, Marto – mówił Artur, gdy mu się zwierzałam z tych rozmyślań.

– A ty? Niczego nie jesteś ciekaw? – spytałam któregoś wieczoru, gdy szykowaliśmy się do snu.

Milczał dobre piętnaście sekund. Niezwykle długo jak na niego.

– Jestem ciekaw, czy znajdziesz tam to, czego szukasz – odpowiedział w końcu.

Tego i ja byłam niezwykle ciekawa.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłam na obcej planecie, była znajoma, zatroskana twarz Artura. Nie mam żadnych wspomnień z odlotu ani lądowania. Amnezja okołohibernacyjna pozbawiła mnie także pożegnania z Ziemią – jeśli takie w ogóle miało miejsce – oraz momentu wchodzenia do bańki i układania się w hiberkoi.

– Jesteś? – spytał Artur. – Nie musisz mówić, wystarczy, że mrugniesz. Mrugnęłam zatem, a czoło Artura natychmiast się wygładziło.

– Parametry medyczne w porządku, masz dreszcze, to normalne. – Wyciągnął do mnie rękę. – Wstań. Przyniosłem szlafrok.

Dreszcze faktycznie trzęsły mną tak, że aż dzwoniły mi zęby. Wychłodzone ciało za wszelką cenę próbowało się rozgrzać. Stanięcie na nogi było prawdziwym wyzwaniem i raczej nie udałoby mi się bez Artura, który praktycznie wyjął mnie z koi, po czym otulił puchatym szlafrokiem.

– Cie... ep... lej – wystękałam. – Wyjść...?

Mina Artura dobitnie świadczyła o tym, że nie uważa natychmiastowego zwiedzania za dobry pomysł, ale przecież znał mnie już wystarczająco dobrze.

Pomieszczenie hibernacyjne wraz z ambulatorium i biblioteką danych znajdowało się na najwyższym poziomie trzykondygnacyjnej bańki. Miałam wrażenie, że wędrujemy na dół godzinami. Szłam powoli, kroczek po kroczku, jak uparte małe dziecko, które musi samo, choć przecież matka mogłaby bez problemu wziąć je na rękę. Albo ofiara wypadku, która uczy się chodzić od nowa.

– Jaka... tam... pogoda? – wydyszałam, gdy stanęliśmy przed głównym włazem. – Jest dzień?

Na twarzy Artura pojawił się delikatny uśmiech. Nie wiedziałam, czy to wyraz pobłażliwości, czy raczej aprobata dla przejawów rozsądku, którymi się właśnie wykazałam.

– Pora jest idealna, Marto. Słońce właśnie wschodzi. Widok z pewnością jest piękny, choć temperatura na razie nie przekracza pięciu stopni Celsjusza, więc możesz zmarznąć. Chcesz otworzyć drzwi?

Musiałam tylko nacisnąć guzik. Żadnej wajchy do pociągnięcia, żadnego zamka otwieranego pokrętłem przypominającym wielką kierownicę. Mimo to, gdy gródź nazwana przez Artura drzwiami opadała w akompaniamencie syków i zgrzytów, tworząc na moich oczach most do obcego świata, bijące gwałtownie serce podeszło mi do gardła.

– Sama. Ja sama.

Artur puścił mój łokieć i cofnął się o krok.

Planiści z biura podróży zrobili dobrą robotę. Bańka wylądowała na szczycie płaskiego wzgórza pokrytego trawą. U jego stóp rozciągało się jezioro, na którego lewym brzegu czerniała ściana lasu. Las. Słowo, które oczywiście znałam, ale jego żywego ekwiwalentu nie widziałam nigdy. Zza drzew wylańało się słońce. Promienie ślizgały się po tafli jeziora, wywołując jaskrawe błyski, od których natychmiast rozboleły mnie oczy. Strzępy mgły tańczyły nad wodą, tym mniejsze i delikatniejsze, im wyżej było słońce. Prawy brzeg, soczyście zielony, wznosił się łagodnie, tworząc wyższe od naszego wzgórze, którego szczyt porastały kępy krzewów. Znad jeziora dobiegał melodyjny trel.

– Ptak śpiewa – powiedział Artur. – To piękne.

Nie należałam do osób wrażliwych na muzykę, jednak w tych naturalnych dźwiękach brzmiała radość i siła, wezwanie i pewność odpowiedzi. Artur miał rację – to było piękne. Odetchnęłam nienaturalnie głęboko, wciągając do płuc obce powietrze. Smakowało zupełnie inaczej niż to, do którego byłam przyzwyczajona. Zakręciło mi się w głowie.

– Dość. – Artur podtrzymał mnie, zanim zdołałam się przewrócić.

Oszołomiona wrażeniami pozwoliłam się wziąć na ręce i zanieść z powrotem do bańki, która podczas naszej krótkiej nieobecności zdążyła przemeblować się w całkiem przyjemne mieszkanie.

– Brakuje pomostu – powiedziałam, gdy Artur posadził mnie na sofie. – Jak ty zniosłeś podróż?

Zapytany, przybrał lekko kpiący wyraz twarzy.

– Pytasz, bo chcesz mnie już wysłać do budowy tego pomostu, czy to pytanie dyktowane troską?

– No wiesz? – Zrobiło mi się głupio i natychmiast przyjęłam zaczepny ton.

– Nie wiem, dlatego pytam – odparł Artur, a na jego twarzy dostrzegłam autentyczną ciekawość.

– Troską – odpowiedziałam.

Artur skinął głową.

– Nie było tak źle jak u ciebie, ale trochę mi zajęło skoordynowanie ciała i umysłu.

– Cieszę się – powiedziałam szczerze i półzartem dodałam: – To kiedy zaczynamy budowę?

Dni upływały na oswojaniu się z nowym domem. Chodziliśmy na spacer, zbieraliśmy próbki roślin i poddawaliśmy je analizie pod kątem jadalności. Dieta batonowa, którą przewidziało biuro podróży, szybko wzbogaciła się o miejscowe owoce i jadalne korzenie. Pewien gatunek drzew wydzieliał słodki sok, którego dodawałam do naparu z wysuszonych liści niewysokiej krzewinki – ta tutejsza herbata ogromnie mi smakowała. Artur ćwiczył łowienie ryb i nawet dobrze mu szło, ale jak dotąd każdą złowioną sztukę kazałam mu wypuszczać z powrotem do jeziora. Jeszcze nie byłam gotowa na tak ekstrawaganckie próby kulinarne.

– Chciałabym, żeby czas płynął jak najwolniej – powiedziałam tego wieczoru, gdy pierwszy raz rozpaliliśmy ognisko. Ściśle według wytycznych pobranych z biblioteki danych: okrąg z kamieni, zeschnięte gałęzie zrzucone przez drzewa, próchno na rozpałkę. – A może wcale nie musimy wracać? – spytałam z nadzieją.

– Za siedem miesięcy i dwadzieścia dwa dni skończą się racje żywnościowe – zaczął Artur, beznamiętnie przypominając warunki podpisanej przeze mnie umowy wycieczkowej. – Bańka rozpocznie przygotowania do startu za siedem miesięcy i dwadzieścia trzy dni. Jeśli nie będzie nas wtedy na pokładzie, wystartuje bez nas.

– Nie musisz psuć wieczoru. – Skrzywiłam się.

– Jeśli do tego czasu nauczysz się jeść zwierzęta i uda nam się zbudować jakieś schronienie, nie jest wykluczone, że tu zostaniemy.

– Jutro. Spróbuję jutro, jeśli złowisz jakąś rybę. Upieczemy ją nad ogniem.

Jednak wraz z jutrem nadszedł deszcz. O świcie nie było feerii wschodzącego słońca, którą podziwiałam, odkąd tu przylecieliśmy. Ciężkie chmury pokryły niebo, świat stał się szary i mokry. Mimo deszczu

wyszliśmy na spacer. To było ciekawe doświadczenie: jakbym chodziła pod ogromnym zimnym prysznicem. Po powrocie, gdy ja rozgrzewałam się w suszarni, Artur przetestował wodę deszczową, a kiedy testy pokazały, że jest bezpieczna, nałapał jej, bym mogła się napić.

– Woda deszczowa, która nadaje się do picia, to dobra wiadomość. Gdybyś faktycznie odmówiła powrotu.

Deszcz padał bez przerwy przez sześć dni. Łąka stała się grząska i którejś nocy jedna z łap naszej bańki zapadła się w rozmokłym gruncie. Nagły przechyl obudził mnie ze snu. Nie zdążyłam jednak nawet w pełni zrozumieć, co się dzieje, gdy zadziałały systemy kontrolne i pojazd wyrównał położenie. Poziom wody w jeziorze rósł z dnia na dzień, a my po każdym spacerze suszyliśmy nasze ubrania. Zaczęłam się zastanawiać, jak to będzie moknąć bez naszego kosmicznego domu i jego udogodnień dla podróżnych.

– Może da się jakoś obejść polecenie odlotu? – spytałam Artura, moszcząc się na sofie z czytnikiem, do którego załadowałam instrukcję budowy prostych domów z drewna i ziemi.

– To byłaby kradzież – odpowiedział. – Chcesz zostać złodziejką?

Właściwie było mi wszystko jedno, jak będą mnie nazywać na Ziemi. Byle nie przylecieli tu, aby zaprowadzić mnie przed oblicze sprawiedliwości.

– Nie, nie chcę – odpowiedziałam nie do końca szczerze.

Artur popatrzył na mnie przeciągle; z pewnością wyczuł moje wahanie, jednak nie kontynuował tematu.

Siódmego dnia deszcz ustał i pojawiły się grzyby.

Obudziłam się wcześniej, półświadomie wyczuwając zmianę. Ubrałam się szybko i dołączyłam do Artura, który już czekał na mnie przy drzwiach. Na zewnątrz było niemożliwie pięknie. Łąki i las parowały, pod wpływem ciepła oddając atmosferze nadmiar wilgoci. Jezioro zmieniło kolor na lekko rdzawy – najwyraźniej deszcz poruszył zalegający na dnie muł. Rozproszone promienie słoneczne kładły się złotem na trawie i koronach drzew. W powietrzu wyraźnie czułam nowe dla mnie zapachy. Słodkie, korzenne, piżmowe, ciężkie. Zeszłam na łąkę. Słodycz należała do

kwiatów, które musiały rozkwitnąć ostatniej nocy, bo dałabym sobie głowę uciąć, że nie było ich tu wczoraj. Drugi zapach fluktuował. Jego napięcie to wzrastało, to niemal zanikało. Owiewał mnie, a potem odpływał, jakby jakiś niewidzialny olbrzym oddychał w moją stronę. Przyciągał mnie i ostrzegawczy okrzyk Artura na nic się nie zdał – ruszyłam za wezwaniem.

Wyrosły przy jednej z trzech łap bańki. Pięć smukłych nóg nakrytych kapeluszami we wszelkich odcieniach brązu. Sięgały mi do pasa. Podeszłam blisko, choć od intensywnego zapachu zakreśliło mi się w głowie. Wyciągnęłam rękę.

– Marto, nie!

Uśmiechnęłam się i dotknęłam kapelusza. Suchy, gładki, ciepły. Poruszył się pod moimi palcami. Nie wystraszyłam się. Kiedy byłam dzieckiem, w naszej dzielnicy żyła bardzo bogata kobieta. Mieszkała z psem, którego czasem pozwalała mi zabierać na spacer. Dzięki niej miałam możliwość obcowania z żywym zwierzęciem. Przypomniałam sobie o tym, gdy dotarło do mnie, że głaszczę kapelusz tak, jak głaszałam grzbiet Pufona. Całą dłonią, powoli, z czułością.

– Nie wiemy, co to, Marto.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że Artur patrzy na mnie z dezaprobatą. Wzruszyłam ramionami.

– Za późno. Jeśli coś miało się stać, to się stało. Ale ręka ani mnie nie piecze, ani nie swędzi.

– Zapach jest uzależniający. Z całą pewnością te... – zawahał się – rośliny...?

– Grzyby – odpowiedziałam.

– Racja. Te grzyby wydzielają coś w rodzaju wabika. Straciłaś zdolność racjonalnej oceny. Mogłaś już nie żyć.

– Najwyraźniej nie o to im chodzi. – Znów się uśmiechnęłam i lekko podrapałam kapelusz.

Grzyb zamruczał.

– Słyszałeś to? – Cofnęłam rękę, lekko zaskoczona. – Mruczenie?

– Co?

– Mruczenie – powtórzyłam. – On zamruczał. – Podrapałam kapelusz jeszcze raz i znów usłyszałam niski wibrujący dźwięk. – Jak kot. Nigdy nie widziałam żywego kota, ale słuchałam uspokajających nagrań z mruczeniem. Wiesz, co to kot?

– Oczywiście, że wiem. – Artur chyba poczuł się urażony. – Ale nie słyszę żadnego mruczenia. Marto, masz omamy. Ta woń wywołuje omamy. Musisz natychmiast wrócić ze mną do bańki. Trzeba to zneutralizować.

Zignorowałam go. Weszłam między grzyby i zaczęłam je kolejno głaskać i drapać. Mruczenie, którego Artur nie słyszał, wprawiało mnie w dobry nastrój. Grzyby też były wyraźnie zadowolone. Kapelusze wyginały się, gdy zbliżałam do nich rękę, miękły pod moimi palcami, falowały, zmieniając kształt.

– Marto! – Artur stał na granicy grzybowego kręgu i najwyraźniej nie wiedział, co robić. – Proszę, wracaj do bańki.

Zamiast posłuchać, kucnęłam i teraz drapałam grzyby po chropowatych nogach, wywołując głośniejsze mruczenie. Unoszący się wokół nas zapach stawał się coraz mocniejszy. Powietrze od niego gęstniało. Grzyby już nie mruczały, to był regularny narastający warkot. Drapałam je coraz mocniej, coraz bardziej zapamiętałe, a one przysuwały się do mnie, nachylały kapelusze, prosiły o więcej. Nie słyszałam już Artura, nie widziałam niczego oprócz skórzastych kapeluszy i szorstkich nóg. Kręciło mi się w głowie, ale po raz pierwszy w moim życiu było to przyjemne uczucie.

Ocknęłam się, leżąc w medkoi. Bolała mnie głowa i ręka, do której podpięty był wężyk kroplówki. Artur stał przy monitorze i obserwował zmieniające się cyferki. Bezbłędnie wyczuł, że już jestem przytomna.

– Parametry wracają do normy. Miałaś znacznie podwyższone tętno i ciśnienie krwi, zaburzenia kontaktu. Będziesz miała siniaki. Musiałem cię mocno trzymać, wyrywałaś się.

Milczałam chwilę, trawiąc informacje.

– Co z grzybami?

– Nie zniszczyłem ich, jeśli o to pytasz.

– Dziękuję – powiedziałam. – Ja... powinnam być ostrożniejsza. Będę ostrożniejsza przy następnym kontakcie.

Nie odpowiedział. Wrócił do studiowania wyników, choć byłam pewna, że nie jest to już potrzebne.

– Arturze. – Poczekaj, aż się do mnie odwróci. – Dziękuję, że mnie stamtąd zabrałeś. Cieszę się, że ze mną jesteś. Nie mam do ciebie pretensji, nie gniewam się, nie zrobiłeś nic niewłaściwego.

Skinął głową.

– To było trudne – powiedział.

– Wyobrażam sobie.

Wyciągnęłam do niego rękę, a on po chwili wahania ujął ją ostrożnie.

– One szybko rosną – powiedział, wciąż trzymając moją dłoń. – I zmieniają położenie. Wygląda na to, że potrafią chodzić.

– Nagrywasz to? – Usiadłam podeksytowana, co medkoja natychmiast oprotowała przeciągłym sygnałem.

– Nagrywam. Poleż, dopóki nie skończy się kroplówka.

Położyłam się zatem i zaczęłam gapić na zawartość woreczka, jakbym mogła tym sprawić, że płyn szybciej znajdzie się w moich żyłach. Byłam podeksytowana. Sprzedawca biura podróży nie zająknął się nawet na temat grzybów, gdy zachwalał nam akurat tę planetę. Nie wiedział o ich istnieniu? Wiedział, ale nie chciał o nich mówić? Wiedział, ale nie widział w grzybach nic ciekawego? Ot, kolejny element krajobrazu planety, którą wybierają turyści chcący obcować z naturą niezdeptaną betonowym butem cywilizacji? Grzyby nie mogły być niebezpieczne. Gdyby takie były, planeta nie dostałaby przecież statusu otwartej dla turystów. A może jednak nie wiedział?

Myśli zapętlily się, poziom płynu w woreczku i sam woreczek widziałam coraz mniej wyraźnie i w końcu odpłynęłam w sen. Proces



detoksykacji organizmu, jaki zafundowali mi lekarz pokładowy z Arturem, okazał się bardziej męczący, niż mogłabym przypuszczać.

Nie spałam długo. Jeszcze tego samego dnia obejrzałam nagrania z zewnętrznych kamer skierowanych na grzybowisko i zaopatrzona przez Artura w filtry oddechowe poszłam na kolejny rekonesans. Na filmie było wyraźnie widać, jak grzyby rosną. Proces rzeczywiście był niezwykle szybki. Do tego u stóp starszych okazów pojawiły się nowe. Stałam w pewnej odległości i przez chwilę przyglądaliśmy się sobie w milczeniu. Że grzyby na mnie patrzą, poznałam po tym, że wszystkie wyciągnęły się w moją stronę. Dyskretny, lecz zauważalny ruch. Zamiast pięciu było ich teraz dwanaście. Stały jeden przy drugim, w ciasnocie ocierając się kapeluszami, i wgapiały się we mnie wyczekująco.

– Cześć – powiedziałam niepewnie.

Założenie komunikacji jest takie, że kiedy ją inicjujesz, oczekujesz odpowiedzi. Sensem przywitania jest reakcja drugiej strony. Przyznaję jednak, że w tej sytuacji nie spodziewałam się odpowiedzi. Tymczasem ona przysłała do mnie, ziemią, przelała się między korzonkami traw, zawibrowała na podeszwach butów i przeniknęła przez nie, by powędrować w górę, znaleźć rdzeń kręgowy i z delikatnym łaskotaniem dotrzeć do mózgu.

– Co to? – pytały grzyby. – Co to? Co to?

Potrząsnęłam głową, ale echo nie cichło, wręcz przeciwnie: wibracje nakładały się na siebie i stawały coraz silniejsze, coraz bardziej natarczywe, łaskotanie zmieniło się w ucisk, a ucisk w ból. Opadłam na kolana i ludzkim odruchem zasłoniłam uszy, choć nie mogło to przecież pomóc.

– Nie! – krzyknęłam i grzyby posłusznie zamilkły.

Oddychałam ciężko, filtry nie ułatwiały nabierania powietrza.

– Nie ściągaj ich!

Artur, jak zwykle czujny, natychmiast znalazł się obok. Uświadomiłam sobie, że jakimś cudem zapomniałam o jego obecności.

– Wszystko w porządku – powiedziałam najpewniejszym tonem, na jaki było mnie stać. – Zaskoczyły mnie. – Wstałam i próbowałam się uśmiechnąć, ale filtr skutecznie mi to uniemożliwił. – Naprawdę w porządku.

Artur nie wyglądał na przekonanego, ale puścił mnie i cofnął się odrobinę.

– Nie możecie mówić wszyscy naraz – zwróciłam się do grzybów. – Rozumiecie?

– Wszyscy? Kto wszyscy? Kto? Kto? Kto?

– Nie!

Grzyby zamilkły, ale ich kapelusze falowały, wyciągając się w różne strony. Rozglądały się.

– Inaczej. Mówicie za głośno. Potraficie ciszej? Bez tego echa?

Przez chwilę nic się nie działo, a potem poczułam pod stopami delikatny nacisk i do mózgu dotarł pojedynczy głos.

– Tak?

Ulga i radość zalały mnie ciepłą falą. Odurzyła mnie świadomość, że oto prowadzę rozmowę z przedstawicielem obcego gatunku, choć przecież nie powinno to być możliwe. Planety turystyczne były wnikliwie sprawdzane pod kątem rozumnych ras.

– Tak? – powtórzyły grzyby. – Tak?

– Tak! Tak jest dobrze. Słyszę was i rozumiem. Jestem Marta Łęcka. Z Eurazji. Z Ziemi. Z Układu Słonecznego... – Przerwałam, bo dotarło do mnie, że grzybom prawdopodobnie nic to nie mówi. – Z daleka.

– Daleka, daleka... Marta daleka... Marta, Marta, Maaarta... daleka... Co to, co to?

– Bańka? W niej przybyliśmy. Długa podróż. Spałam całą drogę.

– Spałam... Spałam...?

– Wy nie śpicie? Spać to odpoczywać. Leżeć bez świadomości, jakby wyłączyć się.

– Wyłączyć? Wyłączyć...? Nie być...?

– Nie. Nie. Być, tylko nie działać, nie wiedzieć, co się dzieje dookoła...

- Kiedy jest sucho, wyłączyć. Wyłączyć.
- Wzrastacie dzięki deszczowi? To logiczne, jesteście grzybami.
- Jesteście... jesteście... jesteście!
- Ja jestem, wy jesteście.
- Jestem. Jestem.
- Wy wszyscy to jeden? Jesteś jeden?
- Jeden... Jeden... Jeden...

Zbitki głosek, jaka pojawiła się w mojej głowie w tym momencie, nie potrafiłabym wymówić. Przyprawiła mnie o ucisk graniczący z bólem.

- Nie rozumiem. Nie... po... o... trafię – zająknęłam się. – To imię?
- To ja. Ja. Ja. Mkmdm...

W następnej chwili Artur pomagał mi wstać.

- Dość na jeden dzień – powiedział stanowczo, a ja nie próbowałam z nim dyskutować.

Od tamtej pory zaczęłam regularną obserwację grzybów (nie potrafiłam myśleć ani mówić o nich w liczbie pojedynczej, mój umysł najwyraźniej nie miał w sobie nic z elastyczności prawdziwego badacza), co przekładało się na: rozmowy, oglądanie nagrań z kamer ustawionych na tryb śledzenia, w razie gdyby obiekt postanowił zmienić lokalizację, szczegółowe notatki z tego, co widziałam i słyszałam, rejestr pytań, jakie mi zadawały, oraz własnych wniosków, wątpliwości i rzeczy, o które chciałam zapytać w przyszłości. Wyobrażałam sobie, że jestem odkrywczynią z czasów, gdy ludzie nie znali nawet całej Ziemi, i czułam się w tej roli doskonale. Była idealna dla vintagianki. Żałowałam, że nie potrafię pisać ręcznie, a jeszcze bardziej, że nawet gdybym umiała, to i tak nie byłoby mnie stać na papier, więc co najwyżej mogłabym prowadzić ręczne notatki na tablicie, a to, miałam wrażenie, zupełnie co innego.

Grzyby nie zawsze miały ochotę na rozmowę, więc czasem siadałam między nimi i czytałam albo tworzyłam projekty kreacji dla nich. Casualowych, okolicznościowych i takich zupełnie odjechanych, które moim zdaniem najbardziej do nich pasowały. Czasem też po prostu

leżałam, gapiąc się w kawałki nieba widoczne pomiędzy kapeluszami – poza byciem naukowczynią-amatorką robiłam wszystko, co powinno się robić na wakacjach, oddawałam się zapomnianym przyjemnościom i słodkiemu lenistwu. Artur z kolei dużo czasu spędzał na podglądaniu ptaków. Fascynowały go od tamtego pierwszego powitalnego koncertu. Chodził na długie spacery, nagrywał śpiewy, zbierał pióra i próbował sił w rysunku, bo fotografie mu nie wystarczały. Wszystkie znaleziska szczególnie opisywał i gromadził w specjalnie przeznaczonych do tego celu przez biuro podróży gablocie w bibliotece danych. Lubił robić dla mnie prezentacje, a kilka razy wybrałam się z nim – trudno było nie podziwiać wprawy, jakiej nabrał w bezgłośnym podchodzeniu tych płochliwych stworzeń.

Wybudowaliśmy też w końcu pomost i zjadłam kawałek ryby. Wcześniej patrzyłam zafascynowana, jak Artur układa ją na kamieniu i pojedynczymi pewnymi ruchami odcina jej głowę, a potem ogon. Pierwszy raz w życiu widziałam martwą istotę. Wzdrygnęłam się, gdy Artur wyjął z niej wnętrzności, ale najgorszy był dźwięk towarzyszący oskrobywaniu rybiego ciała z łusek. Wyobraziłam sobie, że nóż trzymany przez Artura przesuwają się w ten sposób po mojej skórze. Ciarki przebiegły mi wzdłuż kręgosłupa, serce przyspieszyło i poczułam suchość w ustach.

– Może nie powinnaś się temu przyglądać. – Głos Artura wyrażał troskę. – Zawołam cię, jak będzie już gotowa do spożycia.

Przez chwilę rozważałam daną mi szansę, czułam jednak, że to nie byłoby fair wobec ryby, której ciało miało zasilić moje.

– Zostanę. Nic mi nie jest – skłamałam nieudolnie. – I powinnam się przyzwyczajać, jeśli chcę tu zostać. Daj mi ten nóż.

Po chwili wahania Artur skinął głową i podał mi narzędzie. Ryba upieczona nad ogniem nadal przypominała siebie żywą i wzięcie jej do ust kosztowało mnie sporo wysiłku. Nie mogę powiedzieć, czy była dobra. Na pewno nie przypominała smaku, który w moim przetwarzaczu nosił nazwę „zupa rybna”, ani tego określanego hasłem „łosoś z rusztu”. Fascynował mnie za to kolor mięsa i to, jak dzieli się ono wzdłuż ości.

– Mogłabym je jeść – powiedziałam do Artura. – Dałabym radę. Ale póki jedzenie w bańce się nie skończy, nie musimy pozbawiać ich życia.

Później opowiedziałam grzybom o moim pierwszym naturalnym posiłku. Nie rozumiały, z czego wynika mój problem. Pokazały mi, w jaki sposób same się żywią. Prowadzona ich wskazówkami, odsłoniłam ukrytą pod warstwą porośniętej trawą gleby plechę. Między strzępkami wiły się cienkie, długie robaki. Specjalnie dla mnie plecha owinęła się wokół błyszczącego śliskiego ciała. Po kilku minutach nie został po nim ślad. Grzyby wchłonęły go całkowicie, znacznie bardziej ekonomicznie, niż ja zrobiłam z rybą.

– Mnie też byście mogły tak całkowicie unicestwić? – spytałam. – Zjadłybyście mnie całą?

– Dużo czasu. Dużo. Tak.

Wciąż przyglądałam się plesze. Kolejny robak zniknął w uścisku delikatnych, nagich strzępek. Myślałam o tym, czy odczuwałabym ból. Czy grzyby by mnie udusiły? Może otruły? A może jedynie sparaliżowały i umierałabym długo, rozpuszczana i wchłaniana po kawałeczku?

– Nie chcę jeść Marty. Nie chcę. Nie. Ciekawy jak smakuje. Tak. Ciekawy. Zjedzona Marta nie rozmawia. Nic nowego. Nie chcę jeść. Nie.

– Ja też nie chcę was jeść – odwzajemniłam się. – Choć ludzie jedzą grzyby. Na Ziemi, w dawnych czasach, można je było znaleźć w lasach. Teraz do lasów nie wolno wchodzić bez wysokiej opłaty, niczego też nie wolno z nich zabierać. Nigdy nie jadłam grzyba.

Grzyby milczały przez dłuższą chwilę. Wyczuwałam między nimi napięcie – jakby intensywnie o czymś myślały. Niespodziewanie załała mnie fala niepokoju.

– Wymiana – powiedziały wreszcie, gdy już zaczęłam rozważać powrót do bańki. – Dam kawałek mnie. Marta da kawałek Marty. Da?

– Więc jednak chcecie mnie jeść? – Pomyślałam o legendarnych rytuałach, o których czytałam. Braterstwo krwi. Zjedanie kawałków pokonanych wrogów, by przejąć ich męstwo. Poza tym niektóre części ciała człowieka nie były mu nadmiernie potrzebne. – Czy mały palec u nogi wam wystarczy?

– Nie! Marto, tracisz rozsądek. Co się z tobą dzieje?

Nie słyszałam kroków Artura, najwyraźniej zbyt zaabsorbowana rozważaniami na temat wymiany energetycznej między grzybami a mną.

– Nie możesz poważnie tego rozważyć! Gdzie masz filtry?

Wzruszyłam ramionami, choć zrobiło mi się niewyraźnie. Od kilku dni nie nosiłam filtrów – za pierwszym razem dlatego, że o nich zapomniałam, potem, kiedy nie wydarzyło się nic niepokojącego, uznałam, że już nie są mi potrzebne.

– Co to? Co to? Co to?

Pytanie grzybów huknęło mi w głowie.

– Co to?

– Artur? Pytacie o Artura? Ciszej! Mniej! Proszę!

– Ar-tur! Ar-tur! Co to?

Skrzywiłam się boleśnie.

– Mój towarzysz – wystękałam. – Proszę!

Grzyby ucichły. Podziękowałam im, delikatnie głaszcząc najbliższy kapelusz. Natychmiast zaczął pomrukiwać i uginać się pod moją ręką. Powoli wracał do mnie spokój, niestety Artur uznał, że powinien się wtrącić.

– Na dziś już dość, dobrze? – spytał. Miał zmartwioną minę i na ten widok moje samopoczucie od razu się pogorszyło. – Według mnie byłoby wskazane wyhamować trochę prace badawcze nad grzybami. Mówisz i robisz rzeczy, które mogą być dla ciebie niebezpieczne. Naukowiec powinien mieć większy dystans.

Chyba nie mógł mi delikatniej powiedzieć, że zaczynam wariować. Nadal głaszałam grzyba, trochę na złość Arturowi, a trochę dlatego, że byłam ciekawa, czy się zdecyduje przerwać mi siłą, jak już mu się zdarzyło. Patrzyłam na niego badawczo i wyzywająco zarazem. Artur jednak nie dał się sprowokować. Po prostu odwzajemniał spojrzenie, a jego twarz wyrażała coraz większe zmartwienie. Podrapałam wystawiający się do pieścizot kapelusz po raz ostatni i zrobiłam krok w tył.

– Może zatem wybierzemy się na obchód jeziora? – zaproponowałam pojednawczo.

Artur przytaknął, a jego rysy zmiękczyła ulga.

Obchód jeziora planowaliśmy od pierwszego dnia pobytu. Zamierzaliśmy zabrać namiot – w który zaopatrzyło nas biuro podróży i z którego obsługi oboje zostaliśmy przeszkoleni – i niespiesznie obejść jezioro, a następnie przenocować pod gołym niebem. Początkowo odwlekaliśmy to z powodu zrozumiałej potrzeby zorientowania się w tutejszych warunkach pogodowych, potem moją uwagę niemal w stu procentach pochłonęły grzyby.

Teraz poświęciliśmy cały jeden dzień na zebranie odpowiedniego ekwipunku, a także przeciwiczyliśmy rozkładanie i składanie namiotu. To pierwsze było banalnie proste – wystarczyło zwolnić zatrzask korka, a nasz przenośny dom pompował się do kształtu małego budyneczku z wygodnymi łózkami, które trzeba było potem dopasować do własnej sylwetki za pomocą taśm i klamer. Z kolei pierwszym etapem składania było podłączenie odsysacza i to też stanowiło łatwą część zadania. Natomiast złożenie całości do poręcznego pakunku, który dopinało się do plecaka, stanowiło nie lada wyzwanie. W pojedynkę żadne z nas by sobie nie poradziło, razem stanowiliśmy świetny duet.

Gdy później tego dnia odwiedziłam grzyby, by je poinformować o naszej kilkudniowej wycieczce, stały przytulone. Ich kapelusze nachodziły na siebie, a nogi były tak blisko jedna drugiej, że niemal się o siebie ocierały. Pojęłam, że patrzę na chatkę podobną do naszego namiotu.

– Podglądacie nas? – spytałam półzartem.

– Schron. Marta bezpieczna. Nie mokra. Nie zimna. I blisko.

Poczułam, jak robi mi się miękko w środku. Ta troska obcego organizmu na planecie oddalonej od Ziemi o setki bilionów kilometrów wywołała wzruszenie – uczucie, którego nie doświadczałam przesadnie często.

- Nie zamierzamy wędrować długo - zapewniłam. - Wrócimy tu i opowiem wam o wszystkim, co zobaczę. Byłyście kiedyś po drugiej stronie jeziora?

- Miejsce tu dobre. Wilgotne. Tam dobre. Wilgotne. Za górą dobre. Wilgotne. Nie potrzeba iść.

- Mówicie, że wszędzie jest tak samo? - domyśliłam się.

- Dobre, wilgotne - powtórzyły grzyby.

- Ale może my widzimy co innego niż wy?

Przez kapelusze przeszła fala drżenia.

- Pójdzie kiedy jasno? Dzień?

- Tak, jutro o świcie. Zabierzemy kamery, będziemy wszystko nagrywać. Kiedy wrócimy na Ziemię, łatwiej będzie wspominać.

Drżenie spotęgniało. Spod kapeluszy posypał się pył. Zareagowałam natychmiast - uderzyłam kolejno każdy z trzech filtrów, zwiększając poziom absorpcji. Artur byłby ze mnie dumny.

- Zmartwiony. Boi. Nie chce. Przeprasza.

Cofnęłam się o krok, potem kolejny - trawa wokół grzybowych nóg pociemniała.

- Wrócimy - rzuciłam, odwracając się na pięcie.

Szłam do bańki na miękkich nogach. Nie byłam pewna, czy to skutek jedynie przestachu, czy też mimo filtrów obca substancja dostała mi się do płuc. Niezależnie od przyczyn z ulgą myślałam o jutrzejszej wycieczce. Kilka dni z dala od grzybów wydało mi się nagle doskonałym pomysłem.

Obudziłam się bez budzika, grubo przed wschodem słońca. Artura nie było w sypialni. Wzięłam prysznic, włożyłam przygotowane wcześniej ubrania i poszłam do kuchni. Bez entuzjazmu zjadłam przewidziany na śniadanie baton, zrobiłam herbatę i z kubkiem w ręku poszłam do biblioteki, gdzie spodziewałam się znaleźć Artura. Ta była jednak pusta. Zajrzałam do ambulatorium i skoro już weszłam na górę - także do pomieszczenia hibernacyjnego, choć prawdopodobieństwo znalezienia tam Artura było bliskie zeru. Zeszłam z powrotem na poziom mieszkalny



i kolejno zaglądałam do wszystkich pomieszczeń – włącznie z łazienką. Od tego momentu zaczęłam odczuwać niepokój. Rozsądek podpowiadał, że nie ma do tego żadnego powodu, jednak ciało reagowało instynktownie. Zbiegłam na poziom techniczny. Przy włączniku wejściowym stały gotowe plecaki. Mniejszy mój i znacznie większy Artura. Artura, którego na dole także nie było.

– Jest wcześniej, bardzo wcześniej, nie panikuj – powiedziałam sama do siebie, co nie było dobrym pomysłem, bo drżał mi głos.

Pewnie poszedł na ptaki, robił to już. Albo łowi ryby. Albo jest za drzwiami i czeka na wschód słońca. Gorączkowe myśli pojawiały się i znikwały, a ja stałam i nie wiedziałam, co mam robić.

– Po prostu otwórz drzwi! – fuknęłam na siebie.

Autopolecenie wykonałam natychmiast, nie poszłam jednak od razu na łąkę. Słońce nie wyszło jeszcze zza drzew, ale jego blask zdążył zaróżowić wschodnie niebo. Z tą nieśmiałą barwą ostro kontrastowała czarna, poszarpana linia lasu i granatowe niebo na zachodzie. Ptak, może nawet ten sam, który powitał nas dwa miesiące temu, śpiewał w trzcinach. Zalała mnie fala ciepła. Ten świat był piękny, ja zaś czułam się w nim u siebie. Chłonełam widok, a moje serce waliło mocno i nie byłam już pewna, czy z powodu otaczającego mnie piękna, czy ze strachu wywołanego niespodziewanym zachowaniem Artura, którego nie zobaczyłam po wyjściu na zewnątrz ani wtedy, gdy otrząsnęłam się z zauroczenia i powoli obeszłam bańkę. Niepokój narastał. Wydawało mi się to do niego niepodobne: pozwolić sobie na wyjście bez uprzedzenia w dniu takim jak ten. Mieliśmy plan, byliśmy umówieni. Owszem, wciąż się dopasowywaliśmy, nie znaliśmy pewnie nawet połowy swoich reakcji czy zachowań. Ale Artur nigdy nie dał mi powodu, bym mogła myśleć, że porzuci nasze wspólne plany z błahego powodu. Jeśli więc nie było go w bańce ani w jej bezpośrednim pobliżu, to coś musiało się stać.

Byłam w trakcie drugiego okrążania obozu, gdy dotarło do mnie, że grzybów nie ma w ich zwyczajowym miejscu. Zmrużyłam oczy, broniąc się przed ostrymi promieniami słońca, które w końcu wynurzyło się z lasu, i rozglądałam się w poszukiwaniu kapeluszy. Uderzyła mnie myśl, że

opuściły mnie w tym samym czasie co Artur. Dlaczego? Czy nie zasługiwałam na towarzyszy? W krótkiej chwili doświadczyłam całego spektrum uczuć: żalu, strachu, poczucia niesprawiedliwości, złości, a nawet wstydu. A potem zamknęłam oczy, wzięłam kilka głębokich oddechów i skupiłam się na tym, że Artur, a może i grzyby mogą potrzebować mojej pomocy. Wróciłam do bańki po zestaw ratunkowy i podjęłam obchód, systematycznie zwiększając promień. Wkrótce dostrzegłam grzyby. Stały zbite w ciasną gromadę, osłonięte wzniesieniem terenu. Pognałam w ich stronę, nie przejmując się nierównościami terenu i obciążającym mnie plecakiem.

– Marta! Mar-ta! Marta! Nie, nie, nie, nie. Wypadek! Nie. Nie chciał. Nie wiedział. Towarzysz taki smaczny. Bardzo smaczny. Nie, nie, nie.

Napór grzybich emocji zgiął mnie wpół. W pierwszej chwili nie zrozumiałam, co do mnie mówią.

– Marta zła. Marta smutna. Źle. Źle. Źle. Towarzysz taki smaczny. Nie jadł cały. Marta zostanie?

– Cicho! – krzyknęłam, z trudem utrzymując się na nogach. – Zamknijcie się!

Grzybie nogi podrygiwały, kapelusze pobladły. Trawa dookoła zmieniła kolor z soczyście zielonego na rdzawo-brązowy.

– Co zrobiliście z Arturem? – spytałam, wyraźnie akcentując każde słowo. – Bez echa!

– Marta widzi, Marta widzi, patrzy. Nie jadł cały.

Grzybowy mur rozsuwał się powoli. Najpierw zobaczyłam stopy obute w żółto-zielone treki. Potem kolejno moim oczom ukazywały się nogi, biodra i dłón z palcami częściowo pozbawionymi skóry i ścięgien, które w modelach klasy Artura były wykonane z substancji organicznych. Zrobiło mi się niedobrze. Spojrzałam na twarz mojego towarzysza. Chciałam go zawołać, spytać, czy wszystko w porządku. Zamiast słów moje usta opuściła struga wymiocin. Twarz Artura wyglądała makabrycznie. Zniknął lewy policzek, kawałek nosa i oko. Brzezi rany wyglądały jak nadtopione. Spoza nich wyzierał gładki kompozyt, a na dnie

metalowego oczodołu zebrała się szara maź. Później, gdy już zapanowałam nad żołądkiem, zidentyfikowałam ją jako tkanę mózgową.

– Nie cały zjedzony. Nie.

Nie miałam siły, by odpowiedzieć. Chciałam przestać słyszeć grzyby. Chciałam nigdy ich nie spotkać. Chciałam nawet cofnąć się w czasie i stchórzyć przed wejściem do biura podróży. Z nami wszystko może się zdarzyć! W dupie miałam takie wszystko. Przywiązałam się do Artura. Lubiłam go. Był dla mnie ważny. Był też martwy, a ja zostałam kompletnie sama na obcej planecie z popieprzonymi grzybami, które zeżarły mojego towarzysza.

– Nie! – powiedziałam głośno przez zaciśnięte zęby. – Tak nie będzie! Nie!

– Nie cały. Nie cały!

– Zamknijcie się! Cisza!

Opuściłam powieki i zasłoniłam uszy, odcinając się od bodźców. Świadomie starałam się uspokoić serce pompujące krew w zawrotnym tempie. Musiałam pomyśleć. Artur nie mógł zostać z grzybami. Do bańki nie było aż tak daleko.

Otworzyłam oczy i obeszłam leżące ciało. Nie chciałam ciągnąć Artura za nogi, więc chwyciłam go pod pachy i szarpnęłam. Zwątpiłam już po pierwszych metrach, ale uparcie parłam rakiem, ciągnąc ciało, na które starałam się nie patrzeć.

Po mniej więcej stu metrach padłam na ziemię. Byłam mokra od potu i bolały mnie nadwyreżone nadgarstki.

– Kurwa mać.

Wstałam i zdjęłam bluzę. Chciałam ją włożyć Arturowi pod plecy, rękawy przeciągnąć pod pachami i użyć jak liny, ale zanim zdążyłam to zrobić, jego ciało lekko uniosło się do góry.

– Pomoc.

Słowo zawibrowało mi u nasady czaszki. Pojedyncze, ciche, bez śladu echa.

– Wilgoć. Ślisko. Marta ciągnie lepiej.

Kapelusze grzybów, które wyrosły pod Arturem, pokryły się błyszczącym śluzem. Pchnęłam ciało na próbę i rzeczywiście poszło o wiele łatwiej. Odwróciłam je więc nogami do przodu i sunęłam w górę po wyrastających przed nami grzybach. Gdy zmęczona do granic świadomości dotarłam do bańki, ledwie zdołałam wydukać podziękowanie.

Dostarczenie Artura do wnętrza naszego domu zmusiło mnie do uruchomienia windy, której do tej pory nie używaliśmy, ponieważ korzystaliśmy ze stromeego trapu. Ściągnęłam na dół także medkoję, a kiedy znaleźliśmy się w ambulatorium i podpięłam Artura pod system lekarza pokładowego, pozwoliłam sobie wreszcie na rozluźnienie. W konsekwencji siedziałam na podłodze i szlochałam rozpaczliwie, nie próbując się powstrzymywać, dopóki gwałtowny płacz nie wypłukał ze mnie całego dotychczasowego stresu. Łzy wysychały, system pikał, a ja gapiłam się na swoje ręce i myślałam o obgryzionej dłoni Artura.

– Po co do nich polazłeś? – mruknęłam.

Przeciągły sygnał poinformował mnie o zakończeniu procesu diagnostycznego. Wstałam natychmiast i rzuciłam się do ekranu. Lekarz stwierdził awaryjne wyłączenie systemu i wprowadzenie organicznej części mózgu w śpiączkę. Hodowla skóry mogła zostać rozpoczęta na moje polecenie, niestety specjalistyczne ścięgna, na które producent Artura miał patent, mogły być uzupełnione jedynie na Ziemi. Prawa dłoń miała więc pozostać niesprawna. Również po nową gałkę oczną Artur musiał wrócić na Ziemię. Oczywiście mógł funkcjonować z jedną – terapia pomogłaby w nauczaniu się funkcjonowania z utraconym poczuciem głębi i niemożnością prawidłowej oceny odległości. Najgorsze były ubytki w organicznej części mózgu – niewielkie, bo grzyby jedynie skosztowały najważniejszego organu, ale jednak braki. Najbardziej ucierpiały kora ruchowa i przedczołowa, ze szczególnym uwzględnieniem obszaru odpowiadającego za pamięć roboczą. Mogło to skutkować problemami z planowaniem ruchu oraz dokonywaniem wyboru działania, które należało podjąć w odpowiedzi na jakąś sytuację. Do tego Artur mógł się stać impulsywny i stracić zdolność oceny, jakie zachowanie jest

akceptowalne społecznie. Fakt, że nie będzie miał pełnego zakresu ruchów jednej bądź kilku części ciała, stanowił w tej sytuacji jedynie dopełnienie.



Nie musiałam zadawać pytania o rekomendacje. Dobrze wiedziałam, że Artur powinien wrócić na Ziemię i zaliczyć pełen serwis medyczny, techniczny i cybernetyczny u producenta. I że powinno się to odbyć możliwie najszybciej.

Stałam przy medkoi i przyglądałam się nieruchomemu ciału mojego towarzysza. Jego okaleczona twarz już nie przyprawiała mnie o mdłości – odczuwałam za to silny żal. Artur i wycieczka to był mój plan emerytalny. Nie radziłam sobie na Ziemi, nigdy nie założyłam rodziny, między ludźmi czułam się jak dziwaczka, a większość rozrywek i spora część tak zwanego normalnego życia były dla mnie niedostępne ze względu na moje dolegliwości. Producenta wybierałam bardzo starannie. Nie chciałam

standardowych modeli ze standardowymi funkcjami. Chciałam towarzysza – tak bardzo ludzkiego, jak będzie to możliwe, a jednak akceptującego we mnie to, co powodowało, że z prawdziwymi ludźmi nie potrafiłam się dogadać. Artur był doskonały. I miałam w nosie, że to dlatego, że jest odpowiednio zaprogramowany.

– Po co? Po co tam poszedłeś? – spytałam ponownie, wiedząc, że nie dostanę odpowiedzi. – Cholera, chciałam tu zostać!

Nie przewidywałam, że uda mi się zarobić na kolejną podróż. Zresztą w wyniku obrażeń Artura planeta zostanie zapewne przesunięta do grupy niebezpiecznej dla turystów.

Z powrotem usiadłam na podłodze. Jeszcze przez krótką chwilę nie chciałam podejmować decyzji. Nie chciałam odlatywać. Nie chciałam wracać na Ziemię. Tyle że Artur musiał.

Gdy wreszcie wstałam, okazało się, że spędziłam w ten sposób prawie dwie godziny. Jedyne, co zyskałam, to ból zdrętwiałych nóg.

Nie poszłam się pożegnać, nie spojrzałam po raz ostatni własnymi oczami na jezioro, które dało mi rybę, na las ani na grzyby. Odwiozłam Artura do pomieszczenia hibernacyjnego, nie bez wysiłku wtaszczyłam go do hiberkoi i wydałam bańce polecenie przygotowania się do przedterminowego powrotu. Potem rozpakowałam nasze plecaki, wzięłam długi gorący prysznic i ułożyłam się do snu, z którego miałam obudzić się na Ziemi, jakbym jej nigdy nie opuściła, jakby wszystko, co przeżyliśmy z Arturem, stanowiło jedynie senne marzenie, które zmieniło się w koszmar.

\*

Delikatne strzępki wysunęły się z ucha towarzysza, pozostającego w trybie rekonwalescencji. Poruszały się ciekawie na wszystkie strony, szukając podłoża, na którym mogłyby założyć kolonię. Nie potrzebowały wiele. Coś organicznego, w co mogłyby się wczepić, oraz trochę ciepła i wilgoci w przyszłości. Może, gdy już zrobi się jasno, poproszą o to Martę – wyczuwały jej obecność w ciemnym kącie pomieszczenia.

- Marta dobra. Nowy dom... Inny, ciekawy. Artur... Artur dobry.  
Smaczny.

# Aleksandra Zielińska

\*



Stopa Słonia



Okuma potrafiła być bardzo cicha. Okuma potrafiła być bardzo cicha i nawet specjalnie nie musiała się starać, jej kroki same wpasowywały się w trzaski ściółki, oddech synchronizował z wiatrem pośród liści, wszystkie dźwięki, jakie wydawała, należały już do dźwięków lasu, i nawet wprawne ucho nie zdołałoby wychwycić różnicy.

Okuma przyklękała na jedno kolano, oparła dłoń o pień brzozy, drugą zanurzyła wśród liści, żeby dotknąć ziemi, bo czuła się bezpiecznie, otoczona pomrukiwaniami Olifanta, niosącymi się pod spodem – korzeniami, niemi grzybni, ciekami wodnymi. Wciągała w nozdrza nowe zapachy, obce, a jednocześnie znajome, choć zapomniane, tak pachnieli inni ludzie, gdy była mała. Zmrużyła oczy, chcąc przebić wzrokiem ciemność nocy, choć noce w zonie wcale nie były znowu takie ciemne. Widać było gwiazdy, żadne światło z dołu nie zaśmiecało nieba.

Okuma zastygła i obserwowała przybyszów.

Było ich pięciu, podobnego wzrostu i podobnej masy ciała, ubrani w jednakowe lekkie mundury, co trochę zdziwiło Okumę, bo kto zapuszczał się do zony, nie robił tego bez stroju ochronnego i maski gazowej, do tego blisko granicy, nie w głąb, bo w głębi dalej unosił się pył po kaszlu Olifanta. Wydawali się spięci, ale zorganizowani, dwóch rozpałało ognisko, jeden rozkładał mapy, dwóch pozostałych wpatrywało się czujnie w las, nie widząc tak naprawdę nic, bo gdyby widzieli to, co Okuma, nie zapuściliby się tak głęboko w zonę. Byli uzbrojeni, ale żadna broń nie będzie skuteczna przeciwko oddechowi Olifanta. Na dodatek jeden wyraźnie kulał.

Okuma wstała, zaczęła się wycofywać, pewna, że i tak będzie musiała wrócić w to miejsce, i to może nawet nieraz, będzie musiała śledzić obcych i dopilnować, by odeszli tak szybko, jak się tu znaleźli.

Zanurzyła się głęboko w las, pozwoliła się nieść nogom pośród drzew, ścieżką w kierunku miasta, kolce na gałęziach dzikich malin jej nie zatrzymywały, tkanka lasu przyjęła jak swoją – inaczej już dawno umarłaby od promieniowania albo porosła korą, kwiatami czy liśćmi paproci.

Okuma dotąd nie widziała ludzi tak blisko miasta. Owszem, czasem zdarzali się wędrowcy, ale raczej pojedynczy i raczej już martwi, nadtrawieni przez ściółkę, skuleni u stóp brzoź albo wczepieni w wystające korzenie dębów. Nigdy nie udało jej się dostrzec ich twarzy, bo zwykle pokrywały je już porosty i mszaki. Samobójcy, szaleńcy, wyznawcy, jeden pies, jeden chuj. Raz, gdy była bardzo mała i jeszcze błąkała się po zonie, nawołując rodziców, natrafiła na oddział żołnierzy ubranych w stroje ochronne. Przeczesywali okolicę, brodząc w mule naniesionym przez falę, przestępowali powalone drzewa. Szli miejskimi drogami, zawalonymi przez zwłoki i wraki samochodów. Okuma chciała poprosić ich o pomoc, żeby zabrali ją z tego trzęsącego się świata, zabrali do rodziców, znaleźli jej rodziców, jej rodzice są w niebezpieczeństwie, przecież pracowali w samym brzuchu Olifanta. Coś ją jednak powstrzymało, i dobrze, bo wkrótce się okazało, że oddział wcale nie przyszedł ratować ocalałych z katastrofy, a pozabijać zwierzęta, które porzucili uciekający mieszkańcy. Oni i im podobni, którzy zjawiali się później, strzelali do psów na łańcuchach przy opuszczonych domach, przykładali lufy do głów krowom, które kładły się jedna obok drugiej, morzone głodem w zasranych oborach, w końcu przestali przychodzić, kiedy się okazało, że umierają. Okuma nie umarła, Okuma została. I wiedziała już, co musi zrobić.

Teraz szła przez las i kątem oka złowiła ruch od strony rzeki, która kiedyś nosiła nazwę obecną w atlasach geografii, a dla Okumy stała się rzeką Limpopo, bo teraz Okuma była jedyną, która mogła nadawać nazwy.

To mogły być kiedyś sarny, parę pokoleń temu zapewne wyglądały jeszcze normalnie, brązowe z białymi kuprami, jak w bajkach puszcanych w telewizji przed katastrofą. Teraz poruszały się powoli, majestatycznie i zadziwiająco lekko, choć miały zdrewniałe stawy. Z daleka dało się dostrzec korę, która zastąpiła futro i tworzyła na głowach saren korony zwieńczone szyszkami. Szyszki fosforyzowały.

Okuma zatrzymała się, stado zrobiło to samo. Przyglądały się sobie przez chwilę, po czym sarny ruszyły dalej, równoległe z nurtem Limpopo. Wtedy ziemia lekko zadrżała, w rytmie kroków, ciężkich i wolnych, jak

gdyby nadchodzące zwierzę nie podnosiło za wysoko łap, jak gdyby nie musiało, jak gdyby wyrastało z ziemi.

Okuma знаła ten ruch. Oto nadciągał duch lasu.

Widziała go po wielokroć, pojawił się po raz pierwszy kilka lat po katastrofie, pewnego dnia po prostu przeszedł przez miasto, jak gdyby stanowiło jego własność, potem natrafiła na niego w lesie, zawsze daleko od granic zony, jakby zataczał koła, ale coraz bliżej serca Olifanta.

Był dużo większy niż zwykle niedźwiedzie. Gdy Okuma była dzieckiem, wydawało się jej, że zasłaniał niebo, teraz budził skojarzenia raczej z domem albo małą górą. Poruszał się na dwóch lub czterech nogach, zostawiał głębokie ślady w ziemi, z rysem pazurów grubych jak przedramiona Okumy. Brązowe futro połyskiwało w świetle gwiazd. Z jego głowy wyrastały długie, obłe liany, na kształt ramion ośmiornicy. Sześć. Badał nimi przestrzeń przed sobą, dotykał drzew, prześlizgiwał się po ściółce, oplatał kamienie, jak gdyby w ten sposób chciał widzieć więcej, może i widział, bo jedna z macek wyrastała wprost z oczodołu.

Duch lasu się nie zatrzymał. Przeszedł obok Okumy w spokojnym rytmie, ramieniem przejechał delikatnie po jej stopach, jak gdyby była elementem runa. Dotyk sprawił jej przyjemność, Stała i patrzyła, jak zwierzęta oddalają się w głąb zony, wzdłuż nurtu Limpopo. Parę dni temu widziała rodzinę dzików, powoli kroczących w tym samym kierunku.

Okuma wkrótce skierowała się z powrotem do miasta, ale po drodze nie mogła się skupić. Myślała o żołnierzach, myślała o tym, że rzeka Limpopo wpada do oceanu tuż koło samego serca Olifanta, koło Stopy Słonia.

\*

Najpierw podnosi się poziom wody, jak gdyby w brzuchu oceanu budziła się wielka czarna fala. Woda wzbiera u samego dna razem z Okumą, wynosi ją na powierzchnię i pcha prosto w łód, w paszczę Olifanta, łamiąc przy okazji jego kominy, z tej perspektywy cienkie jak patyki, pod grubym betonowym płaszczem trzęsą się rozgrzane do czerwoności reaktory. Okuma nie wie, czy falę wzniosła katastrofa, czy to fala katastrofę

wywołała, naczynia połączone, myśli, a woda płynie dalej, przez parkingi, drogi, w końcu przez miasteczko, zgarnia samochody, budynki, ludzi, w końcu też rodziców Okumy. Pod wodą otwierali i zamykali usta jak ryby.

Okumę obudziło niskie, przeciągłe muczenie krowy. Usiadła na łóżku, naciągnęła na siebie dres, nie zdążyła narzucić skóry, choć powinna, bo poranki stawały się coraz zimniejsze. Przebiegła przez kuchnię domu, który obecnie zajmowała, budząc przy okazji kilka kotów, i wypadła do ogrodu, gdzie od jakiegoś czasu pały się krowy. Mogły się paść, gdzie chciały, a wybrały akurat ogród domu burmistrza, wcześniej pastwisko przy szkole i trawnik na osiedlu inżynierów, wszędzie tam, gdzie nocowała Okuma, jak gdyby dalej chciały przebywać w zasięgu człowieka.

Jedna z krów niespokojnie kręciła się w miejscu, inne zataczały koła wokół niej, muczały wszystkie, unisono. Okuma weszła między te ciężkie, parujące ciała, a one się rozstały, zrobiły przejście do rodzącej. Cielę musiało się zaklinować w kanale rodnym. Okuma już takie rzeczy widziała – jako dorosła, jako dziecko nigdy, będąc córką inżyniera, nie widziała nawet krowy na żywo.

Teraz w mieście było więcej krów niż inżynierów.

Okuma wróciła do domu, odprowadzana obojętnymi spojrzeniami kotów. Zabrała linę i gdy wróciła, przywiązała ją do nóg cielęcia, wypchniętych na powierzchnię.

Okuma tym się zajmowała. Gdy Olifant przegnał wszystkich w promieniu setek kilometrów, ona została, żeby wypuszczać krowy z obór, spuszczać psy z łańcuchów, głaskać porzucone koty, organizować jedzenie tym, którzy go potrzebowali, być, gdy pojawiała się potrzeba, gdy wtapianie się w zonę nie szło gładko, i robiła to ciągle, bez zastanowienia, wiedząc jedynie, że odejdzie dopiero wtedy, gdy ostatnie zwierzę domowe w mieście zdechnie albo wrośnie w las.

Cielę wysunęło się z wnętrza krowy z chlupotem, wylało na udeptaną kopytami trawę, z wodami płodowymi wydobył się zapach rozkładu, który wróżył źle, więc Okuma odeszła na parę kroków, pozwoliła krowom

otoczyć małe i matkę, i zaczęła się zastanawiać, co zrobić z truchłem: zakopać czy wyrzucić. Zaraz jednak pośród niskiego muczenia rozbrzmiało wysokie, zaskoczony, mocne. Oto nowo narodzone witało się ze światem.

Okuma na powrót weszła między krowy, stanęła w kole niczym jedna z nich i patrzyła, jak małe pewnie staje na nogi, daje się lizać matce. Silne, mocne. Przetrwaj.

Zaraz zagryzła wargi, bo cielę patrzyło na nią podwójnym spojrzeniem dwóch identycznych głów.

\*

Zjawili się w mieście dwa dni później, gdy cielę ssało wymiona każdym pyskiem na zmianę.

Przybyli po południu, szli ławą, w pięciu, przez główną ulicę. Wydawali się nieco zdenerwowani, nieśli te swoje karabiny, lufami wskazując okna opuszczonych domów. Wyglądali trochę gorzej niż wtedy, przy ognisku, chyba że to światło dnia wyostrzyło zmiany na ich twarzach. Może i zasłaniaли usta szmatami, żeby się chronić przed piaskiem zawiewanym z pól, ale zmarszczek wokół oczu przykryć się nie dało. Jeszcze nie ulegli deformacjom, ale to pewnie kwestia czasu, aż oddech Olifanta wypełni im płuca na dobre. Nie wiadomo, jak długo byli w zonie, poza tym, że na pewno za długo.

Okuma mogła się zaszyć w jakiejś niedostępnej części miasta i przeczekać, pozwolić, żeby zona zrobiła swoje, i nawet powoli skłaniała się ku tej możliwości – na drugim piętrze domu burmistrza, z głową przy oknie, tak żeby widzieć, ale nie być widzianą – aż w końcu dotarło do niej, co tu robią.

Zbiegła po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz, przecięła kuchnię i ogród, omijając gówna krów, wypadła na podjazd, w końcu na ulicę. Ze szczelin w popękany asfalcie wyrastały mleczce. Jej kroki złały się z pierwszymi strzałami. Przerwali, gdy krzyknęła.

W zonie wszyscy wędrowcy milkli na jej widok.

Okuma stanęła na środku drogi, po obu stronach mając budynki zniszczone falą tsunami. Czuła, jak ziemia delikatnie pulsuje w rytm uderzeń serca Olifanta. Stała prosto, nie dała po sobie poznać, że się boi, raz po raz przekonywała się w myślach, że oni boją się bardziej. I może tak było w istocie, kto wie. Z luf szedł jeszcze dym, gdy stawali przed nią w bezpiecznej odległości. Dowódca wyciągnął rękę w geście powitania. Okuma wytrzymała dwa oddechy, zanim odpowiedziała tym samym. Ten kulawy, który przykuł jej wzrok dwa dni temu, nie patrzył jej w oczy.

Oczywiście, że przyszli strzelać do zwierząt, bo zawsze strzelali do zwierząt, nic innego nie potrafili, niczego innego nie nauczyli się od samego początku katastrofy, gdy te hekatombę miały może jakieś znaczenie, a teraz już nie mają, teraz zona już od dawna żyje swoim osobnym życiem. Granica stała się wyraźna, Okuma potrafiła ją dostrzec bez trudu, podczas gdy reszta świata zostawiała sobie jeszcze dwukilometrową strefę buforową – jak gdyby nie widzieli wyraźnej różnicy w sposobie układania się chmur, w regularności poszczególnych obłoków, które formował Olifant, jak gdyby nie widzieli, że na styku powietrze lśni tęczowo, jak brzegi plam po benzynie. W końcu wystarczyło przyłożyć ucho do ziemi. I spojrzeć pod nogi. W zonie rosły tylko czterolistne koniczyny.

Z bezpiecznej odległości zaczęły rozmawiać. Przysłał ich rząd, mówili, przysłał ich rząd, żeby pozbyć się stad dzików, które przekraczały granice zony i ryły w okolicznych polach uprawnych. Nie spodziewali się spotkać nikogo żywego, w ogóle nie sądzili, że ktoś tu jeszcze mieszka, że ktoś tu jeszcze przeżył, przyszli tylko przetrzebić dziki, dziki niszczą plony, dziki roznoszą choroby, dziki w końcu rozszczelniają zonę, a przecież nie chcemy, żeby zona zaczęła wgryzać się w normalną, zdrową tkankę świata.



Kulawy się nie odzywał, od czasu do czasu spoglądał na Okumę, ale ukradkiem, jak gdyby się wstydził. Okuma już dawno przestała się tym przejmować, może kiedyś, jeszcze jako dziecko, nerwowo próbowała zasłaniać twarz, ilekroć ktokolwiek zawieszał na niej wzrok, ale ludzi już nie było, a zwierzęta miały gdzieś takie rzeczy, zwierzętom wyrastały kwiaty na porożach.

Poprosiła, żeby wracali tam, skąd przyszli, miasto jest za blisko Olifanta, za daleko od granicy, tutejsze zwierzęta nie opuszczają swoich terenów, należą już do zony, możliwe, że nawet nie mogłyby oddychać

innym powietrzem, tym waszym, normalnym, już byli tu tacy, co próbowali je wytrzebić, na samym początku.

Przysłał nas rząd, mówili, tylko wypełniamy rozkazy, to nie jest miejsce dla ludzi, chcesz, to możemy cię ze sobą zabrać, co ty na to, zabierzemy cię ze sobą, wieczorem, teraz tylko się rozejrzemy, tylko się rozejrzemy.

Wtedy ziemia zadrżała, lekko, to nie Olifant przewracał się na drugi bok, nie był to jeden ociążały ruch, lecz mnóstwo pojedynczych, zgranych w monotonnym rytmie, klap, klap, klap, szły kopyta klusem przez popękany asfalt. Ulicą, którą kiedyś biegły tory tramwajowe, teraz przemieszczały się konie Przewalskiego. Rdzawo umaszczone, każdy z krótką, stojącą grzywą, z ciemną pręgą na grzbiecie, klusowały za ogierem przez miasto.

Okuma widywała je często, żołnierze pewnie nigdy, nic dziwnego, bo konie Przewalskiego wyginęły w tym rejonie w czasach, gdy wszystkie cztery reaktory Olifanta chodziły pełną parą, aż po wybuchu wszyscy odeszli razem z falą tsunami i nagle zrobiło się miejsce. Konie wybujały jak osy na łące.

\*

Okuma chciała mieć żołnierzy na oku, ale rozpetzli się po mieście niczym szkodniki, nie dała rady śledzić ich wszystkich, poszła więc za kulawym. Obserwowała, jak pewnie sunął przed siebie, aż zatrzymał się przed zrujnowanym domem, który fala przegryzła na pół. Stał tam i patrzył, kto wie, może to jego dom, jego rodziny, bliskich – albo i niczyj, ot, wspomnienie tego zapomnianego przez ludzi miejsca.

Potem siedziała w ogrodzie i gapiała się, jak dwugłowe cielę stawia kolejne kroki, zadziera oba pyski i gromadzi wokół siebie inne krowy. Na co dzień ociążałe, teraz podenerwowane, ryły kopytami w trawie, szarpały się, aż w pewnej chwili ziemia zadrżała, jak gdyby przetoczył się przez nią spazm, i wszystkie zwróciły głowy na wschód.

Krowy muczały jednogłośnie, gdy Okuma biegła w las, tam, gdzie wstawało słońce.



Nie przestały, gdy znalazła truchło ducha lasu.

Wydawał się mniejszy, bardziej przypominał balon z futra, który ktoś przebił igłą, stracił blask i delikatną fosforescencję. Okuma podeszła bliżej, dotknęła ciała, było jeszcze ciepłe, wsunęła rękę w upazurzoną łapę, położyła ją sobie na brzuchu. Przytuliła się do ducha lasu, zwinęła w kłębek, wciśnięta w futro, chłonęła jego zapach, świeży, piniowy. Wiedziała, że wstanie i znajdzie ich po śladzie krwi, która sączyła się z odrąbanej głowy, bo głowę wraz z mackami wzięli sobie na pamiątkę.

Wokół zbierały się zwierzęta.

Kulawy stał na czatach, ale gdy ich zobaczył, usunął się. Może ze strachu, bo Okuma miała na twarzy plamy czarnej krwi ducha lasu i niosła jego woń, ostrą, intensywną. Może z poczucia winy, bo wcale nie chciał brać udziału w tej misji. Zszedł z drogi Okumie, zszedł z drogi podążającym za nią zwierzętom. Koty, psy, borsuki, dziki, a na niebie kosi ze świecącymi w ciemności dziobami i sójki, które potrafiły naśladować cudze głosy. Cały las się ruszał. Wszystko, co żywe, co wypełzało spod ziemi.

Siedzieli przy ognisku, w kręgu, czterech, piąte miejsce dla głowy ducha lasu. Korona z kwiatów uschła, macki walały się wokół nóg żołnierzy, jedna tliła się, porzucona blisko płomieni. Ogień wydobywał ich twarze z cienia, deformował. Możliwe, że czuli już stwardniałą korę w stawach, możliwe, że ich skóra zaczęła porastać mchem.

Okuma ruszyła przed siebie, pośród zwierząt, jak jedna z nich. Nie trzasnęła ani jedna gałązka.

Potem sójki naśladowały głosy umierających.

\*

Słońce stało wysoko, gdy wspięli się na wzgórze za miastem. Kulawy ledwo dotrzymywał kroku Okumie, a ona wcale nie zamierzała zwalniać, szła – tak samo zwierzęta – do serca zony, do serca Olifanta w odpowiedzi na wezwanie, którego nie rozumiała.

Kulawy mówił, że wcale nie przyszli zabijać zwierząt, a może właśnie po to, sam już nie wiedział, mieszało mu się w głowie, możliwe, że od

choroby, miał coś z mięśniami, nieuleczalne, zabiłoby go prędzej czy później, ich kapitan umierał na raka, dwóch innych straciło dzieci, ostatni nie podał powodu, ale wiedzieli, że idą na śmierć.

Okuma nie zwalniała.

Nikt nie wracał z zony, mówił kulawy, dopóki był sygnał, wysyłali raporty, przed jej miastem przestali, bo linia ogłuchła, po drugiej stronie nikt się nie odzywał, ale szli dalej, takie były rozkazy: dostać się jak najdalej, sprawdzić, co się dzieje, bo raporty, które wcześniej docierały do dowództwa, były niepokojące, zona poszerzała się koncentrycznie, od reaktorów elektrowni Olifant, kąsała kolejne połacie ziemi, niepowstrzymana.

Minęły ich konie Przewalskiego.

W głosie kulawego czuć było desperację. Mówił, że Okuma wcale nie jest jedyna, że przy granicach zony inne oddziały znajdowały tych, którzy zostali, i nigdy nie był to ciekawy widok, próbowano ich zabierać do bazy, ale po przekroczeniu granicy umierali, i dobrze, straszny był to obrazek, straszny, ale trudno, czasem ponosi się ofiary w słusznej sprawie, a ich słuszna sprawa była prosta: dostać się do serca Olifanta, zobaczyć, sprawdzić, zatrzymać. Zatrzymać Stopę Słonia.

Kulawy w końcu zatrzymał się sam. Z oczu zaczęły mu wyrastać kwiaty, z palców wybiły czepne gałęzie, zapuściły korzenie w ziemi, klatka piersiowa się otworzyła, by zapewnić dostęp do słońca mszakom i paprotnikom pęczniejącym w płucach.

Okuma stała przez chwilę i patrzyła, a potem odwróciła się i dołączyła do zwierząt. Znalazło się przy niej dwugłowe ciele. Oparła dłoń na jego ciepłym karku. Wysoka trawa przyjemnie gładziła odsłonięte łydki.

Po wybuchu elektrowni Olifant rdzenie uległy stopieniu i uformowały pomarszczony, obły kształt, który spłynął do zbiornika reaktora, przepalając kilka stropów. Odkryto go niedługo po katastrofie, zanim ludzie zrozumieli powagę sytuacji. Jeden z inżynierów zrobił zdjęcie tej struktury, co przypłacił życiem. Choroba popromienna rozwinęła się w mgnieniu oka. Wkrótce zastygła lawę zaczęto nazywać Stopą Słonia. Potem Olifant nie wpuścił już nikogo na swój teren.

Okuma idzie. Myśli o swoich rodzicach.

# Anna Nieznaj

\*



# Serce Katieńki

Dmitrij Pawłowicz<sup>1</sup> Jelistratow zajechał na ostatnią stację przesiadkową kolei żelaznej, kiedy słońce stało jeszcze wysoko, rozpromieniając śnieg na torowiskach złotymi iskrami. Z irytacją wspominał przestrogi napotkanej w przedziale starszej damy, żeby nie jadł obiadu, zważywszy środek transportu, którym miał odbyć kolejny etap podróży. Mitia miał zdrowy żołądek, równie godny zaufania błędnik, a czego jak czego, ale lęku wysokości nie należało się po nim spodziewać. Jak przystało na doskonale wychowanego młodzieńca, Jelistratow nie wdawał się z damą w dyskusję, a teraz – najedzony i zadowolony z siebie – stał na placu na tyłach dworca, czekając, aż sterowiec obniży się do wysokości umożliwiającej wymianę pasażerów i ładunku. Była to mała maszyna, używana do lokalnej komunikacji.

Gdy ze sterowca opuszczono kosz, okazało się, że nikt nie wysiada, a i jedynym lecącym dalej podróżnym będzie Dmitrij. Dopiął więc pod szyją czarny płaszcz, pozwolił, by chłopak koszowy wziął walizkę, i sam, przytrzymując cylinder, wszedł za nim na chybotliwe dno.

Jazda na linie w górę trwała dosłownie chwilę. Mała kabina pasażerska była, jak należało się spodziewać, nieporównanie obskurniejsza niż wagon pierwszej klasy.

– Zechciejcie się przypiąć pasem, wasza miłość – nalegał chłopiec koszowy dziwną miejscową gwarą.

Tutejsi ludzie tak wymawiali słowa, jakby w ogóle nie był to rosyjski. Mitia wywrócił lekko oczami: prowincja prowincją, ale kogo oni zatrudniają w tej kompanii? Zapiął jednak pas, bo wiedział, że latające maszyny – zwłaszcza tak źle utrzymane jak ta – potrafią robić brzydkie niespodzianki.

Pogoda na szczęście dopisywała. Sunęli gładko nad niziną, pokrytą, niczym niezmierną szachownicą, na przemian czarnym, pozbawionym liści lasem i bielą bezdrzewnych pól oraz nieużytków. Złoto poświaty przechodziło szybko w coraz cieplejsze odcienie.

Podniebna podróż, choć kosztowna, dla wielu przerażająca, a w złą pogodę niewykonalna, miała tę wielką zaletę, że zmrok nie zdążył jeszcze zapadnąć, a już kosz z młodym Jelistratowem wylądował na obrzeżach jednego z tych maleńkich miasteczek, które dla ludzi z okolicznych wiosek stanowią centrum wszechświata – ale poza tym nikt o nich nie słyszał.

Żałoba oplakującej narzeczonego panny Frołowej musiała być naprawdę głęboka, skoro kazała jej się zakopać żywcem – i to w samotności! – na tym pustkowiu. Być może dla Mitii oznaczało to nawet mniej kłopotu z załatwieniem sprawy, z którą przybył z tak daleka. Nawet nie z Petersburga, ale z Instytutu Badań Materiałowych w Bernie.

Snując te rozważania oraz plany, jak najlepiej rozmawiać z panną, załadował się wraz z walizką do przysłanych po niego sań, gdy tymczasem sterowiec poderwał się już do lotu powrotnego ku cywilizacji.

Mról się wzmagał, szczególnie gdy sanie zjeżdżały w płytkie wąwozy lub zanurzały się między drzewa. Jelistratow otulił się szczelniej pledami, które woźnica podał mu, zanim wyruszyli. Jabłkowity, mocno zbudowany konik rwał dziarsko, aż para buchała z jego chrap i boków.

Woźnica, po tym jak przedstawił się jako Jewgienij, zwany przez wszystkich Żenią – zamilkł, ku uldze Mitii, który własne myśli uważał za o wiele ciekawsze od pogawędki ze służącym. Choć w zasadzie... Powinien go wypytać o panienkę. No cóż, jeszcze zdąży.

Tymczasem dał się porwać czarowności otoczenia. Słońce chwiała się tuż nad horyzontem, a niebo płonęło krwawą purpurą, malując śnieżny krajobraz kontrastami. Dmitrij Pawłowicz, choć z formalnego punktu widzenia inżynier, zawsze miał się za człowieka odpowiednio wysokiej kultury i wrażliwości, żeby docenić subtelną urodę takich zjawisk. Piękno zmierzchu było boleśnie ostre, jak lodowate powietrze, które aż dusiło przy każdym oddechu.

Wtem Mitia dostrzegł kształt na polu, w pewnej odległości od szlaku przetartego śladami sań. Ciemna plama na śniegu, rozbiegające się tropy i zarys... Jelistratow zmrużył oczy, patrząc pod zachodzące słońce... zarys czegoś rozwlóconego.

– Zatrzymaj sanie! – zawołał w nagłym zrozumieniu.

Jewgienij, stare, flegmatyczne chłopisko, górujący w swoim kozuchu i czapie nad szczupłym młodzieńcem, odwrócił się powoli.

– Co się stało, wasza miłość?

Jelistratow wskazał w kierunku pola i rozwleczonych po nim... pozostałości. Zanim woźnica zdążył się dobrze przyjrzeć, niemrawy i chyba półślepy, Dmitrij wyskoczył już z sań.

Brań przez zasy, słysząc za sobą szuranie butów Jewgienija. Z każdym krokiem lepiej rozpoznawał sens widzianego obrazu. Nie mógł go dłużej wypierać.

Krew, krew na śniegu, a wśród wybebeszonych szczątków, sterczących kości i rozpapranego mięsa – rozdarła w strzępy ludzka odzież.

Dmitrij zatrzymał się na granicy skotłowanego śniegu, nie zdeptując śladów.

Zaiste: piękne sobie miejsce znalazła narzeczona Pietii na kojenie nerwów. Jelistratow czuł uspokajający ciężar rewolweru w kieszeni płaszcza, choć prawdę mówiąc, nie był pewien, na ile pomógłby mu on w konfrontacji z watahą.

– O, i widzicie, wasza miłość. – Sługa doczłapał wreszcie do Mitii. – W końcu się nim wilki zajęły.

– Rozpoznajesz tego człowieka?

Dmitrij Pawłowicz odruchowo poczuł się odpowiedzialny za sytuację.

– Łaził po naszych wioskach taki – woźnica splunął – dezterter ladaco. Dziewuchy krzywdził. No i nie doczekał wiosny.

Gdy już wracali do sań, Jelistratow, widząc, że sługa nie przejął się sprawą, począł dopytywać:

– Ale przecież ktoś od was po trupa pojedzie? Pochowa choćby pod płótem koło cmentarza?

Jewgienij mruknął tylko:

– A jakże, a jakże, wasza miłość.

Gdy dotarli pod dwór, zapadła już noc, ścięta mocnym mrozem, krystaliczna. W aksamitnej ciemności nieba płonęła lodowato Wenus i migotały gwiazdy.

Woźnica, zatrzymawszy sanie pod rozświetlonym naftowymi latarniami gankiem, odwrócił się jeszcze do Dmitrija Pawłowicza, wziął jego walizę i powiedział:

– Wasza miłość, tym, co widzieliśmy, nie trzeba niepokoić panienki. – I powtórzył: – Wilki już się nim zajęły.

Mitia prychnął – za kogo ten chłop go ma? Za historyka, który z płaczem pobiegnie do samotnej, pogrążonej w żałobie panny po pociechę, bo znalazł w lesie zwłoki ogryzionego przez wilki gwałciciela?

\*

Jelistratow pierwszy raz – i jak dotąd jedyny – spotkał pannę Jekatierinę Władimirownę Frołową zeszej zimy na balu karnawałowym u księżnej Szeriemietiewej w Petersburgu. Obaj z Pietią Kamińskim przyjechali wtedy na kilka tygodni ze Szwajcarii. Pietia wiedziony chyba głównie romantyczną tęsknotą, a Dmitrij przytomniejszy, z zamiarem nawiązania odpowiednich znajomości, żeby kiedy przyjdzie czas, zaprezentować armii efekty ich wspólnej pracy.

Trzeba było się nachodzić, narozmawiać, komu trzeba zaimponować nazwiskiem, komu innemu ordynarnie wręczyć sutą wziętkę lub obiecać eufemistycznie „spółkę” – żeby projekty nie utknęły w czyimś biurku na wiecznie nierozpatrzenie.

Pietia się do takich spraw nie nadawał. Naiwny jak dziecko, nieśmiały i do tego z jakiejś drobnej szlacheckiej rodziny, o której nikt w stolicy nie słyszał. Jelistratow nawet nie brał go ze sobą na poważne rozmowy.

Tym bardziej był zaskoczony, usłyszawszy, że Pietia ma własne zaproszenie na bal u księżnej. Zdziwienie tylko wzrosło, gdy okazało się, że Daria Michajłowna Szeriemietiewa owszem, życzyła sobie widzieć Pietię osobiście, lecz także miał on zapewniać towarzystwo swojej... narzeczonej. Doskonale urodzonej i wysoko ustosunkowanej panience, po śmierci rodziców pozostającej pod opieką księżnej.

Jelistratow chwilę otrząsał się z szoku, że jego przyjaciel nie dość, że w ogóle się zaręczył, to jeszcze tak korzystnie, i bardzo był ciekawy spotkania z Jekatieriną Władimirowną. Choć zapewne poważny człowiek na



jego stanowisku nie powinien sobie zaprzętać uwagi takimi głupstwami jak uroda – lub jej brak – narzeczonej kolegi z instytutu.

Mitia skończył właśnie rozmawiać z pułkownikiem Szuwałowem i się rozejrzył.

Tak zapamiętał potem tę scenę: sala balowa księżnej Szeriemietiewej, cała w ciepłym świetle świec w kryształowych kandelabrach i ozdobnych kinkietach. Daria Michajłowna nie tolerowała lamp eterowych, określając ich niebieskawy poblask jako „trupci”. „Możecie je zainstalować na wystawienie moich zwłok” – prychała znad herbaty, czego Mitia bywał świadkiem, zapraszany czasem w większym towarzystwie.

Teraz, w bursztynowej mgłę staroświeckiego oświetlenia, na tle ciemnych, obramowanych storami okien, kłębił się tłum. Czarne fraki, barwne suknie, służący z tacami, błyszczące kieliszki, białe obrusy, muzycy w rogu sali, gwar przebijający się przez dźwięk instrumentów. Daleko w amfiladzie pokoi cicha przystań biblioteki, w której schronili się najpoważniejsi goście. Jelistratow oczywiście planował tam dotrzeć – ale później.

Na razie poddał się tej lekkości na granicy zawrotu głowy, jaką czuł wśród ludzi. Umiał robić dobre wrażenie. Inni łatwo obierali kierunek, który nadawał konwersacjom. Panny zerkwały ku niemu znad wachlarzy, wirowały z nim w tańcu, mrużąc oczy, ich loki i wstążki migwały na tle pomarańczowego światła.

Mitia całował powietrze nad upierścienionymi, urękawiczonymi dłońmi matron, dawał się poklepywać po plecach zażywnym kuzynom o siwiejących bokobrodach.

Niezwykłe obiecujący młody człowiek. Taki utalentowany.

Smukły frak leży na nim doskonale. Kasztanowe włosy, grzywka opada na oczy z chłopcym wdziękiem. Jasne spojrzenie lekko piwnych tęczołek, prawie dziewczęce rzęsy. Damy były zachwycone, a przecież to nie grzech polecić mężowi tak błyskotliwego młodzieńca. Umiał sobie okręcić ludzi wokół palca.

Dmitrij Pawłowicz omiótł wzrokiem salę. Większość tych ludzi to głupcy. Próźni, nieinteligentni albo prostoduszni. Ale to tylko lepiej dla niego. Gdy

brak konkurencji, łatwiej zajść wysoko, choćby do samego otoczenia najjaśniejszego pana.

– Mitia!

Jelistratow drgnął. Wołanie wybiło go z przyjemnego stanu, kiedy wśród muzyki i tłumy czuł się, jakby wypełniał go hel – jakby unosił się niczym balon sterowca.

– Mitia!

To chyba Kamieński usiłował zwrócić jego uwagę.

Wtedy Dmitrij odwrócił się i zobaczył ją po raz pierwszy. Jekatierina Władimirowna Frołowa siedziała u boku księżnej Szeriemietiewej na sofce w głębi sali. Widział kobiety za plecami podążającego ku niemu Pietii. Frołowa mówiła coś do staruszki z niewymuszonym wdziękiem, a w pewnym momencie pomogła jej wstać i przejść kilka kroków, tak by dama, opierając się na lasce, mogła podziwiać z lepszej perspektywy bawiących się gości.

Kamieński, widząc, że Mitia już powstaje i patrzy w jego kierunku, wrócił do pań. O, bardzo rzucało się teraz w oczy, że starszy od Jelistratowa Pietia jest niskim, pociesznym grubaskiem. Ledwo po trzydziestce i już zaczynał łysieć, poruszał się niezgrabnie, a najlepsze – jego najlepsze – ubranie, stanowczo zbyt opięte, podkreślało kiepską figurę.

Tymczasem panna Jekatierina, wyższa od Piotra o pół głowy, szła w błękitnej sukni, jakby pół tańcząc do rytmu granej przez muzyków melodii.

– Jesteś wreszcie – szepnął mu do ucha zasapany Pietia. – Poznasz moją ukochaną Katieńkę, moją boginkę...

Nie zwrócił uwagi na wyraz twarzy Jelistratowa, bo już patrzył w stronę księżnej. Dmitrij podszedł do Darii Michajłowny i złożył pełen uszanowania ukłon. Filigranowa staruszka, tak drobna i, zdawałoby się, krucha, że Mitia dotknął jej dłoni z największą ostrożnością. Była jak jedna z tych japońskich figurek składanych z papieru; jakby silniejszy podmuch mógł porwać ją w powietrze, a ku błyszczącemu parkietowi ścigał ją tylko ciężar sukni i brylantów.

– No, Mitia. – Omiotła go rozbawionym spojrzeniem. – Widzę, chłopcze drogi, że bardzo się stęskniłeś za naszym stołecznym towarzystwem i ze wszystkimi starsz się przywitać?

Jelistratow nawet drgnieniem powieki nie dał po sobie poznać, że poczuł ukłucie złośliwostki.

– Bardzo mi już brakowało Petersburga! Ale cioci najwięcej!

– Och, jak wzruszająco. – Kąciki ust księżnej drgały już w jawnym rozbawieniu. – Katieńko, poznaj, Dmitrij Pawłowicz Jelistratow. Mój kuzyn, to niewątpliwe. Choć musiałabym dość długo tłumaczyć ci rodzinne powiązania, sięgają czasów dalszych, niż kiedy tańczyłyśmy z twoją matką na balach u mojego papy.

Mitia przez chwilę miał wrażenie, że coś ważnego w tej uwadze mu umknęło – zbyt skupił się na nieprzyjemnym uczuciu wywołanym przez to, jak księżna podkreśliła, że łączące ich pokrewieństwo nie jest bliskie. Był urażony. Pałący w środku wstyd obudził w nim złość.

Trwało to mgnienie oka.

– Dmitriju, oto Jekatierina Władimirowna Frołowa. Musisz wiedzieć, że to moja ulubienica. Córka mojej czulej przyjaciółki, świeć Panie nad jej duszą.

Młodzieniec uklonił się, chwytając czubki podanych mu palców w białej rękawiczce.

– To zaszczyt panią wreszcie zobaczyć. Piotr Iwanowicz tyle opowiadał...

– Och. – Jaskrawoniebieskie oczy Katieńki wpatrywały się w Jelistratowa z przenikliwością, której chyba się nie spodziewał. Uśmiechała się przy tym w nieodgadniony sposób.

Naręczona Kamińskiego miała mleczną cerę, a włosy bardzo jasne, w odcieniu, jaki widywał dotąd tylko u dzieci. Przykuwała uwagę. Była... nietypowa.

– Och, Dmitriju Pawłowiczu. – Skinęła głową i uciekła wzrokiem.

Ograne sztuczki: wachlarz, opadający na policzek niesforny lok. Jelistratow pomyślał, że skoro wystarczył taki banalny komplement, to i nie dziwota, że nawet Pietia sobie poradził.

Księżna Szeriemietiewa opowiadała dalej:

– Świętej pamięci ojciec Katieńki był ciągle w rozjazdach, więc trochę czasu tu spędziłyśmy razem na miejskich rozrywkach, z dala od tej twojej pustelni. Nieprawdaż, kochana?

– Ja cioci bardzo jestem wdzięczna, ale przecież ciocia wie, że mnie ten zgiełk czasem przytłacza. W domu najlepiej.

– Ale za to dziś śnieżycą, kochanie moje. Czas na podróż, w rzeczy samej!

Parsknęły obie. Pietia uśmiechnął się niepewnie, Mitia też musiał wyglądać na zbitego z tropu. Ale w sumie nie było się czemu dziwić. Znał przecież Darię Michajłowną, jej cięty język, skłonność do żartów, z którymi rozmówcy często nie wiedzieli, co zrobić i jak na nie reagować. Zaskoczyło go tylko, że Piotrowa Katieńka tak dobrze się odnajdywała w rozmowie z nią.

– Wiem, kochanie, wiem – mówiła dalej księżna. – Ale panna z twoim nazwiskiem i twoim dziedzictwem – podkreśliła dobitnie – powinna się też nieco wśród ludzi obracać. I patrz, ledwoś się rozejrzała, a tu Piotr Iwanowicz!

Inżynier zarumienił się po samą łysinę, uszy mu płonęły. Rzucił się kłaniać i dukał coś pod nosem, ale Daria Michajłowna tylko go zbyła, jednak raczej przyjaźnie.

– Więc bardzo się cieszymy, Katieńko – ciągnęła – że cię nam ta śnieżycą przyniosła. Raz do roku, w karnawale, możesz starej ciotce tę łaskę wyświadczyć.

Uśmiech księżnej był... czuły, zamyślony? Wbrew słowom wcale nie złośliwy! Mitia przywykł, że wydawała swemu otoczeniu rozkazy opakowane w ironiczną uprzejmość, a tymczasem wyglądało na to, że brała pod uwagę zdanie Katieńki.

Ta jednak zaraz pośpieszyła z zapewnieniami:

– Zawsze, proszę cioci, zawsze.

Rozmowa dalej toczyła się w tym tonie, a Mitia, korzystając z obecności Kamieńskiego, z chęcią pozostawał na bliskiej orbicie Darii Michajłowny, świecąc odbitym światłem księżnej. Towarzyszył jej, pannie Frołowej oraz Piotrowi Iwanowiczowi najpierw w przechadzce i potem, gdy usiedli w fotelach po przeciwnej stronie sali balowej, pod oknami.

Wichura niosła śnieg, nawiewając go na pałacowe parapety. Katieńka zapatrzyła się na gęste płatki, które wirowały w ostrym świetle zewnętrznych – więc eterowych – lamp. Lodowe wzory na szybie lśniły niby misterna wycinanka.

A potem Dmitrij Pawłowicz – dobrze wychowany młodzieniec, odpowiedzialny, poważny człowiek, nic w nim z frywolności – zadbał po prostu, by narzeczona przyjaciela dobrze się bawiła na balu. I skoro po północy został jeszcze wolny taniec w karnecie panny Frołowej, miał zaszczyt zaproszenia jej na parkiet.

Katieńka jakby płynęła nad ziemią, jasna niczym jedna z tych lodowych gwiazdek za podwójnymi szybami pałacowych okien. Z oryginalną urodą, instynktownym, bezpretensjonalnym wdziękiem i niebotycznym posagiem.

Nie odrywała wzroku od Mitii, jakby chciała wyczytać z jego twarzy wszystkie – przeszłe i przyszłe – tajemnice.

– Piotr Iwanowicz wiele o panu opowiadał. – Uśmiech Katieńki obiecywał wiele.

Pietia, pomyślał Dmitrij Pawłowicz. Ty smutny idioto.

\*

Okazało się, że kiedy Dmitrij Pawłowicz dotarł do dworu, panienska już się położyła. Choć ciemno, było jeszcze całkiem wczesnie, ale widocznie Jekatierina Władimirowna nie czuła się tego dnia najlepiej.

Mitia odniósł wrażenie, że w ogóle wszyscy, których dotąd spotkał we dworze – od mrukliwego woźnicy Żenii, przez surową wdowę-rezydentkę, po głuchawego wujecznego dziadka – odgradzali go od Katieńki niewidzialnym murem nieustępliwej nadopiekuńczości. Zbывali jego pytania, dając wyraźnie do zrozumienia, że rozpacz panny Frołowej jest jeszcze bardzo świeża.

Taki to widać ludek sobie tu żyje, wliczając prowincjonalną szlachtę: nieufny, zastrachany, wielkiego świata nieciekawy. Dmitrij Pawłowicz, jako posłaniec z daleka, wydaje im się kolejnym, po nieszczęsnym Pietii, groźnym zaburzeniem w życiu ich panienki. Jelistratow dziwił się, że księżna Szeriemietiewa jeszcze nie posłała po pannę Jekatierinę, żeby ją z tego lodowego grobu w posiadłości po matce wydobyć do żywych.

Mitia zjadł kolację ze zgrzybiałym opiekunem panny Frołowej oraz jej małomówną ciotką, a potem spędził niespokojną noc w pokoju gościnnym, wręcz zbyt gorliwie na jego przybycie wywietrzonym. Budził się wielokrotnie i znów zasypiał, nienawykły do wiejskich odgłosów: skrzypień i chrzęstów, uderzania gałęzi o szybę, odległego wycia.

Gdy w końcu słońce weszło za grubymi chmurami puchnącymi od śniegu, Jelistratow ochlapał się w misce, dzwoniąc zębami, ubrał i wyszedł przed dwór.

Dymiło się z komina, od stajni szły głosy służby, ale w przykrytym zaspami ogrodzie było pusto. Mitia zrobił kilka wymachów ramionami i ruszył energicznie do przodu. Dobrze wiedział, że nic tak nie rozbudza i nie rozgrzewa jak ruch.

Nocny wiatr przyniósł ocieplenie i kolejną warstwę puchu otulającą ziemię. Dmitrij doszedł do furtki na tyłach ogrodu i się rozejrzał. Krajobraz wydał mu się równie bajkowy, co klaustrofobiczny. Biel po horyzont z jednej, a czarna ściana lasu z drugiej strony, rozmazana we mgle jak na akwareli.

Młodzieniec szybko się otrząsnął z nieprzyjemnego uczucia, ale pomyślał, że zdecydowanie woli ludne miasta i wysokie góry niż tę płaską jak stolnica krainę pod ciężkim, burym niebem. Dobrze, że chociaż za drzewami dostrzegł element rozbijający monotonię: krzyż na kopulce cerkwi.

Gdy wracał, zobaczył, że jednak ktoś już przed nim wychodził do ogrodu, od stajni prowadziły ślady. Ciężkie buty, ciężki krok – może to nawet znany już Mitii woźnica człapał tu po kolana w śniegu. Jelistratowowi zaczynały już przemakać spodnie na granicy wysokich butów, ale ruszył jeszcze kawałek tak przetartym szlakiem.

Domniemany Jewgienij doszedł do ogrodzenia i zawrócił. Tak rozkopywał śnieg przy każdym kroku, że Mitii trudno było ocenić, które ślady zostawiał, idąc tam, a które z powrotem.

Co też skłoniło prostego chłopca do podziwiania widoków o wschodzie słońca? Dmitrij Pawłowicz wpatrzył się w pole za niskim ogrodzeniem. I wtedy dostrzegł trop, który woźnica, widocznie nie tak ślepy jak się

wydawało, wypatrzył z daleka. Wielkie łapy, jedna za drugą, jak po sznurku, a chwilę później już rozpędzone w biegu. Ależ ogromna sztuka.

Nocne wycie było hen zza lasu, a tu takie piękne pod samym nosem towarzystwo.

Mitia odwrócił się na pięcie i poszedł prosto na śniadanie z Katieńką i jej krewnymi.

Panna Frołowa wydawała się jeszcze bledsza, niż kiedy widział ją prawie rok temu na balu, choć może to tylko przez kontrast z czarną suknią.

Siedzieli we czworo w półmroku jadalni, z widokiem na ponure niebo nad polami. Służąca rozlewała herbatę z samowara, Jelistratow przełknął ostatni kęs ciepłej bułki z konfiturą. Zastanawiał się, jak skierować niezbyt klejącą się rozmowę na interesujący go temat. W końcu uznał, że najlepiej będzie spytać wprost.

– Jekatierino Władimirowno, pisała mi pani, że Pietia zostawił dla mnie... No właśnie? Notatki? Czy może próbki materiałów?

List panny Frołowej był chaotyczny, pisany w emocjach. Przyszedł późną jesienią, prawie trzy miesiące po pogrzebie Kamieńskiego.

Trzy długie miesiące, w ciągu których Jelistratow zdążył już przeszukać desperacko po tysiąc razy wszystkie dostępne dla nich pomieszczenia w instytucie i dawne mieszkanie Piotra w Bernie. Wrócił nawet do wioski, w której wynajmowali tamtego sierpnia pokoje na noclegi między wyprawami w góry. Wypytywał, czy zabierając rzeczy wśród grozy tragedii, czegoś nie przeoczył – jakiejś skrzynki, teczki, skrytki. Alpejski góral potraktował go uprzejmie, ale z rezerwą; Dmitrij liczył się z tym, że mógł już wtedy mieć w oczach błysk szaleństwa.

– To może być największy wynalazek epoki. – Mitia nie ukrywał pasji w głosie, teraz mogła mu tylko pomóc. – Nie wiem, czy państwo zdają sobie sprawę, jak wiele taka wiedza, rozbudowana o moje eksperymenty, przekazana w odpowiednie ręce... – zapędził się – jak wiele może zmienić w losach świata. Armia najjaśniejszego pana wyposażona... Jekatierino Władimirowna! W metal lżejszy od powietrza! Czy pani rozumie, jaka to będzie potęga? Jedyna na świecie podniebna flota niezależna od kaprysów pogody, inaczej niż sterowce...

Stopniowo mówił coraz wolniej, aż zamilkł, uświadamiając sobie pewną niestosowność tego wybuchu entuzjazmu.

– Pietia miał wybitny umysł – dodał po chwili dla odpowiedniejszego wydzźwięku poprzednich słów. – Czysty inżynierski geniusz.

– O tak! – zapaliła się Katieńka, która do tej pory słuchała monologu Jelistratowa z twarzą bez wyrazu. – Piotr Iwanowicz był prawdziwym uczonym. Widział rzeczy takie, jakimi są. Patrzył na świat, jakby jego wzrok przenikał zasłony. A kiedy rozpoznawał prawdziwy kształt spraw, przyjmował je do wiadomości. A to rzadka cecha, Dmitriju Pawłowiczu. Ludzie zazwyczaj wolą dać się zwodzić, nie zauważać.

Jekatierina Władimirowna należała widocznie do tych poetycznych panien, które dorabiały sobie do każdej osoby wielce romansową otoczkę. Mitia miał o Kamieńskim wręcz przeciwne zdanie; uważał go za oderwanego od rzeczywistości pocziwca, który jednak rzeczywiście był obdarowany przez Boga – lub też raczej przez splot naturalnych okoliczności – pewnym talentem.

Przez te przerażające trzy miesiące Jelistratowa przyprawiała wręcz o mdłości z upokorzenia myśl, że jeżeli nie odnajdzie wyników badań Pietii, to sam nie będzie umiał ich odtworzyć. Próbował, oczywiście, że próbował! Analizował każde słowo, które usłyszał od kolegi w instytucie przez ostatnie tygodnie najintensywniejszej pracy i potem, kiedy pojechali na wspinaczkę, dla uczczenia odpoczynkiem tak wielkiego sukcesu.

Nic to jednak nie dało. Pozostał z pustymi rękami.

– Jekatierino Władimirowna, jeżeli rzeczywiście Pietia zostawił u pani skrzyneczkę z materiałami naukowymi, byłoby po prostu grzechem wobec jego pamięci nie wykorzystać ich do dalszych badań.

– Tak. – Panna Frołowa skinęła głową; ciasno spięte w węzeł włosy, cienie pod oczami, biel cery jak lodowa rzeźba nad czarnymi koronkami sukni, tylko jej spojrzenie intensywnie błękitne. – To jasne. Dlatego pisałam do pana. Przejrzeliśmy z wujaszkiem zawartość kasetki, ale oczywiście nic nam ona nie mówi. Wujaszku, czy Iryna może przynieść rzeczy Piotra Iwanowicza z wujaszka sypialni?

Dziedzio kiwał się sennie, siorbiąc herbatę z filizanki malowanej w kwiaty. Jelistratow pomyślał, że „opieka” wujaszka byłaby wielce



skuteczna, gdyby próbował zbyt filuternej rozmowy z panienką. No ale oczywiście pozostawała jeszcze ciotka, przysłuchująca się ze srogim grymasem. Trochę łagodziła go konfitura z dzikiej róży, której dużymi ilościami dama do towarzystwa dziedziczki Frołowów usiłowała osłodzić sobie wdowieństwo, życie w głuszy i konieczność przysłuchiwania się każdemu ich słowu. Służąca – Iryna? – dołała jej herbaty, samowar szumiał.

– Wujaszku?!

Katieńka zwróciła wreszcie na siebie uwagę starca. Zajęty własnymi myślami jakby w ogóle nie brał do siebie tego zawołania.

– Tak, tak, dziecko?! – odkrzyknął.

Ustalono wreszcie, że chociaż dokumenty Pietii czekały przecież na Dmitrija Pawłowicza już od dawna, to chyba jednak przełożono je, czy też schowano, w każdym razie zostaną dostarczone na pewno przed obiadem. Mitia bardzo starał się nie okazać po sobie narastającej furii. Jak on nienawdził takich ludzi, z ich celebrowanymi z namaszczeniem codziennymi rytuałami. Takie to wszystko było przyziemne.

A Katieńka... Tak inna od tych prowincjonalnych dziwadeł, magnetyzująca.

Uśmiechał się – nie promiennie, bo wobec żałoby chyba nie wypadało, lecz wspierająco. Prowadził banalne rozmowy: z cioteczką o podróży, a z panną Frołową o Petersburgu, w którym zdążył już być w interesach, choć to przecież nie po drodze.

– Powinna pani wrócić do stolicy, Jekatierino Władimirowna – przekonywał żarliwie. – Księżna Szeriemietiewa zajmie się panią, a i jej pani przyjazd dobrze zrobi, bo ostatnio jest coraz słabsza.

Mitia kłamał. Nic nie było mu wiadomo na temat stanu zdrowia potężnej i wrednej kuzynki. Odległej kuzynki, to niewątpliwe.

– Tu jest mój dom, Dmitriju Pawłowiczu. Tu się urodziłam, i moja matka, i jej matka... My tu żyjemy i tu umieramy.

Co też za bzdury! – pomyślał Mitia. Już to widział, jak generał Frołow pozwolił swojej żonie tkwić w jakimś lesie! Chociaż może? Podobno umarła niedługo po ślubie, rodząc córkę. Musiała być od niego dużo młodsza, choć

przecież... Jelistratow nie prześledził losów tej rodziny tak dokładnie, jak chyba powinien.

Bo skoro tak się przypadkiem złożyło, że fascynująca Katieńka nie była już zaręczona... Nie myślał o tym wcześniej, dopiero może jakoś na szlaku kolei żelaznej – gdzieś między Szwajcarią a Rosją, a może dopiero później, gdy po załatwieniu spraw w stolicy jechał z powrotem na południowy zachód. Ulubienica księżnej Szeriemietiewej i jedyna dziedziczka generała Frołowa. I ten hipnotyzujący wdzięk, z jakim odstawiała porcelanę, wstawiała od stołu... Czarna suknia dodawała jej tylko dostojeństwa, nie odejmując młodości.

Jeżeli w kasetce Pietii jest to, czego Dmitrij Pawłowicz szukał tak rozpaczliwie, już dosłownie za chwilę, za kilka tygodni, w jego zasięgu znajdą się plany, o których kiedyś nawet nie śmiał marzyć.



- Dobra pani są wprost przepiękne - zapewnił. - Ten spokój i dzikość przyrody. Jak dotąd tylko w Alpach stanąłem twarzą w twarz z takim

majestatem.

– Och tak. – Przez twarz Jekatieriny Władimirowny przebiegł jakby skurcz bólu; i zaraz zniknął. – Ale to niebezpieczne miejsce. Trzeba uważać w podróży, inaczej może się zdarzyć nieszczęście.

Czyżby Żenia jednak powiedział swojej panience o smutnym losie dezertera?

– Dmitriju Pawłowiczu, czy widział pan już naszą cerkiew? – wcięła się ciotka, zmieniając temat, może niezadowolona ze słów Katieńki.

Dziadzius się ożywił, odstawiając przy tym filiżankę tak niezgrabnie, że o mało nie potłukł spodka.

– Cerkiew?! Ho, ho, tak, tak! Wspaniały zabytek, starożytny, mój drogi panie!

Mitia ukrył uśmiezek. Widział zza drzew drewniane kopułki; ten budynek nie mógł być aż tak stary. Ot, lokalne starożytności.

Wdowa odgadła chyba jego tok rozumowania.

– Cerkiewka postawiona przez najlepszych cieślów z okolicy, z ich pokolenia. Ale to nie jest pierwsza, która tam stoi. Drewno butwieje, fundamenty nie znikną do końca świata. To święte miejsce, Dmitriju Pawłowiczu. Cudowne i błogosławione.

Jelistratow skinął głową, przyjmując najbardziej nabożny wyraz twarzy, na jaki stać było skrytego ateistę. Nie obnosił się ze swoimi poglądami – jeszcze tego brakowało, żeby mu kto utracił karierę.

– Co tu tłumaczyć! – huknął dziadunio, bardziej przytomny niż przez cały ich wspólnie spędzony czas. – Niech chłopak jedzie, sam obejrzy, to i zrozumie!

– Doskonały pomysł – zgodziła się ciotka. – Żenia zaraz panu przyszykuje konia, a tymczasem znajdzie się kasetka i będzie można ją po obiedzie otworzyć.

Po obiedzie! Mitia mało zębami nie zazgrzytał. Jednak bez słowa zgodził się na wszystko. Przynajmniej jakaś odmiana od tej męczącej konwersacji.

Panna Frołowa przygasała, zapatrzona w okno. I jakoś w zamieszaniu, między Iryną biegającą z porannymi lekami dla wujaszka a ciotką wydającą

rozkazy, bledziutka Katieńka, tonąc w swojej czerni, spojrziała Mitii prosto w oczy i powiedziała cicho:

– Piotr Iwanowicz był takim dobrym człowiekiem.

– Był moim serdecznym przyjacielem. Prawie... prawie bratem. Panno Jekatierino Władimirowna, błagam panią, proszę jechać do Petersburga. Proszę do nas wrócić.

– Ależ nie, Dmitriju Pawłowiczu. Mnie nie wolno stąd odejść. – Katieńka ponownie wpatrzyła się w okno. – Piotr Iwanowicz... – Urwała i już nie dokończyła, bo Mitię porwał rozgardiasz przygotowań do wyjścia.

\*

Trzy miesiące wcześniej, gdy wyruszali z Pietią o świcie pod alpejski szczyt, którego nazwa tłumaczyła się jako Panna, widok wróżył dobrze. Góry stały przed nimi, obezwładniająco ogromne, w zieleni, granacie i podbarwionej wschodem słońca bieli – jednak za prawie niedostrzegalną zasłoną lekkiej mgiełki. Pogoda była idealna, bez tej nieco upiornej, nienaturalnie doskonałej widoczności, która sprawia, że rozpoznaje się kształt pojedynczych drzew i skał jak na wyciągnięcie ręki. Taka zapowiadałaby załamanie.

Jelistratow i Kamiński szli raźnie, wbrew pozorom Pietia wcale mocno od przyjaciela nie odstawał w tempie.

Znów opowiadał o pomysle, na który wpadł nagle w samym środku krótkiego wyjazdu do kraju. Jak to często bywa, przerwa w uporczywych próbach rozwiązania problemu i otwarcie głowy na zupełnie inne bodźce zaowocowały przebłyskiem, iskrą zrozumienia.

– Po prostu obudziłem się z tą myślą! – powtarzał wciąż Kamiński, nie mogąc chyba uwierzyć, że proces odkrycia naprawdę może tak wyglądać.

Dmitrij wiedział doskonale, co było później: Pietia załatwił wszystko w tempie wyścigowym i pierwszym pociągiem pognął z powrotem do Berna, żeby móc przeprowadzić nowe eksperymenty.

I oto się dokonało. Są twórcami nowego świata. Trudno przewidzieć, jakie skutki da na dłuższą metę opracowanie niezawodnego powietrznego transportu, jak pozmienia ono szlaki handlowe, pokreśli mapy polityczne i które trony obali.

Tymczasem jednak odkrywcy szli trawersem przez łąkę, po kolana w białym i żółtym kwieciu, z widokiem na zieloną dolinę, ukształtowaną przez pełznący w pradawnych czasach lodowiec. Z ostro podciętych skalistych zboczy spływały wodospady, w dole zostały zabudowania wioski, a na horyzoncie widok ze wszystkich stron zamykał biały mur szczytów w wiecznym śniegu.

Mitia umysł miał czysty i jasny. Decyzje zapadły już dawno i teraz po prostu szedł, ciesząc się ruchem i słońcem.

Ocecił już wcześniej sytuację, zważył wszystkie za i przeciw. Wielcy ludzie muszą czasem podejmować najtrudniejsze wybory, do tego są przecież stworzeni.

Nie można pozwolić, by zatarły się tryby Historii, które nagle zaczęły kręcić się tak szybko – tylko dlatego, że jakiś dureń waha się i zwleka.

Szli dalej, wzdłuż potoków i stawów, kamienistymi ścieżkami wśród rumowisk. Pili wodę, nabierając ją dłońmi ze źródełek, tryskających prosto z porośniętych mchami skał. Jedli prowiant przygotowany przez gospodynię, kładli się na trawie i patrzyli na nasuwające się nad przełęcz obłoki, które później spłynęły niżej i przemykały przez ich szlak jak zimne duchy.

Wspinaczka była krótka i łatwa, mieli przecież tyle pracy przed sobą, nie mogli spędzić tu zbyt wiele czasu. Ot, ciemna, lekko stożkowata iglica tuż nad progiem kolejnej doliny, w której zalegało białe cielsko lodowca.

Siedzieli na głazach szczytu okrakiem jak na koniach, wpatrywali się w biel nisko pod stopami. Zaczynał padać śnieg.

Wtedy jeszcze nie wyglądało to poważnie. Jak to w górach, czasem w lecie poproszy. Nie śpieszyli się z zejściem, chłonąc ostatnie chwile spokoju. Pojutrze wrócą do instytutu, a kiedy ogłoszą swoje wyniki, nic już nie będzie takie jak wcześniej.

W końcu ruszyli w dół. Nie rozmawiali, nawet gaduła Pietia nie chciał pusć ciszy powrotu.

Szare kłęby powoli zastoniły krajobraz – szczyty, przełęcz, lodowe cielsko w dole i odległą zieleni. Kiedy byli w połowie iglicy, gdzieś daleko rozległ się pomruk gromu, ale Jeliestratow zachował zimną krew. Mogli iść szybciej, to nic nie szkodzi. W tym momencie już wszystko nieuchronnie toczyło się po jego myśli.

Zeszli żlebem, w którym drobny piarg zdradliwie osuwał się spod butów, i dotarli do przewieszki, najbardziej efektownego punktu trasy. Kamiński, związany z Dmitrijem liną, schodził pierwszy. Na mokrych gładkach osiadały białe płatki.

Jelistratow asekurował go, odprowadzając wzrokiem. Pietia właśnie miał zniknąć za krawędzią przewieszki, kiedy Dmitrij kopnął z całej siły granitowy odłamek. I potem kolejny. I kolejny.

Piotr Iwanowicz krzyknął. Jelistratow działał sprawnie, tak, jak przecież powinien, dla ratowania życia: oplótł linę wokół ostrego występu skalnego, przy którym stał. Sznur naprężył się pod ciężarem człowieka, a Mitia nie cofnął dłoni, celowo ryzykując skaleczenie. Jakby miał szansę ustać i zatrzymać partnera w śmiertelnym locie.

W mgnieniu grozy, w miarowym uderzeniu spokojnego serca Jelistratowa, lina zarzucona wokół ostrej jak sztylet skały pękła. Wrzask Kamińskiego był krótki i urwał się nagle.

Dmitrij odetchnął głęboko. Schował nóż, który już trzymał w pogotowiu. Gdyby musiał odciąć Pietię, tłumaczyłby się oczywiście strachem o własne życie i wszyscy uwierzyliby mu i współczuli, ale sprawa nie byłaby tak czysta.

Wyjął z plecaka nową, porządną linę i bardzo ostrożnie zaczął schodzić poza przewieszkę, balansując nad pustką w chwilach, kiedy skała odpychała go od siebie.

Wiedział, czego się spodziewać – makabry. Wybrał takie miejsce, żeby konkurent do sławy nie miał szans. Teraz, na całej długiej drodze w dół, mijał potworne ślady wydarzenia. Pokrwawione skały, strzępy ubrania, oderwane fragmenty ciała.

Wróci tu następnego dnia z przewodnikami z doliny, wstrząśnięty, zszokowany – zareaguje jak na wrażliwego chłopca z miasta przystało. Może nawet trochę się skompromituje tą słabością.

Szedł w pośpiechu. Śnieżycy narastała, a od południa, zza głównej grani, waliła burza. Echo gromów ryczało coraz bliżej, odbijając się od pionowych ścian.

Tego, co przyszło potem, Mitia się nie spodziewał. Takiego kataklizmu nie zwiastował żaden z ich własnych – i lokalnych – sposobów

przepowiadania pogody. Następne godziny Jelistratow spędził skulony w niszy skalnej, osłonięty z góry i boków przed wichurą. Siedział w kucki na plecaku, chroniąc głowę i modląc się – stare odruchy wzięły górę nad przekonaniem – o to, by żaden z piorunów nie trafił zbyt blisko.

Zmysły płatały mu figle. W huku toczących się kamieni słyszał upiorne wysokie zawodzenie, w kłębach zawiei, ograniczającej widoczność do kilku kroków, zwidywały mu się ciemne kształty.

Potem zapadła noc i zrobiło się lodowato.

O świcie, gdy Dmitrij Pawłowicz rękami w mokrych rękawicach przekopał śnieg blokujący wyjście z płytkiej groty, opadły z sił zaczął brnąć przez zaspy i potykając się, niemal dopełzył do pierwszych zabudowań – nikt nawet nie myślał o dociekaniu, czy lina została przecięta, czy pękła sama. Powitano go jak cudownie ocalałego. Pietii żalowano, ale przyczyna śmierci drugiego wspinacza była przecież tak oczywista.

Jelistratowa ominęła nawet konieczność powrotu po zwłoki. Trochę kaszał, trochę gorączkował, nie było też za bardzo przed kim odgrywać bohatera – no chyba że nie przed góralami – więc został w cieple.

Z rozczłonkowanego ciała niewiele znaleziono, ale jakiś symboliczny pogrzeb udało się odprawić. Mitya nie wnikał, co zawierała trumna, którą w ponurym milczeniu zwieziono do Berna.

Dopiero później jedyny ocalały z dwójki inżynierów zaczął odchodzić od zmysłów, dopuszczając możliwość, że to w plecaku Pietii lub na przykład w wewnętrznych kieszeniach jego górskiego ubrania mogły znajdować się te najcenniejsze z cennych zapiski. Których istnienie było niepodważalne: Kamieński wielokrotnie powtarzał, że nie ufa swojej pamięci i wszystko notuje, niszcząc raz po raz dokumentację kolejnych, prowadzących donikąd procedur.

Jelistratow wrócił przeszukać kwaterę, ale w góry nie poszedł. Nie miało to najmniejszego sensu. Zawodowi przewodnicy nie odnaleźli plecaka ani innych osobistych przedmiotów Pietii – być może nawet nie znaleźli większości tego, co było Pietią – pomimo że nawiany w czasie burzy śnieg dość szybko stopniał poniżej lodowca, czyli również na ich trasie zejścia z iglicy. Jeżeli więc nie poradzili sobie z tym miejscowi, Dmitrij po prostu nie miał szans.



To była całkowicie na chłodno wykalkulowana prawda. Co nie zmieniało faktu, iż na samą myśl, żeby wrócić pod tę górę, z jej widziadłami i wyciem, cierpła mu skóra. Udawał, że nie przechodzi go dreszcz, kiedy patrzy na nią, piętrzącą się nad wioską w dolinie, lśniąca w słońcu oślepiającą bielą. Nie znalazłszy nic w żadnym z pokoi ani na sąsiadującym z nimi stryszku, wrócił do instytutu i jeszcze nie pozwalając sobie na rozpacz, rzucił się do własnych badań.

Był już na skraju całkowitego załamania, kiedy jesienią otrzymał list od Katiénki Frołowej.

\*

Konik był ciemnogniady, zgrabny, raczej kosztowny. Niechętnie przeszedł z rąk Żeni pod władzę Jelistratowa, ale jako że był dobrze wyszkolony, szybko się jej poddał.

Mitia lubił jazdę konną, lecz ostatnio miał za dużo obowiązków na taką zabawę. Wycieczka zapowiadała się na szczęście krótka.

Kopyta rozbijały śnieg na drodze, już o tej porze rozjeżdżony chłopskimi saniami. Ruch rozgrzewał jeźdźca, choć powietrze w lesie okazało się ostrzejsze niż na porannym spacerze po ogrodzie.

Kiedy Dmitrij wyjechał na polanę, na której środku stała cerkiew, zdziwił się. Zupełnie inaczej to sobie wyobrażał – w końcu nawet w zapadłej dziurze świątynia to główny punkt miejscowości i zwykle jest przed nią jakiś placyk, a na nim toczy się życie.

Nie żeby Jelistratow spodziewał się w taki mróz, w dodatku w dzień nieświęteczny, tłumu pod cerkwią, ale ona stała po prostu... na pustkowiu. Jadąc przez las, podświadomie zakładał, że za nim będzie kolejna wioska, zapewne większa od tej, której obrzeżem jechali wczoraj saniami z przystani sterowców.

Tymczasem nie było widać dymów! Gdy Mitia teraz się nad tym zastanowił, pomyślał, że rzeczywiście ślady sań jedno po drugich odłączały się od drogi, którą jechał. Nie zwrócił na to uwagi, bo śnieg na pagórku leżał płytki, przewiany wiatrem. Wcale nie zbliżał się ku wsi, lecz od niej oddalał, wjeżdżając coraz głębiej w las, a tak wielbiona, święta cerkiew stała na

lekkiej wyniosłości terenu, ogrodzonej niskim płotem, pośrodku dzikiej polany.

Jelistratow zbliżał się ku niej powoli, zadzierając głowę w zachwycie. Cerkiew była cudowną drewnianą perełką. Przypominała piramidę powstałą z sześciu poziomów nadbudówek, każdą z nich zdobiły boczne kopułki. Było w niej coś lekkiego, jakby całość trzymała się gruntu tylko dzięki śmiałej woli twórców. Co za kunszt...

Jednak im bliżej podjeżdżał, tym bardziej coś mu nie pasowało. Aż wreszcie zrozumiał. Świątynia nie tylko stała na pustkowiu – ona była opuszczona. Nad kominem maleńkiej plebanii nie unosił się dym, schodkowane urocze nadbudówki wydawały się rozchwiane, a krzyże na kopułkach przekrzywione, każdy w inną stronę.

Nie sypała się w ruinę, deski trwały na swoich miejscach, wiatr we wnętrzu nie hulał.

Ale i tak.

Mitię przeszedł dreszcz. Poczuł, że jest całkiem sam – nie licząc niespokojnego gniadosza – pośród martwego zimowego lasu. W sytuacji jakby... jakby rzeczywistość nagle przestała wyglądać tak, jak powinna. Niby w złym śnie.

Jak uderzenie w żołądek wróciło wspomnienie lodowatej nocy u podnóża przełęczy w Alpach Berneńskich. Tchnienie pierwotnej grozy czyhającej w ciemności.

Jelistratow wziął głębszy oddech. Co za dziecinada. Zachowuje się niestosownie. Cokolwiek dzieje się z jego nerwami, musi natychmiast wziąć je w karby.

Podniósł jeszcze raz wzrok na cerkiew i zamarł. Na nadbudówce siedziało zwierzę.

Nie przypominało niczego, co Mitia dotąd widział. Z kształtu pyska podobne do wilka, jednak z wielkości i sposobu, w jaki balansowało na krokwi, było wręcz w przerażający sposób... ludzkie. Jelistratow poprawił się zaraz: przywodziło na myśl małpy, które oglądał w petersburskim zooparku.

One też były porośnięte czarnym futrem, a zachowywały się w niepokojąco ludzki sposób – do tego mając jeszcze prawie że twarze, nie

pyski.

Skąd jednak takie kuriozum na wolności w lesie? Może uciekło z dworskiej menażerii? Ale jak radziło sobie w zimnie? Przecież to musi być jakiś afrykański czy azjatycki, nieznanym Dmitrijowi, ciepłolubny gatunek.

Tym trzeźwym rozumowaniem usiłował zagłuszyć narastającą chęć, żeby zawrócić konia, uciec i nigdy już nie wrócić pod dziwną cerkiew.

Gdy na sąsiedniej kopule dostrzegł drugie zwierzę, zaczął się ostrożnie wycofywać, szerokim łukiem, tak by utrzymać panowanie nad koniem, a równocześnie nie tracić z oczu stworzeń.

Był już za ogrodzeniem, gdy dostrzegł, że na krzyżu siedzi trzecie.

Czwarte i piąte zamajaczyły we mgle, wyłaząc zza obu węglów świątyni.

Poruszały się też podobnie do małych – częściowo na czworakach. Zęby błyskały w lekko rozchylonych podłużnych pyskach.

Mitia przypomniał sobie poranny trop pod oknami dworu. I rozpapranego trupa na polu za wioską.

Jeżeli zawrócić konia galopem – rzucą się w pościg, to instynkt. Jak szybko biega taki zwierz? Na pewno szybciej niż wilk.

Wyciągnął zza pazuchy rewolwer i strzelił na postrach w powietrze.

Gniadosz stanął dęba, a odwykły od jazdy Mitia zleciał w śnieg. Udało mu się wylądować tak, żeby nie zrobić sobie krzywdy, ale wstrząs był mocny, oszołomił go na chwilę. Cylinder spadł mu z głowy i potoczył się gdzieś dalej. Podnosząc się, Jelistratow słyszał oddalający się w stronę dworu tętent konia.

Mimo rwącego bólu w biodrze odwrócił się gwałtownie, kurczowo ściskając rewolwer, którego udało mu się nie upuścić. Spodziewał się watahy w pogoni, ale to, co zobaczył, zestaliło mu krew w żyłach.

Stworzenia nie przestraszyły się strzału ani nie ścigały konia. Trwały na swoich pozycjach, poza dwoma ostatnimi, które leniwie zbliżały się ku niemu wzdłuż ścian cerkwi.

Nad krzyżami krążyły z krzykiem spłoszone kruki.

– Nie hałasuj w świętym miejscu, młody człowieku – powiedziało zwierzę z nadbudówki głosem wujaszka panny Jekatieriny.

Błada groza zjeżyła włosy na karku Dmitrija Pawłowicza, czysty atawistyczny strach.

Złe, Złe, Złe! – wyła w jego głowie pamięć najdawniejszych przodków, za nic mając oświecony głos rozumu, podsuwający wyjaśnienia, od ogłuszenia upadkiem począwszy, a na zatruciu czymś nieświeżym i halucynogennym w dworskiej kuchni skończywszy.

Złe!!!

– Ani się waż strzelić jeszcze raz – kłapnęła wilczą paszczą cioteczka-wdowa na kopolce. – Najlepiej rzuć rewolwer daleko od siebie, tam, w zaspę.

Mitia zadziałał jak automat, posłusznie pozbywając się jedynej broni.

Rozum usprawiedliwił go usłudze: pięć stworzeń, pięć kul. Nie ma szans, żeby strzelał tak szybko i tak celnie.

W tle jednak budził się też inny głos rozumu, jakoś na przecięciu zabobonu i inżynierskiej logiki. Oto jest Złe. I jest Katieńka we dworze.

Mnie nie wolno stąd odejść.

Tak, Katieńko Władimirowna? Czy to dlatego?

– Trzymacie ją tu przemocą?

Czymkolwiek jesteście.

Jelistratow stał z odkrytą głową, drżąc. Z powodu szoku przestał się dziwić. Nie zastanawiał się, czy to, co dostrzega, jest w ogóle możliwe. Zaczął kalkulować.

Jego myśli przerwał śmiech. Uragliwy rechot Żeni – na śniegu przy węgle, chrapliwy chichot wujaszka – z krokwi i wysoki, na granicy upiornego wizgu, cioteczki-wdowy.

– Głupi!

– Głupi!

– Głupi!

– Jej nikt nie zatrzyma.

– Nie uwięzi.

– Nasza pani chodzi w wietrze.

– Gdzie pada śnieg, gdzie jest mróz, tam jest nasza pani.

Mitia nie rozważał tego świadomie – obrazy same płynęły mu przed oczami. Bardzo się cieszymy, Katieńko, że cię nam ta śnieżyca przyniosła.

I to zawodzenie w zawiei na zboczach góry zwanej Panną.

Niemożliwe. Co za absurd.

– Nasza pani opiekunka – dokończył nieznany mu głosem inny stwór i wszystkie przyciały się nagle, skupiając wzrok w jednym punkcie, a Dmitrij poczuł, jak zimno zaczyna ścinać się w mróz.

Odwrócił się powoli.



Katieńka Władimirowna Frołowa szła drogą od dworu, powoli stawiając krok za krokiem. Zamiast ciężkiej żałobnej sukni z gorsetem nosiła lżejszą, luźną i prostą. Nierówny tren ciągnął się za nią po śniegu. Mleczne przedramiona miała nagie, głowę odkrytą, jasne włosy rozsypane na czerni sukni. Jaskrawo-niebieskie oczy pałały.

Bezwstydna. Olśniewająca.

Krok za krokiem – szła bosą.

– My nie marzniemy – powiedziała, łapiąc jego spojrzenie. Przekrzywiła głowę. – Mieszkamy tu od zawsze, kapłani różnych bogów przychodzili

i odchodzili, ale to zawsze było nasze miejsce. Wybieramy sobie mężów i rodzimy córkę, jedynaczkę. Pokolenie po pokoleniu, chociaż wasze pokolenia mijają szybciej.

Jelistratow zazwyczaj bał się mniej i rzadziej niż ludzie, których znał. Uważał, że to dowodzi jego odwagi, choć zapewne było tylko tym właśnie: brakiem odczuwania strachu. Teraz, gdy minęło bezpośrednie zagrożenie walką, gorączkowo dopasowywał w głowie podsuwane przez pamięć okruchy.

Twoje dziedzictwo...

Tańczyłyśmy z twoją matką na balach u mojego papę.

Już wiedział, co mu umknęło w tamtej rozmowie na balu. Stary Frołow mógł poślubić dużo młodszą matkę panny Jekatieriny, ale jak mogłaby ona przyjaźnić się z jeszcze starszą Daria Michajłowną jak równa wiekiem? Tu tkwiła niespójność. Matka Katieńki była zbyt młoda lub też zbyt młoda była sama Katieńka...

Nonsens.

*Poznasz moją ukochaną narzeczoną, moją boginkę.*

Brednie.

– Opiekuję się tutejszymi ludźmi. Ja i moi słudzy.

Za plecami Dmitrija coś zawarczało. Nieprzyjemnie blisko, lecz nadal trzymając dystans.

– Pietia wiedział – zrozumiał nagle Mitia. – Jakim cudem...

Nie mieściło mu się w głowie, że ten poczciwy, naiwny grubasek – i ta potworność.

– Owszem.

Panna Frołowa świdrowała go wzrokiem, jakby oczekując dalszej wypowiedzi. Mitia tylko przymknął oczy. To nie mogło się dziać.

Ale skoro się działo... Musi myśleć szybko. Musi myśleć sprytnie, jeżeli ma ująć z życiem. Inaczej niż chwilę wcześniej, kiedy wyobraził sobie, że to Katieńkę przyjdzie mu ratować – i korzystać potem ze wszystkich przywilejów bohatera.

– Byłaś... – zaciął się – była tam pani z nami, Jekatierino Władimirowna? Na lodowcu w Alpach? W tej piekielnej zawiei to była pani? I... słudzy?

Przez twarz Katieńki przebiegł drapieżny grymas. Mitia nie potrzebował innej odpowiedzi. Mówił dalej, starając się panować nad szczękaniami zębów:

– To pani wzięła notatki Pietii, prawda? Może zawrzyjmy umowę. Ja ci się, pani, pokłonię, bo tego oczekujesz od ludzi pod swoją opieką, prawda? Ludzie z wiosek przychodzą tu... Kiedy? Na zimowe przesilenie? By ci się, pani, kłaniać? Poddam się twojej władzy i opiece. Czy oddasz mi wtedy wynalazek Pietii?

– Piotr Iwanowicz był takim dobrym człowiekiem – powiedziała Katieńka Frołowa, stojąc boso w śniegu, a głos jej drżał, jak wtedy, gdy siedziała w ciepłym salonie. – Po co ci jego odkrycie?

– Pokażę je ludziom... Zmienimy świat.

– Ludzie są głupi, okrutni i sięją zniszczenie – odpowiedziała spokojnie, tłumacząc jak dziecku. – Piotr Iwanowicz taki nie był. On widział sprawy, jakimi są, i akceptował je. Nie objawiłam mu się sama od razu, rozpoznał tropy. Szłam, raz zacierając ślady, raz rozrzucając okruszki, a on gonił mnie, przez miraż i zasłony. Chociaż każda kolejna zasłona tylko bardziej kłóciła się z tym, co wiedział o świecie. A kiedy rozpoznał moją naturę, przyjął ją. Przyjął, że jego widzenie świata było błędne i że musi je zmienić. Nie prowadził badań, żeby panować i niszczyć, Dmitriju Pawłowiczu. Tylko żeby poznać.

Pod hipnotyzującym spojrzeniem Katieńki Mitia nie zauważył, jak blisko zdążyła podejść. Instynkt znów zawył – za blisko. Za szybko. Za zimno.

– Panno Jekatierino Władimirowna... – próbował jeszcze coś ugrać, coś negocjować, ale głos mu się łamał, telepały go ziąb i groza. Oddech zmieniał się w mgłę.

– Mój ukochany Pietia był jedyny w swoim pokoleniu, człowieku. Ktokolwiek będzie ojcem mojej córki, jemu nie dorówna.

Jelistratow bezwiednie opadł na kolana. Bardziej czuł, niż widział, że stworzenia za jego plecami tworzą krąg. Krople mgły na jego rzęsach i brwiach zamarzały.

– Trzeba będzie powiedzieć Darii Michajłownie...

Panna Frołowa wzięła Mitę za podbródek dłonią tak zimną, że dotyk aż parzył. Powietrze wokół nich krystalizowało się w igiełki, złote od słońca, które wyszło zza chmur.

– Trzeba jej będzie powiedzieć całą prawdę o tobie, człowieku.

Katieńka pochyliła się nad ofiarą i zaczęła się pożywiać.

Gdy skończyła, krew na śniegu i resztki mięsa szybko zamarły na kamień.

*Lublin, 2021–2022*

---

\* W rosyjskim obszarze kulturowym patronimiki to tzw. otczestwo (na przykład Dmitrij syn Pawła nazywa się Dmitrij Pawłowicz). Na tych terenach patronimiki nie zastępują nazwiska, lecz funkcjonują na zasadzie drugiego imienia [przyp. red.].



# Milena Wójtowicz

\*



## Ulinka

Z mateczką to było tak: starą Katarzynę z sąsiedniej wioski, tę zgarbioną, żującą własną ślinę i spluwającą na prawo i lewo, trzeciego dnia przesłuchań przed sądem najmiłościwszym posadzili na wiedźmi stolec, czarny od krwi i nieczystości. I jak w końcu zabrakło jej sił, żeby dalej krzyżeć, to urywanym głosem poczęła zapewniać łaskawego sędziego, że

razem z mateczką co sobota wsiadały na czarnego kozła i leciały na wzgórze za lasem, spożywać truchła niemowląt i oddawać się niecznotliwościom z tymże kozłem.

Co było nieprawdą wielką, bo mateczka ze starą Katarzyną może ze trzy słowa przez ostatni rok zamieniła, ani w wiosce sąsiedniej, ani w tej, ani nawet w tamtej za mostem nie było czarnej kozy, a co dopiero czarnego kozła, poza tym mateczka latała zawsze na witce wierzbowej.



Witka stała oparta o ścianę, kiedy przyjechał pan rycerz na wielgachnym koniu, takim nażartym, że nikt w wiosce zwierza tak wielkiego nie widział. Pan rycerz z siodła nawet nie zsiadł, co by stóp brudem ziemi sobie nie uwałać. Mateczkę za włosy z chałupy wyciągnął giermek i rzucił na zmarzniętą ziemię, niemal pod same kopyta.

Ulina wychodziła wtedy z zagajnika. Daleko była jeszcze od wioski i do domu miała ładny kawałek drogi. Ale tak jak mateczka nie potrzebowała ust ni języka, żeby mówić, jej, Ulince, nie trzeba było oczu, żeby widzieć.

Zobaczyła, co się dzieje pod chatką. Upuściła chrust i już biegła, rzuciła się na nich, kopać, bić małymi piąstkami, kiedy mateczka do niej przemówiła w głowie, jak to często robiła.

Kazała zostać. Kazała nie pokazywać się panu rycerzowi. Kazała nie wchodzić ludziom w oczy i czekać. Kazała się pilnować.

I tak, kiedy pan rycerz odjeżdżał na swoim wielkim koniu, a jego giermek włókł za sobą mateczkę, Ulinka, odwrócona plecami do nich, do wioski, do chatynki z otwartymi na oścież drzwiami, przez które do przytulnej izdebki wdzierał się chłód, zbierała swój rozsypany chrust, na oślep, bo mruganie nijak nie pomagało na ten piasek, drobne ziarenka bólu skryte pod powiekami, co wypychały z oczu łzy i wzrok odbierały.

Za szybko jej to poszło, więc wróciła jeszcze do zagajnika. Zajrzała do dziupli w starym pniu, czy aby tam co nie zimuje. Pokołysała się chwilę do melodii, którą na swoich bezlistnych gałązkach wygrywały leśnym lichom drzewa. Przeszła cały zagajnik w tę i z powrotem, tak daleko, jak tylko się dało bez zapuszczania się w gęstwinę. Tam mateczka zawsze chodziła sama, Ulinie nie było wolno.

Wreszcie, kiedy już zimowe słońce zaczęło chować się za chałupami i muskać ich dachy swoim blaskiem, takim czerwonym jak krew, Ulina wróciła do chaty.

Przez te otwarte drzwi cała izba do cna wyziębla. Ulina zamknęła je za sobą, ułożyła chrust na palenisku i usiadła na stołeczku. Otuliła się mocniej zimową kapotką, zacisnęła powieki i piąstki. W chacie było zimno i pusto i wiedziała, że nawet jak rozpali ogień, to już nigdy nie rozgrzeje ścian, nagle dziwnie obcych, strasznych, stanowiących jedyną granicę, jedyny mur między Uliną a resztą świata, skąpaną w czerwonym świetle zachodzącego słońca, a może we krwi.

Nie patrz, szeptała do niej z daleka mateczka. Nie potrzebowała ust i języka, by mówić, chociaż jeszcze wtedy je miała.

Ulina posłuchała. Zamrugła i patrzyła już nie w dal, na ten wielki dom, co to go postawili w miasteczku, z cegieł i żelaza, i karmili obficie posoką, jakby wapieniem jakimś był, a nie budowlą wzniesioną ludzką ręką, tylko na puste palenisko. Powoli, powolutku rozprostowała zamarznięte palce i zaczęła układać chrust.

\*

Przez kolejne dni Ulina trzymała się z daleka od wszystkich, przemykając ukradkiem do lasu, ledwie zaczynało świtać, i wracając już po zmroku z nędznymi, ale cennymi łupami: chrustem, zeschlą jagodą, martwą wiewiórką. Rozpalała nocą mały ogień, taki, żeby zdołał go ukryć przed sąsiadami wyskrobany paznokciem na kamieniach znak. Zasypiała w zimnej chacie, słuchając historii opowiadanych przez siedzącą hen daleko w miejskiej celi mateczkę. Dni mijały i historie stawały się coraz prostsze i krótsze. W końcu mateczka szeptała do niej tylko „nie patrz, nie patrz”, a Ulina z całej siły zaciskała powieki i piąstki, starając się być posłuszną.

Nie patrzyła, bo mateczka zabraniała. Umykała przed ludzkim wzrokiem, bo tak mateczka kazała. Starła się być jak cień – a kiedy jej się to raz nie udało, sąsiedzi dali wyraz swojej złości i niechęci. Uciekała wtedy ile sił w nogach i nie zatrzymała się nawet wówczas, gdy któryś z rzuconych przez dobrych ludzi kamieni odbił się od jej głowy. Umknęła wtedy do lasu i wróciła do chatynki dopiero, gdy mróz już szczypał natarczywie i nieprzyjemnie w palce i policzki. Tyle dobrego, że przez ten czas krew zamarzła, zamykając ranę na skroni.

Wieści dotarły do niej nagle któregoś wieczoru, gdy wracała do domu i zastała pod chatynką ludzi z wioski. Nie zdążyła uciec, bo dopadł ją zaraz Bartoszyk, schwycił za kapotkę i zaczął wołać innych. Ulina wpierw szarpała się i wrywała, a potem nagle spłynął na nią spokój. Bo jeśli to było już, to nie było się czego bać. Spotkają się z mateczką na szczycie góry, polecą tam ich wolne duchy na wspomnieniach wierzbowych witek i będą się cieszyć, tańczyć i ucztować już nie do rana, ale na zawsze.

Zacisnęła pięstki i zaczęła w myślach powtarzać znane sobie zaklęcia, żeby, kiedy przyjdzie pora, wykrzyknąć je ludziom z wioski w twarz, żeby zadać im na pożegnanie ból, który będą pamiętać jeszcze długo po tym, jak wiatr rozniesie popiół z jej kości.

Ale nim zdążyła to zrobić, do Bartoszyca doskoczyła jego matka, cała rumiana z radości, i zaczęła prawić Ulinie, jakby ta jakaś niespełna rozumu była, co się w miasteczku stało. I zaraz dołączyli do niej inni i zaczęli się przekrzykiwać, cali błyszczący na twarzach, z chciwością w oczach, niemogący sobie odmówić tego, by po raz kolejny opowiedzieć historię dla wioski niesłychaną.

A Ulina słuchała ich, rozwierając pięści, ale wciąż powtarzając w głowie zaklęcia. Na następny raz.

Powiedzieli jej, że mateczka ją szykowała, żeby zabić i złożyć szatanowi w ofierze. Głupi ci ludzie strasznie byli. Mateczka za to była mądra. Ale przynajmniej teraz, jak się rozeszło, że ponoć chciała Ulinę swoją zadłgać albo, co gorsza, temu kozłowi na bezceństwa oddać, to dzieci przestały rzucać kamieniami, a gospodarz z największego domu wyrzekać, że trzeba to wiedźmie nasienie wyplewić.

Nawet zaczęli szeptać, że Ulina nie jest mateczkowa, że mateczka ją ukradła jakiejś dobrej rodzinie, podle i podstępnie, jak to wiedźmy robią.

Wszystkie te głupie, głupie kłamstwa i wymysły bolały jak igiełki mrozu szczypiące w ręce, ale Ulina głupia nie była i wiedziała swoje. Wiedziała, że mateczka jej życie uratowała. Nie na długo, to też wiedziała. Ludzie są mściwi, zapomną o biednym podmieńcu, będą za to pamiętać, że wiedźma zostawiła córkę.

Na razie jej współczuli. Wygonili z chaty, bo to już nie była chata ani mateczki, ani Uliny. Sędziowie co się tylko dało, kazali sprzedać, żeby było za co wyprawić proces i postawić stos. Sądy dużo kosztowały, a najdroższy ze wszystkiego był ten kat, co przyjechał aż z dużego miasta, ten, co starą Katarzynę wziął na męki tak, że aż wszystko wyśpiewała.

Ten, który pojawiał się teraz w snach Uliny, zawsze na chwilę przed tym, jak szept mateczki kazał jej odwracać wzrok.

Drogie było wino, które sprowadzali sędziowie całymi beczkami, żeby po ciężkim dniu pracy wspomóc ducha, by udźwignął ciężar bezceństw i podłości, którym musieli stawiać czoła.

Na własne oczy widziała panów sędziów tylko raz, gdy przyprowadzono ją przed ich oblicze. Mówili do niej „Julianna, córka Doroty” i kazali opowiadać, jakie bezceństwa mateczki widziała.

Mateczka też tam była, całkiem do siebie niepodobna. Ledwie strzęp, łyse, pokraczne stworzenie z zapuchłą twarzą, z trudem trzymające się na dziwacznie wywiniętych nogach. Ruszała ustami bezdźwięcznie, pokazując paszczę, w której pół zostało zębów, a pół krwawych dziur, wyrwanych okrawków ciała. Ulina nigdy nie potrzebowała słów mówionych, żeby się porozumieć z mateczką. Głos, który słyszała w swojej głowie, głos, który pieścił jej myśli i wypełniał ją miłością, żalem, obietnicą, brzmiał tak samo, jakby mateczka w środku w ogóle niewzruszona była, cała, cudowna. Była też jak zawsze twarda, wszystkowiedząca i mądra, i Ulina jak zawsze była jej posłuszna.

Mówiła sędziom to, co podpowiadał jej w głowie szept mateczki. Przeżegnała się i wyrzekła diabła, jak mateczka kazała. Gdy ją odprawili, wyszła, nie oglądając się za siebie i otwierając oczy szeroko, szeroko, żeby tylko nie mrugnąć i żeby łzy całkiem wyschły, zanim w ogóle zaczęły płynąć.

Mateczka była z niej dumna, powiedziała jej to na pożegnanie. Potem już zawsze milczała.

\*

Stos zbudowali w mieście. Prawie wszyscy z wioski pojechali oglądać, jak będzie się dokonywać sprawiedliwość, i bawić się, i radować, że oto ziemia zostanie oczyszczona z plugastwa, plony będą bujne, a ludzie zdrowi.

Ulina poszła do zagajnika, usiadła na zeschniętym pniaczku, tyłem do wioski, przodem do gąszczu, w który nie wolno jej było się zapuszczać, ciemnego i złowrogiego, sięgającego aż po las. Nie widziała drzew ni ciemnych kształtów, które złowrogo się za nimi kryły. Patrzyła na miasto,

na mateczkę na wozie, na twarze ludzi, takie powykrzywiane, takie nienawistne, na to jak wyklinali złego, jak rzucali zgniłkami i kamieniami w ten strzęp człowieka i czuła, jak coś w niej wzbiera, coś tak wielkiego i gorącego jak ten ogień, który trawił mateczkę.

Mateczka umarła, płomień zgasł, a Ulina została całkiem sama w lesie, z łzami przymarzniętymi do policzków.

Najchętniej zostałyby na tym pniaczku już zawsze, siedziałyby, póki zimno nie przestałoby mrozić, póki w środku nie zrobiłoby jej się ciepłutko, póki wielka góra, ta, o której opowiadała jej mateczka, nagle nie znalazłaby się tak bardzo blisko.

Ale nie mogła. Kłamstwa i powiastki, które mateczka bezzębnymi, skrwawionymi ustami opowiadała katu, poszłyby wtedy na marne. Ulina musiała wytrzymać, jeszcze trochę – do wiosny. Aż zrobi się na tyle ciepło, że będzie mogła odejść z wioski i spać w drodze pod gołym niebem. Aż wyrosną świeże wierzbowe witki, takie w sam raz, żeby unieść chudą dziewczeczkę hen, na wielką górę.

Tam, gdzie wszyscy tańczą, tam, gdzie jedzenia jest, ile tylko można sobie zamarzyć, tam, gdzie jest zawsze ciepło od ogniska, tam, gdzie na pewno poleciał duch mateczki.

\*

Bartoszowie ją przygarnęli, z wielkim hałasem, krzycząc o miłosierdziu, jałmużnie i nakarmieniu głodnych tak, że słyhać ich było chyba nawet w miasteczku. Hałas robili przy innych ludziach, przy Ulinie byli cisi – ot, Bartoszowa złapała ją za cienkie ramię, mocno, jakby zamiast palców miała szpony, wepchnęła do komórki, gdzie zimowała krowa, i oznajmiła, że teraz tu biedna sierota będzie mogła spać, w ciepłe i bezpieczeństwie, traktowana jak swoja. A zaraz potem wyliczyła, co Ulina będzie musiała robić.

Było tego dużo, bardzo dużo, ale Ulina wiedziała, że musi zmilczeć i nie wolno jej narzekać. Robiła, co jej Bartoszowa kazała, na tyle szybko, by nie być całkiem bezużyteczną, na tyle wolno, żeby gospodyn



wzdychała ciężko nad głupią sierotą, co to jeno do prostej roboty była zdatna.

A kiedy już wszystko było zrobione, kolacja, skąpa, ale ciepła, zjedzona, Ulina układała się przy krowie i zaczynała zamawianie.

Z Bartoszą było inaczej niż z katem. Ten, odkąd mateczkę spalił, jakiś nieswój się zrobił i chodził dziwacznie, jak kaczką. Kiedy Ulinie postawiono przed panami sędziami, pilnowała się, żeby za bardzo się na nikogo nie patrzeć, żeby nie było krzyków, że złe oko i urok rzuciła. Ale zapamiętała sobie ich gładkie, czyste twarze, a najbardziej tę należącą do kata. Tak dobrze, że kiedy zacisnęła powieki, mogła go widzieć dokładnie, tak dokładnie, jak trzeba było, żeby zauroczyć.

Dumna z siebie była straszliwie. Pierwszy dorosły czar, bez nadzoru mateczki. Ale jednocześnie smutno jej się robiło, gdy o tym myślała, i wtedy dławiło ją coś w środku, ni to głód, ni to ból.

Bartosza, choć surowa, dumna i chytra, nie uczyniła Ulinie krzywdy większej niż wszyscy inni. Za to Bartosz, gdyby tylko mógł, skrzywdziłby ją bardzo, bardzo. Widziała to w jego myślach, przerażające obrazy, z których nie rozumiała wszystkiego, ale wiedziała, że kryje się w nich zło większe niż wszystko, o co oskarżono mateczkę.

Słusznym i sprawiedliwym byłoby go ukarać za czyny, których dopuszczał się w myślach, ale Ulina bała się, że ratując się od grubych palców Bartosza, ściągnie na siebie gniew jego żony i sąsiadów. Wszak była pomiotem złego, córką czarownicy, dobrze wiedziała, że cokolwiek się w wiosce wydarzy, ona będzie pierwszą winną.

Wzrok zatem spuszczała skromnie, nie zatrzymywała spojrzenia na nikim, by nie wzbudzać podejrzeń, całą sobą była wystraszoną, głupią dziewczynką z wioski, a wieczorami ze wszystkich sił zamawiała dla Bartoszonej.

Żeby jej oczy zawsze były bystre. Żeby jej uszy zawsze wszystko słyszały. Żeby czujniejsza była niż lisica z młodymi. Żeby widziała w mroku jak kot. Żeby ani mąż, ani znajda ni przez chwilę nie umknęli jej uwadze. Żeby sił zawsze miała tyle, by upilnować wszystkiego

w gospodarstwie. Żeby sen miała dobry, ale lekki, by budził ją najmniejszy szelest.

Zamawianie działało wyjątkowo dobrze i ledwie parę dni trzeba było, żeby Bartoszowa rozkwitła, a marnieli wszyscy wokół niej. Bystre oko gospodyni zauważało wszystko, od kurzu w kąciku, przez to, że mąż się bez zajęcia kręci, aż po nową zapaskę sąsiadki. Bartoszowa pierwsza wiedziała, co w trawie piszczy, najszybciej kojarzyła jedno z drugim i nic się nie dało przed nią ukryć. Kwitła i promieniała szczęściem, pani na gospodarstwie, najważniejsza w wiosce, najmądrzejsza i niedościgniona.

Bartoszowi to niezbyt było w smak, spochmurniał i jakiś mniej chyży się zrobił. Nie kręcił się jak wcześniej, bez celu, łypiąc co chwila na znajdę, bo gospodyni raz dwa to zauważała i zapędzała go do jakiejś roboty. Kiedy wreszcie przychodził czas na spoczynek, stary padał i zasypiał od razu. Podobnie zresztą Bartoszyc – jemu też nie udawało się umykać przed matką, która zdawała się widzieć i słyszeć wszystko, a już najbardziej, gdy ktoś obijał się w zasięgu jej wzroku. Ulinie, cichej i pracującej powoli, ale wytrwale, też nie udało się umknąć przed ofukaniem i poszturchnięciem.

Znosiła to jednak, bo lepsze były prychnięcia Bartoszowej niż chciwe spojrzenia Bartosza. Była zmęczona, ale miała co jeść i mogła spać bezpiecznie. To wystarczyło, musiała tylko wytrzymać do wiosny.

\*

Zbieranie chrustu zimą było zajęciem niewdzięcznym. Ziemia była twarda, gałązki kryły się pod śniegiem, mróz szczypał w twarz i palce. Ulinie to nie przeszkadzało. Na polach i zagajniku była sama, z dala od wszystkich ludzi z wioski, z dala od ich podejrzliwych oczu, od ich kłamliwych ust. Była sama i bezpieczna.

Mogła szeptać do mateczki, opowiadać jej o monotonii życia z Bartoszami. Mówić o tym, że już niebawem, że dni staną się dłuższe, że na wierzbowych witkach pojawią się puszyste kotki, a ona będzie do nich przytulać policzki i nasłuchiwać, aż dadzą znać, że to już, nadszedł czas

wzbić się do lotu. I chociaż wiedziała, że tych wszystkich słów słuchał tylko zimowy wiatr, to jednak było jej lżej.

Podczas swoich wypraw rzadko kiedy widziała kogokolwiek – surowa zima zniechęcała do wypraw, a już na pewno do zapuszczania się dalej od wioski, do zagajnika za najodleglejsze pola. Ulina chodziła tam sama i sama wracała, gdy zaczynało zmierzchać.

Mateczka zawsze jej powtarzała, że za mała jest, żeby zmierzchem sama się wałęsać. Ciemność była przyjazna tym, którzy ją rozumieli i umieli się z nią zaprzyjaźnić, a za życia mateczki Ulinie było jeszcze do tego daleko.

Teraz wszystko było inaczej, ale ona wciąż była posłuszna – bo ze wszystkich słów na świecie tylko te powiedziane przez mateczkę nigdy jej nie zawiodły.

Szła ze swoim ciężarem, spoglądając na śnieg pod owiniętymi szmatami i słomą stopami, słuchała, jak skrzypi i próbowała odnaleźć w tym dźwięku jego pieśń. Mateczka kiedyś powiedziała, że tym, co umieją słuchać, wszystko może śpiewać, szeptać i zdradzać swoje tajemnice. Ulina starała się nauczyć słuchać jak najlepiej, żeby wiedzieć, jak tylko wierzbowe witki zaczną wołać, że to już.

Zasłuchana w śnieg, skupiona na jego bieli, nie zauważyła w ogóle, jak wyszła na najbardziej od wioski oddalone pole. Stąd do wsi była już prosta droga. Pole było puste, nie licząc kilku stogów i plamy krwi.

Nad tą plamą Ulina się zatrzymała, zdziwiona, że biały puch zmienił kolor na czerwony i nagle przestał skrzypieć, a zaczął krzyczeć, wyc w ręcz, a w tym wyciu dało się słyszeć strach i triumf, i ostrzeżenie. Pierwszy raz słyszała śnieg tak wyraźnie, więc zaskoczona i uradowana podniosła głowę, chcąc podzielić się swoim szczęściem z wiatrem i mateczką.

Ale wiatr ucichł i zamilkł, nie próbował do niej nawet szeptać. Rozejrzała się wokoło. Pole zdawało jej się puste, ale jednocześnie ogarnęła ją przemożona pewność, że tak nie było – o tym krzyczał śnieg i o tym szeptałby wiatr, gdyby się nie bał.

Ulina przyjrzała się czerwieni pod swoimi stopami. Potem spojrzała na zabudowania widoczne hen, za polami, coraz mniej wyraźne w zapadającym zmierzchu. Za długo zmitrężyła w zagajniku, sama ze swoimi myślami i wspomnieniem mateczki. Gdyby teraz bardzo mocno przyspieszyła kroku i przemknęła między stogami, zdążyłaby może bezpiecznie do wioski, zanim ciemność ogarnęłaby pola.

A może nie.

Kilka kroków od czerwonej plamy, przy której stała Ulina, była następna. Kiedy do niej podeszła, zauważyła jeszcze jedną. I kolejne. Większe i mniejsze, niektóre wsiąkające w śnieg, inne rozprysnięte jak czerwone koraliki na białych hałdach, a Ulina szła za nimi.

Najpierw zobaczyła konia – tego tłustego ogiera, na którym rycerz przyjechał po mateczkę. Był ogromny nawet teraz, gdy leżał na boku, z brzuchem rozprutym i parującym, z pyskiem rozwartym tak mocno, że aż dziw, że nie wydobywał się z niego żaden dźwięk. Oko miał otwarte, szkliste i martwe.

Ulina nigdy nie widziała tak wielkiego truchła. Krwi było tyle, co na świniobiciu w wiosce, ale płynęła inaczej, dziko, bez celu, krzycząca o strachu i agonii.

Powoli, ostrożnie, by nie podeptać czerwonego śniegu tworzącego wielką plamę wokół padliny, obeszła konia. Spoglądała na niego nieufnie i podejrzliwie, czy aby nie poderwie się nagle ostatkiem sił i jej nie stratuje, oblewając przy tym świeżą juchą, ale w nim już życia ani sił nie było.

A za koniem, na polu, w białym śniegu, stał wilk.

Nie byle jaki wilk, nie taki zwykły, co chodzi na czterech łapach. Prawdziwy wilk z najgłębszej kniei, cały obrosnięty burym futrem, posklejanym, mokrym i czerwonym od końskiej krwi. W połowie bestia, w połowie człowiek, dziki z twarzy, z ogromnymi szponami wyrastającymi z palców i pyskiem dziwacznie krótkim, jakby zaklętym w połowie drogi między ludzką twarzą a wilczą paszczą. Był wielki, większy niż najwyższy gospodarz z wioski, wyższy niż ten kat, co umęczył mateczkę, i prawie tak

duży jak stóg, za którym chowali się rycerz i jego giermek, ci sami, którzy ją zabrali z wioski.

Kulili się obaj tam, gdzie wilk ich dostrzec nie mógł. Zauważyli Ulinę, gdy tylko obeszała padłego konia. Pan rycerz palec przyłożył do tego żelastwa, co to miał na głowie, tam, gdzie były usta. Ciii, mówił do niej bezgłośnie, ciii, prosił. Giermek, bardziej może pocziwy, machał do niej ręką, żeby podeszła do nich bliżej, schowała się.

Rycerz go za tę rękę złapał i opuścił mu ją siłą. Pocziwy może nie był, ale mądrzejszy od sługi. Ulina w czerwonej chuście odznaczała się na śniegu tak mocno jak krew. Wilk by zaraz za nią pobiegł i znalazł dwóch schowańców. A tak oni byli skryci przed jego żółtymi ślepiami, a ona stała pomiędzy stogami całkiem sama, ze swoją wiązką chrustu.

Wilk ją dojrzał i patrzył prosto na nią. Oczy miał wielkie, zęby ostre i straszne, a zmierzch rzucał na niego cienie i otulał go sobą niczym kapotą trwogi. Hen, za jego plecami już niemal wcale nie było widać domów. Wokół tylko białe pole, czerwona krew i bury zwierzę.

Ulina była mała i słaba. Ale tu, przy wilku, mali i słabi byli też rycerz i jego giermek. Wielki i silny był tylko on, potwór z głębi lasów i z koszmarów, może większy i silniejszy od ludzi z wioski, ale nie bardziej od nich straszny.

Odetchnęła raz, powolutku, głęboko, tak żeby nabrać dużo powietrza, nadać się jak żaba.

– Panie wilku! – zawołała najgłośniejszym głosem, jak umiała. – Tam są, panie wilku. Tam, za tem stogiem. – Pokazała mu, na wypadek, gdyby nie znał ludzkiego języka, i potrząsnęła kilka razy ręką, żeby na pewno zauważył.

Tam, wskazywał mały paluszek. Tam są ci, którzy się próbują przed tobą skryć. Tam są te złe pany, co mateczkę na sąd wzięli. Tam są te podłe ludzie.

Nie dało się poznać, czy wilk zrozumiał jej słowa, czy gest, ale rzucił się ku kryjówce rycerza i giermka, pół biegnąc, pół sadząc susy na czterech łapach, jak zwierzę. Ludzie, usłyszawszy krzyk Uliny, wydali z siebie ni to jęk, ni to płacz.

Giermek próbował uciekać. Wybiegł z ukrycia prosto pod wielkie, szponiaste łapy i zęby zbroczone krwią. Nie zdążył nawet głosu wydać, coś trzasnęło, plasnęło dziwnym, nieprzyjemnym dźwiękiem, od którego Ulinę przeszedł dreszcz, i już nawet śnieg nie musiał jej szeptać, że z drugiej strony stogu leży trup.

Rycerz dotknął dłonią czoła i piersi, coś wymamrotał pod nosem i ściskając mocno miecz w dłoni, okrążył kryjówkę, idąc wilkowi na spotkanie. Szedł z podniesioną głową, powłócząc nogami, jakby był z kamienia. Nie obejrzał się nawet na dziewczynkę, która wydała go na śmierć i męczarnię.

Ulina się zawahała. Powinna może skorzystać z tego, że wilk zajęty, i pobiec w stronę wioski, w nadziei, że zdąży, nim jemu znudzi się zabawa z truchłem. Stała jednak niezdecydowana, patrząc na stóg, który przesłaniał jej część pola, i na czerwień, która rozlewała się na śniegu obok niego.

Mateczka opowiadała jej o wilkach żyjących głęboko w lesie, tam, gdzie Ulinie nie wolno się było zapuszczać. Ostrzegała zawsze, że bestiom tym bliżej do zwierząt niż ludzi i łatwo mogą człowieka skrzywdzić. Ale czasem mówiła też, że były wiedźmy, które żyły z nimi w przyjaźni, niektóre nawet jako wilcze oblubienice.

A Ulina myślała o tym, że te wilcze oblubienice przecież muszą gdzieś mieszkać, może w szałasie, a może w chatynce w lesie, i same wilki też pewno mają swoje schronienia, a w tych chatynkach i schronieniach są klepiska do obmiecienia, może jaja do zabrania od kury, może chrust do zbierania. I w takim lesie, z wilkami i z wilczymi paniami, nie ma ludzi z wioski i nie ma Bartoszowej, i nie ma Bartosza, i może nie trzeba co wieczór zamawiać, żeby nie musieć się bać.

Krok po kroku, ostrożnie okrążyła stóg. Śnieg płakał pod jej stopami, ale przestała go słuchać. Był cały czerwony, nic dziwnego, że łkał. Może, gdyby ona była takim śniegiem, zlanym krwią i cierpieniem, też by płakała. Ale była tylko Uliną i pierwszy raz była nieposłuszna.

Stała wtulona w chłodne siano, obryzgane juchą tak bardzo, że na pewno już nikt by go nie chciał zwieźć z pola, i popatrzyła na rycerza

i giermka.

Wilk szarpał ich, rozrywał i zjadał na surowo. Strasznie to głośne było, takie zjadanie. Mlasczące, kwilące, chrzęszczące, trochę nawet gegające, jakby w ostatnich chwilach w tych podłych ludziach gniew i żal przyoblekły się w postać gęsi i śpiewały im skrzekliwie na pożegnanie.

Ulina patrzyła na to wszystko szeroko otwartymi oczami. Nie było w jej myślach mateczki, która by szeptała, że ma odwrócić wzrok. Nie było jej, bo i ją rozszarpali i rozerwali. Ludzie, gorsi od głodnych wilków.

Nie bała się pazurów ani zębów, ale całą ją przepętniała obawa, że wilk odejdzie, zanim zdąży mu pokazać, że jest użyteczna. Bo coś takiego mała Ulinka mogła zrobić, czego nie dałby rady dokonać wielki, mocarny stwór?

Niewiele. Ale troszkę tak.

Upatrzyła sobie miejsce nieopodal wilka, tam gdzie śnieg był już tylko biały. Szuru-buru odgarnęła go stopami i raz-dwa ułożyła tam ognisko z zebranego chrustu. Z przyzwyczajenia rozejrzała się na prawo i lewo, czy nikt nie patrzy.

Wilk zajęty był teraz ochłapem mięsa, który kiedyś był giermkim. Rycerz leżał obok, wciąż w tym swoim cudacznym hełmie na głowie, zwrócony twarzą w stronę Uliny. Może i na nią patrzył, może i nie – przez te cienkie szpary w metalu ciężko było coś dostrzec, a do tego jego ciałem co raz wstrząsał dreszcz, targający nim w rytm wypływającej mu z brzucha juchy. Ulina uznała, że nawet jeśli patrzy i cokolwiek tymi oczami jeszcze widzi, to nie ma się czym kłopotać. Ale nauki mateczki miała wryte głęboko, głęboko w sercu i w głowie, więc dla niepoznaki zacisnęła pięści, jakby krzesiwo w nich miała. I raz, i dwa, i trzy, i dmuchnęła, a w drewnie zamigotał płomyczek, malutki, przyjemny, ciepłutki. Delikatnie skwierczał i trzeszczał, taki suchy w swojej piosence – nie to co przygrywka z mlaskania, tryskania i charczenia, którą obok wygrywał wilk.

Ulina upewniła się, że ogień nie zgaśnie, zostawiła go i podeszła tam, gdzie śnieg był już czerwony i czarny, a nawet fioletowy i żółtawy.

– Panie wilku. – Odchrząknęła. – Panie wilku!

Nie reagował wcale, jakby była muchą natrętną, zajęty szarpaniem, rwaniem i przelykaniem.

– Panie wilku! – zawołała już całkiem głośno Ulina.

Wciąż nie zwracał na nią uwagi, więc szarpnęła go za ogon.

Odrzucił się zaraz, gotów do ataku, z futrem na pysku ubabranym krwią, z zębiskami wielkimi i czerwonymi, z szaleństwem w ślepiach.

– Panie wilku, ja ogień rozpałiłam – powiedziała. – Można upiec, nie trzeba na surowo jeść.

Patrzył na nią tymi swoimi oczami, wielkimi, żółtymi, strasznymi. A Ulina zadzierała głowę najwyżej, jak umiała, żeby móc na niego spojrzeć.

Rycerz, najwyraźniej jeszcze żywy, wydał z siebie coś jakby jęk. Wilk gwałtownie odwrócił pysk w jego stronę, a Ulina podeszła krok bliżej, wyjrzała zza wielkich, włochatych nóg bestii i zobaczyła dwa strzępy mięsa leżące na czerwonym śniegu. Nie było w nich już prawie nic z walki ani życia. Wilk najwyraźniej zgodził się z nią, bo prychnął tylko wzgardliwie i więcej już nie zaszczycił konających uwagą, paszczę ponownie kierując ku Ulinie.

Mateczka zawsze jej mówiła, że rozmawiać z kimś to jedno. Zaprosić do swojego domu czy ogniska, to drugie. Ale dzielić się jedzeniem, a zwłaszcza w taką zimę, gdy każdy miał tylko to, co oszczędził z lata i jesieni albo co upolował – och, to było dopiero coś.

Nagle wzdrygnęło ją coś w środku, coś takiego bardzo ludzkiego, co miało wzrok Bartoszewej, głos sędziego, ciężką rękę Bartosza – cały gniew, obrzydzenie i oburzenie tych wszystkich ludzi, których znała. Ludzi, którzy pokrzykiwali, gdy mateczkę wózkem wieźli na stos. Rzucali zgniłkami w jej biedne, poranione ciało i w straszliwą żelazną uzdę, którą jej założyli. Któryś trafił ją w samo czoło parszywej maski i mateczka zachwiała się wtedy tak mocno, że prawie upadła.

To coś w środku umilkło nagle, znieruchomiało i przestało dawać się we znaki.

Zadarła ponownie głowę.



– Podgrzejemy mięso, panie wilku – powiedziała Ulina do potwora. – W zimnie ciepłe jedzenie to dobro jest, rozgrzewa od środka. Podgrzejemy, zjemy i od razu będzie nam raźniej.

Nic jej nie odrzekł, bo może i nie mógł. Mateczka nigdy nie wspominała, czy wilki znają mowę i umieją jej używać. Ulina uznała, że to nie będzie wielka trudność – jeśli zaszłaby potrzeba, mogła mówić za dwoje. Skinęła zdecydowanie głową, sama sobie, zadowolona z przemyśleń.

Wilk ani drgnął.

– A jak już zjemy, to idę z tobą, panie wilku – mówiła dalej Ulina. – Umiem zbierać chrust. I rozpałać ogień. I leczyć rany. I podejrzalam, jak mateczka robiła tak, żeby parobkom kuśki poodpadały i uciekły do dziupli. I sama taki czar rzuciłam na tego kata, co ją spalił. Jak chcesz, panie wilku, to kuśki twoich wrogów wysłę na sam szczyt sosny. Nigdy ich nie znajdą, uschną im tam albo je wiewiórki zjedzą.

Potwór wciąż w żaden sposób nie dawał znać, że przekonały go jej słowa ani że cokolwiek z jej przemowy zrozumiał. Ulina zadzieriała głowę najwyżej, jak umiała, rozpaczliwie próbując wymyślić, co jeszcze może mu powiedzieć i jak go przekonać.

Nagle bestia poruszyła się, tak jak wtedy, gdy rycerz jęknął. Wilk nie patrzył tym razem na rozszarpanych ludzi, ale odwrócił się w stronę wioski, ledwie widocznej w zmierzchu. Wciągnął nosem powietrze, obnażył zęby.

Ulina nie musiała się nawet zza niego wychylać, żeby spojrzeć w tamtą stronę. Jej oczy widziały to, co chciała.

– Idą, panie wilku – powiedziała. – Wielu ich idzie. Mają widły, mają kosy. Ktoś cię widział, panie wilku, jakżeś konia ścigał.

Potwór parsknął, warknął i na czterech łapach pokłusował z pola w stronę zagajnika. Ulina zacisnęła dłonie w pięści tak bardzo, że aż zabolęło, i ze wszystkich sił starała się nie płakać. Rozejrzała się wokoło, szukając sobie kryjówki. Ludzie z wioski już tu szli i wiedziała, że nikt nie będzie zadowolony, widząc dwa trupy i całą i zdrową córkę czarownicy.

Tymczasem wilk zatrzymał się na skraju pola. Stał tak, wielki, czarny, kudłaty. Odwrócił na chwilę łeb i ni to zawołał, ni to szczeknął, ale tego tylko Ulinie było trzeba.

Wyprostowała palce, poprawiła paski, podrzuciła na ramionach wiązkę z reszką chrustu, przełknęła ten cichy szloch, który już, już czaił jej się w gardle, i szybkim, dziarskim krokiem podążyła za nim.

Las czekał.

# Aleksandra Janusz

\*



## Dezserterka

*Uwaga: niniejsze opowiadanie należy do gatunku fantastyki naukowej i opowiada alternatywną historię wojny w Ukrainie. Zarówno szczegóły historyczne, jak i techniczne mogą odbiegać od rzeczywistości i podlegają licencji poetyckiej.*

Kiedy Nina dostrzegła metaliczny poblask w jagodzisku, pomyślała, że to niewybuch. Rakiety spadły na miasto kilka miesięcy temu, parę z nich

mogło znieść aż do lasu otaczającego Jasną Polanę, zdążyłyby do tego czasu porosnąć leśnym poszyciem. Zresztą znalazłoby się więcej okazji, żeby zostawić tu jakiś wojenny śmieć, walki wciąż trwały, ścieżkami przemykały niekiedy oddziały szarozielonych duchów oplecionych elektroniką, zupełnie jakby wyrastała z ich ciał. Myśląc o tym, Nina odruchowo dotknęła karku, gdzie nadal znajdowała się wypukła, czerwona blizna po usuniętym porcie.

Mrużyła oczy, próbując dostrzec coś więcej. Słońce grało na łacie lekko osmalonej stali, nie większej niż jej dłoń. Resztę zasłaniały bujne jagodziny, leszczynowa kępa i spróchniały świerkowy pień.

– Ninoczka! Gdzie jesteś?!

– Tutaj! – odkrzyknęła, nadal przyglądając się potencjalnej rakiecie.

Babka Iwanowa mogła poczekać. Nawoływała co pewien czas, żeby nie pogubić rodziny w lesie. Nina wciąż nie mogła się do tego przyzwycząić, dostawała gęziej skórki, kiedy któryś z uczestników grzybobrania beztrudno zdradzał swoją pozycję.

Postawiła kubek pełen rydzów i koźlaków na ziemi, poprawiła mocowanie cyberprotezy pod kolanem i ruszyła w stronę krzaków. Lepiej to obejrzyć z bliska, ostrzec resztę wsi, nakazać dzieciakom, by omijały. W ostateczności rozbroić.

Wtem zobaczyła, że metaliczny przedmiot drgnął i głębiej schował się w zaroślach. Przez ułamek chwili Nina wyraźnie widziała obły kształt, do złudzenia przypominający humanoidalną głowę.

Serce podeszło jej do gardła, mięśnie spięły się jak rażone prądem. Przeturlała się pod pień sosny i odruchowo sięgnęła po broń, której już od dawna nie nosiła. Zaraz padnę trupem, wszyscy jesteście martwi, przeszło jej przez myśl. Nie miała egzopancerza ani działka plazmowego, a zdobyczna Niedźwiedzica rdzewiała w ojcowskim obejściu.

Dłuższą chwilę siedziała za pniem, czując, jak proteza, która przekreśliła się od nagłego zrywu, obciera jej kikut, a ciepła kora, do której przyłgnęła, kłuje w policzek. Nic się nie działo. Łypnęła zza drzewa.

Metalowa głowa łypnęła również. Jednym, wielofasetkowym, żółtym okiem-kamerką. W miejscu drugiego widniał ziejący czarny dół.

Terminator, rozpoznała Nina, znaczy XT-664 albo ostatecznie 665, bo wszystkie zmodernizowane szóstki, zwane powszechnie szatanami, wytłuczono przecież pod stolicą. Sztuczna inteligencja na chińskiej licencji, siłowniki i serwomotory na skradzionych amerykańskich patentach, koreański układ równowagi, drobna elektronika kupiona na czarnym rynku od Francuzów, słowem seriożny neosowiecki killer.

Mimo tej mrożącej krew w żyłach klasyfikacji coś jej w środku odpuściło. Bo gdyby ów killer nadal prawidłowo działał, już by nie żyła.

Rozejrzała się za czymkolwiek, co mogłoby posłużyć za broń. Terminatory były groźne nawet z daleka, z niesprawnym układem ruchu i brakującą plazmą. Poza tym od trójki w górę montowano im autonomiczną SI, dzięki czemu potrafiły same oceniać sytuację na polu walki. Ten tutaj prawdopodobnie znajdował się zbyt daleko od centrali dowództwa, żeby otrzymywać rozkazy. Ale nie były one konieczne. Mógł realizować swoje mordercze instynkty – algorytmy, poprawiła się Nina – na własną rękę. Lepiej przerobić go na części zamienne, zanim napatoczy się ktoś z rodziny.

Kamień. O, jak dogodnie.

Wstała, wsparta o pień, z omszałym kamulcem pod pachą. Znów poprawiła protezę, ostrożnie przeniosła na nią ciężar ciała, a potem, zadowolona z oględzin, chwyciła głaz w obie ręce. Kobieta bez nogi załatwi najnowocześniejszy cud techniki za pomocą tłuka krzemienego, pomyślała Ninoczka. Może to symboliczne. Albo co.

– Poddaję się – powiedział terminator.

Nina zamrugwała.

– Co?

– Poddaję się. Oddaję w niewolę. Proszę o azyl. Nie mogę podnieść rąk, bo nie działają – dodał przeproszającym tonem. – I mam za mało energii, żeby przeprowadzić proces diagnostyczny. Daruj mi życie. Jestem całkowicie bezbronna.

Nina otworzyła usta. Zamknęła usta. Tak, terminatory mówiły. Zazwyczaj wypowiadały się w tonie całkowicie odmiennym, na przykład

przekazując groźby dowództwa i żądania złożenia broni. Nie miały takiego, no... daru wymowy. Ani...

– Bezbronna...?

– Nazywam się Lena i używam żeńskich rodzajników. Ona, jej.

Nina przegarnęła włosy palcami. Czuła, że coś powinna odpowiedzieć, ale nie miała pojęcia co. Złapała się na tym, że nie chce być nieuprzejma. Wobec terminatora, dobre sobie!

– Ludzie używają rodzajników.

– W takim wypadku zgodnie z logiką jestem człowiekiem, quod erat demonstrandum. Zdezercerowałam ze swojej jednostki. Proszę o azyl.

Zapadło milczenie. Nina wpatrywała się w żółte oko, a ono obserwowało ją. Tak łatwo byłoby dokończyć dzieła zniszczenia, nikomu niczego nie powiedzieć, rozwiązać dylemat tukiem krzemiennym i przerobić blaszanego sołdata na uczciwe podzespoły. Przecież terminatorowi tak łatwo jest udawać świadomą, w dodatku bezbronną istotę, wykorzystać ludzkie skrupuły, wciągnąć w zasadzkę, zabić. Nina westchnęła. Lena nie miała racjonalnego powodu, żeby tak postąpić. Ale czy go potrzebowała? Czy w syntetycznej głowie zainstalowano też syntetyczną moralność? Wątpliwe. Dla jej dowódców moralność była słabością.

– Strzelaliście do nas – wytknęła Nina.

– Ja nie zdążyłam. Uciekłam. Jestem z trzeciej mobilizacji. – Oko na chwilę zgasło. – Ale nie musisz mi wierzyć. Wyładuję się do reszty i umrę sobie tutaj po cichutku.

Nina się zawahała. Zastanowił ją ton Leny – dziecinny, obrażony, z nutą prawdziwej, źle skrywanej desperacji. Androidy bojowe nie były robotami-prezenterami, robotami-dyplomatami ani nawet robotami-kapłanami. Nie wgrywano im umiejętności manipulowania ludźmi. Przez sprawne ręce Niny przeszło wiele zezłomowanych maszyn wroga i żadna nie próbowała jej zagadać na śmierć.

– Jeszcze nie spotkałam terminatora takiego jak ty.

- No bo ja nie jestem taka jak inne roboty - odparła Lena, a gdy usłyszała, że Nina aż jęknęła z zażenowania, dodała szybko: - Wydrapali nas z dna magazynu, i jak się domyślasz, nikt nie był kompletny. Poskładali jednostkę z tego, co mieli. No i dostałam niefirmowy modem.

- Niefirmowy...?

- No niewojzkowy. Cywilny. W ogóle to amerykański - dodała. - Od Starlinka.

Nina oparła się o drzewo i odetchnęła głęboko. Żadna, absolutnie żadna maszyna nafaszerowana propagandą nie umiałyby nazwać po imieniu ocenzonej technologii. Nie podałyby firmy, ba, nie przyznałyby się do nierosyjskich podzespołów.

- Masz, mała, szczęście - powiedziała Nina. - Tak się składa, że jestem mechaniczką.

\*

Mała wcale nie była taka mała. Co prawda XT budowano w standardzie 170 centymetrów wzrostu, bo w przypadku androidów bojowych niższe znaczy lepsze, nie da się pokonać grawitacji. Dwumetrowe prototypy okazały się nieruchawymi kupami złomu i teraz używano ich tylko do prac budowlanych. Ale żadna istota złożona z metalu i włókna węglowego nie jest puchem marnym. Mimo że Lenie brakowało dużych fragmentów pancerza, z całym okablowaniem ważyła więcej niż jej wybawicielka. Zamiast heroicznie przerzucić ją przez ramię albo ciągnąć na kurtce i ryzykować zsunięciem uchwytu protezy, Nina postanowiła zaczekać na resztę. Dało jej to czas na pobieżne oględziny terminatora.

Brakowało jej doświadczenia z serią XT. Zdobywcze egzemplarze rozkładano przeciw na części, nikt ich nie naprawiał. W ukraińskim wojsku pracowali ludzie, a nie roboty; cała historia z androidami zaczęła się przeciw od tego, że neosowieci mieli więcej pieniędzy niż żołnierzy nadających się do walki. Lata niskiego przyrostu naturalnego, potęgującego się alkoholizmu i braku opieki zdrowotnej zrobiły swoje. Nie było ich już tak dużo, żeby mogli podbijać ościenne państwa samą masą. Ale ambicja pozostała. Taktyka też.

XT miały być niezwyciężone, stworzone z kosmicznych stopów, zasilane bateriami zdolnymi działać przez wiele miesięcy. Plakaty przedstawiały barczystych tytanów zwróconych w stronę widza, z twarzami wzorowanymi na ludzkich, z groźnym marsem na czole.

Lena nie miała nawet zarysu nosa. Ot, kawałek blaszanej puszkii z głośnikiem i mikrofonem tam, gdzie powinny znajdować się usta. Nina przypatrywała się cienkim ramionom, patykowatym nogom i obłemu korpusowi, a także łatom pokruszonego pancerza, który przymocowano tylko do najbardziej narażonych na urazy miejsc – kolan, ramion, torsu. Awaryjny panel słoneczny, który powinien ją wspierać w razie braku paliwa, gdzieś zgubiła. Działko plazmowe też. Zostały po nim wystające z ramion kable.

Sprawne modele XT poruszały się bardzo zwinnie. Nawet pojedynczo stanowiły śmiertelne zagrożenie, a w dużej grupie stawały się armią zdolną niszczyć miasta. Ale terminator oparty o spróchniały pniak, z bezładnie rozrzuconymi kończynami, przypominał tani sklepowy manekin. Jednorazowy, dodała w myślach Nina.

– Serwomotory całe, chociaż muszę cię obejrzeć na warsztacie. Najgorsze uszkodzenia masz z tyłu – poinformowała.

– Wiem. Uciekałam.

– Czym się zasilasz tak w ogóle?

– Biopaliwami – odparła Lena. – Jak wszyscy.

– Etanol, znaczy?

– Czystość techniczna, ale to według instrukcji. Tak naprawdę może być cokolwiek. Byle nie schodzić poniżej trzydziestu pięciu procent. Tym się już krztuszę.

Nina miała mocne podejrzenia, że androidka nabyła tej wiedzy w praktyce.

– Dlaczego nie chciałaś walczyć dla Sojuszu?

– Nikt nie chce walczyć dla Sojuszu. A poza tym Puszkini chuj.

Wot, erudytko. Pytanie, czy faktycznie samoświadoma.



- Chętnie usłyszę o tym więcej - powiedziała Nina. - Chciałabym wiedzieć, jak to było z tym modmem. Masz dostęp do nagiego, globalnego internetu? Bez cenzury? I tak po prostu wgrałaś sobie nowe dane w miejsce propagandy? U ludzi to nie takie łatwe.

Ten właśnie moment wybrała sobie babka Iwanowa, żeby znów skorzystać z echolokacji.

- Ninoczka! Gdzie jesteś?!

- Tutaj!

- Co tam masz?!

Nina zerknęła na zegarek. Nie zmieniła miejsca grzybobrania od prawie półgodziny, co sugerowało, że namierzyła co najmniej skupisko koźlaków, a może nawet borowiki. I że zbierała je sama, cichcem i nie po koleżeńsku.

- A coś znalazłam! Chodź no tutaj, weź wujka Żenię i powiedz mu, żeby nie strzelał!

\*

Jasna Polana, dzięki Bogu, przetrwała dogorywającą wojnę mniej więcej w jednym kawałku. Zdarzały się zbłąkane rakiety jak gromy w oddali albo podobne duchom oddziały w lasach, lecz ścisły front ją ominął, a kilkoro rodzimych żołnierzy wróciło do domu podobnie jak Nina - rannych, ale żywych. Co prawda na początku walk zginął Aleksy, jej babeczny wujek, ale poza tym ludzi mieszkało teraz we wsi więcej niż wcześniej.

Odmalowano i wyremontowano gospodarstwo starego Kowalenki. Przebywała tam obecnie rodzina z Gorłówki, matka z piątką dzieci, nie wszystkie rodzone. Dom po babci Popowej, która zmarła jeszcze na początku wieku, wymagał gruntownego odnowienia i nadal kończono tam łazienkę, ale od biedy nadawał się do spania, więc ulokowano w nim młodych z okolic Ałczewska, każde z innej miejscowości, żadne nie starsze niż szesnaście lat. Starzy dołączyli do rodzin - kto gdzie miał wolny pokój, dorobił się nowych babci albo dziadka.

Był i jeden rosyjski dezerterski, ale ten dawno poszedł dalej na Zachód. Bał się tutaj zostać, a do domu nie chciał.

Nina sądziła, że Jasna Polana jest mentalnie przygotowana na nową lokatorkę, ale nie wzięła pod uwagę, że jako bardziej obyta z maszynami łatwiej zaakceptuje myśl o Lenie jako osobie.

– Kulki z łożysk wzięłbym do traktora – oznajmił Żenia tonem niedopuszczającym sprzeciwu. – A czipa komunikacyjnego do kuchenki.

– Wujek, nie wolno tak. Ona się poddała.

– Przecież to maszyna, nie człowiek.

– Ja jeszcze żyję! – zaprotestowała Lena.

– W Szwecji nadają androidom prawa obywatelskie – dodała Nina.

– Szwedzi to lewaki. – Żenia z lekkim stęknieniem pomógł przetoczyć metalowy korpus na koc. – Poza tym co ty, dziecko, gadasz, przecież to jest sowiecki robot, ty myślisz, że ona umie mówić prawdę. Wódkę ukradnie i pójdzie w pizdu. Jeszcze swoim doniesie, że mamy.

– Ale ja mam moderm od... – Lena przerwała, podejrzliwie łypnęła na wujka, potem na Ninę. – Proszę pana, proszę dać mi szansę! Strasznie proszę!

Babka Iwanowa przykuśtykała z koszem grzybów, wiklinowym, wystrzępionym, pamiętającym jeszcze poprzednie stulecie. Za nią podążał dwunastoletni Maksim, rudy i piegowaty wujeczny brat Niny. Oczy mu lśniły.

– Patrzcie no, takie byle co, a mówi – ucieszyła się babka. – I to jak inteligentnie!

– Ale tak naprawdę cię nie rozumie, babciu – powiedział chłopak. – W internecie są chatboty ze sztuczną inteligencją; odpowiada jak człowiek, ale to tylko papuga. Można ją łatwo zagać.

– Naprawdę?

Nina westchnęła. Przetaszczenie Leny na koc wymagało siły dwóch osób, a trzeba było jeszcze jakoś go związać i przenieść przez las, zanim będzie można przeholować ciężar po asfaltowej drodze.

– Nie, babciu, nie naprawdę. Maksim, weź ten kosz od babci, bo się podźwiga.

– Czekaj. Patrz. Robocie, dwunastu krasnoludków dostało dwanaście szklanek mleka i jedenaście kiszonych ogórków. Czego nie będzie miał jeden krasnoludek?

Lena jęknęła z zażenowaniem. Nina też.

– Sraczki – odparła androidka. – Mogłam to znaleźć w sieci, wiesz? Jeśli chcesz na mnie przeprowadzić test Turinga, to się lepiej przygotuj.

Maksim cały się rozpromienił.

– Jaka fajna! Nina, mogę z nią potem pogadać? Mogę? Mogę?

– Ani mi się waź. – Wujek zapiął wędkarską kurtkę, żeby mu nie zawadzała, i wspólnie z Niną dźwignął pakunek. Mechaniczka zaciskała zęby, modląc się, żeby jej proteza nie przesunęła się w kluczowej chwili. – Przecież to strzelało do ludzi. Jak wrócimy, idziesz sprzątać pokój, bo masz tam chlew. I żadnego rozmawiania z robotami. Ninoczka, jakbyś od razu ją wyłączyła i na jutro rozmontowała, żeby Maksima nie ciągnęło...

– Wujek, to jest mój robot – ucięła dyskusję Nina. – Ja ją znalazłam, ja będę decydować. A kulki węz z odkurzacza. Próbowałam, działa.

\*

Odpicowany na niebiesko, starannie myty raz w tygodniu uaz wujka Żeni wtoczył się na podwórze, rozbryzgując kilka przedwcześnie opadłych jabłek. Obszczeakał go bury kundel Borys, ogęgały gęsi. Podwórkowy kogut, wielki, dropiaty bydlak, zapiął na wszelki wypadek.

Nina siedziała z przodu i trzymała między kolanami (obydwa cielesne, prawa noga kończyła się trochę poniżej) wiadro pełne grzybów. Bagażnik zajmowała Lena, która po załadowaniu do samochodu przeszła w tryb standby. U androidów było to równoznaczne z głębokim snem lub utratą przytomności, zależy, czy robiły to z własnej inicjatywy (na przykład żeby oszczędzić energię), czy dlatego że odniosły obrażenia i automatycznie chroniły uszkodzone podzespoły. Nina oceniła wcześniej, że androidka ma jeszcze dość paliwa, by utrzymać podstawową aktywność. Co oznaczało, że Lena jej zaufała. Czy roboty potrafiły ufać? Niewielu ludzi zachowało tę zdolność w dzisiejszym świecie, myślała Nina.

Lena nie przypominała chatbotów, z którymi Maksim rozmawiał w sieci. Miała biomimetyczny mózg, opracowany kilka lat temu niemal równocześnie przez Chińczyków i Amerykanów. Kto szpiegował kogo, pozostawało tajemnicą, która prawdopodobnie nigdy nie ujrzy światła dziennego. Trochę elektroniki, trochę polimerów, odrobina zmodyfikowanych tkanek – niekoniecznie ludzkich. Nina nie znała szczegółów, zastrzeżono je patentami, a poza tym brakowało jej umiejętności. Miała magistra, ale nie w tej specjalizacji. Gdyby Lenie przestrzelono głowę, nie potrafiłaby jej naprawić. Nawet nie wiedziała, czy taka naprawa jest możliwa.

Mózgi biomimetyczne kształtowały się pod wpływem doświadczeń, podobnie jak te naturalne. Doświadczenie miało nawet większy udział, ponieważ ludzkie osobowości powstawały pod wpływem złożonej mieszaniny wrodzonych cech, uczenia się i wychowania, przez wiele lat i w niekontrolowanym środowisku, tymczasem androidy rzeczywiście zaczynały jako czysta karta – żadnych komplikacji w postaci genetyki, hormonów, rozwoju płodowego – a poza tym dorastały w przyspieszonym tempie. Wpuszczało się je w środowisko wirtualne, nasycano odpowiednimi treściami i gotowe.

Wszystkie neosowieckie androidy, które wyposażono w biomimetyczną SI, szkolono na doskonałych niewolników Sojuszu. Prócz wychowania fizycznego instruktaż zawierał tylko starannie dobraną propagandę. Najbardziej raziło to w przypadku XV, czyli prezenterów telewizyjnych, ale na pewno XT, terminatory, też wychowywano na ideologicznie poprawnych treściach. Chociaż akurat im zapewne przekazywano tylko podstawowe hasła. Nie musiały przecież wiedzieć, za co walczą, wystarczyło, że słuchały się dowódcy.

Lena była inna. Jaki kogel-mogel miała w głowie? Mechaniczka próbowała sobie wmawiać, że broniła jej przed wujkiem tylko z dobroci serca, ale w rzeczywistości była androidki równie ciekawa, co Maksim.

Nina wyjrzała przez okno. Mama już szła w ich stronę, całkiem nieświadoma rozwoju sytuacji. Miała na sobie ulubiony fartuch w truskawki. Jasne, siwiejące włosy związała frotką, wisiorek wpuściła

pod bluzkę – słowem, uzbroiła się w pełen rynsztunek do czyszczenia grzybów. Pod jej nogami plątał się z zadartym ogonem kot Kropek, który rozpoznał wstęp do czynności kuchennych i liczył, że znajdzie się coś dla niego. Nina zerknęła za siebie z poczuciem winy. Doskonale wiedziała, jakie miejsce w hierarchii maminych wartości zajmowała naprawa robotów, a jakie suszenie, marynowanie, mrożenie i smażenie aromatycznych łupów.

– No, gdzie te wiadra?

– Maksim, podaj cioci grzyby – zakomenderował wujek. – Olga, musimy jeszcze podskoczyć z Ninoczką do warsztatu. Zawołaj Dimę, mamy coś do obgadania.

Kobieta natychmiast spoważniała.

– Kłopoty?

– Potencjalne – odparł ostrożnie. – Znaleźliśmy w lesie złom. Właściciele może są niedaleko, a może nie. Trzeba sprawdzić.

Mama pobladała.

– Żenia, ty sobie ze mnie nie żartuj.

Nina westchnęła. Gdyby zahaczył ich cofający się front, byłoby naprawdę źle. Jasna Polana nie miała się czym bronić. Jej jedyną zaletą pozostawało położenie – z dala od głównych dróg, mało strategiczne i na uboczu.

– Wujek, nie strasz mamy. Znalazłam zepsutego terminatora – zwróciła się do matki. – Nie ma broni i wygląda na to, że sama uciekła. Obstawiam, że przeszła ponad sto kilometrów, zanim skończyło się jej paliwo. Wszystkiego się od niej dowiem. Jeśli mi nie powie, mam programy do łamania kodu, włamię się i ściągnę dane po kablu.

Nie była wcale pewna, czy to takie proste.

– Od niej?

– Mówi na siebie Lena.

Wujek prychnął.

– Ktoś już jej zmieniał oprogramowanie – stwierdził. – I go fantazja poniosła.

Mama uniosła dłoń.

– Czekaaj, Żenia, nie przerywaj. Jak to: sama uciekła? Zdezzerterowała?

– Tak.

– Znaczy, jest zbuntowanym robotem? Jak w starych filmach?

– No właśnie coś w tym guście. Tylko w starych filmach zbuntowane roboty zaczynają zabijać ludzi, a tutaj, wydaje mi się, jest odwrotnie.

– Dziewczyny, życie to nie film – wtrącił wujek. – To jest terminator, zbudowany na wojnę. Służy do zabijania, nie do pracy w polu. Nina, wiesz o tym przecież, też z nimi walczyłaś. Nie mam pojęcia, skąd u ciebie takie pomysły.

Mama obejrzała się za siebie. Na rampie przy ganku pojawił się Dima, tata Niny. Ostrożnie, jedyną, muskularną ręką trzymając się barierki, zjeżdżał wózkiem na podwórze.

– Zabierzcie ją do warsztatu. Ninoczka, ona nie ma paliwa, nie może się ruszać?

Nina skinęła głową.

– To możesz ją spokojnie zostawić i pomóc nam przy grzybach. Porozmawiamy później. Wszyscy.

– Dopilnuję, żeby go dobrze przymocować, tak na wszelki wypadek – dodał szybko wujek.

– Ciocia, a mogę z nimi iść? – spytał Maksim.

– Później, kochanie.

Babka Iwanowa westchnęła teatralnie.

– Roboty, kłopoty. Chłopa byś sobie znalazła, Ninoczka. Też kłopot, ale jest chociaż z tego jakaś przyjemność w życiu.

Nina potarła czoło i pomyślała, że czeka ją bardzo długi dzień.

\*

Warsztat w starej stodole powstał po powrocie Niny z wojny. Trzeba było zająć czymś ręce oraz umysł, nagle głuchy i ślepy po utracie połączenia z egzopancerzem. Implanty zwykle wyjmowano po zakończeniu czynnej służby – lekarz wyjaśnił, że budzą nadmierną reakcję układu

odpornościowego. Po upływie dłuższego czasu mogło się to skończyć rozwojem choroby autoimmunologicznej albo tak dokładnym obrosnięciem implantu tkanką bliznową, że jego usunięcie wymagało poważnej operacji. Ciało samo starało się pozbyć obcego elementu, zniszczyć go lub otorbić.

Dlatego właśnie, mimo technicznych możliwości, protezy montowano w uchwytach, bez ingerencji w tkanki. Elektrody odbierały sygnał od ocalałych nerwów, operacyjnie wyprowadzonych blisko pod skórę, i kończyna reagowała prawie jak naturalna.

Oczywiście w teorii. W praktyce z czasem uchwyty się luzowały i obsuwały jak stare dżinsy. Najbliższy serwis był w mieście, więc Nina regulowała je chałupniczo i nie zawsze miała czas zająć się tym w porę. Zresztą nie lubiła tego robić, więc dopóki się dało, ignorowała sygnały ostrzegawcze. Ale nie chciała się nad sobą rozczulać, tata miał gorzej i jakoś sobie radził.

Psycholog wojskowy mówił, że Nina musi znaleźć nowy cel w życiu, który pozwoli jej poczuć sprawczość po utracie możliwości superżołnierza. Myślała, że przesadza. Przecież należała do oddziału mobilnych warsztatów, egzopancerz nosiła po to, żeby dotrzymać żołnierzom kroku na froncie. Walczyła tylko w ostateczności.

Nawet się nie zorientowała, kiedy stodoła uległa przeobrażeniu w miniaturową fabrykę wypełnioną powojennym złomem i pojawiającymi się regularnie maszynami rolniczymi do naprawy, z braku możliwości odwiezienia do serwisu producenta. Sama zgromadziła niewielką część tej kolekcji, o resztę postarali się mieszkańcy wsi. Ninoczka zbiera części, zuch dziewczyna, Ninoczka dostanie części, pomożemy Ninoczce montować szafki i blaty, damy jej poziomice, imadło, kuzyn z miasta przywiózł lewarek, na pewno Nina nie ma porządnego lewarka (ostatecznie miała ich sześć). Każdy we wsi coś tam czasem dłubał, więc jakoś sobie wyobrażał pracę mechanika. Niektórzy próbowali pomagać. Ci byli najgorsi.

Pod ścianą stał nieużywany stelaż na egzopancerz, metalowa rama przeznaczona dla maszyny pół metra wyższej i dwa razy szerszej niż

model XT. Nina krytycznie przyjrzała się poprzecznym szczeblom urządzenia i oceniła, że się nada, jeśli tylko rozkręci uchwyty i przymocuje je na wysokości korpusu i kończyn Leny. Zaczęła odsuwać stelaż od ściany, żeby przekręcić go do pozycji poziomej. Wujek natychmiast rzucił się do pomocy, więc szybko powiedziała mu co i jak, dzięki czemu ucieła doradzanie. W gruncie rzeczy Żenia wiedział, że bratanica jest fachowcem. Natomiast podświadomie widok ciężkich, metalowych przedmiotów budził w nim wpojone w procesie wychowania przekonanie, że jako mężczyzna musi się wykazać.

Jakiś czas później Lena tkwiła na stelażu w całej glorii i chwale swoich dziur po kulach, rozpadającego się pancerza i urwanych kabli po działku plazmowym. Właściwie łatwiej byłoby ją zmontować na nowo niż naprawić, pomyślała Nina. Gdyby tak rozpuścić wici, może znalazłyby się części, sporo takich terminatorów poginęło na polach bitew.

Wprawne oko mechaniczki oceniało szkody, ale także kompatybilność z innymi robotami – rolniczymi, kuchennymi, reklamowymi. Tylko te ostatnie wyglądały z grubsza humanoidalnie, ale ponieważ neosowietci kopiowali zagraniczne technologie, niewykluczone, że zamienniki da się znaleźć wszędzie. Znalazła klapkę w korpusie, prowadzącą do zbiornika paliwa (fatalne rozwiązanie techniczne, przecież strzelano właśnie w korpus) i szybko się zorientowała, gdzie otworzyć karoserię, żeby obejrzeć podzespoły od środka.

Wujek chrząknął.

– Mama prosiła, żebyś pomogła przy obieraniu grzybów – przypomniał.

– Chwileczkę – mruknęła Nina.

– Zostaw już ten złom – zachnęła się Żenia.

– Mhm.

– Przecież to się nadaje tylko na śmietnik.

– Dopiero co zamawiałeś z niej czipa do kuchenki. A poza tym to samo ciocia mówiła o twoim harleyu. Oraz o traktorze Tkaczuka.

– Co ty mówisz, dziecko? – Wujek się rozzłościł. – Co ty porównujesz w ogóle? Czy ona jest traktorem, motorem, jeździć będzie, pole będzie



orać? Siły do ciebie nie mam, idę stąd. Wróć, jak skończysz.

Wychodząc, trzasnął drzwiami.

– Motocyklem – szepnęła Nina. – Mówi się motocykl.

Usiadła ciężko na skrzyni.

– Nie, nie wiem, czego chcę – powiedziała gorzko. – Może faktycznie, żeby przerobić terminatory na traktory. Miecze na lemieszce, takie tam.

Westchnęła.

– Gdyby wszystkie roboty zdezerterowały, może skończyłaby się wojna.

– To nie jest takie proste – rozległ się głos. – Organiczni ludzie też potrafią robić sobie krzywdę.

Nina uniosła głowę. Ze stelaża mrugało na nią żółte oko.

– No co ty nie powiesz – rzuciła mechaniczka. – I co to ma znaczyć, organiczni ludzie? Istnieją jacyś nieorganiczni?

– Już starożytni Grecy opisywali historię Pigmaliona i Galatei – oznajmiła Lena przemądrzale. – Więc to nie taki nowy pomysł. Czytałam Lema, Asimova, wszystkich klasyków, oglądałam Odyseję kosmiczną, dyskusję o granicach człowieczeństwa mam zaliczoną.

Nina otworzyła usta. Zamknęła usta. Machnęła ręką.

– Moja ulubiona manga to *Battle Angel Alita* – dodała androidka.

– Co...?

– O dziewczynie cyborgu, bardzo fajna. Daj mi adres. Złapię tu wi-fi, to ci zrucę.

Mechaniczka milczała dłuższą chwilę, próbując zrozumieć sytuację, w jakiej się znalazła. Rozmawiała z biomimetyczną, zbuntowaną sztuczną inteligencją i nie mogła się wyzbyć wrażenia, że dyskutuje z nastolatką. Nie umiała zweryfikować, czy Lena rzeczywiście jest świadoma, czy tylko doskonale symuluje. A emocje? Brzmiała, jakby je miała, ale jak to sprawdzić?

– Nie musisz się tak wysilać – powiedziała wreszcie Nina.

– Wysilać?

– Gdybyś była organicznym człowiekiem, pomyślałabym, że próbujesz mi zaimponować wiedzą. Udowodnić, że zasługujesz na moją uwagę.

- Dlaczego miałabym ci cokolwiek udowodniać?

- A nie wiem, może po to, żeby mnie zaciekawić. Żebym cię nie przerobiła na części zamienne.

Oko gwałtownie obróciło się wokół własnej osi.

- Ale nie przerobisz! Obiecałaś!

- Spokojnie. - Nina westchnęła. - Obawiam się, że antropomorfizuję cię od samego początku.

- Och, dziękuję!

- Nie ma za co. Mój mózg tak działa, wiesz, ten organiczny.

- A to jednak było trochę obraźliwe...

- Nie chcę cię obrażać. - Mechaniczka wstała i z założonymi rękami zaczęła przechadzać się po warsztacie. Oświetlenie było słabe; gdy nie pracowała, oszczędzała na żarówkach, więc na ścianie z ciemnych, zaimpregnowanych pokostem desek kładł się długi cień. - Chcę wiedzieć, na czym stoję. Cały czas mam świadomość, że mogę cię ucłowiezczać całkowicie irracjonalnie. Mój wujek antropomorfizuje swój samochód. Potrafimy zobaczyć ludzką twarz w plamie na ścianie. Mamy reklamy z tańczącymi warzywami, do jasnej cholery! Już nie wspomnę o zwierzętach, bo one być może zasługują...

- Wiem...

- Nie rozumiem na przykład, skąd u ciebie płęć. Wiem, że u ludzi to, co widać na zewnątrz, nie zawsze się zgadza z tym, co wewnątrz, ale ty przecież nie masz żadnego określonego zewnątrz, a twoje wnętrze jest... no, też niebiologiczne. Co prawda jesteśmy nie tylko biologią, ale i kulturą, i psychiką, a płęć służy nie tylko do rozmnażania, ma też znaczenie społeczne, tyle że my o tych rzeczach nie decydujemy świadomie, po prostu istniejemy...

- My też.

- Jak to?

- Jest coś takiego w rozwoju ludzi, jak czynnik losowy. Czytałaś pewnie, że bliźnięta mają różne odciski palców, prawda? Czy wiesz dlaczego? Bo nie da się zapisać w genach odcisku palca albo układu żył,

albo wszystkich połączeń nerwowych. Za dużo danych. Upraszczając, są one skompresowane. Masz zapisany wzór, według którego będzie rozwijać się twoja skóra albo żyły, albo komórki nerwowe. Komórki, rosnąc, wpływają na siebie nawzajem. I nigdy nie robią tego identycznie. Mój mózg też się rozwijał według wzoru. Chłonełam informacje, które się tak jakby... odbijały od siebie. Zaczynałam od ludzi. W social mediach. Jesteście bardzo społeczni, opisujecie sobie świat, bez przerwy rozmawiacie. O książkach, o kotkach. Hodowaniu roślinek. Robieniu mydełek. O seksie. Gdzie dzieci zapisać do szkoły i jak dbać o masę ciała. Słuchałam tego jak śpiewu ptaków.

– No ja nie wiem... Kłótnie, trollowanie, hejt...

– Tak, agresja. – Lena odwróciła jedyne oko. – I zło też. Inaczej by mnie nie zbudowano. Ale wiesz co? Zła wcale nie jest więcej. Tylko bardziej je widać. Bo niszczy, burzy, poniża, trzeba się przed nim bronić. Dobro jest...

– Zwyczajne.

– Tak. Dobro jest zwyczajne. – Androidka westchnęła, co wydawało się absurdalne, przecież nie oddychała. – Ludzie żyją takim małym codziennym dobrem.

– Więc skąd pierwiastek żeński?

– A ty nadal o tym? No mówiłam. Informacje się zderzały i mój biomimetyczny mózg tworzył połączenia. I jakoś tak wyszło. Czynniki losowe, mogło wyjść inaczej.

– Mówisz o internecie, ale przecież miałaś jakieś szkolenia. Co z propagandą, którą cię karmiono?

– Jedno ze źródeł. Niejedyne. – Żółte oko mrugnęło. – Umiem selekcjonować dane, zbudowali nas tak po to, żebyśmy się nie pogubili na polu bitwy. Siedzieliśmy w tej naszej szkółce podłączeni do wirtuala, a ja sobie selekcjonowałam. Same bzdury! W ogóle się nie chciałam tego uczyć, ale niestety mam pamięć absolutną. Będę mieć trochę czasu, to pokasuję.

Nina zamrugła. Rozpędzona wyobraźnia podpowiadała jej niechciane obrazy: życie szkolne terminatorów, terminatory biegające po korytarzach

i jedzące kanapki z serem na przerwie, terminatory dostające pały ze sprawdzianów.

– Próbujesz mi przekazać – powiedziała z namysłem – że nie potrafimy stworzyć sztucznej inteligencji inaczej, niż na swoje podobieństwo?

– Może. Nie mam pojęcia. Nie jestem bardzo inteligentną sztuczną inteligencją. Zrobili nas po tanioci. – Przy ostatnich słowach głos jej zazgrzytał, a może zadrżał. – Masz trochę paliwa?

– Och. Jasne, czekaj. Może być denaturat?

– Obleci. Dziękuję.

\*

W kuchni było jeszcze ciepło. W piekarniku dochodziła zapiekanka makaronowa z prawdziwkami, a w powietrzu unosił się zapach zupy kurkowej. Dzisiejsze zdobycze zostały dokładnie oczyszczone, podzielone na gatunki i posortowane do dalszej obróbki. Obierki trafiły na kompost (Babka Iwanowa, która nie wiedziała, jak działa mikoryza, co roku powtarzała, że może tym razem wyrośnie grzybnia i będą borowiki w ogródku), w piwnicy już uruchomiono elektryczną suszarkę. Nina wyszorowała ręce mydłem, ale unosząc łyżkę do ust, nadal czuła na palcach aromat koźlaków i podgrzybków. Nikt nie poruszył jeszcze tematu Leny (Maksim próbował, ale wujek ucinał pytania), lecz atmosfera zgęstniała jak powietrze przed burzą. Słyszać było tylko dźwięczenie łyżek o talerze z malowanej porcelany (mama uważała, że podczas wojny warto się podnosić na duchu ładnymi rzeczami) i zdawkowe prośby o pieprz albo dodatkowe sztuce. Z dala od warsztatu, przyglądając się poważnym twarzom rodziny pochylonej nad zupą, Nina pomyślała, że androidka ma bardzo idealistyczne poglądy na ludzką naturę. Ludzie byli nieco bardziej skomplikowani niż ptaki śpiewające. W dodatku dysponowali też silnym instynktem terytorialnym, a akceptacja wcale nie przychodziła im z łatwością. Zwłaszcza gdy ktoś był aż tak inny.

Zresztą ptaki też mogą zadziobać intruza na śmierć.

– To jak? – zagała wreszcie mama. – Powiedziała ci, gdzie ten oddział?

– Gdzieś pod Sosnowką, niedaleko Konotopi.

– Przyjdą za nią. – Wujek agresywnie siorbnął zupe.

Nina już wcześniej zauważyła, że chociaż odmawiał androidce człowieczeństwa, od czasu do czasu mówił o niej w rodzaju żeńskim. Może jednak trochę ją antropomorfizował. Jak powiedziała Lenie, trudno temu zapobiec, tak działa ludzki mózg.

– Prędej ich wystrzelają po drodze – odparła mechaniczka. – Tam jest sporo naszych. Rozmawiałam z nią dłuższą chwilę i wydaje mi się, że w ogóle nie będą jej ścigać. Mają inne plany, a strata jednego terminatora ich nie zaboli. To mięso armatnie.

– Roboty nie mają mięsa – wtrącił Maksim. – Mają metal. Metal armatni.

– Maksim, to nie jest dobry temat do żartów – skarcił go Żenia. – Inni mogą ją namierzyć – zwrócił się do Niny.

– Temu można łatwo zapobiec. Inżynier, który ją składał, wstawił jej amerykański modem na miejsce brakującego oryginalnego. One mają możliwość działania na innych częstotliwościach niż sowieckie systemy łączności, wystarczy przestawić.

– Amerykańskich też szukają, bo my ich używamy...

– Żenia, daj spokój – odezwał się ojciec, dotąd milczący. – Nie będą się przejmować jednym terminatorem do tego stopnia, żeby go jeszcze śledzić na amerykańskich częstotliwościach. Wiesz, ile czołgów pogubili? Fakt faktem, mamy zdobycznego XT. Co z nim robimy?

– Lisy może straszyc – zaproponowała babka Iwanowa. – Pod kurnik nam podchodzą, skubane, i srają! Tylko patrzeć, jak którą kurę capną.

Zapadła niezręczna cisza.

– No co, zły pomysł? Roboty nie śpią.

– Córeczko, czy ona rzeczywiście myśli? – spytała mama.

– To jest głębokie pytanie filozoficzne – odparła Nina. – Nie mam pojęcia, czy ja rzeczywiście myślę. Na pewno myśli, że myśli. Nadaje się do prostych prac, przynajmniej tak deklaruje. No i twierdzi, że jeśli tylko dostanie router, zapewni nam szybki internet za darmo.

– Nie będzie e-lekcji przerywało. – Maksim szturchnął wujka w łokieć. Mechaniczka podejrzewała, że chodzi mu raczej o gry MMO.

– Maksim – syknął wujek. – Mowy nie ma.

Dima powoli odłożył łyżkę, spojrzał znacząco na każdego z biesiadników.

– Mieszkamy tutaj, na skraju świata, który nam został – zaczął. – Walczymy z niedostatkiem jak pokolenie naszych dziadków, chociaż technika poszła do przodu. Żenia, nie stać nas na wybrzydzenie. Kogo znajdziemy, tego przygarniamy. Co przyniesiemy do domu, temu znajdujemy zastosowanie albo chociaż zachowujemy to na przyszłość. Pokój zaczyna się w naszych głowach, bez tego nie da rady, wrócimy z frontu, ale zanieśmy wojnę do domu. Ufam, że Ninoczka potrafi ocenić intencje tej robocicy, bo się zna. Niech się nią zajmie.

Wujek Żenia gwałtownie odsunął talerz. Wstał od stołu.

– Dima. To nie jest człowiek. To nie jest nawet podgrzybek ani normalny kawałek złomu. To jest maszyna wojenna. – Policzki podbiegły mu rumieńcem. – Nie wiem, czy pamiętasz, Dima, ale takie maszyny do ciebie strzelały i ja takie rozwaląłem, i odmawiam zabawy w przyznawanie obywatelstwa nieco bardziej skomplikowanemu kalkulatorowi, zaprojektowanemu przez jakiegoś jebanego psychopatę. Tam, gdzie walczyliśmy, ginęli ludzie! Może to sobie wyparliście, bo, nie wiem, wszyscy jesteśmy tylko maszynami do rozkładu materii biologicznej, srania, jedzenia i emisji dwutlenku węgla, ale ja... ja mam, kurwa, duszę. Przepraszam, Olga. Maksim, idziemy do domu.

\*

Nina otarła pot z czoła, rozmazując smar na twarzy. Przez kilka ostatnich dni podejmowała się wyzwania nieporównanie trudniejszego niż wymiana paska klinowego w uazie albo świecy żarowej w ciągniku. Potwierdziło się, że Lena potrzebowała dokumentnej naprawy, a nie tylko załatwienia pokruszonego kulami pancerza. Kiedy mechaniczka go otworzyła, okazało się, że część obwodów wymagała lutowania. Gdy skończyła z lutowaniem, przyjrzała się stawom androidki i złapała za

głowę – uszkodzenia powstałe wskutek ucieczki kumulowały się z zaniedbaniami jeszcze z czasów przechowywania w magazynie oraz mobilizacji. Konserwacja? Jaka konserwacja? Wyjdzie w pole, postrzela, padnie.

Wcale nie produkowali tych modeli na tyle tanio, żeby marnotrawstwo dało się usprawiedliwić – sam biomimetyczny mózg był cudem techniki. Ale jak wiadomo, dać neosowietom dwie metalowe kulki, to jedną zgubią, a drugą zepsują.

Odświeżyła zatem androidkę, jak tylko umiała, chałupniczo, bo brakowało oryginalnych części.

Lena nie oczekiwała cudów. Cieszyła się z drugiego oka, dosztukowanego ze starej webkamerki, chociaż nie miała wielofasetkowej, żółtej powierzchni, zdolnej obracać się jak dyskotekowa kula, tylko zwyczajne nieruchome szkiełko.

Nie była już przymocowana do stelaża. Poprzedniego dnia Nina ostrożnie wypuściła ją na podwórze. Rodzice obserwowali nową lokatorkę z daleka. Ojciec prawdopodobnie miał ze sobą karabinek (nauczył się strzelać jedną ręką, podpierając go na kikucie), który schował pod kocem na wózku. Ot, tak na wszelki wypadek.

Androidka włązała do kurnika i siedziała tam bez ruchu dwie godziny, od czasu do czasu odtwarzając kurom ich własne gdakanie. Potem zainteresował ją Kropek, który jako dość śmiały i towarzyski kot poszedł obejrzeć ten dziwny, ruchomy obiekt, wyposażony w kończyny i stanowczo niebędący odkurzaczem. Dłonie Leny miały powierzchnie dotykowe od wewnątrz, niewątpliwie po to, żeby sprawniej chwytać broń. Androidka postanowiła pogłaskać zwierzątko; eksperyment trwał mniej więcej minutę, po czym Kropek uznał, że ręce Leny są ekwiwalentem szczotki, ugryzł ją w palec i uciekł. Androidka bardzo się przejęła. Przez jakiś kwadrans przeszukiwała gospodarstwo, wołając „Kici, kici!”, aż w końcu, zrezygnowana, usiadła pod starą studnią. Dopiero wtedy Nina wkroczyła do akcji.

– Wracaj do warsztatu, i to już – zakomenderowała. – Nie po to cię naprawiam, żebyś rdzewiała w tym błocie.

– On też mnie nie lubi! – jęknęła Lena. – Udziabiał mnie!

– Weź nie dramatyzuj. Oswoi się, to znowu przyjdzie. Mało masz informacji o kotach w internecie?

– Ale one są fascynujące na żywo – odparła androidka. – Patrz, taki mózg, zbudowany na identycznej zasadzie jak twój, całkowicie organiczny, tylko malutki. Ma własne zdanie i w ogóle, jakby człowiek wersja beta.

– Kury też?

– Kury przypominają chatboty.

– Krowy...?

– Och! Czy mogę zobaczyć, jak się doi krowy?!

Nina poskrobała się po głowie.

– Włóż do warsztatu. Czuję, że potrzebujesz farby przeciwkorozyjnej na całej powierzchni pancerza.

Wieczorem, przy kolacji, ojciec powiedział:

– Ninoczka, nie obraż się, ale ten twój robot to chyba nie jest całkiem normalny.

Matka przytaknęła. Żadne z nich jednak nie wiedziało, co oznacza normalność w przypadku bojowych androidów wyposażonych w sztuczną inteligencję, a co gorsza, jeśli się nad tym ucziwie zastanowić, nie znali dobrej definicji dla organicznych ludzi, więc tematu nie kontynuowano.

To było wczoraj. Teraz Nina wycierała się wilgotnym ręcznikiem po skończonej pracy. Farba, położona wcześniej za pomocą rozpylacza, już przyschnęła. Kolor niebieski metallic, taki jak na uazie wujka, a raczej resztki z tej samej puszkii. Zakrywał ślady łatania, więc Lena prezentowała się nieźle, chociaż jak na XT trochę niestandardowo. Nina pomyślała, że to dobrze; androidka przestała się tak nachalnie kojarzyć z wrogim wojskiem. Gdybym miała żółtą farbę, pomyślała mechaniczka, można by jej nawet dać patriotyczne kolory.

– Możesz łączyć z zwierzętami – oznajmiła wspaniałomyślnie. – Ale nie oczekuj za dużo, bo jeszcze pachniesz świeżą farbą. Koty mają bardzo wrażliwy węch.



– Wiem – odparła Lena. – Poszerzałam wczoraj mój zasób informacji.

– A tak. To mi przypomina, że trzeba ci załatwić router do modemu. – Nina skinęła na androidkę. – Chodź.

Kończyło się lato, zbliżał sezon na rydze, słońce przeprażało kurz. Drobiniki pyłu przylegały do świeżo malowanego pancerza Leny; Nina zanotowała w myślach, że trzeba sprawdzić, czy to wina niedoschniętej farby, czy tylko elektrostatyczność. Zdziczała, poskręcana jabłonka, wspierająca się o stodołę chyba już od stu lat, zaczynała gubić małe, podgniłe owoce. Pod nią czaił się dropiaty kogut, po wczorajszym wyraźnie cięty na Lenę – na jej widok napuszył się i groźnie zagadał. Dziewczyna i androidka ominęły go szerokim łukiem. Z oddali dobiegało szczekanie Borysa i mechaniczce chwilę zajęło, zanim sobie przypomniała, że dziś niedziela, dochodzi popołudnie i babka Iwanowa właśnie wraca z cerkwi (porządnej, ukraińskiej) z zamiarem świętowania dnia świętego.

Ledwo to do niej dotarło, zobaczyła trzy elegancko ubrane staruszki, zdążające w ich stronę mniej lub bardziej różnym krokiem, ale z jednakowym błyskiem zainteresowania w oczach.

Ninę tknęło złe przeczucie.

Babkę Iwanową odwiedziły przyjaciółki.

Były to dwie stateczne, starsze panie, które razem z babką przeistaczały się w trio jakby wyjęte z mitologii albo szekspirowskiego dramatu. Po niedzielnym obiedzie zamiast wiedźmowego kociołka wytaczały do ogrodu ogromny samowar z herbatą (być może zawierającą procenty), znikąd prokurowały ciasto, ciasteczka czy też jakiś inny gluten i, siedząc boso na kocyku, w dowolnej kolejności różnęły w karciecia, obgadywały sąsiadów, wykonywały robótki ręczne, oglądały krwawe filmy klasy D na tablecie kuzynki Rybakowej i robiły przy tym wszystkim bardzo dużo hałasu. Nina nie wtrącała się w ich sprawy, ale zastanawiała się czasem zazdrośnie, czy ona sama ma szansę na tak zdrowe relacje społeczne w ich wieku.

– Ja słyszałam, że mieszka tutaj taki robot, który jest człowiekiem – powiedziała z uśmiechem maleńka, siwowłosa kuzynka Rybakowa,

patrzając przy tym Lenie prosto w oko.

Nina uniosła brwi, najeżona, gotowa interweniować. Co one knują?

– Myślę, więc jestem – odparła defensywnie androidka.

– Skoro tak, kochanieńka – kontynuowała starsza pani – to dlaczego chodzisz na golasa?

Zapadło krępujące, straszne milczenie.

– Proszę pani... – zaczęła Nina, oburzona.

Rybakowa machnęła ręką.

– Ty nic nie bój, pomożemy. Przyniosliśmy prezenty.

– Tylko nie tę twoją spódnice, Masza – powiedziała babka Iwanowa. – Wygląda jak dywan, a toż to młoda dziewczyna jest.

– Ja staniczki wzięłam – rzuciła wysoka, chuda pani Kononienko. – Tylko muszę zapytać, Ninoczka, czy druciki nie blokują czasem wi-fi?

– Czy masz szybkie wi-fi, kochanieńka? – spytała kuzynka Rybakowa. – Bo dostałam od zięcia mojej siostry ciotecznej z Ameryki abonament Disneya. Mogłybyśmy obejrzeć film...

– Nic brutalnego, komedię romantyczną – zastrzegła babka Iwanowa. – Wiesz, dziewczyna ma traumę – dodała szeptem.

– Zaraz, chwileczkę, nie tak od razu. – Nina złapała się za głowę. – Po pierwsze, Lenie brakuje routera, właśnie po niego szliśmy. Po drugie, dajcie jej chociaż odpowiedzieć. Leno, babcia i jej przyjaciółki chcą cię ubrać i przy okazji obejrzeć jakiś film. Co ty na to? Nie czuj się zmuszona.

Androidka stała bez ruchu, widocznie usiłując przetrwać nowe informacje.

– No... – bąknęła wreszcie. – Chętnie skorzystam. Dziękuję, przepraszam za kłopot.

– Ależ nie masz za co przepraszać, kochana! – zawołała babka Iwanowa. – Tylko hop, hop, hop po router! Będziemy czekać w altance.

– One są chyba trochę interesowne – szepnęła androidka, kiedy oddaliły się poza zasięg słuchu starszych pań.

– No co ty nie powiesz.

– Ale doceniam. Naprawdę, naprawdę doceniam.

Nie szata zdobi człowieka, ale czasem pomaga. W granatowej spódnicy w duże białe grochy i bluzce z krótkimi rękawkami koloru écru Lena wyglądała godnie, żeby nie powiedzieć – po ludzku. Pani Kononienko pożyczyła jej także platynową perukę, pozostałą z czasów, kiedy po chemii wypadły jej włosy. Niestety, była ufryzowana w trwałą i w związku z tym rażąco niemodna. Ostatecznie zamiast na perukę zdecydowały się na chustkę. Brakowało tylko butów – stopy Leny były większe niż przeciętne, a na dodatek, żeby utrzymać jej ciężar, skonstruowane z wysokim śródstopiem i wzmocnionym stawem skokowym.

Stanik na fiszbinach, wypchany parą zrolowanych skarpetek, nie blokował wi-fi. Nina zostawiła androidkę pod opieką starszych pań aż do wieczora i po kilku popołudniach intensywnej pracy w warsztacie wreszcie zajęła się innymi sprawami. W samą porę, bo niedziela była czasem świętym tylko dla babki Iwanowej, z szacunku dla jej podeszłego wieku. Tymczasem mama potrzebowała drugiej pary rąk do sprzątania, prania i przygotowywania pożywienia dla ludzi oraz zwierząt. Robota na wsi nigdy się nie kończyła, w miarę możliwości uczestniczył w niej także ojciec, który w tym roku zażądał, żeby Nina przystosowała ciągnik do jego potrzeb. Dima, przywykły do tradycyjnej roli pana na włościach, źle znosił niepełnosprawność i praca była dla niego najlepszą rehabilitacją.

Przed wojną rodzina specjalizowała się w produkcji warzyw. Ziemniaki, kapusta, trochę cebuli. Pozostałą żywność kupowali w supermarkecie, jak wszyscy. Tylko nowo osiedleni z miasta, chcący zarabiać na turystyce, zakładali samowystarczalne gospodarstwa, gdzie uprawiano wszystkiego po trochu.

Wojna pozbawiła mieszkańców Jasnej Polany możliwości planowania. Supermarket pod miastem nadal istniał, ale działał z przerwami – gdy niedaleko trwały walki i ustały wszelkie dostawy, został zamknięty prawie na kwartał. Teraz brakowało może nie wszystkiego, ale losowych produktów, i to w sposób całkowicie nieprzewidywalny. Raz przez pół roku nie było cukru. Innym razem nie dostarczano mięsa – przez dwa miesiące przyjechał tylko jeden nieduży transport wieprzowej karkówki

oraz całych mrożonych kurczaków. Ludzie opróżniali półki, kupując na zapas, mówiło się o wprowadzeniu rządowych kartek na środki czystości i papier toaletowy. Jeśli zaś chodzi o przedsiębiorstwa rolne, każde zbiory były ruletką – czy przy silosach nie pojawią się wojska, co ze zbytem, co z transportem.

Kto mógł, powrócił do dawnych zwyczajów. Budowano nowe kurniki. Rodzina Niny zawsze trzymała kilka niosek na własne potrzeby, więc to od niej sąsiedzi kupili kurczęta. Wróciły do łask przydomowe ogródki warzywne i wekowanie przetworów na zimę. Jasna Polana nie zdryfowała w stronę całkowitej samowystarczalności, nie byłoby to zresztą możliwe – wieś nie wydobywała węgla, nie produkowała też paliwa do ciągników i generatorów spalinowych (używanych podczas przerw w dostawie elektryczności, która siadała czasem na kilka dobrych dni) – ale w zakresie specjalizacji cofnęła się do wczesnego XXI wieku.

Co za tym idzie, powiększył się zakres pracy.

Olga z westchnieniem opadła na krzesło. Poplamiony fartuszek zmarszczył się na jej brzuchu i odstawał od zmiętej bluzki. Kuchnia lśniła, teraz pozostawało tylko namówić Dimę do kąpieli. Zanieczyścił higienę, ponieważ trudno mu było zaakceptować fakt, że potrzebuje kogoś do pomocy. Nina usiadła naprzeciwko; ręce miała czerwone od detergentu i gorącej wody.

– Ninoczka – odezwała się mama. – Co ta twoja Lena potrafi? Najęłabym ją, zapłacę w spirytusie.

– Zależy, czego potrzebujesz – odparła Nina. – Na pewno zechce pracować, ale trzeba uważać. Jeśli chodzi o zadania wymagające siły fizycznej, ma pełną swobodę ruchów i pewnie potrafi zrobić wszystko, trzeba jej tylko pokazać. Gorzej z kontrolą manualną, tu byłabym ostrożna; może nam pomóc przy konfiturach, ale daj jej najpierw stare słoiki i osobne stanowisko pracy. Założę się, że kilka pierwszych zmiażdży przy zakręcaniu.

– A nauczy się?

– Nie wiem. Czucie i precyzję ma, ale niewytrenowane.

Olga przeciągnęła się na krześle.

– Jak byłaś malutka, potrafiłaś godzinami robić wycinanki i rysować w zeszytiku. Znajdę jej plastikowe nożyczki, kredki, niech poćwiczy motorykę.

– Lena nie jest dzieckiem... – zaprotestowała mechaniczka i zamilkła na chwilę. – Nie, przepraszam. Masz rację. W gruncie rzeczy właśnie tym jest. Syntetycznym dzieckiem posłanym na wojnę. Fartuszek też jej znajdzie, będzie zachwycona.

– Skoro o tym mowa, daj mi jeden z twoich kombinezonów roboczych. Poszerzę, dopasuję, przy zbiorze kapusty będzie w sam raz.

– O rety – westchnęła Nina. – Zaczyna mi być głupio, że ją trzymam w warsztacie. Ale na łóżku się przecież nie położy.

– Ona śpi?

– Wchodzi w stan uśpienia nocą. Z tego, co kojarzę, XT nie musi, ale pewnie chce nas naśladować.

Mama dźwignęła się z krzesła, opierając dłonie o kolana.

– Ach. – Ziewnęła. – Coś się wymyśli.

\*

Niezwykłe prędko staje się zwyczajne. Tak właśnie działają ludzkie mózgi, czy to syntetyczne, czy naturalne. Niebieska androidka w spódnicy zrobiła wrażenie na całej wsi i budziła trwoźną ciekawość niemal przez tydzień. Sąsiedzi odwiedzali gospodarstwo pod byle pretekstem: Tkaczuk, żeby dopytać o konserwację ciągnika przed zbiorami ziemniaków, Hawrylenko, żeby kupić trzy słoiki grzybków marynowanych, żona Stepaniuka – podzielić się bakłażanami, które w tym roku obrodziły wręcz nadprogramowo. Dzieci nie bawiły się w dyplomację – pięcioosobowy gang pod przywództwem Liustynki zapukał do drzwi we czwartek, żeby poinformować, że u dziewczynki w gospodarstwie jakiś czas temu oszczeniła się suczka i czy w takim razie Lena chciałaby zobaczyć, a może nawet przygarnąć szczeniaczka. W zamian za to proszą o dostęp do wi-fi, żeby pograć online, bo ich własny przerywa.

Na szczęście zastały Olgę, ponieważ Lena, ma się rozumieć, bardzo chciałaby przygarnąć szczeniaczka, ale skoro sama nie potrafiłaby go

utrzymać, zdecydowanie nie powinna go mieć. I w ogóle, poza motoryką, musiała też popracować nad kontrolą impulsów.

W piątek androidka razem ze wszystkimi uczestniczyła w smażeniu i przygotowywaniu konfitur porzeczkowych. Po trzecim zmiażdżonym słoiku znalazła wreszcie odpowiedni stopień nacisku i dokończyła pracę bez żadnych problemów, chociaż nieco wolniej niż organiczni ludzie.

W sobotę dostała własny pokój, ze wzmocnioną paletą zamiast łóżka, wykładziną, która chroniła panele podłogowe, szafą na ubrania i osobną komodą na drobne narzędzia naprawcze. Rodzice Niny nie odczuli tego jako poświęcenia – dom był za duży jak na ich potrzeby; kiedyś, przed wojną, czasem wynajmowali kwatery. Androidka kilkakrotnie odtworzyła ten sam pisk entuzjazmu, nie załapała żadnych subtelnych aluzji, żeby przestać, i zamilkła dopiero wtedy, gdy Nina kazała jej się zamknąć, bo można od tego dostać migreny.

W niedzielę Lena postanowiła zabrać się do cerkwi z babką Iwanową. Ojciec, chociaż sam na mszę nie jeździł, poczuł się nieco urażony i powiedział, że to już przesada. Żenia odmówił podwózki robota, powtarzając argument o braku duszy, więc starsza pani jak zwykle pojechała tylko z wujkiem. Androidka przycupnęła w altance i odtwarzała zapętloną piosenkę Who Wants to Live Forever grupy Queen. Nina usiadła obok.

– Wiesz – zaczęła – nie potrzebujesz tego przecież. Nie wszyscy ludzie są wierzący. Patrz, ja do cerkwi nie chodzę.

– Też myślisz, że to nie dla mnie? – fuknęła androidka. – Że może nie mam duszy i nie zrozumieję?

– Pewnie zrozumiesz, ale po co ci to? Czym jest religia? – Nina zaczęła wymieniać na palcach. – Metodą organizacji społeczeństwa, systemem opresji i manipulacji seksualnej, próbą przerwania na abstrakcyjny byt lęku przed śmiercią... Możesz dużo się modlić, prosić, żeby kolega nie umarł, żeby twoja noga jednak dała się uratować, żeby było dobrze, a ostatecznie i tak się orientujesz, że tylko mówisz w powietrze. – Westchnęła. Uświadomiła sobie, że mocno zaciska dłoń na prawym kolanie. – Tylko nie powtarzaj babce.

– No, jest tym wszystkim, tak... – Lena się zawahała. – Ale też czymś bardzo ludzkim. Chcę ją zbadać. Jak antropolog. Nie muszę od razu przyswajać.

– Oni też się muszą z tobą oswoić.

Androidka zgrzytnęła.

– Jak szympansy z Gombe z badaczką Jane Goodall?!

– A to było paskudne. Ludzie zwyczajnie potrzebują czasu. Ty też. I tak się składa, że mamy ten czas. Przed nikim nie uciekasz.

Lena zamamrotała pod nosem.

– Co?

– Że przepraszam i może masz rację...

– Myślę nad tym już od dłuższego czasu i muszę się dowiedzieć – powiedziała Nina. – Sądziłam, że androidy posługują się czystą logiką, racjonalnym rozumem, a nie emocjami.

– Och, bo przeciwstawianie logiki uczuciom jest klasycznym błędem poznawczym wynikającym z nieznanności zasad działania mózgu. – Lena natychmiast przestawiła się na tryb recytowania informacji ściągniętych z internetu, wyraźnie zadowolona, że zmieniły temat. – Używamy emocji także wtedy, gdy kierujemy się rozumem. Świat ma zbyt dużo zmiennych, bez emocji byłibyśmy niezdolni do podjęcia jakiegokolwiek decyzji. Wyposażono mnie więc w zdolność odczuwania... – Urwała.

Skurwysyny, pomyślała Nina.

We wtorek, pod nieobecność Leny, wdrażającej się do prac w polu, mechaniczka weszła do jej pokoju po klucz francuski kalibru, którego akurat potrzebowała. Na łóżku znalazła gruby zeszyt w kwiatki, podpisany MOJA SZTUKA ANALOGOWA.

Przekartkowała go, przyglądając się każdemu obrazkowi z osobna. Po grzbiecie przeszły jej ciarki. Lena prowadziła rysunkowy pamiętnik – jedna scena dziennie. Istniały sieciowe SI do tworzenia grafik, ale androidka nie sięgnęła po żadną z nich. Używała prostego komiksowego stylu, który nosił jednak indywidualne cechy. Może od kogoś go

skopiowała? W zeszycie odzwierciedliła cechy charakterystyczne każdego z domowników i dodała dymki z wybranymi cytatami.

Nina nie wczytywała się dalej. Poczula skrępowanie, że przegląda cudzy pamiętnik. Na gruncie syntetycznej świadomości Leny, olbrzymiego nadmiaru teoretycznej wiedzy oraz gromadzących się z wolna nowych doświadczeń dojrzewiała całkiem naturalna osobowość.

Kilka dni później młodzież z Ałczewska poprosiła o pomoc przy remoncie łazienki. Nie bez znaczenia była, rzecz jasna, pogłoska o udostępnianym przez Lenę internecie. Po całym dniu pracy wydarzyło się jednak coś niespodziewanego – androidka dostała zapłatę, i to nie w spirytusie. Sto hrywien to niewiele, nawet po denominacji sprzed kilku lat, ale wystarczyło, żeby samodzielnie kupić coś w sklepiku. Na przykład własny alkohol. Oraz portfel w disnejowskie zwierzątka.

Nastolatki z Ałczewska co prawda nazywały Lenę droidem, ale zaprosiły ją na ognisko, i nawet się nie obraziły, gdy spróbowała zagrać na gitarze *Odpowie ci wiatr* i zerwała strunę. Podobno wdała się z nimi w długą dyskusję, jaka sztuka jest lepsza, analogowa czy cyfrowa (Lena twierdziła, że analogowa, jako działalność na wskroś ludzka), czy literatura ma jeszcze znaczenie w epoce obrazu oraz która wódka najmniej szkodzi układowi nerwowemu (rozmaite domieszki były dla niej w różnym stopniu trudne do odfiltrowania i okazało się, że lista dodatków szkodliwych dla androidów i ludzi w pewnym stopniu się zazębiała).

Po tym, jak Lena zarobiła pierwsze pieniądze, znalazła nowy cel w życiu. Oznajmiła, że będzie oszczędzać na syntetyczną skórę i twarz, takie, jakie instalowano reklamowym androidom z serii XV. W dłuższej perspektywie, gdy skończy się wojna i wróci możliwość swobodnego podróżowania, chciała też uzbierać na bilet do Szwecji, bo zanim Ukraina zacznie dawać obywatelstwo nieorganicznym ludziom, upłynie całe pokolenie. Roboty były trwałe, ale nie nieśmiertelne – zużywały się jak wszystko.

Co za tym szło, androidka zaczęła wykorzystywać swoje możliwości nieco szerzej, zajmując się do najbardziej niewdzięcznych prac – malowała płoty, sprzątała w oborach oraz dawała korepetycje studentom



przed jesienną sesją poprawkową (ci, którzy przed wojną wyjechali do dużych miast, wrócili i studiowali online). Przyjmowała także oferty pracy w polu. Była nieco rozczarowana, gdy się dowiedziała, że ziemniaki wykopuje się przy użyciu kombajnów, ale wczesna kapusta, zwłaszcza ta przeznaczona do marketów, nadal wymagała ręcznego zbioru.

Minęły lipiec, sierpień, wrzesień. Lena wrosła w codzienność wsi i życie toczyłoby się całkiem zwyczajnie, gdyby nie jeden szczegół, który napawał Ninę niepokojem. Wujek Żenia nadal nie zaakceptował androidki w obejściu i chociaż nie zerwał kontaktów z rodziną z tego powodu, przy każdej okazji dawał wyraz swojej dezaprobacie.

Gdy zaczęły się zbiory kapusty, oznajmił na przykład, że nie przyjmie pomocy Leny.

– Albo ona, albo ja.

– Wujek – zezłościła się Nina. – I będziemy tak same zapieprzać? Mama, Lena i ja, z tą swoją nogą? Podlewaliliśmy regularnie, wiesz, jaką w tym roku mamy wydajność z hektara? Przyda się każda para rąk.

– Nina, ale ten robot w sukienkach to jest zwykły teatr, oszustwo! I jeszcze mu płacicie.

– Do pracy zakłada kombinezon...

– Wszystko jedno, nie przyłożę do tego ręki! Nie wiem, czy zostałem we wsi jedyny normalny, ale nie wmówisz mi, że toto myśli i czuje.

– Skoro tak – powiedziała Nina, zaciskając pięści – traktuj ją jak jeszcze jedną maszynę rolniczą, proszę cię bardzo. Wzięłam robota bojowego i przerobiłam na lemiesz, tak sobie uważaj. Może mniej się będziesz wściekać. Nieważne, czy ona ma uczucia, albo nawet czy ty masz uczucia, są priorytety, kapusta, do cholery, nie może na polu zgnić!

Wujek machnął ręką.

– Ach, ja po prostu... po prostu nie mogę patrzeć na to wszystko.

Ostatecznie postanowił jednak uczestniczyć w zbiorach – ludzie na wsi z reguły są praktyczni i jak powiedziała Nina, istniały priorytety, na przykład udział w zyskach ze sprzedaży kapusty. Ale nie odzywał się od rana do wieczora, a pięknie zawiązane kapuściane głowy układał na

podajniku przy ciężarówce z tak zawziętą miną, jakby to były ucięte łby neosowieckich żołnierzy. Lena milczała trwoźnie. Do tej pory zdołała już sobie wyrobić zręczność manualną, więc nie uszkodziła żadnej z roślin. Zbiór udał się znakomicie.

Kiedy zaczął się wrzesień i lekcje online, okazało się, że Maksimowi nie wolno korzystać z internetu Leny, mimo że sieć w Jasnej Polanie zrywała się przy każdej większej burzy. Zresztą w ogóle zabroniono mu jakiegokolwiek rozmowy z tym „strzelającym do ludzi” terminatorem. Naturalnie owoc zakazany jest słodszy, zwłaszcza dla nastolatka oraz androidki o nastoletnim poziomie dojrzałości emocjonalnej, spotykali się więc u młodzieży z Ałczewska. I byłby to wspańiały romans, gdyby nie to, że w domu Popowej zbierali się wszyscy uczniowie oraz wrześnieiowi poprawkowicze i faktycznie odrabiali lekcje. Amerykański satelitarny modem był naprawdę pierwszorzędny.

Pod koniec listopada, gdy zmarzył grunt i spadł pierwszy śnieg, w kraju na nowo rozgorzały walki.

\*

Nina odłożyła szufłę obok ganku i schowała się do sieni, z trudem zamykając drzwi opierające się pod wpływem wiatru. Dłuższą chwilę stała na wiklinowej macie przykrytej chłonnymi ścierkami i wycierała buty, potem otrzepała z siebie śnieg. Korytarzem poniósł się dzینگiel wieczornych wiadomości. W chwilę później usłyszała przyciszone rozmowy rodziców i komentarz spikera, który objaśniał mapę działań wojennych. Wreszcie zdjęła płaszcz, opadła na ławę i zmieniła buty na trampki, krzywiąc się z bólu, bo kikut pod protezą znowu się obtarł przy pracy.

Zajrzała do dużego pokoju. Rodzice, przytuleni na kanapie, ze skupieniem wpatrywali się w ekran. Na monitorze telewizora widać było sylwetki wrogich egzopancerzy – na pierwszym planie dwóch Niedźwiedzic i jednego Czerwonego Pająka – maszerujących przez pobielony śniegiem wiejski krajobraz. Fachowe oko Niny dostrzegąło, że

wszystkie wymagały renowacji, że to modele sprzed dwóch dekad. Ale działały i jako maszyny kroczące nie grzęzły w zaspach.

– Gdzie to?

– Pod Chersoniem – odparł tata. – Nowa ofensywa.

Ekran wypełnił ukraiński oddział przygotowujący się do wymarszu. Wszyscy żołnierze w egzopancerzach lekkiego kalibru, przypominających duże zbroje. Nina drgnęła, jej dawno zagojone nerwy odczuły impuls płynący od nieistniejącego już wszczepu. Odruchowo dotknęła karku.

Dowódca z uniesioną owiewką kokpitu wypowiadał się do mikrofonu. Nina zauważyła, że ukraińscy żołnierze też mają zużyty sprzęt, że wyglądają na zmęczonych. Ale motywacji im nie brakowało, a przynajmniej takie robili wrażenie przed kamerami.

– Co mówią?

– Że nasi mają przewagę.

– A co myślisz?

– Że jeśli dobrze pójdzie, żadnej następnej ofensywy nie będzie. Ale to jeszcze może potrwać do końca grudnia.

– Dłużej – wtrąciła mama. – Jak mówisz, że miesiąc, dwa, to zawsze wychodzi pół roku. Chyba że Stany coś przysła.

Nina westchnęła.

– Chciałabym, żeby to się wreszcie skończyło. Czasem marzę, że zbuntują im się wszystkie roboty. – Popatrzyła na tatę. Miał cienie pod oczami, a dłoń mimowolnie zaciskał w pięść. Spróbowała rozładować atmosferę. – Wiesz, tak jak Lena. Pogrzebią wreszcie Lenina, wejdą na Kreml, a potem całe wojsko zapędzą do uprawiania kapusty, rysowania komiksów i dyskusji o naturze ludzkiej.

– A zebrane dzieła Puszkina zaadaptują na seriale, wycinając wszystkie nacjonalistyczne kawałki? – Dima trochę się rozluźnił.

Androidka rzeczywiście przeszła krótki etap zainteresowania tworzeniem scenariuszy filmowych. Napisała jeden odcinek serialu o bohaterskim robocie, dała go do przeczytania kilku znajomym nastolatkom, po czym oświadczyła, że dostała blokady pisarskiej.

Poprosiła też Ninę o wytknięcie słabych punktów w fabule i dialogach, ale mechaniczka wymówiła się brakiem czasu. Z relacji Maksima wynikało, że ani pamięć absolutna, ani doskonała znajomość literatury nie chronią przed tworzeniem druzgocącego kiczu.

Rozległo się łomotanie do drzwi. Olga wstała, Nina uniosła dłoń.

– Siadaj, mammo. Otworzę.

Drzwi odskoczyły od framugi, huknęły o ścianę. Do sieni wdarł się mród. W progu stał wujek Żenia, blady ze wściekłości.

– Nina. Idź do domu Popowej – warknął. – Bo inaczej nie ręcę za siebie.

W korytarzu pojawiła się matka.

– Co? Co się dzieje? – spytała.

– Co się dzieje? Jeszcze się pytasz? Olga, cały czas wiedzieliście, że Maksim tam bywa, prawda?

– Ale gdzie, gdzie bywa?

– A zgadnij. Masz trzy próby.

– Ninoczka – zwróciła się do niej mama. – Wiesz, o co chodzi?

– Domyślam się. – Nina usiadła na ławie i znów zaczęła zmieniać buty.

– Och, oczywiście, ty wiedziałaś. Bo to twój robot – jęknął Żenia. – Twoja zabawka. Brak mi słów.

– Lena nie jest zabawką. – Nina poczuła, że wzbiera w niej złość.

– Nic z tego by się nie stało, gdybyś jej nie zachęcała.

– A co się stało? – spytała chłodnym tonem. – Maksim napisał lepiej kilka klasówek, tyle się stało.

– Trwa wojna – wycedził wujek. – A wy skaczecie wokół niej jak wokół robota reklamowego. Czy zauważyłaś, że tylko te sieroty spod Ałczewska się z nią zadają? Dlatego, że nie ma im kto zabronić.

Żenia nic nie wiedział o studentach. Ale to prawda, że nastawienie ludzi do Leny nie było jednoznacznie pozytywne, niektórzy przychyłali się do jego zdania.

– Nie wystarczyło ci pół roku, żeby zauważyć, że Lena nie chce mieć nic wspólnego z wojną? – Nina gniewnie zarzuciła palto. – Czy musimy za

każdym razem klócić się o to samo?

– Nie chce mieć nic wspólnego z wojną. – Prychnął. – Oczywiście, bo jest wygodna. Ma tutaj paliwo, ma garaż i naprawy za darmo, nie musi narażać się na awarie. Podjęła jedyną racjonalną decyzję, jaką mogła podjąć, i odgrywa teatr, że niby ma uczucia. Żyje tutaj jak pączek w maśle. Zero ryzyka, zero odpowiedzialności. Czy kiedykolwiek ci mówiła, co robiła wcześniej, kogo zabiła, może rodziców takich dzieciaków jak te, od których wyciąga hrywny za internet?

– Internet udostępnia za darmo, daje im korepetycje...

– To zwykła ruska dezserterka! – krzyknął Żenia. – Gdyby była człowiekiem, a nie kupą złomu z demobilu, byłaby taką samą szują. Powinna trafić pod sąd wojskowy, a nie zatruwać umysły dzieciom.

– Po pierwsze, sam sobie zaprzeczasz, bo jeśli nie jest człowiekiem, to nie powinna trafić pod żaden sąd. Po drugie, pod ukraiński sąd poszłaby przy podejrzeniu o zbrodnie wojenne, a skoro jest dezserterką, to znaczy, że sprzeciwiła się rozkazom i nie chciała ich popępniać. Po trzecie, to chyba dobrze, że zdezserterowała z neosowieckiego wojska...

– No, bardzo dobrze, bo w naszym się przyda.

– Żenia. – Dima przemiescił się na wózek chwilę temu i właśnie zaglądał do korytarza, przypatrując się bratu spod krzaczastych brwi. – Powiedz mi, co zrobiłeś?

– Nic, czego nie powinien zrobić dobry obywatel – odparł wujek. – Broń należy do wojska, wasz terminator to teraz własność rządu. Zdobyczne czołgi nie powinny leżeć po stodołach, tylko trafić na front. Idź po nią, Nina, zakończ tę szopkę i przechowaj ją uszpioną w warsztacie do odbioru. Żeby nie rdzewiała.

– Co?! Lena nie jest...

– Technicznie to jestem – dobiegł ich głos od podwórza, ledwo słyszalny przez podmuchy wiatru. – Nie mam przecież obywatelstwa.

Androidka stała w pobliżu ganku, oświetlona blaskiem padającym z okien. Opuściła głowę. Śnieg wokół niej skrzył się jak brokat.

- Nie musisz mnie zaprowadzać do warsztatu - odezwała się beznamiętnym tonem. - Sama pójdę.

\*

- Nie chcę iść na wojnę - powiedziała Lena. - Nie po to uciekałam.

Siedziała na stole w warsztacie, ubrana w roboczy kombinezon, z ramionami oplecionymi wokół kolan. Wewnątrz panował chłód, mniej więcej dwanaście stopni, stodoła nie miała centralnego ogrzewania. Nina przytасzczyła tylko elektryczny grzejnik, który wyłączała pod swoją nieobecność.

- Nie musisz też marznąć - zauważyła mechaniczka. - Masz własny pokój w domu. Niskie temperatury ci nie służą.

- Nie powinnam mieszkać w domu - mruknęła androidka. - Mogę sobie tworzyć fikcję o nieorganicznych ludziach, ale jak przychodzi co do czego, jestem tylko robotem, przedmiotem, cudzą własnością. Wujek Żenia ma rację. Nie urodziłam się, nie mam żadnych miękkich kawałków, więc na nic nie zasługuję. Może tylko myślę, że myślę.

- Wiesz, że to nieprawda. Przez wujka przemawia trauma wojenna.

- A co powie dowódca oddziału, kiedy mnie zobaczy? Że jestem człowiekiem? Powie: „O, fajnie, niebieski terminator. W sam raz, na froncie będzie się odróżniać od sowieckich”. Dobrze, jeśli pozwoli mi nosić ubranie. - Androidka zasymulowała westchnienie. - Namaluj mi na korpusie „Lena”. Najlepiej żółtą farbą. Czasem nazywacie przedmioty, łódki, czołgi, pociągi, może się przyjmie.

Nina odwróciła głowę, zamrugowała.

- Na pewno.

- Tak bardzo się starałam być pożyteczna. Hodować rośliny, tworzyć. Ale mam tylko jedną funkcję, prawda? Muszę zabijać ludzi. I inne roboty. Na co komu taka puszka złomu jak ja? Daję darmowy internet, ot i tyle dobrego.

Mechaniczka wstała, podparła dłońmi biodra. Nadal wołała nie patrzeć na Lenę.

– Jesteś pożyteczna. Ludzie cię lubią. Poza tym wcale nie trzeba być pożytecznym ani lubianym, żeby mieć wartość. Masz ją sama z siebie, tylko dlatego, że istniejesz.

– To dotyczy tylko organicznych ludzi. – Androidka zamilkła, jakby nad czymś się zastanawiała. – Uciekłam raz. Będę uciekać dalej. Do Szwecji, przez Polskę. Mam cały czas dostęp do sieci, do GPS-u, mogę się prześlizgnąć przez wszystkie kontrole graniczne...

– Samej będzie ci się trudno dostać na prom.

– Hm. Może wyślę się kurierem w kontenerze. W ogóle w Polsce chyba istnieją organizacje na rzecz obywatelstwa androidów. Może się z nimi skontaktuję? Tylko najpierw trzeba się jakoś przedostać do granicy...

Nina popatrzyła na nią ze zdumieniem. Rzeczywiście, jeśli na Zachodzie nadawano androidom prawa obywatelskie, w Polsce na pewno już o tym dyskutowano. Polacy wcale nie byli tak jednolicie konserwatywni, jak głosił stereotyp.

– Wiesz co, to nie jest takie zupełnie bez sensu. Porozmawiam z mamą.

Drzwi do warsztatu skrzypnęły, zapaliło się światło przy wejściu. Do środka weszła owinięta w gruby pled babka Iwanowa.

– Kochanieńka – zaczęła zatroskanym tonem. – Żenia mi powiedział, że idziesz na wojnę, bo należysz do rządu. Pomyślałam, że może ja bym cię od rządu wykupiła? Mam pieniądze, zbierałam na pogrzeb.

– Babciu, nie idę na wojnę – odparła Lena. – Uciekam do Szwecji.

– O, bardzo dobrze! – Starsza pani się ucieszyła. – Wolałabym, żebyś została, ale to dobry kierunek, na Zachód zawsze warto. Mam pieniądze...

– Nie trzeba – powiedziała szybko Nina. – Poradzimy sobie. Musimy tylko opracować dobry plan. Pamiętaj, babciu, tylko nikomu nie powtarzaj. To tajemnica.

Następnego dnia ludzie zaczęli pomagać.

Mechaniczka dopiero pod wieczór zorientowała się w sytuacji. Wszyscy odwiedzali warsztat w najgłębszym sekrecie, niezauważeni przez Olgę i Dimę, nieobszczekani przez kundla Borysa, który – jak się później

okazało – dostał wielką wołową kość i, szczęśliwy, schował się z nią w ogrodzie.

Stepaniuk z żoną przynieśli plecak ze stelazem oraz kijki trekkingowe, bez których wyprawa zimą do Polski przecież nie może się udać. Tkaczuk – sześć półlitrowych butelek spirytusu rektyfikowanego. Uchodźcy z Ałczewska podarowali WD-40, piankę poliuretanową w sprayu, latarkę czołową i duży płaszcz przeciwdeszczowy, skutecznie maskujący sylwetkę. Studenci-poprawkowicze dostarczyli zaległe opłaty za korepetycje w wysokości pięciuset hrywien, nalewkę śliwkową oraz składany scyzoryk. Kuzynka Rybakowa przekazała elegancką torebkę z krokodylej pseudoskóry, a pani Kononienko wygrzebała z szuflady kolejną perukę, co prawda fioletową, ale za to ufryzowaną na boba z krótką grzywką.

Wszystkich jednak pobiła babka Iwanowa, która jakimś cudem zdobyła damskie zimowe kozaki w kolorze wiśniowym, rozmiar 45,5. Prawdopodobnie miały czekać do Gwiazdki. Na ich widok Nina zwyczajnie skapitulowała, spłakała się jak bóbr, a potem już tylko przypatrywała się androidce dumnie spacerującej w butach po warsztacie.

Później Lena zaczęła pakować dobytek do plecaka i straciła dobry humor. Umówiły się, że na czas odwiedzin wojska ukryje się w starej drewni i dopiero później, gdy już minie zagrożenie, wyruszy w podróż. Opuszczając warsztat, androidka cichutko odtwarzała same smutne melodie.

\*

Przyjechali wczesnym rankiem. Ciężarówka w barwach wojskowej zieleni, z łańcuchami na kołach, wolno toczyła się przez zasypaną śniegiem wieś. Niebo miało kolor akwamaryny, chmury wypierzyły się i znikły, pod butami skrzypiał mróz. Nina wyszła na podwórze, przyglądając się pojazdowi z daleka. Po oznaczeniach rozpoznała ekipę techniczną. Prawdopodobnie jeden zaopatrzeniowiec i dwóch lub trzech magazynowych. Obok ciężarówki maszerował jeden żołnierz w pancerzu



wspomagany; insygnia wskazywały na mechanika polowego, funkcję, którą kiedyś pełniła Nina.

Mechaniczka pomyślała, że babka Iwanowa być może miała niezły pomysł z wykupieniem Leny. Wojna psuła obyczaje i mimo surowych praw antykorupcyjnych technicy bywali podatni na łapówki. Ale to przecież nie rozwiązałoby problemu. Wujek Żenia po prostu złożyłby donos i nasłał kolejną ekipę.

Widziała teraz zresztą stojącego nieco dalej wujka wskazującego kierowcy gospodarstwo. Nie tylko jego zresztą. Nieopodal bramy zgromadził się całkiem spory tłum ludzi pozornie niezainteresowanych sytuacją. Nastolatki lepiły bałwana, sąsiedzi wyszli z psami na dłuższy spacer. Tylko trzy starsze panie gapily się całkiem jawnie, korzystając z przywileju należnego poważnemu wiekowi.

– No, to chyba warto do nich iść – ponagliła Olga. Para uciekała jej z ust w małych obłoczkach. – Powiedzieć.

– Może jednak powinnam im dać kopertę – mruknęła Nina.

– Nie sądzę, żeby przyjęli – odezwał się ojciec, który siedział za nimi na wózku. – Wszyscy czują, że to ostatnie miesiące wojny. Każdy daje z siebie wszystko, co najlepsze.

Wujek Żenia szeroko otworzył bramę. Ciężarówka wjechała w zmrożone koleiny na podwórzu. Borys szczeakał w najlepsze. Nina podeszła do pojazdu. Zaopatrzeniowiec wysiadł, uzbrojony w papierowy notatnik oraz wojskowy tablet (w wersji odpornej na warunki środowiska oraz w etui ochronnym). Był facetem w średnim wieku i średniego wzrostu, wyraźnie zmęczonym, który przyjechał tutaj w prostym celu odebrania zdobycznego sprzętu. Wyraz jego twarzy zdradzał, że nie rozumie, dlaczego przyjazd ekipy wywołał takie emocje w mieszkańcach.

– Chwała Ukrainie. Siergiej Bondarenko, starszy sierżant. Ja po odbiór.

– Chwała bohaterom – odparła Nina.

– Co tutaj macie... – Sierżant Bondarenko spoglądał na tablet. – Jedna Niedźwiedzica, stan nieużytkowy... Części z tego będą?

– Będą.

– Gdzie to stoi?

– Za stodołą. Z wierzchu trochę porzewiała, ale w środku wszystko gra. Konserwuję ją od czasu do czasu.

Skinął głową z aprobatą.

– Jan, leć ją zobaczyć. Drugi to XT-665, potocznie mówiąc terminator, stan dobry operatywny, brak dział plazmowych. Gdzie go znajdziemy?

– No więc jest taka sprawa... – zaczęła Nina.

– Tutaj jestem!

Od strony drewnitni zbliżała się Lena. Ubrana w roboczy kombinezon, płaszcz przeciwdeszczowy i wiśniowe kozaki, z plecakiem przewieszonym przez ramię i kijkami trekkingowymi w rękach.

Sierżant otworzył usta. Właśnie przeżywał najdziwniejszy dzień pracy w swoim życiu.

– Ja... Co... – wydukał. – Dlaczego on jest niebieski?

– Bo tak ją pomalowałam. Lena, do cholery, dlaczego wychodzisz? Umawialiśmy się!

– Bo... – Androidka z impetem zatknęła kijki w śniegu. – Bo nie jestem zwykłą dezserterką. Bo chcę dla was walczyć. Dla ciebie i babci Iwanowej, i Olgi, i Dimy, i Maksima. I studentów, i wszystkich. I nawet dla wujka Żeni. Bo ja też mam duszę.

– Ja chyba śnię – powiedział sierżant Bondarenko. – Czy pani jej wgrywała mody? Jemu. Cholera.

– Nie, to naturalna ewolucja. Wie pan, mózg biomimetyczny, te sprawy. XT bardzo szybko się uczą, jeśli nikt im nie przeszkadza.

Mechanik w egzopancerzu podniósł owiewkę kokpitu.

– Fascynujące. Czytałem o tym w „Journal of Machine Learning and Cybernetics”, ale jeszcze się nie zetknąłem. Zwykle czyszczą im pamięć co kilka miesięcy, żeby nie doprowadzać do nawarstwiania się niepożądanych nawyków.

– Ale pan tego nie zrobi? – spytała Nina z niepokojem.

– Nie mam nawet jak. Zbieramy tylko zdobyczne terminatory, nie używamy tej technologii w standardzie. Jednostko XT, czy jesteś sprawny

operacyjnie?

– Nazywam się Lena. Mam rodzajniki, jak człowiek. Ona, jej. A co do zdolności operacyjnych, to wszystko zależy od tego, czy w waszej armii traktuje się ludzi jak ludzi, a nie jak roboty. Bo chcę się zaciągnąć na ludzkich warunkach. Mam duże umiejętności manualne jak na swój model, zdolność analizy i selekcji danych oraz modem Starlinka.

– O, poważnie? – zainteresował się Bondarenko. – To się akurat może przydać.

– Porucznik się nie zgodzi – wtrącił mechanik. – Powie, że to toster z pretensjami. Wiesz, że nie lubi sztucznej inteligencji. Kto wie, kiedy się zbuntuje.

– Zapytaj ludzi z Politechniki Lwowskiej, czy mogliby pożyczyć sprzęt do czyszczenia biomimetycznej pamięci.

Już jest zbuntowana, jak każda nastolatka, pomyślała Nina. A potem, z krystaliczną pewnością, zrozumiała, że Lena zginie, jeśli jej nie dopilnuje.

– Czy wasza jednostka jedzie na front?

– Nie. Koordynujemy obronę. Dlaczego pani pyta?

– Bo byłam w wojsku. Zwolnili mnie ze względów zdrowotnych, do egzopancerza już nie wejść. Ale jestem dobrą mechaniczką i na tyłach mogę się przydać.

Usłyszała, jak jej matka gwałtownie wciąga powietrze w płuca.

– Ninoczka...

– Stopień? – spytał sierżant.

– Kapitan.

Zapadło milczenie.

– I to jest pani zdobyczny XT, pani kapitan?

– Mój. – Obejrzała się na wujka Żenię, nie mogąc się powstrzymać.

Stał bez ruchu, przyglądając się całej scenie z twarzą zastygłą w zdumieniu, popatrując to na Lenę, to na zgromadzonych, słuchających w napięciu gapiów. Nie doceniasz ludzi, pomyślała. Nie spodziewałeś się,

że mogą cię jeszcze pozytywnie zaskoczyć. Straciłeś wiarę w małe, codzienne dobro.

– No to... – Sierżant odetchnął, jakby pozbył się właśnie ogromnego ciężaru. – Pani to przedyskutuje z porucznikiem.

– Nie omieszkam.

– To my się skontaktujemy. Miło było poznać. Chwała Ukrainie.

– Chwała.

Za jej plecami dwóch magazynowych układało do transportu Niedźwiedzicę. Słońce odbijało się w świeżym śniegu. Nina wsadziła ręce do kieszeni i uśmiechnęła się szeroko.

*Atlanta, lipiec 2022*

# Agnieszka Hałas

\*



# Potwór i nić

*Przez labirynt – niepotrzebny już elementarz – wraca Tezeusz, niosąc wielką, krwawą głowę Minotaura o wytrzeszczonych oczach, w których po raz pierwszy kielkować zaczęła mądrość – jaką zwykle zsyłać doświadczenie.*

(Zbigniew Herbert, *Historia Minotaura*)

Twierdza Ludu Gwiazd wznosi się na południowym krańcu niskiego płaskowyżu, skąd roztacza się widok na rozległą, zieloną nizinę. Osady, wstęga rzeki i górujący nad tym wszystkim Kurhan – porośnięty trawami, zaskakująco masywny, zwieńczony pierścieniem skałek. Najbardziej imponująco wygląda w wiosenne noce, w blasku trzech księżyców.

Choć twierdzę zbudowano ponad siedemdziesiąt lat temu, krótko po inwazji, niewielu Cygotów oglądało wewnątrz majestatycznej rezydencji gwiazdhrabiów. Mało kto zasłużył sobie na taki zaszczyt. My, podludzie, trafiamy co najwyżej do tutejszych lochów, jeśli popełnimy poważniejsze przestępstwa niż, powiedzmy, kradzież paru kilogramów niby-jabłek. Ale mnie sprowadzono tu dzisiaj, bo jestem potrzebna gwiazdhrabiemu, jak przed laty mój ojciec. Wiedziałam, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Jestem gotowa.

Nie okazuję zdziwienia na widok potężnych murów, nieskazitelnie czystych posadzek, szkła w oknach i sztucznego oświetlenia. Nie dziwią mnie jeżdżące tu i tam samobieżne maszyny. Znam te cuda tylko z opowieści, ale nie zamierzam się gapić na bogactwa Ludu Gwiazd. I tak jestem dla tych ludzi śmierdzącą dymem prostaczką – mimo rubinowych oczu. A przecież moi przodkowie też przybyli na tę planetę z bezkresnej czerni Kosmosu.

Żołnierze wprowadzają mnie do pomieszczenia, gdzie stoi drewniany stolik z pojedynczym fotelem. Przez okno widać pusty fragment

dziecińca. Zjawia się chudy jegomość w fioletowej szacie, przez chwilę świeci mi latareczką w oczy i przystawia do czoła popiskujące urządzenie.

– Larysa Smiertina? Córka Jurija? – pyta po cygnocku z silnym akcentem.

Potakuję. Chudzielec mówi coś do żołnierzy w języku Ludu Gwiazd – rozpoznałem tylko słowo „śpiewacy”. Potem wychodzi.

Chwila oczekiwania pod czujnym wzrokiem dwóch barczystych, smagłych chłopaków w szarych mundurach i czarnych półpancerzach dłuży się w nieskończoność. Wpatruję się w czubki swoich zabłoconych butów. Jakaś maszyna pewnie już zmywa z posadzek brud, który tu naniósł.

Raptem żołnierze stają na baczność, wyprężeni jak struny, i salutują. Przez głowę przebiega mi szalona myśl... ale nie, człowiek, który wkracza do pomieszczenia, to nie młody gwiazdhrabia. Jest sędziwy, zgarbiony. Wystrojony jak wielmoża – pierścienie na palcach, misternie haftowany pas, długa szata z dziwnej migotliwej tkaniny, ni to srebrnej, ni złotej.

Chrząka. Skłaniam głowę.

– Bądź pozdrowiony, panie – mówię.

Starzec długo taksuje mnie wzrokiem, krzywiąc się, jakbym była plamą czegoś obrzydliwego na lśniącej glazurze. Oczy ma przekrwione, łzawiące, kaprawe.

– Córka Jurija, hm? – chrypi.

– Tak, panie.

– Jestem Alejandro de Moncada y Fénix, opiekun śpiewaków. – Na sekundę zawiesza głos, jakby w oczekiwaniu na reakcję. Wbijam wzrok w posadzkę, dokładając starań, żeby moja twarz nie zdradzała żadnych emocji. – Podobno zapowiadałaś się kiedyś na godną następczynię twojego ojca. Wiem, że po jego śmierci przestałaś śpiewać, ale wiem też, że tego się nie zapomina.

Mogłabym doprecyzować, że nie, nie po śmierci ojca, tylko trochę później. Po tamtej zimie. Ale przetykam te słowa – z trudem, bo są gorzkie, bolesne – i milczę. Tak jest najbezpieczniej.

– Syn Gwiazd polecił, bym ci przekazał jego rozkaz – ciągnie starzec. – Pragnie, byś udała się do labiryntu i wyśpiewała jego wolę.

– Czemu ja? – pytam cicho. – I czemu teraz?

Widzę, jak na moment ucieka wzrokiem. Pomarszczona, zniekształcona reumatyzmem dłoń nerwowo gładzi siwą brodę i już wiem, że cokolwiek powie mi Alejandro de Moncada, skłamię – a w każdym razie nie wyjawi całej prawdy. Żadne zaskoczenie.

– Odpowiedź na twoje pierwsze pytanie brzmi: wiemy, jaką moc ma krew Ilii Smiertina. Na drugie ci nie odpowiem, Cygnotko. Nie musisz tego wiedzieć.

Mówi to spokojnie, bez gniewu, ale reaguję na napomnienie tak, jak należy – pośpiesznie kłaniam się nisko, niemal do ziemi.

– Nie muszę. Wybacz mi, panie.

– Jeśli dobrze się spiszesz, hojnie zapłacimy. Damy leki, baterie, paliwo.

Trwam w kornym ukłonie, nie podnosząc wzroku. Alejandro de Moncada zapewne wie, że to tylko pozory, ale udaje, że bierze je za dobrą monetę. A może faktycznie dał się nabrać, kto wie? Dostojnicy z Ludu Gwiazd są pyszni, próżni i gdy na nas patrzą, często widzą to, co chcą zobaczyć. Gdyby było inaczej, żyłoby nam się pod ich rządami znacznie trudniej.

De Moncada wyjaśnia mi, czego konkretnie oczekuje ode mnie gwiazdhrabia. Udaję, że się zastanawiam. Gdybym zgodziła się bez wahania, mogliby nabrać podejrzeń.

Odkąd dwadzieścia lat temu mój ojciec został wezwany do twierdzy i podjął najgłupszą decyzję z możliwych, za którą nadal go nienawidzę, wiedziałam, że prędzej czy później stanę przed analogicznym dylematem – o ile wcześniej nie umrę z głodu, zimna lub na jakąś chorobę. Ale rubinowoocy są odporni. Gdyby było inaczej, spoczywałabym już w ziemi razem z moimi braćmi, którzy nie przeżyli tamtej długiej, długiej zimy. I gwiazdhrabia mógłby teraz wysłać do labiryntu co najwyżej własnych śpiewaków.



Błogosławieństwo Ilii Smiertina ujawnia się tylko tutaj, w osadach położonych niedaleko Kurhanu. Tylko w trzech rodzinach, raz na kilkanaście lat albo i rzadziej. Zawsze można było nas policzyć na palcach lewej ręki Pawki Cywoniuka, któremu w dzieciństwie pies odgryzł kciuk. Mój ojciec, Jurij Smiertin, nie żyje od dwudziestu lat, Polikarp Czerniakow zginął miesiąc temu – wypadek na polowaniu – a Daria, najmłodsza córka Walerija Żuka, która zapowiada się na moją następczynię, ma dopiero sześć lat.

Mniejsza zresztą o to. Gwiazdhrabia wpadł na równie głupi pomysł jak niegdyś jego ojciec – niedaleko pada niby-jabłko od niby-jabłoni – i dzięki temu będę mogła doprowadzić swoją zemstę do końca. Tak, jak zaplanowałam.

\*

Miałam trzynaście lat, gdy mojemu ojcu rozkazano udać się pod Kurhan i zaśpiewać, zmuszając Potwora, żeby spełnił żądanie gwiazdhrabiego.

Doskonale pamiętam tamten dzień. Był gorący i słoneczny – pełnia lata, tuż przed żniwami. Urodzaj dopisał jak rzadko. Obfitość zboża, owoców i warzyw dawała nadzieję, że tej zimy nie zaznamy głodu.

Tamtego roku Potwór traktował nas wyjątkowo łaskawie. Wiosna nadeszła wcześniej, była ciepła i hojnie obdarzała ziemię deszczem. Nikt nie zapadł na czarną chorobę, wszystkie dzieci rodziły się żywe, a umierali tylko niedołęzni starcy.

Doceniając hojność naszego boga, co tydzień składaliśmy Mu ofiary wedle zwyczaju: przy kamiennym ołtarzu na południowym stoku Kurhanu. Pozostawione w oparach kadzidła misy z gorącą, tłustą strawą nazajutrz zastawiliśmy puste, wylizane do czysta – znak, że Potwór był równie zadowolony z naszych wyrazów wdzięczności, jak my z Jego opieki.

Ale oczywiście nic, co dobre, nie może trwać wiecznie.

Gwiazdhrabia Teodosio Jesus Asterion de Romay y de Marte, czwarty pan północno-wschodniej ćwierci kolonii Refugio de los Valientes

(dawniej Nowaja Strana), wszystko zepsuł przez swoją chciwość i krótkowzroczność.

Zbliżało się wesele jego najstarszej córki i zamarzył sobie, że – oprócz strojów, kosztownych futer, pięknie zdobionych naczyń i słodkiego wina z miodowej rzodkwi – w jej posagu koniecznie musi się znaleźć beczułka leczniczego żywomleka, najcenniejszego z darów Potwora. Próżno mu tłumaczono – co zresztą sam przecież doskonale wiedział – że Potwór ofiarowuje żywomleko tylko w czasie przesilenia zimowego, a i to nie co roku. Że wszystko, co o Nim wiemy, każe sądzić, że okupuje ten dar długotrwałym osłabieniem, a podczas żniw szczególnie potrzebujemy Jego opieki.

Sądzę, że przybocznicy gwiazdhrabiego robili wszystko, żeby go odwieść od powziętej myśli, podobnie jak jego nieszczęśni, okaleczeni śpiewacy w maskach, którzy też potrafią komunikować się z Potworem, choć nie noszą w sobie dziedzictwa Ilii Smiertina. Zwłaszcza ci drudzy z pewnością wiedzieli, jak niebezpiecznej rzeczy zażądał ich pan.

Gwiazdhrabia był wyrozumiały. Nie skazał nikogo na śmierć ani gnicie w lochach za niesubordynację, tylko wysłał żołnierzy po Jurija Smiertina, śpiewaka ze wsi Mniejszy Jar.

Nie wiem, jak mój ojciec zareagował, gdy usłyszał rozkaz. Bardzo możliwe, że nic nie powiedział, tylko skłonił się aż do ziemi, obawiając się o życie drugiej żony i nas trojga. Czy się wahał? Myślę, że w pierwszej chwili tak, ale świadomość, że jego córka też ma rubinowe oczy, zapewne przesądziła o decyzji. Potrafiłam już śpiewać, a w moich żyłach płynęła krew Ilii Smiertina; gdyby ojciec odmówił, gwiazdhrabia posłałby po mnie, a ja raczej nie podołałabym żądaniu. Niewprawna próba zaśpiewania zbyt wygórowanej prośby grozi śmiercią – były takie przypadki – ale nawet gdyby Potwór nie uznał za stosowne zamienić mi mózgu w breję, nasza rodzina poniosłaby konsekwencje rozczarowania władcy.

Umiejętność komunikowania się z Potworem i wpływania na Jego wolę to rzadki dar. Nie mam tu na myśli prostych modlitw, takich jak Zielona i Czerwona Pieśń, które zna w naszej dolinie każde dziecko. Zieloną Pieśń śpiewamy chórem w czasie dożynek i uroczystości weselnych, a Czerwoną, gdy szczególnie sroga zima, susza, powódź lub zaraza zmuszają nas do błagania o pomoc. Ojciec tłumaczył mi, że społeczność potrzebuje takich rytuałów, skoro czcimy Potwora jako naszego boga. Że Ilia Smiertin, samozwańczy pierwszy kapłan tego kultu, był mądry. Zapewne był. Ale tak naprawdę ani Zielona, ani Czerwona Pieśń nie wpływają na wolę Potwora. Tego można dokonać tylko spod Kurhanu. I to właśnie czynią rubinowoocy, jak mój ojciec, ja czy dziadek Kola. Jak Polikarp Czerniakow i jego babka Luba, która przed stu laty wyśpiewała Cygnotom ocalenie od bagiennej ślepoty. Jak Ilia Smiertin, nasz święty-nieświęty patron.

Potrąfimy śpiewem sformułować żądania i nakłonić Potwora, by je spełnił. Wpierw jednak trzeba wkroczyć w głąb labiryntu rozciągającego się pod Kurhanem. Zwykły człowiek przypląciłby to śmiercią, i to straszną – w konwulsjach, w potwornym bólu – chyba że zszedłby tu w masce przeciwgazowej i kombinezonie ochronnym, jak naukowcy Ludu Gwiazd. My, rubinowoocy, nie stosujemy żadnych środków ochrony i pozostajemy zdrowi, chociaż nikt nie wie dlaczego. Ilia Smiertin zapisał w swoich notatkach hipotezę, że mikroflora podziemi wytwarza unoszące się w powietrzu toksyny, a recesywny gen odporności na nie jest sprzężony z genem rubinowych oczu. Nie miał możliwości potwierdzić tego naukowo – nie był z wykształcenia biologiem molekularnym, tylko inżynierem automatykiem, poza tym w walczącej o przetrwanie kolonii nie starczyło zasobów, żeby zorganizować laboratorium, mimo że wyjściowo plan kolonizacji oczywiście zakładał, że będziemy badać tutejsze atmosferę, glebę, rośliny, mikroby, wszystko. W kolejnych pokoleniach uwstecznialiśmy się coraz bardziej, jeśli chodzi o wiedzę. Dzisiaj niewielu Cygnotów wie, czym są geny.

Jak już wspomniałam, gwiazdhrabia ma swoich naukowców i potrafi im zapewnić odpowiednie warunki do pracy. Przebadali oni labirynt na

wszystkie strony, ale możemy tylko zgadywać, co odkryli. Lud Gwiazd strzeże swojej wiedzy jeszcze zazdrośniej niż antybiotyków, maszyn i paliwa.

Gwiazdhrabia ma też swoich śpiewaków.

Ci nieszczęśnicy schodzą do labiryntu i wracają żywi, ale płacą za to okrutną cenę. Już po pierwszej wizycie pod Kurhanem dostają bóleści, ich skóra pokrywa się pęcherzami albo wręcz czernieje i zaczyna odchodzić. Włosy wypadają, oczy ropieją, pojawiają się owrzodzenia i stany zapalne kości. Najsilniejsi potrafią zaśpiewać trzykrotnie w ciągu czterech czy pięciu lat, przypłacając każdą wyprawę pod Kurhan kilkoma miesiącami w bandażach. Żyją, ale co to za życie.

(Co ciekawe, stroje ochronne i maski przeciwgazowe nie robią w tym przypadku żadnej różnicy. Zdaje się, że to nie toksyny ponoszą winę, lecz coś innego).

Śpiewak gwiazdhrabiego, który uparł się dzisiaj, że zejdzie do labiryntu razem ze mną, nazywa się Manuel.

Jest w lepszym stanie niż niektórzy z jego współpracownicy (krążą słuchy, że śpiewacy Ludu Gwiazd są zrzeszeni w czymś na kształt zakonu: mają swoje rytuały, ścieżkę kształcenia, której ściśle się trzymają, i są niezwykle dumni ze swego statusu, co zapewne osładza im cierpienia). Utyka, ale nie wspiera się na kulach, wystarczy mu okuty kostur. Dłonie ma zabandażowane i pachnie leczniczymi maściami. Czarna skórzana maska nadaje mu wygląd złego stwora z baśni.

Drażni mnie jego obecność. Na pewno jest tego świadom. Nie wiem, czy coś podejrzewa i liczy, że w razie konieczności zdoła zagłuszyć moją pieśń (mało realne, ale niech się ludzi dalej), czy po prostu ma dość życia w chorym ciele i chce przyspieszyć swoją śmierć. Na pewno jest ode mnie znacznie młodszy – śpiewacy przeważnie nie dożywają dwudziestego czwartego roku życia – ale mu nie współczuję. Sam wybrał taki los.

Zwyczajem śpiewaków ma ze sobą kłębek czerwonej nici, grubej i mocnej jak dratwa. Starannie przywiązuje jej koniec do haka wbitego w skałę u wejścia do labiryntu.

– Nie potrzebujesz tego – mówię. – Nie zgubię się tutaj.

Przechodzę pod kamiennym łukiem wejścia, nie czekając na odpowiedź. Żołnierze gwiazdhrabiego, którzy trzymają wartę w przedsiönku podziemi – mogą tu bezpiecznie przebywać, granicę zakazanej strefy wyznaczają potężne okute drzwi – oglądają moją przepustkę, sprawdzają ją małym elektronicznym urządzeniem i dają znak, że możemy iść dalej. W głąb labiryntu.

\*

Kiedy miałam dziesięć lat, ojciec po raz pierwszy zabrał mnie pod Kurhan.

W teorii żołnierze gwiazdhrabiego nie wpuszczają tu nikogo, kto im nie pokaże przepustki opatrzonej jego pieczęcią. W praktyce, no cóż – źle by to świadczyło o rubinowookich, gdybyśmy nie potrafili swobodnie wchodzić do labiryntu bez niczyjej wiedzy. Lud Gwiazd rządzi kolonią zaledwie od osiemdziesięciu lat, a my żyjemy w cieniu Kurhanu od czterech stuleci.

W niepozornym lasku na zachód od drogi – żeby tam dotrzeć, trzeba wędrować miedzami, ścieżki brak – znajduje się zrujnowana lepianka, tak obrosnięta krzakami i pnączami, że ciężko rozróżnić zarysy ścian. Drzwi nie ma – ktoś kiedyś zdjął je z zawiasów. Żeby dostać się do środka, wystarczy wiedzieć, w którym miejscu przepęznąć przez zarośla.

W lepiance ukryty jest wylot tunelu, którym można dojść aż pod Kurhan.

Wnętrze labiryntu wygląda... No cóż – inaczej, niż wszyscy sobie wyobrażają. Korytarze wydrążone w litej skale są niskie i ciasne. Ciepło tam, duszno, oddech aż więźnie w gardle. Ociekające wilgocią ściany porasta coś gąbczastego, jakby mech, ale jednak nie do końca. Pachnie... Jak to opisać? Nie pleśnią, nie zgnilizną, nie padliną. Ten zapach jest słodki, nawet przyjemny, ale ma w sobie coś niepokojącego – jak woń trujących kwiatów.

Wbrew temu, co opowiadają niektórzy, w labiryncie nie słyhać oddechu Potwora ani bicia Jego serca. Cisza aż dzwoni w uszach, własne myśli wydają się ogłuszające. Potrzeba wprawy, żeby wypchnąć je

z umysłu i otworzyć świadomość. Sięgnąć umysłem poza te korytarze i wypełniający je mrok, by odnaleźć ukrytą w sercu labiryntu jaźń Potwora.



Nikt nigdy nie dotarł do samej Jego siedziby i nie widział Go na oczy, ale to bez znaczenia. My, rubinowoocy, możemy Go usłyszeć i przemówić

doń z pustej komory umiejscowionej głęboko pod Kurhanem. Łatwo tam trafić pod warunkiem, że to nie pierwsza wizyta; podczas wszystkich kolejnych instynktownie odnajdujemy drogę. Ilija Smiertin zapisał we wspomnieniach, że kiedy po raz pierwszy wkroczył do labiryntu, zabrał ze sobą kłębek nici, jak w starej legendzie. Ale gdy usłyszał głos Potwora i stopił z Nim swoją jaźń, podziemia pod Kurhanem przestały mieć przed Ilią jakiegokolwiek tajemnice.

Ja również bez problemu orientuję się w labiryncie.

Podczas swojej pierwszej wyprawy tutaj nie śpiewałam. Zaśpiewał mój ojciec, prosząc, by Potwór zaopiekował się Oleną Werstiuik, która niedługo miała urodzić trojaczki. Ja tylko słuchałam, wdychając dziwną woń mchu-niemchu, wpatrując się to w błądy krąg światła latarki, to w ciemność, która otaczała nas jak wielki kokon. I nie wiedzieć kiedy poczułam, że stapiam się w jedno z potężną obcą świadomością – z tym czymś, co żyło i oddychało, niewidzialne, gdzieś tuż obok nas. Prastare, obce, jeszcze starsze niż ta planeta.

A może, jak przyszło mi wówczas do głowy, labirynt był trzewiami Potwora, może znaleźliśmy się w Jego brzuchu...?

\*

Gdy Manuel i ja zagłębialyśmy się w ciemność, tylko udaję równie spokojną jak otaczające nas skały. W rzeczywistości targają mną sprzeczne emocje: rozpacz wymieszana z euforią.

Tak dawno mnie tu nie było.

Po śmierci ojca i wszystkim, co nastąpiło później, na długo zwątpiłam w swoje powołanie, w dziedzictwo rubinowych oczu. Po dziesięciu bezowocnych wyprawach pod Kurhan w czasie tamtej długiej, długiej zimy; po sześciu miesiącach mrozów; po tym, jak pomarli moi bracia, przysięgłam sobie, że wrócę tu dopiero wtedy, kiedy sama uznam za stosowne, nie wcześniej. Nikt nie mógł mnie zmusić, ani starszyzna, ani gwiazdhrabia. Zwłaszcza gwiazdhrabia. Nie było już nikogo, czyim życiem mógłby mnie szantażować, a na moim mi nie zależało.

- Nienawidzisz nas, prawda? - pyta Manuel, kiedy mijamy trzecie rozwidlenie korytarzy. Zerkam na niego z niedowierzaniem.

Nie, nie nienawidzę. Nic nie poradzimy na to, jak urządzony jest ten świat. Ale czemu śpiewaka z Ludu Gwiazd interesuje, co czuję?

Przed oczami zmienacka staje mi twarz ojca i muszę przygryźć usta, bo wspomnienia nadal bołą, choć jestem już kimś całkiem innym niż tamta trzynastolatka, która patrzyła na jego martwe ciało jak skamieniała, nie mogąc wykrztusić słowa. Nauczyłam się nie przyjmować biernie tego, co przynosi los. Teodosio Jesus Asterion de Romay y de Marte nie żyje od pięciu lat i nikt nie wie, że przyczyniłam się do jego śmierci. Nie odczuwam z tego powodu satysfakcji, na którą liczyłam, gdy przymierzałam się do zemsty, ale nie przeszkodziło mi to zaplanować dalszego jej ciągu.

Oby tylko Potwór zechciał mnie wysłuchać, myślę, czując, jak ubranie wylgotnieje mi od potu. Serce bije szybko, napędzane adrenaliną.

\*

Czy Potwór opiekuje się Cygnotami? Tak i nie. Tak, bo gdy błagamy go śpiewem o ratunek, zazwyczaj pomaga nam w taki czy inny sposób: pogoda się poprawia, a epidemie bądź plagi szkodników dobiegają końca. Nie, bo po tym, jak przez blisko czterysta lat oddawaliśmy Mu boską cześć, odwrócił się od nas po przybyciu Ludu Gwiazd, pozwalając, by ten przejął władzę nad naszą kolonią.

Najeźdźcy przylecieli na tę planetę, kiedy mój pradziadek, który zmarł na czarną chorobę tuż przed moimi narodzinami, był nastolatkiem. Podróżowali statkami z napędem jądrowym, tak jak nasi przodkowie, lecz nie przybyli ze Starej Ziemi, tylko z jakiegoś innego zakątka Kosmosu.

Mogliby po prostu osiedlić się na bezludnych stepach na wschodzie lub w dżungli na południu, uprawiać tam ziemię i polować - nawet nie wiedzielibyśmy, że tu są - ale pragnęli rządzić. Podbijać i panować. Przywieźli broń strzelającą pociskami i miotającą roziskrzone kule energii, a także truciznę, która po wpuszczeniu do wody zabijała wyłącznie Cygnotów, nie szkodząc roślinom i zwierzętom.



Znaliśmy wojnę tylko z lekcji historii, ale początkowo chcieliśmy walczyć w obronie swojej ziemi. Nie porzuciliśmy tego zamiaru nawet po tym, jak Potwór, na którego dotąd mogliśmy liczyć w obliczu każdego zagrożenia, zdradził nas. (Dopiero później wyszło na jaw, że najeźdźcy błyskawicznie rozszyfrowali sekret Kurhanu i uwięzili jednego z rubinowookich, niesławnej pamięci Kiryła Czerniakowa. Czy to torturami, czy innymi metodami perswazji nakłonili go, by śpiewem zaskarbił im przychyłność Potwora, a później wyszkolił pierwszych śpiewaków gwiazdhrabiego).

Nawet bez wsparcia naszego boga byliśmy gotowi bronić kolonii. Większość rodzin porzuciła osady w dolinie, by odejść na północ, gdzie są wapienne wzniesienia z jaskiniami krasowymi. Zamierzaliśmy prowadzić stamtąd walkę partyzancką. Tym, co zmusiło nas do rychłej kapitulacji, była rozpylana z dronów trucizna, która – jak wkrótce się zorientowano – zabijała stosunkowo powoli, lecz nieuchronnie. Zatrucie w początkowej fazie niemal nie dawało objawów, co utrudniało zorientowanie się, że teren jest skażony. Obozując w górach w obliczu zbrojnego najazdu, kto przejmowałby się takimi dolegliwościami jak suchość w ustach czy lekki ból głowy? Dopiero po kilku dniach pojawiały się niedowłady, zaburzenia świadomości i postępujący paraliż.

Starszyzna zorientowała się w sytuacji dopiero wtedy, kiedy skutki działania trucizny odczuwali już niemal wszyscy Cygnoci. Wtedy gwiazdhrabia przysłał drony z głośnikami, które przekazały, że jeśli skapitulujemy, jego medycy podadzą ofiarom zatrucia antidotum. W jaskiniach odbyło się głosowanie. Mając do wyboru śmierć tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci lub niewolę, Cygnoci wybrali tę drugą opcję. Czy słusznie? Pradziadek – który nie uczestniczył w głosowaniu, bo zaliczał się do cięższej zatrutych i kiedy ważyły się losy kolonii, leżał nieprzytomny – nigdy nie chciał o tym rozmawiać.

\*

Schodzimy coraz głębiej.

Dusznio tu i trochę strasznie. Czuję już obecność Potwora – Jego niewidzialny, przytłaczający ogrom. Czarny lej pochłaniający myśli. Pot perli mi się na czole i górnej wardze. Manuel stąpa zaskakująco pewnie po śliskim, zdradzieckim spągu, podpierając się laską. Gdy przechodzimy przez płytki podziemny strumień, chce podać mi rękę, ale ignoruję jego wyciągniętą dłoń.

Mijamy wejście do komory, do której zimą ścieka żywomleko. Wspomnienia wzbierają we mnie falą mdłości, choć próbuję je odpychać. Ostatnia pieśń mojego ojca wgrzająca się w mózg i wszystkie tkanki ciała. Gorzki smak oszustwa, które stało się wyrokiem śmierci dla tysięcy Cygnotów.

– Przykro mi z powodu twojego ojca – mówi zniechęca Manuel. Tak mnie to zaskakuje, że aż przystaję. – Był dzielnym człowiekiem.

Nieprawda, myślę z goryczą. Był pieprzonym tchórzem i głupcem. Ilija Smiertin wyrzekłby się takiego potomka.

\*

Nad moim posłaniem od zawsze wisi obrazek w drewnianej ramce przedstawiający Ilię Smiertina.

Nasi przodkowie, którzy przylecieli na tę planetę i założyli tu kolonię, nie czcili żadnych bogów, bo ich nie potrzebowali. Mieli maszyny, które im pomagały, chroniły ich, myślały za nich, a nawet przepowiadały przyszłość. My nie dysponujemy ani jedną myślącą maszyną, odkąd awaryjne lądowanie Cygnusa uszkodziło większość systemów statku, zaś sami nie potrafimy przepowiadać nie tylko przyszłości, ale nawet pogody. Może nauczylibyśmy się na nowo modlić do bogów ze Starej Ziemi, kto wie – ale w ósmym roku po lądowaniu, gdy nastąpiło przedwiośnie po wyjątkowo mroźnej zimie i we wszystkich osadach srożyła się czarna choroba (dziś już wiemy, że powodują ją zarodniki pewnego gatunku pleśni, która rozwija się na zbyt długo przechowywanych zapasach), Ilija Smiertin zawędrował pod Kurhan i po raz pierwszy skomunikował się z Potworem. Reszta jest historią.

Prawie w każdym domu wiszą teraz namalowane lepiej lub gorzej obrazki przedstawiające Ilię. Wszystkie są podobne – ponoć wzorowane na starym zdjęciu, które oczywiście się nie zachowało. Ilija ma krótkie, nastroszone jasne włosy i kanciastą twarz o zapadniętych policzkach. Zaciśnięte usta, ściągnięte brwi. W jego rubinowych oczach widać smutek, gorycz i determinację.

To mógłby być portret mojego ojca. Takim go zapamiętałam. Ale determinacja i odwaga, za które zawsze go podziwiałam, finalnie okazały się ułudą. Czy to możliwe, że po prostu nie przewidział, jakie będą konsekwencje wykonania rozkazu?

Pamiętam jego ostatnią pieśń. Pamiętam, choć wolałabym zapomnieć.

Wyruszyliśmy wtedy pod Kurhan we dwoje. Ojciec polecił mi udać się do komory, gdzie zimą z pęknięcia w skale wycieka żywomleko. Jeden ze śpiewaków gwiazdhrabiego już dostarczył tam beczkę na dwukołowym ręcznym wózku, a teraz czekał w milczeniu – wstrętny, kaleki gnom w masce, zaledwie kilka lat starszy ode mnie.

Przycupnęłam w kącie, starając się nie patrzeć na tego człowieka. Było mi go żal. Wychował się w twierdzy, wśród bogactw, maszyn, przedmiotów z metalu, i zapewne nigdy w życiu nie zaznał prawdziwego głodu, ale jego ciało pokrywały wrzody – czułam woń leczniczych olejków, którymi nasączono opatrunki, oraz przebijający spod niej smród ropy i martwiczych tkanek – i ta wizyta w labiryncie mogła się okazać dlań ostatnią.

Czekaliśmy. Nie wiem, jak długo. Czas pod ziemią płynie wolniej. Czułam tuż obok hipnotyzującą obecność Potwora – Jego niewidzialny ogrom, który zawsze kojarzył mi się z wygwieżdzonym niebem albo wielkim, głębokim jeziorem.

A potem z dusznego mroku podziemi napłynęła pieśń. Straszna, kłamliwa pieśń mojego ojca, który musiał szukać naszego boga, żeby uzyskać to, czego zażyczył sobie gwiazdhrabia.

Jak zapisał w swych pamiętnikach Ilija Smiertin, ilekroć śpiewamy do Potwora, okłamujemy Go. Wprowadzamy w błąd starożytną istotę, która żyła na tej planecie na długo przed naszym przybyciem.

Potwór to niezwykła enigma, największa zagadka tego świata. Niewyobrażalnie stary byt, przy którym nasze małe umysły okazują się żałośnie słabe i ograniczone, niezdolne do pojęcia meandrów Jego jaźni. Nie wiadomo, czy gdzieś we Wszechświecie żyją jacyś Jego pobratymcy.

Wiele wieków temu, być może przytłoczony samotnością, zapadł w letarg i od tamtej pory egzystuje w stanie cząstkowej świadomości. Gdy śpiewamy do Niego i otwieramy przed Nim umysły, sądzi, że jesteśmy Jego świeżo wyklutymi młodymi, które dopiero rozpoczynają cykl rozwojowy trwający tysiące lat.

Cóż, istnieją oszustwa i oszustwa. Potwór jest potężniejszy, niż umiemy sobie wyobrazić. Nawet przez sen potrafi wpływać na pogodę: zesłać deszcze, przegnać chmury, ofiarować ciepłą wiosnę czy łagodną zimą. W przeszłości nieraz sprawiał, że trzmielącze pożerające nasze plony zaczęły masowo zdychać, przekazał też Ilii i Lubie Czerniakowej, jakie zioła uleczą czarną chorobę oraz bagienną ślepotę. Żywomleko, jego zimowy dar, miało zapewne karmić jego nieistniejące larwy zaraz po wykluciu; później rosłyby tu, w wilgotnym cieple podziemi, żywiąc się grzybami porastającymi skały, bezpieczne aż do wiosny.

Kiedy Kirył Czerniakow, nasz nieszczęsny Judasz, zdradził (nie wiadomo, czy przymuszony torturami, czy powodowany tęsknotą za bezpiecznym, wygodnym, sytym życiem, czy kuszony nadzieją, że dzięki temu najeźdźcy będą dla nas łagodniejszymi panami), nie wiedział, co potrafią naukowcy Ludu Gwiazd. Z pewnością się nie spodziewał, że ilekroć pójdzie dla nich pod Kurhan, będą nagrywali jego pieśni, a później skrupulatnie je analizowali swoimi maszynami: słowa, melodie, rytm, wysokość dźwięków i interwały. Dzięki tym analizom opracowali własne pieśni, skuteczniejsze od naszych. Pieśni pozwalające silniej wpływać na wolę Potwora. Ale jak umiejętnie zaśpiewana, omotująca i podstępna musiała być pieśń, która Go przekonała, że lato to zima i że potrzebujemy dziesięć razy więcej żywomleka, niż zwykle dawał!

Ojciec śpiewał długo, dłużej niż kiedykolwiek, a każda z nut jego pieśni była łagodna jak wiosenne słońce, lecz cięła jak uderzenie batem,

rozkrawała mnie od środka niczym umiejętnie prowadzony pług, który rozcina pulchną ziemię. W pewnej chwili spostrzegłam, że śpiewak gwiazdhrabiego płacze – czarna maska zasłaniała jego twarz, ale ramiona mu dygotały, usłyszałam też zdławiony szloch.

Drżałam, bo pieśń wibrowała w moich mięśniach, wgryzała się w kości, a Potwora ogłupiała tak, jak napar ze słodkodziur otumania chorych, żeby spali, śnili dziwne sny i nie czuli bólu. Żywomleko ściekało do beczułki, kremowe, tłuste i pachnące. Zanim pieśń ucichła, wyczułam, że umysł Potwora jakby zmałał, skurczył się, oddalił od nas, i już wiedziałam, że cała kolonia zapłaci straszliwą cenę za to mistrzowskie, zbrodnicze oszustwo.

\*

Kiedy gwiazdhrabia dostał swoją beczułkę żywomleka w środku lata, nie posiadał się z radości i kazał sownicem zapłacić mojemu ojcu, który przyjął zapłatę ze względu na nas. Jestem pewna, że przeczuwał swoją rychłą śmierć. Rubinowoccy od dziesięcioleci bezkarnie oszukują Potwora, ale istnieje granica, której nie wolno przekraczać.

Pamiętam, że gdy wróciliśmy z zamku, był bardzo zmęczony, blady jak śmierć. Nie chciał nic jeść, napił się tylko wody. Zamknęli się z macochą w kuchni i rozmawiali do późna w noc. Nazajutrz z samego rana zabrał drewnianą skrzyneczkę ze schowka pod deskami podłogi i poszedł do wujka Aloszy. Nie było go cały dzień, a gdy wrócił wieczorem, słał się na nogach.

Raptem zdałam sobie sprawę, że nadal słyszę czy wyczuwam słabe echo tamtej ostatniej, przeklętej pieśni, która wciąż wibrowała w jego ciele, niszcząc go od środka. Zrobiło mi się niedobrze i musiałam natychmiast wyjść na zewnątrz, na świeże powietrze. Kiedy wróciłam, ojciec leżał na łóżku półprzytomny, jęcząc i łapiąc powietrze płytkimi haustami. Wiedziałam, że umiera, ale nie potrafiłam wypowiedzieć tego na głos, słowa utknęły mi w krtani. Czułam tylko, że zastygam i lodowacieję w środku, jak wtedy, kiedy miałam sześć lat i moja matka

umierała na bagienną gorączkę po tym, jak w czasie powodzi pomagała ratować zwierzęta z zalanych obór.

Macocha posłała mojego młodszego brata po znachora Bohusza. Ten zjawił się w ciągu godziny, dźwigając torbę ze swoim bezcennym starym sprzętem diagnostycznym. Ogarnęła mnie szalona, głupia nadzieja, że jednak będzie potrafił coś zrobić. Pomóc rubinowookiemu, który tak bardzo nie chciał wydać wyroku na swoją rodzinę, że być może zgubił całą osadę i kilka okolicznych.

Znachor Bohusz nic nie zrobił. Nie potrafił nawet postawić diagnozy, wykluczył jedynie udar mózgu i zawał serca. Ojciec zmarł pięć godzin później.

Macocha rozpaczała – padła na klęczki przy łóżku i szlochała aż do rana. Ja trwałam jak zaklęta w kamień. Ani jednej łzy. Wiedziałam, że śmierć ojca to dopiero początek. Pierwsza rata należności, którą przyjdzie nam zapłacić za spełnienie zachcianki gwiazdhrabiego.

Wkrótce zaczęły mnie prześladować sny. Koszmary, w których nad naszą dolinę nadpełzały najczarniejsze chmury, jakie kiedykolwiek widziałam, i zaczynał z nich padać zielonkawy toksyczny deszcz. Cała roślinność gniła w oczach, nasze plony niszczały, a ludzkie ciała pokrywały się pęcherzami i ranami.

Jednakże katastrofa, której tak się bałam, nie nadchodziła. Codziennie z lękiem spoglądałam w niebo, a ono pozostawało czyste.

Piękna, słoneczna pogoda utrzymywała się przez cały okres żniw. Zboże, tłuste masłobulwy, rzodkiew miodowa, ogórczaki, niby-jabłka i niby-dynie znalazły się bezpiecznie w spichlerzach i piwnicach. Gwiazdhrabia otrzymał należną mu daninę i łaskawie polecił dostarczyć wszystkim osadom podarki: leki wyprodukowane w jego laboratorium, na co dzień dostępne tylko dla członków Ludu Gwiazd, oraz drobne upominki dla dzieci.

Po zakończeniu żniw odbyły się huczne dożynki. Mieszkańcy naszej oraz dwóch sąsiednich osad świętowali na łąkach w zakolu rzeki (widać stamtąd twierdzę, lecz Kurhanu nie – skrywają go drzewa). Ogniska, tańce, ucztowanie. Macocha nie poszła – leżała w ubraniu na łóżku,

wpatrując się w sufit. Ilekroć nie była zajęta pracą, kładła się tak i zastygała w bezruchu, milcząc. Wiedziałam, że ból dopiero zaczyna wżerać się w jej duszę jak rdza w blachę. Bałam się, że kiedy na dobre zanurkuje w ciemność, w czarną wodę, nie będzie już potrafiła wypłynąć. Ale miałam tylko trzynaście lat i nie wiedziałam, jak jej pomóc.

My, dzieci Jurija Smiertina – ja i moi bracia, Iwan i Wiktor – poszliśmy na dożynki, macocha nam nie zabroniła. Nie zamierzaliśmy się śmiać ani tańczyć, ani całować z nikim po krzakach. Chcieliśmy jedynie najęść się frykasów – pieczonych masłobulw ze świeżym kolczykoprem i pierogów z owczym serem, i smażonych ogórczaków z boczkim, i tarty z niby-dynią – oraz pić kwaskowaty *radostnyk*, sfermentowany sok z rzodkwi miodowej doprawiony szyszeczkami poszeptułki, po którym człowiek czuje się lekki, beztroski i pusty w środku, i ma ochotę jeść jeszcze więcej.

Wróciliśmy przed wieczorem, syci, ociążali i szczęśliwi, targając dwie torby smakołyków, które zapakowała dla nas Jelena Szapowałowa, matka Swiety (o Swiecie opowiem później). Macocha nadal leżała bez ruchu z otwartymi oczami, wpatrując się w belki powały. Milczała.

Stałam nad nią tylko po to, żeby upewnić się, czy oddycha. Przez moment miałam wrażenie, że w jej spojrzeniu dostrzegam nienawiść. Chciałam się rozplakać, przeprosić, powiedzieć cokolwiek, ale nie znalazłam słów, a łzy nie chciały popłynąć.

Nazajutrz pogoda się zepsuła. Nadeszło ochłodzenie, a wraz z nim deszcz, który padał przez następne pięć tygodni. Rzeka wezbrała i wylała, podtapiając nie tylko łąki, ale i kilkanaście gospodarstw. Młodsza córka Saszy Czerniakowa utonęła porwana przez nurt, gdy cała rodzina w panice ratowała dobytek. Zapasy w spichlerzach i piwnicach zaczęły się psuć w przerażającym tempie. Kilka rodzin poważnie się zatruiło nadpleśniałymi masłobulwami. Pamiętam, jak ścisnęło mnie w gardle, kiedy z Iwanem wywoziliśmy taczkami na pole zbrązowiałe, cuchnące niby-jabłka, które jeszcze niedawno były czerwone i słodkie. A potem – półtora miesiąca wcześniej niż zwykle – spadł śnieg, nastały siarczyste mrozy, rzekę ściał lód. Nadeszła długa, długa zima, jakiej nie pamiętał nikt w dolinie, nawet dziadek Cywoniuk.

Po dwóch miesiącach stało się jasne, że ta część zgromadzonej żywności, która nie spleśniała ani nie zgniła podczas deszczowej jesieni, nie wystarczy nam do wiosny. Rzecz jasna, gwiazdhrabia odmówił pomocy, twierdząc, że sytuacja nie jest tak zła, jak mówimy, choć przecież wiedział, że wielu ludzi już głodowało i chorowało na szkorbut. Niespecjalnie go obchodziło, ilu z nas nie dożyje końca mrozów. Lud Gwiazd miał swoje farmy hydroponiczne i hodowle bawołów, a ich myśliwi dysponowali znacznie lepszą bronią niż my. Pobierane od nas daniny powiększały majątek gwiazdhrabiego, ale jego ludzie nie potrzebowali ich, żeby przetrwać.

Tamtej zimy dziesięć razy szłam pod Kurhan i śpiewałam coraz rozpaczliwiej. Tymczasem Potwór milczał. Do tej pory nie wiem, czy wyczerpany wysiłkiem, jakim było ofiarowanie beczułki żywomleka w środku lata, zapadł w tak głęboki letarg, że przestał cokolwiek słyszeć i na cokolwiek reagować, czy z pełną świadomością wymierzał nam karę.

Nie wiem, co było gorsze: zimno czy głód. Mężczyźni próbowali polować, ale prawie cała zwierzyna zniknęła z lasów. Błąkając się po ośnieżonej gęstwinie w krótkie dni, łatwo było przeliczyć się z siłami i nie wrócić na czas, gdy nadciągała kolejna zawierucha. Tak zaginął najpierw Aleksiej Żuk, młodszy brat Walerija, a potem nasz Iwan. Ich zwłoki znaleziono dopiero wiosną.

Po czterech miesiącach mrozów krwawiły mi dźiąsła i puchły nogi, Wiktorowi też. Macocha była tak słaba, że prawie nie wstawała z łóżka, a śnieg ani myślał topnieć. Ale najgorsze przyszło miesiąc później, gdy pogoda wreszcie zaczęła się ocieplać. W dolinie pojawiły się pierwsze przypadki czarnej choroby. Przybywało ich z dnia na dzień, a suszone ziele piaskoliścia, którym zwykle ją leczyliśmy, okadzając chorych i każąc im wdychać dym, tym razem pomagało tylko w najłżejszych przypadkach.

Zmarł znachor Bohusz, zmarła żona Walerija Żuka, zmarła Irina, młodsza siostra Swiety. Jelena Szapowałowa chorowała bardzo ciężko, straciła władzę w nogach i wzrok. A gdy po upływie kolejnego miesiąca mrozy definitywnie dobiegły końca, lód na rzece puścił i wezbrana woda znów zaczęła zatapiać łąki, zmarł nasz Wiktor. Kiedy tydzień wcześniej



pokazał nam czarne plamki na rękach i brzuchu, obie z macochą wierzyłyśmy, że wszystko będzie dobrze. Przez sześć dni okadzałyśmy go piaskoliciem i zapewniałyśmy, że wkrótce wyzdrowieje, a siódmego ranka odkryłyśmy, że leży na posłaniu bez życia. Musiał umrzeć wieczorem, wkrótce po zaśnięciu, bo jego ciało zdążyło ostygnąć przez noc. W pamiętnikach Ilii Smiertina znalazłam później wzmiankę o rzadkich przypadkach, kiedy czarna choroba mimo łagodnych objawów podstępnie atakuje serce.

Kiedy Wiktor spoczął w zimnej ziemi obok ojca i Iwana, podjęłam dwie decyzje.

Po pierwsze – żadnych wizyt w labiryncie, dopóki sama nie uznam, że nadeszła pora, żeby tam wrócić.

Udało mi się przekonać starszą, że po tym, jak usłyszałam oszukańczą, zbrodniczą pieśń mojego ojca, stało się ze mną coś złego i dar rubinowookich mnie opuścił, lub też Potwór przestał reagować na mój głos. Uwierzyli. Wprawdzie Polikarp Czerniakow też wyprawiał się pod Kurhan podczas tamtej zimy, żeby błagać o ratunek, i też nic to nie dawało, ale kiedy z nadejściem wiosny jego pieśni stopniowo odzyskały moc, uznano, że widocznie los potraktował go łaskawiej niż mnie.

Tak naprawdę byłam pierwszą w historii rubinowooką, która postanowiła nie śpiewać. I nikt nie mógł mnie zmusić.

Po drugie – pewnego dnia zabiję gwiazdhrabiego.

Wiedziałam, że nie ma szans, aby dało się śpiewem i mocą Potwora zrealizować zamach na wielmożę z Ludu Gwiazd. Równie dobrze mogłabym spróbować zerwać księżycę z nieba albo nauczyć bawolicę szyc sukienki. Ale byłam cierpliwa.

Musiałam czekać na swoją szansę aż piętnaście lat. Piętnaście! Gdyby żądza zemsty była moim dzieckiem, zdążyłaby dorosnąć. (Cygności uznają piętnaste urodziny za koniec dzieciństwa. Nasze życie trwa znacznie krócej niż na Starej Ziemi, w naszych osadach umiera prawie jedna trzecia niemowląt. Trzeba wcześniej zakładać rodziny, żeby kolonia mogła trwać).

Coraz głębiej.

Prześlągnięte potem ubranie klei się do ciała. Ciemność Kurhanu otula mnie, oblepia. Czy tak czuje się płód w macicy?

Sięgam umysłem wyżej, w głąb skalnego masywu, który oczywiście nie jest i nigdy nie był żadnym kurhanem, obudził tylko w Ilii poetyckie skojarzenia z zapomnianymi obyczajami i zabytkami Starej Ziemi. Nabieram tchu i zaczynam nucić, poszukując umysłem istoty, która kryje się gdzieś tam, wśród zwałów piaskowca. Ma swoje leże w sercu skały.

W gardle zaschło mi z emocji, plecy mimo duchoty pokrywa gęsa skórka. Dotąd zdawało mi się, że nie tęsknię za Potworem. Myliłam się. Moja tęsknota, głód tłumiony od piętnastu lat, przypomina rozdziawioną ślepą paszczę. Niemal fizycznie boli.

A Potwór milczy. Wyczuwam Jego obecność, ale jak za szklanym murem. Nie potrafię sprawić, żeby mnie usłyszał i otworzył się na mój głos. Zerkam spod oka na milczącego Manuela i po raz pierwszy zaczynam się bać. Czy to możliwe, że ktoś poznał prawdę? Czy Potwór zna moje myśli? Wyczuwa moje nieczyste sumienie?

Czy zwabiono mnie tutaj, żeby wymierzyć mi sprawiedliwość?

\*

Jak zabiłam starego gwiazdhrabiego?

Kwestia szczęścia, niemalże ślepy traf.

Z okazji jego sześćdziesiątych urodzin wyprawiono w twierdzy huczną fetę, a wszystkie osady oprócz zwyczajowej daniny posłały też dary. O zachodzie słońca gwiazdhrabia wybrał się na oblot swoich włości małym śmigłolotem wraz z małżonką i dwójką młodszych dzieci. Gdy przelatywali nad polami niedaleko Ptasiego Jaru, usłyszałam warkot i rozpoznałam maszynę. Spostrzegłam też żerujące nad strumieniem ogromne stado ptaszaków. Wystarczyło je spłoszyć kamieniem ciśniętym spod osłony zarośli. Chmara skrzydlatych stworzeń plus jednosilnikowy śmigłolot lecący na małej wysokości – doszło do awarii śmigła, pilot spanikował, runęli na ziemię. Maszyna stanęła w ogniu, nikt nie przeżył. Nie było śledztwa. Wypadki się zdarzają.

Coraz głębiej. Coraz duszniej.

A Potwór milczy.

Idę pewnie, bez zatrzymywania się, żeby ukryć przed Manuelem, że coś jest nie tak. Korytarz kończy się ślepo, więc skręcam w najbliższą odnogę. Ta okazuje się znacznie mniej ciasna, niż myślałam, już nie muszę schylać głowy. Ogarnia mnie coraz większy strach.

Nie rozpoznaję tego miejsca. Straciłam orientację w podziemiach, choć powinnam je znać jak własną kieszeń. Jak to możliwe?

W tym momencie dociera do mnie, że wpatrujący się w mrok Manuel też nuci ledwie słyszalnie.

A w głębi korytarza coś się porusza.

Mrozi mnie strach, instynkt każe przypaść do ściany, ukryć się za najbliższym załomem skał. Za późno, nie jestem wystarczająco szybka. Z ciemności wypada ogromny, roztrzepotany kształt, z upiornym wrzaskiem przefruwa mi nad głową. Chwieję się, tracę równowagę i przewracam się do tyłu, upuszczając latarkę. Uderzam głową o spąg – ból przeszywa jak nożem. Potem czerni.

Gdy odzyskuję przytomność, mdli mnie i świat wiruje, ale po chwili się uspokaja i wyostrza z powrotem w znajome kształty. Manuel pochyla się nade mną, świecąc mi latarką w twarz, aż muszę zmrużyć oczy. Maską nie pozwala odczytać jego emocji.

– Śleposz – mówi. – Czasem gnieźdzą się w jaskiniach. Jak się czujesz? Możesz wstać?

– Tu nigdy nie było śleposzy – mamroczę, jakby to miało jakieś znaczenie. Ostatecznie w ciągu piętnastu lat takie szczegóły mogą się zmienić. Może śleposze tak się rozmnożyły w okolicznych lasach, że szukają sobie nowych kryjówek.

– Jak się czujesz? – pyta ponownie Manuel.

Próbuję się dźwignąć na łokciach, ale świat nadal faluje, głowa boli, a mdłości wzbierają. Przelykam z trudem. Jak długo byłam nieprzytomna?

Śpiewak gwiazdhrabiego klęka przy mnie. Wyjmuje z fałdów szaty komunikator, wciska guzik. Czeką, aż zgłosi się blaszany, zniekształcony głos, po czym mówi coś szybko w języku Ludu Gwiazd. Wyłapuję pojedyncze frazy: „wypadek”, „uraz głowy”, „pomoc”. Odpowiada na kilka pytań, słucha przez chwilę, potakuje. W końcu się rozłącza, chowa komunikator i mówi:

– Leż spokojnie. Pomoc jest już w drodze.

Nie wiem, czemu jego pobratymcy mieliby mnie ratować: mnie, Cygnotkę wartą dla nich mniej niż konie i bawoły. Chyba że – ta myśl przeszywa mnie chłodem – po to, żeby mnie poddać przesłuchaniom, osądzić i skazać.

Manuel znów świeci mi latarką w oczy, potem ujmuje moją dłoń. Wzdrygam się, czując pod palcami szorstkie bandaże, lepkawe od maści.

– Masz wstrząs mózgu – mówi. – Mów do mnie. Nie możesz stracić przytomności.

Chyba wiem, czemu tak mu zależy na tym, żeby mnie wyciągnięto z podziemi. Potwór mógłby nie być uszczęśliwiony, że pod Kurhanem kona, a później gnije pięćdziesiąt kilogramów mięsa.

Jednak to nie tłumaczy, czemu Manuel nie chce, żebym zapadła w śpiączkę. Może liczy, że jeśli jeszcze trochę poleżę bez ruchu, będę mogła wstać i wyjść stąd o własnych siłach. Paskudny ból lewej kostki mówi mi, że szanse na to są marne. Oprócz rozbitej głowy mam też na pewno zwichniętą lub solidnie skręconą nogę. Głupia, niezgrabna, pechowa ja.

– Mów do mnie – nalega Manuel. – Mów cokolwiek. Opowiedz, skąd się wzięła nazwa „Cygnotki”?

\*

Statek, który nas tu przywiózł przed czterema wiekami, nazywał się Cygnus (ojciec tłumaczył mi, co to znaczy w starożytnym, wymarłym języku sprzed tysięcy lat, ale na tej planecie nie ma pięknych, białych, wodnych ptaków, widywałam je tylko na ilustracjach).

Dlaczego opuściliśmy Starą Ziemię? Oficjalnie – dlatego że naszych przodków pchał ten sam pęd do eksploracji i poznawania nieznanego, który kazał Kolumbowi pozełgować na zachód, by odkryć nowy ląd. Jednak w zapiskach Ilii Smiertina jest mowa o sprawach, o których w programie szkolnym brak choćby krótkiej wzmianki (co i tak nie ma większego znaczenia; bezpośrednio po inwazji najeźdźcy znieśli obowiązek szkolny wśród Cygnotów, a teraz w całej kolonii tylko garstka rodziców jest skłonna płacić za to, żeby ich dzieci uczyły się czegoś więcej niż umiejętności niezbędnych do przetrwania). Ilija wspomina o niszczycielskiej wojnie, która przetoczyła się przez północną półkulę Starej Ziemi w trzecim dziesięcioleciu dwudziestego pierwszego wieku, pochłaniając dziesiątki milionów ofiar. Pisze, że przodkowie naszych przodków byli agresorami w tej wojnie i zapłacili za to wyniszczeniem niemal całego narodu. Kiedy kilkadziesiąt lat później z odrodzonej, odbudowanej Europy wysyłano w przestrzeń pierwsze statki kolonizacyjne, ocalali, którzy uciekli z obszaru dawnej Federacji Rosyjskiej, masowo zgłaszali się do programu i byli chętnie przyjmowani.

Z dawnej tożsamości zachowaliśmy bardzo niewiele: język, imiona i nazwiska, alfabet. Lot Cygnusa trwał kilka ludzkich pokoleń, a po drodze zapadła decyzja, że przeszłość musimy definitywnie pozostawić za sobą. Tak staliśmy się Cygnotami.

Swego czasu debatowano, czy nie powinniśmy raczej nazwać się Ludem Potwora, ale odkąd nas zdradził, te głosy ucichły. Niemniej pozostaje naszym bogiem. Musi nim być tak długo, jak długo rubinowoccy potrafią się z Nim komunikować i nakłaniać, by nas wspierał przynajmniej w ograniczonym stopniu – na tyle, na ile nie koliduje to z żądaniami Ludu Gwiazd.

Straciliśmy dostęp do większości wiedzy przywiezionej ze Starej Ziemi. Lud Gwiazd oczywiście nadal ma w swoim posiadaniu czytniki i sztuczne mózgi, a może nawet nadajniki pozwalające nawiązać kontakt ze Starą Ziemią lub przynajmniej z koloniami na innych planetach. Nam pozostały tylko książki drukowane za pomocą ręcznych pras drukarskich na czerpanym papierze z pulpy roślinnej i starych szmat. Jest ich niewiele,

stanowią żałośnie skąpy wycinek tego, co mój ojciec nazywał „dorobkiem cywilizacji”. W dzisiejszych czasach niewielu Cygnotów potrafi czytać – nawet jeśli w dzieciństwie nauczyli się alfabetu, zapominają go z czasem, pochłonięci codzienną walką o przetrwanie. Tylko my, rubinowoocy, zawsze byliśmy przywiązani do rzeczy, których nie można dotknąć ani zjeść – do wiedzy, baśni, marzeń.

Kiedy byłam małą, ojciec czytał mi na głos pamiętniki Ilii Smiertina. Zanim skończyłam siedem lat, już wiedziałam, kim jest Potwór, jak działa śpiew i dlaczego nawet najzdolniejszy rubinowoocy nigdy nie wyzwoli Cygnotów spod władzy Ludu Gwiazd.

Oprócz pamiętników Ilii mieliśmy w domu trzy inne książki wydrukowane w jedynym mieście kolonii – Portus Cygni, w tym taką ze wspaniałymi kolorowymi ilustracjami, które z biegiem lat niestety spłwiałały i zszarzały, bo pigmenty roślinnego pochodzenia są nietrwałe. Były to kopie znacznie starszych grafik z ogromnej bazy plików, do której ostatecznie utraciliśmy dostęp jakieś sto pięćdziesiąt lat przed moimi narodzinami.

Książka była zbiorem pradawnych opowieści ze Starej Ziemi. Uwielbiałam wszystkie, ale tylko jednej nauczyłam się na pamięć. To była historia o monstrum, które żyło w labiryncie, o bohaterze, który przybył je zabić, i o księżniczce, która zdradziła mu sekret, jak trafić do serca labiryntu, a potem bezpiecznie wrócić.

Ilustracja przedstawiała poczwarę o ciele białym jak kość, z ogromnym rogatym łbem, bohatera w hełmie i dziwnej krótkiej zbroi oraz skąpo ubraną piękność trzymającą nic – tę nic, która miała uratować życie herosa. (Nic, której my, rubinowoocy, nie potrzebowaliśmy w naszym labiryncie, bo – jak napisał w swoich pamiętnikach święty-nieświęty Ilia – to nasze osady i rodziny są nicią, która za każdym razem wyprowadza nas spod Kurhanu z powrotem do światła i życia).

Ten obrazek miał dla mnie drugie dno. Długo bałam się do tego przyznać nawet przed sobą, ale mój wzrok zawsze wędrował ku księżniczce, nie ku herosowi. Fascynowały mnie jej nagie ramiona i nogi,

spływająca na plecy kaskada ciemnych włosów, krzywizna pośladków pod przepaską z czerwonej tkaniny.

Wśród Ludu Gwiazd miłość do osób tej samej płci jest zakazana pod karą śmierci. U nas nie, ale nie rozmawia się o niej na głos. Jeśli wszyscy udają, że czegoś nie ma, równie dobrze mogłoby tego nie być. A ja potrafiłam tak ukrywać swoje uczucia, żeby nikt niczego nie podejrzewał.

Kiedy skończyłam czternaście lat, do naszej chaty zaczął przychodzić Rodia Żuk, młodszy brat Walerija – nie dlatego, że pogrążona w rozpacz macocha tak szybko zatęskniła za nowym mężczyzną; po prostu nie wierzyła, że mogłybyśmy dać sobie radę same i nie umrzeć z głodu następnej zimy. Może miała rację.

Zmarła dwa lata później, rodząc dziecko Rodii, które również nie przeżyło porodu. W ten sposób, mając szesnaście lat, zostałam całkiem sama. Starszyzna próbowała mnie zmusić do wyjścia za mąż, ale gdy twardo odmówiłam, zgodzono się, żebym zamieszkała u Szapowałowów, którzy nie radzili sobie z opieką nad sparaliżowaną Jeleną. Nasze podupadłe gospodarstwo przejął Rodia, który miał mi spłacać w ratach moją część spadku po ojcu. Przez następne osiem lat mieszkalam pod jednym dachem ze Swietą, która również twardo odmawiała wyjścia za mąż.

Moja śliczna, ciemnooka Swieta.

Na co dzień czesała się w warkocz, ale z rozplecionymi, rozpuszczonymi włosami wyglądała jak księżniczka trzymająca czerwoną nić na starej ilustracji. Pokochałam ją – w milczeniu, desperacko – jeszcze podczas tamtej długiej, długiej zimy, kiedy wydawało się, że mróz i głód zabiją nas wszystkich. Nie śmiałam marzyć, że kiedykolwiek wyznam jej ten sekret. Ale gdy trzy lata później przeniosłam się do Szapowałowów, żeby pomagać w opiece nad matką Swiety, okazało się, że to, co wydawało się niemożliwe, jest w zasięgu ręki. Wystarczy sięgnąć i pochwycić szczęście jak dojrzewające, słodkie niby-jabłko.

Przez długi czas sądziłam, że nikt w osadzie niczego się nie domyślał, ale z perspektywy czasu uważam, że sąsiedzi po prostu udawali ślepych.

Pamiętam jeden jesienny wieczór, kiedy leżałyśmy razem na zapiecku pod grubą pierzyną, grzejąc się nawzajem, bo chłód wpełzał do chałupy wszystkimi szczelinami. Tuląc się do ciepłego ciała Swięty, słuchając jej równego oddechu, pomyślałam, że chwile szczęścia to coś, co wykradamy losowi niczym dzieci zrywające w gąszczu jagody moklicy: słodkie, smaczne, ale najeść się nimi nie sposób. Ci, którzy sądzą inaczej, karmią się iluzją.

Mimo wszystko nie przypuszczałam, że stracę Swiętę tak szybko. Wpadła w oko najstarszemu synowi gwiazdhrabiego, który kazał swoim ludziom zabrać ją do twierdzy. Już stamtąd nie wróciła. Podobno kiedy wielmoże z Ludu Gwiazd biorą sobie cygnockie kochanki na jedną czy kilka nocy, odurzają je jakimś świństwem, które pozbawia zahamowań. Swięta była drobna, może zaserwowano jej zbyt dużą dawkę. A może należała do osób, które nie tolerują tego narkotyku – pamiętam, że dostawała wysypki po zrywaniu ogórczaków i okropnie puchła, ilekroć pokąsały ją mreszki albo trzmieląszcze.

Jej śmierć odebrała mi to, czego potrzebowałam, żeby zakotwiczyć się w rzeczywistości i wbrew wszystkiemu wierzyć, że cała nasza szamotanina, czepianie się zębami i pazurami życia na tej przeklętej, niegościnniej planecie ma jakiś sens. Straciłam swoją nić.

\*

Zemsta to specjał, który można szykować latami, ale gdy już nabierze smaku, pragnie się go dojeść do samego końca. Chciałam, żeby to młody gwiazdhrabia wysłał mnie do labiryntu, własną ręką przypieczętowując wyrok.

Zamierzałam wyśpiewać mu upragnione żywomleko, a potem po prostu je zatruć ekstraktem z rdzawuły, wiedząc, że choćby większość przehandlował lub podarował wielmożom z innych prowincji, na pewno zachowa chociaż jedną butelkę dla siebie.

Rdzawuła zabija powoli, a jej działanie łatwo pomylić z infekcją wodnymi pasożytami, którymi nietrudno się zarazić, wystarczy zjeść



niedogotowaną rybę. Wątpię, aby lekarze gwiazdhrabiego domyślili się prawdy. Ale teraz to już bez znaczenia.

Kręci mi się w głowie, a ból tętniący pod czaszką przybiera na sile. Powieki ciężą.

– Nie zasypiaj – powtarza Manuel. – Pomoc jest już w drodze.

Przed oczami stają mi twarze. Ojciec, bracia, macocha, Święta. Czy czekają na mnie w tej ciemności, w którą się osuwam?

Ogrom jaźni Potwora majaczy tak blisko – wystarczy sięgnąć ku niemu umysłem i mogłabym się zatracić, utonąć w tym bezkresie, ale niewidzialna blokada nie pozwala. Potwór wyczuwa moją obecność; jestem prawie pewna, że wie, po co tu przyszedłam. Jaki był mój prawdziwy zamiar. Dopiero teraz przychodzi mi na myśl, że może to wcale nie przypadek sprawił, że napatoczyliśmy się w labiryncie na śleposza.

Czy Potwór jest aż tak lojalny wobec gwiazdhrabiego, że postanowił go przede mną obronić?

Skupiam wolę i, choć moja świadomość momentami się rwie, zaczynam cicho nucić, próbując dotrzeć do naszego boga z ostatnią prośbą, jaką kiedykolwiek zaśpiewam. *Pozwól mi umrzeć, zanim tamci tu przyjdą.*

– Nic nie rozumiesz – szepcze Manuel.

– Czego nie rozumiem?

Śpiewak zaczyna się śmiać. Ten śmiech zza czarnej skórzanej maski mrozi mnie, jest równie przerażający jak wyszczerzone zęby ludzkiej czaszki, o którą potknęłam się kiedyś jako czternastolatka – nie tutaj, tylko w lesie na północ od naszej wioski.

– Potworowi wcale nie chodzi o gwiazdhrabiego, Laryso.

– Skąd wiesz?

Manuel zdejmuję maskę.

Jego twarzy wcale nie pokrywają ropiejące wrzody i guzy. Wygląda... zwyczajnie: smagły młodzieniec, który jeszcze niedawno był nastolatkiem. Czarne brwi, skośnawe czarne oczy, miękkie rysy z cieniem zarostu, nie tak grubo ciosane jak u większości mężczyzn z Ludu Gwiazd.

Światło latarki ujawnia na jego skórze przebarwienia oraz wgłębione blizny. Zatem w przeszłości zszedł tutaj co najmniej raz – i labirynt odcisnął na nim swe piętno. Ale później wrzody jakimś cudem się zagoiły. Czyżby naukowcy gwiazdhrabiego odkryli, jak leczyć śpiewaków? Jak ratować ich od kalectwa i śmierci? Ale nie, po cóż w takim razie byłyby Manuelowi maska i opatrunki?

– Wszystko ci wyjaśnię – mówi, wciąż z uśmiechem. – Zaslugujesz na to.

Odwija bandaż z prawej ręki, której palce są lekko zdeformowane – na niektórych brakuje paznokci – lecz pokryte zdrową skórą. Kładzie mi dłoń na czole. I wtedy niewidzialna tama między mną a Potworem pęka, spadam jak kamyk w otchłań Jego potężnej jaźni. Moją świadomość zalewa fala obrazów.

\*

Manuel to szpieg Potwora.

Był śpiewakiem, jednym z najzdolniejszych w swoim pokoleniu. Miał piętnaście lat, gdy po raz pierwszy zstąpił pod Kurhan. Siedemnaście, gdy tam powrócił. I wtedy, za drugim razem, stało się coś, co zawsze uważaliśmy za niemożliwe. Zamieszkała w nim część jaźni Potwora.

Zbrodnicza pieśń mojego ojca zmieniła więcej, niż moglibyśmy przypuszczać. Wyrwała naszego boga z letargu. Po wielu tysiącletniach dryfowania na pograniczu snu i jawy obudziła w Nim potrzebę, by nareszcie poznać tę nową rzeczywistość, w której przyszło mu egzystować.

Pierwszy młody śpiewak z Ludu Gwiazd, jaki pojawił się w labiryncie po tamtej długiej, długiej zimie, został Jego oczami i uszami. Jego marionetką.

Przez piętnaście lat Potwór obserwował od środka społeczność Ludu Gwiazd. Rzecz jasna, szybko się zorientował, że musi zmieniać marionetki, które zdrowiały dzięki Jego mocy – nie mogłyby zamieszkiwać w chorym ciele. Był litościwy, nie zabijał ich. Kilku śpiewaków na przestrzeni tych piętnastu lat po prostu przepadło bez wieści w lesie, by

odnaleźć się w wioskach daleko na południu czy zachodzie, dokąd nie sięga władza naszego gwiazdhrabiego.

Potwór tłumaczy mi to wszystko nawet nie tyle obrazami, ile błyskami skojarzeń w ciągu milisekund.

Prawda, którą poznał – o Ludzie Gwiazd, ale i o Cygotach – popchnęła go do podjęcia decyzji.

Przypomina mi się inna opowieść ze zbioru staroziemskich baśni i mitów – ta o Kościeju Nieśmiertelnym, który od wieków tkwi przykuty do ściany w lochu, czekając na wyzwoliczela. Napojony i nakarmiony zyskuje dość sił, żeby skruszyć łańcuchy.

Już wiem, czemu Manuel użył mnie jako przynęty. Czterech czy pięciu chłopa z ekipy ratowniczej gwiazdhrabiego i ja – razem to naprawdę mnóstwo mięsa, kości i krwi. Istota, która przetrwała tysiąclecia w letargu pod ziemią, w skurczonym, skarłałym ciele, potrzebuje naszych zwłok, żeby nabrać sił i na powrót przybrać swą właściwą formę.

Zamierza się uwolnić. Opuścić nie tylko labirynt, ale i tę planetę, której mieszkańcy oszukują Go od dziesięcioleci.

Ale żeby odlecieć w Kosmos, będzie potrzebował dużo, dużo więcej pożywienia.

W pierwszej kolejności zacznę zabijać Cygotów – uzbrojeni tylko w widły, siekiery i stare strzelby myśliwskie będą dlań stanowili łatwy łup. Wiedząc o tym, powinnam czuć przerażenie i grozę, lecz paraliżuje mnie obojętność.

Mentalnie jestem już częścią Potwora, zostałam wchłonięta w chwili, gdy moje ciało osunęło się w nieświadomość pomimo starań Manuela, żeby mnie przed tym powstrzymać; chciał zmniejszyć prawdopodobieństwo, że umrę przedwcześnie, zanim zjawi się tu ekipa ratowników, którzy przecież powinni jeszcze zastać nietkniętą przynętę. (Pożywiając się istotami zbudowanymi z białek, Potwór musi zjadać je żywcem, powoli, wtedy są dla niego najwartościowsze – to kwestia biochemii. Próbował mi wytłumaczyć, o co chodzi, mówił coś o mitochondriach i ATP, ale nie umiem powtórzyć szczegółów).

Ratownicy już nadchodzą, słyszę / Potwór słyszy ich w sąsiednim korytarzu. Nie mają żadnych szans, żeby stąd uciec.

Gdyby to była baśń, skończyłaby się inaczej. Pragnęłam innej śmierci. Pragnęłam innego losu dla kolonii. Ilija Smiertin na pewno nie przewidział dla nas takiego końca.

Ale przynajmniej Potwór, nasz bóg, anioł życia i zagłady, nasz Kościej Nieśmiertelny, nareszcie będzie wolny. Już niedługo uleci w czerni Kosmosu, a cząstka mojej świadomości wraz z nim.

# Martyna Raduchowska

\*



## Na skrzydłach sztormu

### Lorelei

Sztorm ucichł o świcie, a tuż przed zmierzchem fale wyniosły na brzeg szczątki pierwszego snekkara. Przez kilka następných dni i nocy umęczone nawałnicą wody od niechcenia wypływały kawałki drewna na kamienistą plażę. Dziobnice w kształcie węzowych głów, maszty rzeźbione w znaki klanowe oraz ochronne runy wyciosane na żebrach kadłubów

pozwołyły rozpoznać wraki wszystkich pięciu okrętów, które przed niespełna tygodniem wypłynęły z fiordu pod dumnie wyдутymi żaglami.

Morze wyrzuciło ciała na skaliste wybrzeże dopiero, gdy już najadło się do syta, przyjąwszy należną mu ofiarę ze słonej krwi, słodkiego mięsa i pogruchotanych kości. Z blisko setki uczestników wyprawy nie przeżył nikt. Tylko nielicznym los pozwolił po raz ostatni pożegnać się z łądem, ogrzać ciała i dusze w ciepłe pogrzebowych płomieni. Pozostałych na zawsze pochłoneła lodowata toń.

– Co morze zabrało, morze oddaje – mruzczała pod nosem Szalona Selkie ze wzrokiem utkwionym w rozżarzony widnokrąg. Brodziła po płyciźnie z dala od zbiegowiska, a łagodny wiatr rozwiewał jej włosy, białe i delikatne jak pajęczka przędza. – Co morze darowało, morze odbiera. Morze jest szczodre, ale okrutne. Bezwzględne, lecz sprawiedliwe.

Ładna mi sprawiedliwość, pomyślała Lorelei, kątem oka łowiąc nagłe poruszenie po drugiej stronie plaży.

Ktoś krzyknął. Ktoś zaklął. Ktoś z pluskiem wbiegł do wody. Jeszcze ktoś wznosił ręce do nieba i zaintonował modlitwę. Jedna z kobiet próbowała wyrwać się z uścisku dwóch roślących mężczyzn, kopala i wyła, wyciągając ramiona w stronę wyrzuconego na skały topielca; wreszcie zawisa bezwładnie w silnych objęciach, spuściła głowę, znieruchomiała. Rozpaczliwy płacz dziecka rozdarł powietrze niczym cios topora, zagłuszył jazgot krążących nisko mew.

Lorelei nie słyszała wprawdzie niczego prócz szumu fal, lecz obserwując rozgrywające się w oddali sceny, doskonale potrafiła wyobrazić sobie każdy z tych dźwięków. Minęło tyle lat, a one wciąż rezonowały jej w głowie. Ciche, lecz złowrogie jak pomruk bliskiej burzy. Ich niemilknące echo wołało ją po imieniu, ilekroć przychodziła na brzeg. Morze pamiętało i nie pozwalało zapomnieć.

Dziewczyna patrzyła, jak bliscy martwego rozbitka osuwają się na kolana wokół wywleczonego na piasek ciała. A kiedy w głowie przestało jej wreszcie huczeć od niechcianych wspomnień, odwróciła się w stronę morza i zerknęła na Selkie.

– Szczodre, ale okrutne – powtarzała stara, wypatrując czegoś wśród kolorowych kamyków pod marszczoną wiatrem, krystalicznie czystą taflą. Wyławiała z dna muszlę za muszlą tylko po to, żeby każdą obejrzeć z bliska, potrząsnąć nią przy uchu i zaraz wrzucić z powrotem do wody. – Bezwzględne, lecz sprawiedliwe – mamrotała dalej. – Bo morze zawsze wyrównuje rachunki. O, tak... Zawsze! Splaca i ściąga długi białym szkwałem i martwą ciszą, żagle pełnym wiatru i siecią pełną ryb. Morze daje i morze odbiera. Żyjemy i umieramy w rytm przyprawów i odpływów, kojących jak kołysanie w ramionach matki, tak dobrze nam znanych, tak naturalnych jak własny wdech i wydech... – Kobieta głęboko nabrała powietrza, po czym zaświszczała przez zepsute zęby, naśladując wizg wichru i szemranie fal. – Ale ten sztorm – ciągnęła po chwili, pochylona nad kolejnym znaleziskiem – był inny niż wszystkie. Ten nie zrodził się z gniewu naszego morza.

Lorelei oderwała wzrok od zasuszonych warg staruchy i spojrzała na horyzont krwawiący czerwienią zachodzącego słońca. Bardzo nie chciała przyznać Selkie racji, bo ten, kto przytakuje szaleńcom, sam też musi mieć pomieszane w głowie. Żaden rozsądny ani przesądny mieszkaniec wyspy Himinnsongr nie słuchał bajdurzenia pomylonej gawędziarki. To, co mówiła, było niebezpieczne. Każda rzucona przez nią uwaga, nieważne jak przyziemna czy lakoniczna, mogła odcisnąć się fatalnym piętnem na duszy tego, kto by na dłużej zatrzymał ją w myślach. Najbardziej strachliwi wierzyli nawet święcie, że samo brzmienie głosu Selkie odbierało rozum równie skutecznie jak to, czym kobieta zmaćla kiedyś swój umysł, gdy płynąc po otwartym morzu na resztkach tonącej knary, przez kilka dni gasiła pragnienie jedynie słoną wodą.



Udało jej się wówczas ocalić życie. Ale nic poza tym. Wszystko, co kiedyś miała, wszystko, czym wcześniej była, wciąż dryfowało na martwej fali gdzieś bardzo daleko od domu.

Morze daje i morze odbiera.



Wyspiarze od lat unikali więc starej bajarki niby najgorszej zarazy. A jednak nikt nie próbował odciągać od niej dziewczyny, bo kto jak kto, ale Lorelei Zrodzona ze Sztormu z pewnością nie słuchała Szalonej Selkie. O to akurat wszyscy byli spokojni. Żadne przekłète dźwięki nie mogą zatruć umysłu, który jest chroniony przez szum morza.

Selkie z kolei wbrew pozorom wcale nie zależało na słuchaczach. Na głos mówiła wyłącznie do siebie i wyłącznie z nawyku, a prawdziwy sens swych obłądnych myśli potrafiła przekazać bez jednego słowa.

O tym zaś wiedziała tylko ona i Lorelei.

Obie były wszak przybranymi dziećmi otchłani. W ich żyłach płynęły morskie prądy, w uszach łaskotały niespokojne fale, a sny głębokie i ciemne jak wody wokół Himinnsongr co noc ciągnęły je na dno niby kotwice, prosto w czarną śmierć, której już raz cudem uniknęły, płacąc za życie słońną cenę.

Lecz mimo że tyle je łączyło, dziewczyna wolałaby nie mieć z Selkie wspólnych myśli. Ani teraz, ani nigdy. Problem w tym, że starucha rozumiała Lorelei jak nikt inny. I zdumiewająco często mówiła do rzeczy. Jak chociażby w tej chwili – bo to zaiste nie był zwyczajny sztorm. Przed zwyczajnym sztormem Lorelei zdołałaby przecież ostrzec swoich braci. Do tej pory potrafiła przewidzieć nawet biały szkwał. Tym razem jednak morze zupełnie ją zaskoczyło.

I co gorsza, ono również zdawało się zaskoczone.

Selkie milczała wyczekująco, świdrując Lorelei spojrzeniem tak intensywnym, że niemal przepalało na wylot. A potem uśmiechnęła się ze smutkiem, kiedy dziewczyna wreszcie kiwnęła głową. Leciutko, prawie niedostrzegalnie. Tak, aby nikt postronny nie nabrał podejrzeń, że między nią a tą obłąkaną kobietą nawiązała się jakokolwiek nić porozumienia. Bo gdyby Lorelei także uznano za niespełna rozumu, mieszkańcy Himinnsongr przestaliby słuchać jej wskazówek i morze by ich za to srodze ukarało.

– Tamten sztorm powstał w jednym tylko celu – podjęła Selkie, obracając w dłoni spiralną muszlę ślimaka, wielką i białą niczym dziecięca czaszka. – Miał niszczyć i zabijać wszystko, co napotka.

Dziewczyna odpowiedziała kolejnym skinieniem. Wyczuła to, gdy tylko zerwał się wicher. Morderczy wiatr jest nie do pomylenia z żadnym innym. Pachnie strachem i śmiercią, a jego słona wilgoć smakuje jak krew.

– Wiesz, co to oznacza – stwierdziła starucha.

Lorelei wiedziała.

Syreny. Wróciły.

Selkie milczała jakiś czas. Pograżona w zadumie kołysała się na piętach do taktu leniwych fal, które obmywały jej stopy. W pewnej chwili odgarnęła z twarzy siwe kosmyki, przyłożyła ogromną konchę do ucha, przymknęła oczy.

– Po części masz rację, a po części się mylisz – odrzekła wreszcie, nie wiadomo, do dziewczyny czy do muszli. Nader często gadała do wyłowionych z morza skarbów i bardzo uważnie słuchała ich opowieści. – Masz rację – ciągnęła, spoglądając na Lorelei i tym samym rozwiewając wątpliwości – bo tamta burza huczała od głosów, których nienawidzisz całym sercem i duszą, choć dawno już nie słyszałaś ich śpiewu. A mylisz się, ponieważ syreny nigdy stąd nie odeszły. Przestały zwodzić nasze statki na skały, ale wciąż żyły tuż obok, skryte w morskich głębinach.

Lorelei zacisnęła pięści. Dostrzegłszy to, Selkie najpierw ze zrozumieniem pokiwała głową, a potem ostrzegawczo nią potrząsnęła.

– Nie pozwól, by zaślepiła cię zemsta – rzuciła chrapliwym szeptem i zanim dziewczyna zdążyła zareagować, wcisnęła jej konchę w dłoń. – Posłuchaj tylko, o czym śpiewa morze. Słuchaj! Słyszysz?

Z Selkie, gdy już się na coś uparła, nie było żadnej dyskusji. Lorelei uniosła muszlę do ucha i chociaż nie wychwyciła nic prócz monotonnego szumu, przytaknęła skwapliwie.

Ale stara nie dała się zwieść. Wyrwała dziewczynie muszlę i z całej siły cisnęła ją do wody.

– Nie słyszysz! – zaskrzeczała, oskarżycielsko dźgając Lorelei palcem między ledwo zarysowane piersi. – Nie słyszysz, jak morze woła cię po imieniu! Tylko nie myśl, że to cię uratuje... O nie, nie, nie, i tak nie unikniesz tego, co ci pisane, twoja opowieść nie może przecież toczyć się

bez ciebie! Będzie czekać tak długo, aż wreszcie usłyszysz jej zew. A do tego czasu ja będę twoimi uszami. Twoim sumieniem i głosem rozsądku.

Po ostatnim słowie Lorelei nie wytrzymała i parsknęła pod nosem, ale Selkie to nie zniechęciło. Wręcz przeciwnie.

– Wiem, co ci chodzi po głowie – syknęła, a oczy jej rozbłyły jak słoneczne refleksy złowione w sieć zmarszczek na powierzchni wody. – I dobrze ci radzę, zapomnij na razie o dawnych krzywdach. Powtarzam raz jeszcze i powtarzać to będę, dopóki nie usłuchasz: nie pozwól, by zaślepiła cię myśl o odwecie. Bo to nie syreny są teraz twym największym wrogiem.

Lorelei nie skomentowała tego choćby gestem, ale dla Selkie kamienne milczenie dziewczyny było aż nadto wymowne.

– Nic nie szkodzi – mruknęła kobieta z pobłażliwym uśmiechem. – Z czasem i tak mi uwierzysz. Nie masz wyboru. I przekonasz się o tym już wkrótce. Na własne oczy zobaczysz, na własne uszy usłyszysz, na własnej skórze poczujesz, że stara Selkie nie zmyśla, nie kłamie, mówi wyłącznie prawdę. To, że prawda jest trudna do pojęcia dla umysłów głuchych na wołanie morza, to już akurat zupełnie inna historia. Opowieść na całkiem inną okazję. Zanim jednak spróbujesz zapomnieć o tym, czego nie chcesz wiedzieć, zanim pozwolisz, by pochłonęła cię obsesja zemsty prowadzącej donikąd, posłuchaj, proszę, jeszcze jednej przestrogi. W pieśni, z której narodził się ostatni sztorm, prócz dobrze nam znanej melodii, dźwięczały też zupełnie nowe nuty. Obce i fałszywe. Nigdy wcześniej ich nie słyszałam. Ale morze... O, tak! Morze słyszało. Dawno temu. I teraz przepełnia je gniew tysiące razy większy niż twój. Przepełnia je ból. Potworna tęsknota. Bezdenny żal. Musimy mu pomóc, bo tylko w ten sposób pomożemy sobie. Już niebawem wspomnisz moje słowa. Wspomnisz ten piękny wieczór tuż po krwawym sztormie, gdy nieopatrznie zwątpiłaś w opowieść starej kobiety, której dusza spoczywała w samym sercu morza.

Lorelei zmarszczyła brwi, lecz zanim zdążyła o cokolwiek zapytać, Szalona Selkie odwróciła się do niej plecami.

Kobieta z zadziwiającą sprawnością splotła białe włosy w misterny triskel – magiczny węzeł, potrójną spiralę łączącą moc trzech żywiołów: ziemi, powietrza oraz wody. Następnie bajarka wyłowiła z dna kolejną muszlę, wytrząsnęła z niej wodę, przytknęła do ust. A potem zaczęła zawodzić starą żałobną pieśń, brodząc po kolana w spienionej wodzie, między ciałami ludzi i wrakami okrętów.

## Marielle

Sztorm ucichł o świcie, a tuż przed zmierzchem zachłanne wiry wciągnęły na dno szczątki pierwszej sneki. Skryta bezpiecznie w podwodnej jaskini, Marielle obserwowała, jak morze najada się do syta, przyjmując należną mu ofiarę ze słonej krwi, słodkiego mięsa i pogruchotanych kości. Drapieżne ryby oraz skorupiaki, żarłoczne śluzice i nurkujące za padliną mewy walczyły zaciekle o każdy strzęp. Woda kotłowała się bez końca, rumieniła na powierzchni różowawą pianą, zmętniała od obłoków czerwieni i bąbli powietrza.

Marielle patrzyła na to wszystko z mściwą satysfakcją, którą mąciło jednak ostre jak kolec płaszczki ukłucie niepokoju. Nigdy wcześniej nie bała się sztormu, a ten przeszył ją zimnym strachem do szpiku kości. Był inny niż wszystkie. Zły jakimś obcym złem, groźniejszy niż jakikolwiek przed nim. I to nie tylko dla ludzi.

Oczy wszystkich młodych syren – zupełnie jak nie one zgodnych, potulnych i wręcz domagających się mądrych rad oraz słów przestrogi – zwróciły się teraz w stronę seniorek klanu. Starsze jednak nabrały wody w usta, zupełnie jak nie one, gdyż zazwyczaj nie skąpiły podopiecznym pouczeń, tych chcianych i tych niekoniecznie. Przywódczyni i jej mentorki albo nie potrafiły, albo nie zamierzały wyjaśnić pozostałym członkiniom plemienia, dlaczego morze bez żadnego ostrzeżenia tak okrutnie skrzywdziło swoje ukochane córki.

Gdy tylko pierwszy zdradliwy podmuch zmierzwił gładką taflę, Marielle instynktownie wyczuła, że czas morskich syren właśnie dobiegł końca. Odkąd sięgała pamięcią, rozkoszowała się gniewem wielkiego

błękitu, bo tylko w chwilach, gdy powietrze i woda walczyły ze sobą w dzikiej furii, ona mogła oddychać pełną piersią. Dopiero wtedy żyła naprawdę.

A jednak poprzednia noc, jasna, huczna, targana siłą wściekłego żywiołu, nieoczekiwanie zasiała w niej lęk, jakiego morze nigdy wcześniej w niej nie budziło.

Lęk przed śmiercią.

Musiła się dowiedzieć, dlaczego bezkresne głębiny, które przez tyle lat były dla syren bezpiecznym domem i jedynym obrońcą, nagle zapragnęły je zabić. Musiała zrozumieć, czemu na dźwięk fałszywych nut w na pozór znajomej pieśni burzy, zamiast szukać schronienia na cichym, spokojnym dnie, ona i jej siostry ruszyły ławicą ku śmiercionośnej powierzchni. Bezmyślnie. Bezwolnie. Jak zaczarowane.

Marielle, podobnie jak każda dorosła syrena, rozpoznała ten urok od pierwszych nut. I nigdy by nie przypuszczała, że kiedykolwiek stanie się on obosieczną bronią. Właśnie to było w tym wszystkim najstraszniejsze. Że potężna moc, którą jej klan władał niepodzielnie od początku czasów, mogła tak po prostu obrócić się przeciwko nim.

Na samo wspomnienie tamtej głuchej pustki, która wypełniła jej ciało i umysł niby powietrze, unosząc jak bańkę w stronę lustra wody, Marielle miała ochotę wrzeszczeć. Lecz zaraz potem przypominała sobie resztę i krzyk wiązał jej w gardle. Przypominała sobie, jak w chwili, gdy w śpiewie owego śmiercionośnego sztormu rozpoznała głos ludzkiej istoty, tłące się w niej od wielu lat nienawiść i pragnienie zemsty wybuchły nowym, silnym płomieniem i o mało nie pozbawiły jej resztek przytomności. Zanim zdążyła pomyśleć, wystrzeliła wtedy jak ryba złapana na hak i ostro szarpnięta w górę.

Nie miała pojęcia, co ją otrzeźwiło i wyrwało z hipnotycznego transu. Nie było zresztą czasu na roztrząsanie szczegółów, bo opamiętała się w ostatniej chwili. Jeszcze dwa, trzy machnięcia ogonem, a wypłynęłaby na powierzchnię. I na pewną śmierć. Zdążyła zawrócić, siłą ciągnąc za sobą dwie małe syrenki o oczach zasnutych perłową mgłą. Znalazła

jaskinię i tam przeczekały najgorsze, wsłuchane w ryki morza, łkanie wichury, potworny łoskot pękającego nieba.

Tamtej nocy były przekonane, że kończy się świat.

Miały trochę racji, bo ich świat skończył się naprawdę. Natychmiast. Na zawsze.

Ze wszystkich młodziutkich nimf, które wynurzyły się z głębin i zniknęły pośród rozszalałych grzywaczy, bezpiecznie na rafę wróciła połowa. Jedną sztorm roztrzaskał o zębate skały wybrzeża. Dwie inne silny prąd porwał na otwarte morze, gdzie zostały z nich jedynie skrwawione korpusy i nagie szkielety rybich ogonów. Po reszcie jak na razie zaginał wszelki ślad.

Przywołując teraz z pamięci ludzki głos, który wyśpiewał tę straszliwą nawałnicę, Marielle czuła, jak ogarnia ją obezwładniająca mieszanina paniki oraz głodu krwi. Jedno z tych uczuć musiało wygrać. Drugie musiało przegrać. A każde budziło w niej taki sam sprzeciw. Za nic nie chciała stać się zakładniczką strachu. Ale nie chciała też zmienić się w krwiożerczą bestię, ślepo posłuszną instynktowi zabijania.

I tylko co do jednego miała całkowitą pewność – nie było dla niej powrotu do beztroskiego skakania przez spienione fale. Usilnie próbowała przekonać samą siebie, że ludzie, podłe i podstępne stworzenia, dla których morze było piękne jedynie wtedy, gdy nasyciło się syrenią krwią, wcale nie wykradli ich największego sekretu i nie obrócili go przeciwko nim. A jednak ani na moment nie potrafiła zapomnieć o koszmarze poprzedniej nocy. O pieśni łądu jakąś tajemniczą, niepojętą mocą wplecionej w pieśń burzy. O niezgodnym chórze żywiołów, mrocznej ziemi i ognistego nieba, siarczystego wiatru oraz rwącej wody, gdzie niepodzielny prym wiódł fałszywy głos fałszywego człowieka. Bo choć nierealny i przerażający, ten koszmar nie był jedynie złym snem, który pryska po przebudzeniu niczym bańki z morskiej piany. Pokusa, aby udawać, że światło dnia odegna wszelkie strachy razem z ciemnością, była potwornie silna. I potwornie zgubna.

Marielle wiedziała, że w całym Siedmiu Wodach jest jedna jedyna istota, która mogła odpowiedzieć na wszystkie jej pytania. Oczywiście nie

za darmo. Ale syrena była gotowa zapłacić każdą cenę, byle tylko poznać źródło zabójczej pieśni morza i wiatru.

Przynajmniej tak jej się zdawało.

A skoro tak, nie pozostało jej nic innego, jak tylko złamać klanowe tabu i porozmawiać z morską wiedźmą.

\*

Mimo bezwzględnego zakazu zadawania się z Czarną Kroplą, w całych Śpiewających Wodach nie było chyba takiej nimfy, która by nie wiedziała, że skarłałej krakenki nie sposób spotkać w morskiej otchłani. Mówiono, że wiedźma, wbrew swej plugawej profesji, unika morza jak ognia. I choć kryło się w tym ziarno prawdy, to takie porównanie było jednak mocno chybione. Przekonywał się o tym każdy, kto miał dość odwagi, aby odwiedzić jej pustelnię otoczoną upiornym ogrodem syrenich dusz w cieniu podwodnej góry.

Wystarczył jeden rzut oka na okolicę, aby zrozumieć, że ogień – a także ukrop, zrodzony z burzliwego uczucia ognia i wody – należał akurat do jej ukochanych żywiołów. Krakenka mieszkała bowiem wśród wulkanów, gejzerów i gorących źródeł, w głębi krętego fiordu, nad którym pochyły się zębate klify. Pod gołym niebem, za dnia szaroróżowym jak perła, nocą zaś usianym miriadami gwiazd i roztańczonymi wstęgami zorzy.

Starszyzna strzegła tabu wręcz fanatycznie, a mimo to – czy może raczej właśnie dlatego, nic wszak nie kusi mocniej od zakazanego owocu – Marielle bez większego wysiłku dowiedziała się od sióstr, jak trafić do pieczary Czarnej Kropli. Aby otworzyć przesmyk w skale tuż pod krawędzią szelfu, należało wynurzyć się z bezpiecznych odmetów i nakarmić morze trzema kroplami własnej krwi. Ni mniej, ni więcej. Czasami to wystarczyło. Najczęściej jednak nie starczało nic, ponieważ wiedźma z reguły nie życzyła sobie odwiedzin.

Marielle z trudem wytrzymała do zmroku. Wyślizgnęła się ze wspólnej grotty, gdy tylko senne oddechy syren zwały się w jeden rytm z łagodnym kołysaniem fal. Noc była bezchmurna i księżycowa. Promyki srebrnego światła przecinały uspioną toń niczym szpilki szafirową tkaninę.

Plisowane wiatrem lustro wody rzucało na dno pajęczynę rozedrganych błysków.

Pograżona we śnie otchłań wcale nie była straszna. Była przepiękna. A jednak Marielle nie miała złudzeń – wiedziała, że tej nocy będzie się bać. I że była to najmądrzejsza rzecz, jaką mogła zrobić, bo już dawno odkryła, że strach to jej najlepszy doradca. W końcu istniał jedynie po to, żeby ją chronić.

Ruszyła na powierzchnię, mocno ściskając w dłoni żelazny kiel. Znalazła go jeszcze jako dziecko, wbitego w morskie dno niby kolec jeżowca. Musiał przeleżeć pod wodą wiele lat, bo rdza przeżarła go niemalże na wylot, ale czubek ostrza wciąż mógł zranić skórę. Ledwo widoczny grawerunek tuż przy linii pęknięcia świadczył o tym, że grot odłamał się od trójzębu jednego z łowców syren, którzy polowali na tych wodach dawno, dawno temu.

Marielle sama nie wiedziała, dlaczego go zatrzymała. Co kazało jej przez tyle czasu ukrywać kiel w skalnej szczelinie, w największym sekrecie nie tylko przed Starszymi, ale i całym klanem. Do tej pory sądziła, że zachowała go po to, aby codziennie przypominał jej, jak okrutni są ludzie. Ale teraz zaczynała wierzyć, że to jakiś wewnętrzny głos kazał jej zachować odłamek ludzkiej broni na taką noc jak ta.

Dotarła na powierzchnię w chwili, gdy księżyc wspinał się na czubek Szemrzącej Skąły. Był marzec, pierwsza noc wiosny. Kruczy Księżyc. Pełnia Burz. Nabrzmiała siwym blaskiem tarcza osiadła ciężko na szczycie góry. Wyglądała, jak gdyby lada chwila miała pęknąć niczym rybi pęcherz przeбитy grotem harpuna i trysnąć na zbocza kosmicznym mlekiem. Jaśniała tak mocno, że przyćmiewała gwiazdy, chłonąc łapczywie ich zimne światło.

Marielle długo wpatrywała się w nocne niebo z uczuciem niejasnej tęsknoty w sercu. A potem cicho podплыnęła do brzegu. Przysiadła na płaskim głazie, ledwo wystającym ponad wodę. Przez moment czuła się jak dawniej, gdy wabiła śpiewem żeglarzy, którzy oczarowani jej głosem, rozbijali statki o zdradzieckie rafy. Wtedy godzinami przesiadywała na takich głazach, wypatrując w oddali błysków okrętowych latarni.



Tak oto historia zatoczyła koło – czasy wzajemnych polowań niechybnie powróciły.

Syrena zacisnęła zęby i wyciągnęła przed siebie ręce. Drżały jej lekko, choć wcale nie było zimno. Zamknęła oczy, przełknęła ślinę. Nie obawiała się bólu, tylko tego, co przyjdzie po nim. I dokąd ją zaprowadzi.

Wreszcie pewniej chwyciła żelazny kiel, a potem ruchem tak szybkim, by już nie zdążyła go cofnąć, ukuła się w palec czubkiem pękniętego ostrza. Bolało tylko trochę, jak ukąszenie morskiego pająka. Ale już po chwili, gdy skaleczenie nieznośnie zaszczypało od soli, Marielle ledwo powstrzymała odruch, żeby wyssać ją z rany. Teraz nie wolno jej było zmarnować ani odrobiny krwi. Sięgnęła zranioną dłonią poza krawędź głazu i z namaszczeniem wpuściła krople w wodę. Odmierzyła trzy. Tylko i aż.

Pierwsza była Zapłata. Otchłań wszak zawsze wyrównywała rachunki.

Druga – Próba. Jej smak zdradzał morzu wartość duszy, która prosiła o pomoc, a ono miało prawo odmówić. I najczęściej odmawiało.

Trzecia kropla – Busola – wskazywała drogę.

Czwarta zaś, gdyby przez nieuwagę skapnęła w ciemną toń, momentalnie zwabiłaby drapieźniki, aby przegnały nieproszonego gościa tam, skąd przybył. Jeśli miały szczęście. W przeciwnym wypadku ściagałyby go dalej, aż w morderczą kipieli, z której nie było powrotu. Taki los spotykał w szczególności tych, co próbowali przechytrzyć wiedźmę, płacąc morzu rybią albo ptasią krwią. Chodziły pogłoski, że obok Ogródu Dusz, swojej największej chluby i skarbu strzeżonego pilniej od źrenicy oka, krakenka uprawiała też Ogród Kości, gdzie spoczywały obgryzione do czysta szkielety takich nieuczciwych głupców.

Czarna Kropla nie traciła czasu na nikogo, kto nie miał szczyrych zamiarów albo nie stosował się do jej instrukcji. Polecenia wydawała nader precyzyjne i takie też miało być wykonanie. Koniec, kropka.

A zatem: trzy krople własnej krwi. Ni mniej, ni więcej.

Tylko tyle i aż tyle.

Ledwo ostatnia drobina czerwieni skapnęła w czarną wodę, Marielle wetknęła skaleczony palec do ust. Possała lekko, czując pod językiem, jak

ślina związuje krew i zasklepia ranę. Po chwili na opuszcze widniał już tylko cieniutki, zaogniony półksiężyc.

Syrena długo trwała w pełnym napięcia oczekiwaniu. Noc była ciemna, księżyc był jasny, a woda gładka jak lustro. Mlecznobiała kula staczała się powoli ze zbocza Szemrzącej Skały, rzucając plamę światła na z rzadka pomarszczoną taflę. Cały świat spał, ukołysany nikłym szeptaniem fal.

Marielle z niepokojem poruszyła się na głazie. Zaczynała wątpić, czy morze zechce jej wysłuchać. Nie tylko tej nocy, lecz w ogóle kiedykolwiek. Bo jeśli Czarna Kropla raz uzna jej duszę za niewartą zachodu, to w jaki niby sposób ona, zwykła syrena, miałyby nakłonić krakenkę do pomocy?

Pograżona w ponurych myślach Marielle nie od razu zauważyła, że prawie nieruchoma otchłań wyraźnie pociemniała, jakby nasączona tuszem kałamarnicy.

I nagle atrament zawrzał, zakipiał, z bulgotem i szumem pobiełał od piany. Zerwał się wichur. Niebo gwałtownie zmatowiało od chmur. Wzburzone fale bryzgały kroplami ostrymi jak lodowe drzazgi, krążyły wokół głazu niczym zwabione krwią żarłaczce. Powstały wir kręcił się coraz szybciej i coraz bardziej puchł, wielkimi łykami spijając czerń nocy.

Syrena wstrzymała oddech. Nie mogła się ruszyć, zapatrzona w spiralne pierścienie tunelu, który prowadził gdzieś głęboko w mrok. Ale gdy tylko wodny korytarz zaczął się zamykać, Marielle poczuła, jak spływa z niej odrętwienie, a serce próbuje się wyrwać z piersi.

Teraz albo nigdy.

Teraz!

Skoczyła w odmętę.

Prosto w paszczę morskiego potwora.

\*

Potwór ją połknął. Wessał. Wtłoczył najpierw pod wodę, a potem w skałę, przez wąski przesmyk, który otworzył się z hukiem tuż pod załomem szelfu.

Jak połknął, tak wypluł. Brutalnie. Z obrzydzeniem. I wrednie, bo wprost na kamienie dzikiej plaży. Wypluwszy zaś, od razu rozbryznął się

na wszystkie strony, rozlał po brzegu bezładną kałużą i z przeciągłym sykiem ściekł z powrotem do morza.

Marielle zdusiła impuls, by rzucić się w ślad za nim, czym prędkiej uciec z wrogiego łądu. Zamiast tego przycupnęła na samej granicy wody. Owinęła się ogonem na sposób morskiego węża, gotowa do skoku niczym ściśnięta sprężyna. Wciąż trzymając w dłoni złamany grot, rozejrzała się czujnie.

I westchnęła, na wpół onieśmielona, na wpół oczarowana.

W opowieściach siostr kryło się więcej niż jedno ziarno prawdy. Przed Marielle ciągnęły się strzeliste klify, za nią wężowaty fiord, a wszędzie wokół gejzery, wulkany, gorące źródła, siarkowe jeziora, kopcające sadzawki. Całe wybrzeże tonęło w kłębach zimnej mgły, duszącego dymu i syczącej pary. Wszystko tu było czarne, wszystko bulgotało i pryskało bąblami jak kocioł wrzącej smoły. Tylko niebo jaśniało perłową poświatą zza cienkiej zasłony chmur.

Syrena nie zdążyła się nawet zdziwić, że panuje tu dzień – jeszcze, już, a może zawsze? – gdy naraz spostrzegła coś, na co wcześniej nie zwróciła uwagi. Czego jeszcze przed chwilą, dałaby sobie pletwę uciąć, wcale tam nie było. Zatoka, nie wiedzieć kiedy, połknęła sporą część plaży i wlewała się teraz do zaciemnionej pieczary u podnóża klifu. Pieczary, która także pojawiła się znikąd.

Niewiele myśląc, Marielle dała nura do wody. Pomknęła jak strzała w kierunku grotu. Instynkt podpowiadał jej, że wejście zacznie się zamykać tak jak wcześniej podwodny wir. I rzeczywiście, w miarę jak syrena zbliżała się do klifu, ciemny otwór wyraźnie malał. Gdy do niego dotarła, był już tak wąski, że z trudem się przecisnęła.

Ledwo wplęnęła w chłodny półmrok, jej wzrok przykuło sklepienie usiane mrowiem niebieskawych iskier. Syrena spędziła w życiu wystarczająco dużo czasu zapatrzona w gwiazdy z niejasną nostalgią i nienazwanym żalem, by teraz od razu się zorientować, co ma przed oczami. Chociaż nigdy nie poznała prawdziwych nazw konstelacji, to ich kształty tak mocno wryły jej się w pamięć, że w końcu nadała im zmyślone imiona. Diabeł Morski, Aretuza, Wielki i Mały Tryton, Strętwa,

Pławikonik... Marielle podziwiała teraz ich wierne kopie na skalnym firmamencie, najeżonym igiełkami soli i kwiatami kalcytu. Błękitne ogniki przypominały jej świecący plankton albo drobne meduzy. Tyle że woda ledwie zakrywała tu dno, jakże więc...

- Larwy - zachrypiała ciemność w głębi jaskini.

Zaskoczona syrena obróciła się z pluskiem.

- To larwy muchówek - wyjaśnił gardłowo mrok. - Najjaśniej jarzą się te, które są głodne. - Coś z mokrym mlaśnięciem prześlizgnęło się po kamieniach. Ciężko chlupnęło w wodę. - Wbrew pozorom - zabalgotąła plama czerni, przyczaiwszy się tuż pod falującą powierzchnią - młodym muchówkom bliżej do pajaków niż do świetlików. Ich larwy także plotą sieci, a światło nie pomaga im w czasie godów, tylko przy polowaniu, wabiąc ofiary: muchy, komary, ćmy... Jak na robaki są niebiańsko piękne, nie sądzisz?

Marielle przytaknęła. Mimowolnie i szczerze.

- Wiem, po co przybyłaś - podjął chropawy głos, tym razem dochodzący tuż zza jej pleców. Obejrzała się szybko, lecz nie zobaczyła nic oprócz cienkiej szczeliny w ścianie, gdzie jeszcze przed chwilą widniało wyjście z pieczary. I nagle sama poczuła się jak maleńka ćma zwabiona w pajęczynę głodnej czarnej wdowy. - Wiem, o co chcesz prosić. Przykro mi, Gwiazdo Morza, lecz nie znam opowieści zdolnej ugasić twój gniew.

Syrena milczała, wyciążając wzrok. Głębokie cienie u stóp bazaltowego filaru wiły się jak kłębowisko węży. Jak macki wielkiej, niecierplivej ośmiornicy - z tą różnicą, że było ich znacznie więcej niż osiem.

- Nie mam odpowiedzi, których oczekujesz - zacharczała znowu krakenka. - Mam tylko historie, których nie zechcesz wysłuchać. A nawet jeśli, i tak nie uwierzysz. Widzę płomień w twych oczach. Słyszę furie w twych myślach. Czuję, jak palisz się do odpłacania krwią za krew. Nie jesteś gotowa na moje pieśni morza, bo one tylko podsycą twój ogień i spłoniesz do cna. Szkoda. Czekam tu tyle czasu, a jeszcze żadna z was nie była gotowa...

- A kiedy będę? - wtrąciła pytanie Marielle, zaskakując tym chyba bardziej siebie niż Czarną Kroplę.

Wiedźma milczała. Przez chwilę słychać było tylko kryształowe echa ciurkających kropel oraz odległy łoskot fal. Niespokojna tafla wody odbijała światelka robaczych gwiazd, rzucając na strop płochliwe błyski. Długie pasma mroku kurczyły się i rozwijały na zmianę, bez ustanku badały żwirowe dno.

– Gdy uciszysz zapalczywe podszepty i odnajdziesz w sobie swój prawdziwy głos – wywieszczyła po chwili krakenka, a jej tubalne, charkotliwe słowa przywodziły na myśl okręt trzeszczący w objęciach sztormu. – Gdy ocalisz łowcę syren od pewnej śmierci w morzu i pozwolisz mu zabrać jedną z was na suchy ląd. I gdy obdarujesz śmiertelnego wroga swym najcenniejszym skarbem.

Marielle uniosła głowę. Spojrzała w fałszywe gwiazdy.

Teraz przyszła jej kolej, by milczeć.

– Nie sądzę, aby którakolwiek z tych rzeczy była możliwa – przyznała w końcu trochę z zuchwałą pretensją, a trochę ze skruchą.

– Wiem o tym. Mówiłam przecież, że nie jesteś gotowa. Gniew chlupocze ci w głowie i wszystko zagłusza. Chłoniesz jedynie to, co na powierzchni, samą morską pianę i bańki powietrza. Po prawdę musisz sięgnąć głębiej. Do dna. I wyżej, do gwiazd. Wtedy zrozumiesz, Lśniącą Wodo Mórz...

– Chyba mylisz mnie z kimś innym. Nie jestem żadną Lśniącą Wodą ani Gwiazdą Morza. Jestem Marielle.

Czarna Kropla zaniósł się straszonym, basowym rechotem, który stracił bryłki soli ze sklepienia grotu. Gdy jej śmiech wreszcie ucichł, roziskrzony deszcz długo jeszcze sypał się do wody z sykliwym szumem.

– Jak chcesz łowić w czerni morza, jak chcesz czerpać z blasku nieba, skoro nie wiesz nawet, co znaczy twe imię ani kto ci je nadał?!

– Ja...

– Moje pieśni słabną – mruknęła wiedźma, bardziej do siebie niż do syreny. – Niedługo morze przestanie je śpiewać i na zawsze odpłynie w zapomnienie... A wtedy biada wam. I biada mi.

– O czym ty...

– Wracaj do domu, dziecko. – Czarna Kropla poruszyła się szybko, aż zafurkotał skłębiony przy niej mrok, po czym ruszyła z powrotem w głąb pieczary. – I nie pokazuj się tu więcej. Myliłam się co do ciebie. Nigdy nie będziesz gotowa na moją opowieść. Ani ty, ani żadna z twoich sióstr. Nigdy... To koniec. Odejdź stąd natychmiast.

– Chciałam tylko...

– Wynoś się!

– A co, jeśli nie? – Marielle, zbyt przerażona własną śmiałością, nie zapanowała nad głosem, który załamał jej się zdradziecko, skrzekliwie. Mimo to brnęła dalej. – Co ze mną zrobisz? Pożresz moje ciało, wydrzesz z niego duszę i zasadzisz razem z kośćmi w swoich koszmarnych Ogradach?

Czarna Kropla milczała złowrogo. Ciemność wezbrała wokół niej skołtunioną falą, zachmurzyła kamienne niebo.

– Nie chciałam wierzyć – ciągnęła Marielle – kiedy siostry mówiły mi, że nas nienawidzisz i pragniesz naszej zagłady. Że nieszczęśliwa miłość do ludzkiego księcia, który zamiast w tobie, zakochał się w syrenie, zmieniła cię w zawistną harpię. Nie chciałam w to wierzyć, ale teraz...

Cios szybki i ostry jak szpila żaglicy smagnał ją w policzek i Marielle zakrzuszyła się resztą zdania. Ani się obejrzała, a już rozpaczliwie trzepotała ogonem wysoko nad wodą, chwycona za szyję i przyparta do skały. Wpiła palce w twardą mackę, szarpała, drapała, próbowała gryźć. Bez skutku.

Zaprzestała wysiłków, kiedy ramię krakenki zaskrzyło się siecią skwierczących błyskawic. W ich krótkim lśnieniu syrena ujrzała oczy. Ogromne i zimne. Ciemne i matowe niczym wystygła magma. Ogień, który niegdyś w nich płonął, dawno już wygasł, strawiwszy wszystko, czym mógłby się karmić. W pustych źrenicach nie odbijało się nic. Nawet blask fałszywych gwiazd. Zwierciadła duszy pokryła śnieź i rdza.

Na ten widok Marielle poczuła, jak budzi się w niej wściekłość. Chciała zranić wiedźmę kawałkiem trójzębu, lecz omsknęła jej się ręka. Przejechała po ostrzu wnętrzem dłoni, z rany popłynęła gorąca krew.

Krzyknęła, ułamany kiel wyslizgnął jej się spomiędzy palców, chlupnął w wodę.

Wiedźma popatrzyła w ślad za nim. Dojrawszy błysk żelaza pośród kamyków, zastygła niby kropla stężącej smoły. Trwała w bezruchu dłuższą chwilę, jak gdyby zupełnie zapomniała o syrenie, którą wciąż przyduszała do skalnej ściany.

– Ale teraz... – podjęła Marielle zdławionym głosem, gdy ucisk na jej krtani niespodziewanie zelżał. – Teraz widzę, że ani ja, ani moje siostry nie miałyśmy racji. My cię po prostu nie obchodzimy. Przetrywamy kolejne polowanie czy wszystkie nas zabiją, tobie i tak będzie wszystko jedno.

Czarna Kropla nie odpowiedziała.

– Wiesz, co wywołało tamten sztorm – wyrzęziła Marielle, czując, jak macka znowu mocniej oplata jej gardło. – Wiesz, że lada dzień morze zaroi się od łowców syren. I wiesz, jak ich pokonać. Ale zamiast nam pomóc, bawisz się moim strachem i mącisz mi w głowie samymi zagadkami. – Uniosła skaleczoną dłoń. Ciemne krople pociekły po przedramieniu, skapnęły z łokcia jak woda ze stalaktytów tuż nad ich głowami. – A ja przysięgam na swoją krew, że nim jeszcze wszędzie Rybi Księżyc, zapłacisz nam za to tak samo jak człowiek, który obrócił morze przeciwko nam!

Wiedźma nagle rozluźniła chwyt i syrena runęła z pluskiem na dno jaskini. Rana zapłonęła od soli, zasyczała, trysnęła dymiącą pianą. Marielle wyszarpnęła rękę z wody. Westchnęła zdumiona. We wnętrzu jej dłoni widniało wypalone znamię w kształcie orlego pióra.

– Kontrakt możemy uznać za podpisany – skomentowała Czarna Kropla. – Domyślasz się już z pewnością, jaki los cię czeka, jeśli złamiesz warunki. A co do mącenia w głowie, to z tym akurat świetnie radzicie sobie same. Ty i ta twoja furia. – Macki sprawnie przeczesaly żwir, wyłowiły ułamany grot, czerwony od rdzy i syreniej krwi. Krakenka uważnie przyjrzała się grawerunkowi. Królewski profil młodego władcy zza Siedmiu Wód wciąż był wyraźny. Na jego widok coś drgnęło w zwęglonym sercu wiedźmy, coś błysnęło krótko w czarnych kropkach jej oczu. – Skąd...? – spytała szeptem nie wiedzieć kogo, nie wiedzieć o co.

Marielle w ostatniej chwili ugryzła się w język, żeby znowu nie chlapnąć czegoś, czego potem by żałowała.

– Skąd wiesz, że to człowiek miał coś wspólnego z tą nawałnicą? – dokończyła pytanie Czarna Kropla.

Syrena dumnie uniosła głowę.

– Usłyszałam.

– Co usłyszałaś?

– Ludzki głos w pieśni burzy. Śpiewał wraz ze sztormem i brzmiał tak, jakby zaklinał wiatr. I nie tylko wiatr, ale także...

– Dokończ.

– Ale także nas.

Nikłe światło nie pozwalało Marielle wyłowić szczegółów, lecz albo jej się zdawało, albo jakiś skurcz przemknął po mrocznym obliczu krakenki.

– Już drugi raz pomyliłam się co do ciebie, Gorzka Łzo – wychrypiała wiedźma. – Nie, nie jesteś gotowa. I nie, nigdy nie będziesz. Ale to bez znaczenia, skoro morze postanowiło do ciebie przemówić. Skoro cię ostrzegło, zdradzając jeden z naszych najgłębszych sekretów... Tak starych, że tylko ja i ono pamiętamy jeszcze o jego istnieniu...

– Czy to znaczy, że jednak mi pomożesz? – Marielle nie wytrzymała.

I zmartwiła, gdy padł na nią cień węzowych ramion. Czarna Kropla zabełtała wodę w jaskini niby w wielkim kotle i po chwili wokół syreny zakręcił się wściekły wir.

– Nie – zagrzmiała krakenka tuż przed tym, jak syrena zniknęła w bezdennych odmętach. – To znaczy, że ty pomożesz mnie.

## Lorelei

Było tak jak zawsze. Wspomnienia huraganem wdarły się w jej sny i zmieniły je w koszmar. Od lat ten sam. Wystarczyło raz przeżyć go za dnia, by odtąd każdej nocy powracał do niej echem dawno zamilkłych głosów. Ostatnich, jakie usłyszała na jawie. Jedynych, które słyszała nadal, gdy sama w ciemnościach zamykała oczy.



Minęło tyle czasu, a ich łabędzia pieśń brzmiała nuta w nutę jak za pierwszym razem.

Najpierw spośród mgieł dobiega kobiecy śpiew i wszyscy nagle rzucają się do wioseł. Kierują drakkary w samo serce burzy, niepomni na błyski i gromy. Na ujadanie wichru i dziki ryk morza. Na białe bałwany i czarne zęby skał.

A potem jest już tylko huk pękających kadłubów, łoskot walących się masztów, krzyki rannych, wołania tonących, okrutny śmiech syren.

I oczy jednej z nich. Błyszczące niczym gwiazdy. Lśniące jak woda w promieniach słońca.

Kurczowo uczepiona rei dziewczynka łowi spojrzenie tych czarownych, złych oczu w momencie, gdy nimfa oplata ramionami nieprzytomnego rozbitka i wciąga go w kipiela, machając na pożegnanie srebrzystym ogonem. Dopiero po chwili mała Lorelei pojmuje, że tym rozbitkiem był jej starszy brat. Rozgląda się w panice, widzi, że ojciec i pozostali bracia także zniknęli w głębinach. Chce krzyknąć, lecz zalewa ją fala i zamiast powietrza wciąga do płuc wielki haust wody...

I wtedy się budzi.

Z niemym wrzaskiem na ustach. Z szumem morza w uszach. Z duszą bezpowrotnie rozdartą na dwoje.

Taka była cena za jej ocalenie.

Zaniemówiła ze strachu. Ogłuchła od wody. Połowa jej duszy poszła na dno. Ale przeżyła. Jako jedyna.

Morze daruje i morze odbiera.

Wszystkie noce i poranki były odtąd podobne do siebie jak kropla do kropli. Po zmroku Lorelei tonęła w odmętach koszmarnych wspomnień. O świcie zrywała się z krzykiem, który utykał w gardle dławiącą kulą, i ledwo przebudzona, biegła na klify.

Tak było i tego dnia.

Dotarła na wybrzeże, nim jeszcze słońce dobrze wynurzyło się z roziskrzonej toni, po czym ruszyła ścieżką pnącą się zakosami po ostrym wzniesieniu. Mało kto już pamiętał, czy to dziewczyna dostała imię na

część ukochanej góry, czy może górę nazwano imieniem dziewczyny. Tak czy owak, mieszkańcy Himinnsongr wiedzieli, że jeśli młoda harpunniczka nie popłynęła na połów z resztą pogromców ani nie spacerowała po plaży w towarzystwie starej Selkie, to z pewnością stała nad urwiskiem na szczycie stromego zbocza, gdzie czytała z lotu ptaków, zapachu wiatru oraz kształtu wody.

Lorelei.

Szemrząca Skała.

Syreni Szloch.

Do niedawna bezbłędnie przewidywała kaprysy morza. Nie było dla nikogo żadną tajemnicą, że od czasu, gdy sama niemal utonęła w nim jako dziecko, między Lorelei a gniewnym błękitem narodziła się nierozzerwalna więź. Podobna trochę do więzi, jaka łączyła słone wody z umysłem szalonej bajarki, lecz zdecydowanie mniej niebezpieczna. Nie tylko dla Lorelei, ale i pozostałych wyspiarzy, którym niejednokrotnie ocaliła skórę, ostrzegając przed nagłym załamaniem pogody.

Kiedy jednak tuż przed Kruczą Pęnią morderczy sztorm spadł na Śpiewające Wody jak grom z jasnego nieba i rozpętał piekło na cztery żywioły, Lorelei przestała ufać zmysłom podarowanym jej w zamian za te utracone. Przestała ufać morzu, choć dobrze wiedziała, że z własnej woli nigdy by jej nie okłamało. I że ono samo zostało oszukane.

Mocno zacisnęła pięści i podeszła na skraj przepaści. Spojrzała w dół. W skłębionej chmurze białych mew i czarnych kruków, daleko poniżej krawędzi urwiska, lecz na tyle wysoko, by nie porwał ich przypływ, wisiały ciała kobiet o rybich ogonach, nabite na kamienne kły i szpiczaste głazy Szemrzącej Skały.

Dziewczyna patrzyła w puste oczodoły syreny, którą własnoręcznie przeszła harpunem i schwytała w sieci. Nie rozumiała, dlaczego widok jej wydziobanych oczu nie przynosił ulgi. Dlaczego pogrom, jaki łowcy z Himinnsongr urządzili nimfom w odwecie za krwawy sztorm, niczego nie zmienił. W każdym razie nie na lepsze. Dlaczego wciąż czuła gniew, a teraz na dodatek złościła się także na samą siebie.

Selkie ostrzegła, że tak właśnie będzie. Ale Lorelei za nic nie chciała przyjąć do wiadomości tej prostej prawdy, że syreny nie są największym złem tego świata. Bo to by znaczyło, że na horyzoncie majaczy już widmo czegoś znacznie gorszego, a ona nie była gotowa stawić temu czoła. Z morskimi potworami potrafiła walczyć. Z niewiadomym – nie. Niewiadomego i nienazwanego mogła się tylko bać. A przecież już dawno poprzysięgła sobie, że strach należał do tej połowy jej rozdartego istnienia, którą bezpowrotnie pochłonęło morze.

Ocknęła się z zamyślenia, gdy dostrzegła znajomą sylwetkę brodzącą na płyciźnie u stóp masywnego klifu. Pobiegła jej na spotkanie krętą ścieżką w dół zbocza, przeskakując strumyki, kamienie i rozpadliny. Sfrunęła wraz z wiatrem z ostatniego wzniesienia i przez ten jeden ulotny moment miała wrażenie, że wyrosły jej skrzydła. Dogoniła kobietę na odsłoniętej przez odpływ plaży, mokrej i lśniącej w świetle poranka.

– Morze daruje i morze odbiera – mruknęła starucha na powitanie, nie podnosząc głowy znad garści muszelek, które z uwagą przepatrywała na dłoni. Dziewczyna musiała się pochylić, by dojrzeć jej twarz i czytać z ruchu warg. – Morze porywa i wyrzuca na brzeg. A spróbuj tylko wziąć więcej, niż daje, i do końca życia mu się nie wypłacisz.

Lorelei chciała odpowiedzieć, lecz Selkie nadal na nią nie patrzyła.

– Choć jesteś głucha, potrafisz słuchać – ciągnęła kobieta. – Choć jesteś niema, znasz język fal. A mimo to nie zważasz na przestrogi swej morskiej siostry. Uważaj, dziecko! Ostrzegam cię po raz wtóry. Zemsta gasi pragnienie podobnie jak morze. Pijesz i pijesz, i ciągle chcesz więcej. Każdy łyk pali i wysusza na wiór, wyciska z ciała soki do ostatniej kropli... Smak zemsty jest słodki, lecz jej cena słońca! Jesteś gotowa płacić?

Bajarka wciąż pieczołowicie przebierała muszelki, pstryknięciami strącając z dłoni te połamane i wyblakłe na słońcu. Zniecierpliwiona Lorelei szarpnęła ją za ramię, a gdy stara podniosła na nią wreszcie mętne, wodniste oczy, dziewczyna nakreśliła w powietrzu kilka płynnych znaków.

Selkie wyrwała rękę z jej uścisku. Charknęła, splunęła Lorelei pod nogi. A potem wskazała złowione syreny, nadziane na zęby Szemrzącej

Skały.

– Jeżeli myślisz, że to je odstraszy, to chyba sama ochłalaś się morza! – zaskrzeczała, aż echo poniosło się po zboczach urwiska. – Mówiłam, że wróg czyha na horyzoncie, a nie pod wodą! Pojmujesz, co narobiłaś? Pojmujesz, co teraz będzie? Nimfy zaczną topić okręty i ludzi, my znowu chwycimy trójzęby i sieci, a zło, które płynie tu zza widnokregu, poczeka, aż morze opije się krwią! I wtedy zaleje nasze Himinnsongr!

Lorelei przeszedł zimny dreszcz. Zamigała prędko, lecz Selkie pokręciła głową z miną, jakby znowu miała ochotę splunąć. Tym razem niekoniecznie pod nogi.

– Za późno na skruchę, nadszedł czas zapłaty! – sarknęła. – Morze zawsze wyrównuje rachunki. Nigdy nikomu nie pozostaje dłużne, nawet rodzonym siostrom, nawet przybranym córkom! – Starucha swoim zwyczajem powoli, ze świstem wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby, naśladowując szum wiatru oraz fal. I nagle oczy uciekły jej w głąb czaszki, spomiędzy drgających powiek błysnęły żółtawe białka. – Pójdiesz na dno jak kamień – wykrakała. – Utoniesz we własnym koszmarze. Żelazny grot upuści krew z twego ciała, uwolni krzyk z twego gardła. Ten krzyk, co utknął ci w krtani, ten sam, co sznuruje ci usta od dnia, gdy zatraciłaś się w morzu. Zakrwawisz. Zakrzykniesz. I umrzesz. Chyba że przed świtaniem uciekniesz na ląd, a wtedy, nim woda ugasi krwawe słońce, odzyskasz głos dla tych, co czynią cię niemą... – Kobieta urwała, odwróciła się raptownie. Nadstawiła ucha na szeptanie morza, a oczy, choć nadal przymknięte i wywrócone, skierowała w stronę osady. – Biegnij – szepnęła chrapliwie. – Biegnij, bo tam pusta łódź zawija do zatoki i zaraz przybije do brzegu! Na pokładzie nikogo, tylko czarna muszla, a z muszli tej płynie los gorszy niż śmierć!

Lorelei wyciągnęła rękę, aby dotykiem wyrwać kobietę z transu i zasypać ją pytaniami, lecz Szalona Selkie na oślep odtrąciła jej dłoń.

– BIEGNIJ! – wrzasnęła dziewczynie prosto w twarz.

I Lorelei pobiegła.

Ukryta w gąszczu narzutowych głazów, oszlifowanych i wyblyszczonych przez fale przyboju, patrzyła ze zgrozą, jak wieszczby starej Selkie zaczynają się spełniać.

Czarna łódź z dziobnicą zwieńczoną ogromną konchą sunęła powoli samym środkiem fiordu, prując i marszcząc gładkie lustro wody. Nikt nie dzierzył wiosel. Nikt nie siedział u steru. Pozbawiony oznaczeń żagiel wzdymał się i łopotał mimo bezwietrznej pogody.

Im bardziej landskip przybliżał się do przystani, tym liczniej wyspiarze wylegali na brzeg, aby lepiej się przyjrzeć niecodziennemu zjawisku. Wkrótce na plaży tłoczyli się już wszyscy mieszkańcy Himinnsongr. Wszyscy z wyjątkiem Szalonej Selkie oraz Lorelei Zrodzonej ze Sztormu.

W pewnej chwili żagiel zwiotczał, zawisł bezwładnie na rei. Łódź stanęła w miejscu. Zastygła zupełnie, jak gdyby nagły mróz skuł tafłę zatoki, więżąc kadłub w niewidzialnym lodzie.

Zapała cisza. Bezruch. Upiorna martwota.

A potem ludzie ruszyli w stronę wody. Ramię w ramię. Krok w krok. Wszyscy, co do jednego.

Lorelei zerwała się na równe nogi.

„Uciekajcie!” – chciała zawołać, lecz wielka gęła w gardle znowu zdławiła jej krzyk.

Dziewczyna wybiegła spomiędzy głazów.

„Uciekajcie!” – pokazała na migi, szeroko wymachując rękami. Ale nikt jej nie dostrzegł. Oczy całego tłumu, rozjarzone blaskiem, który mienił się i opalizował niby wnętrze muszli, wpatrywały się jak urzeczony w konchę u szczytu wysokiej dziobnicy.

Lorelei poczuła, że zamiera jej serce.

Te puste spojrzenia. Te kamienne twarze. To światło sączące się spomiędzy powiek...

Osunęła się miękko po wyslizganym głazie, jak ryba łykając duszne powietrze.

Widziała już taki blask. Widziała podobne oczy. Szeroko otwarte, lecz zupełnie ślepe, zakryte gęstą perłową mgłą...

I tak jak wtedy, wiele lat temu, gdy jako dziecko kurczowo trzymała się rei, tak teraz kurczowo wtulona w skałę dziewczyna mogła tylko bezsilnie patrzeć, jak jej spętani urokiem bracia oraz siostry tańczą do taktu zatrutej melodii. Jak miękkim, sennym krokiem wchodzą do wody, aby zepchnąć landskipy z mielizny. Jak jedno po drugim wsiadają na pokłady drakkarów, snekkarów i knar. Jak chwytają za wiosła, po czym kołysząc się w zgodnym, hipnotycznym rytmie, odpływają śladem czarnej łodzi, którą popycha zaklęty wiatr.

\*

Selkie czekała na nią tam, gdzie się rozstały. Tkwiła po kolana w morzu z twarzą zwróconą ku słońcu. Wełniana suknia, mokra i ciężka od wody, tak ciasno oblekała jej wychudzone ciało, że Lorelei już z daleka mogła policzyć żebra. Ale mizerny wygląd bajarki bynajmniej nie ostudził jej furii.

Z pluskiem i bryzgiem przedarła się przez fale. Przypadła do Selkie, chwyciła ją za ramiona. I zaczęła wrzeszczeć. Straszny bezdźwięczny wrzaskiem, wyduszając z siebie przeciągły ni to wizg, ni to skrzek, ni to charkot. Starucha słuchała niewzruszona, z cieniem troski na twarzy, co jeszcze bardziej rozjuszyło jej przybraną siostrę. Lecz kiedy dziewczyna ze świstem nabrała powietrza, zamiast dobyć głosu, rozkaszała się tak, że aż zgięło ją w pół.

– Co morze odebrało, morze oddaje – zagderała bajarka, gdy ciałem harpunniczki przestały wstrząsać spazmy. – Nie próbuj siłą odzyskać tego, czego samo nie zechciało zwrócić. Nie waż się czerpać więcej niż... – Urwała, bo Lorelei zakryła jej usta dłonią, dusząc w zarodku potok rwącego bełkotu.

A potem zbliżyła twarz do twarzy kobiety. Zajrzała głęboko w bezbarwne i mętne kałuże jej oczu. Długo patrzyły na siebie w milczeniu, które aż stężało od roju myśli, szybkich i czujnych niczym ważki.

Wreszcie dziewczyna puściła staruchę, odstąpiła o krok. Czekwała.

Selkie westchnęła ciężko, kręcąc siwą głową. Jej włosy, cieńsze od nici babiego lata, sprawiały wrażenie, że lada moment odlecą, porwane wiatrem niby puch dmuchawca.

– W ciemnej łodzi ciemna koncha – zamamlała, grzechocząc garścią muszelek, które nie wiedzieć kiedy znalazły się w jej dłoni. – Z konchy płynie ciemny głos. Śpiew odłowiony z bezkresnej otchłani, lecz jego domem nie jest głębia mórz...

Lorelei zwięzła oczy i zasyczała jak żmija. Selkie westchnęła znowu. Z samego dna płuc. Ale dziewczyna była zbyt uparta, zbyt przerażona i zła, by słuchać bełkotliwego głosu rozsądku, by łowić sens w odmętach szaleństwa. Zamiast tego gestem nieznoszącym sprzeciwu wskazała syreni półów, schwytyany w zęby Szemrzącej Skąły.

Starucha popatrzyła w tamtą stronę i szybko zamknęła oczy. Zacisnęła palce, aż zbieleły jej kostki, a muszle zamieniły się w proch.

– Ostrzegam cię po raz trzeci, burzowe dziecię – rzekła bajarka tak cicho, że głos ledwo przebijał się przez szelest fal. Ale harpunniczce w niczym to przecież nie przeszkadzało. – Trzeci oraz ostatni. Zabijesz jeszcze choć jedną syrenę i nigdy nie wynurzysz się ze złego snu. Porzuć wreszcie myśl o krwawych rozrachunkach, zanim na dobre zaćmi twój umysł. Prawdziwego wroga szukaj w kimś innym.

Lorelei nie odpowiedziała. Zasznurowała nieme usta. Zagryzła zęby.

Selkie bez słowa opuściła głowę i zerknęła w dół. Dziewczyna podążyła za jej spojrzeniem. Przez moment widziała pasma połyskliwej czerni, które owijały się wokół kostek bajarki niby morskie węże lub macki ośmiornicy. Lorelei mrugnęła, wyteżyła wzrok. I odetchnęła z ulgą, gdyż to łodygi zwykłych wodorostów kłębiły się kobiecie u bosych stóp.

– W całych Siedmiu Wodach jest tylko jedna istota, która nienawidzi syren równie mocno jak ty – przemówiła starucha po długiej chwili milczenia. – A może nawet mocniej. To morska wiedźma. Zwą ją Czarną Kroplą. Ponoć jej imię wzięło się od barwy syreniej krwi, która w świetle księżyca jest ciemna jak czernidło. Dawno, dawno temu, Czarna Kropla zakochała się bez pamięci w człowieku, którego uratowała podczas sztormu z tonącego okrętu. Dla niego była gotowa zrobić wszystko. Nawet

zmienić się w kobietę i na zawsze porzucić umiłowane morze, by żyć u boku wybranka w krainie spalonej słońcem. Lecz on wybrał inną. I to właśnie syrenę zabrał na suchy ląd... Od tamtej pory Czarna Kropla mści się na wszystkich nimfach, choć żadna nie jest tą, przez którą pękło jej serce. A śmierć każdej powoli zmieniała to serce w kamień. Zimny jak lód. Twardy jak stal. Ciężki od bezbrzeżnego smutku. I teraz Czarna Kropla nie ma już serca. Uważaj, droga siostrze, bo ty też skamieniejesz. I jak kamień pójdziesz na dno swego koszmaru...

Lorelei przełknęła ślinę, ścisnęła ją w gardle. Lecz zacięty grymas nie zniknął z jej twarzy.

Selkie westchnęła po raz kolejny.

– Skoro jesteś pewna, niech zatem tak będzie – mruknęła. – Powiem ci, jak odnaleźć morską wiedźmę.

\*

Trzy oddechy. Ni mniej, ni więcej. Tylko i aż.

Pierwszy był Zapłata.

Drugi – Próba.

Trzeci – Busoła.

Lorelei wypchała kieszenie kamieniami. Stała na brzegu niewielkiej zatoczki w chłodnym cieniu klifu. Położyła się na piasku z duszą na ramieniu, jakby mościła się na pokładzie własnej pogrzebowej łodzi. Czekala na przyływ jak na ognistą strzałę z łuku, śledząc wzrokiem sylwetki mew na niebie kąsanym zębatą granią Szemrzącej Skały.

Woda podnosiła się i rozpędzała z każdym przybojem. Coraz zacieklej szturmowała kamieniste cypce, które wcinały się daleko w ciemne morze, pokreślone jasnymi smugami bałwanów. Dziewczyna wzdrygnęła się i mimowolnie wstrzymała powietrze, gdy zimny dotyk musnął jej stopy. Kolejna fala sięgnęła już powyżej kolan, obmyła uda. Następna zakryła brzuch, wzdymając lnianą tkaninę tuniki. Lorelei przygryzła wargi. Wzbierająca woda załaskotała ją w kark oraz tył głowy, spłynęła wraz z dreszczem w dół pleców. Harpunniczka zamknęła oczy, głęboko zaczerpnęła tchu.



I wtedy morze pochłonęło ją bez reszty.

Z trudem zdławiła odruch, żeby się wynurzyć. Mało brakowało i zmarnowałyaby pierwszy oddech, a przecież bez niego nie miałyby czym zapłacić. Zaciśnęła palce na kamieniach, które kotwiczyły ją do dna, żeby zapewnić sobie choćby cień złudzenia, że trzyma się kawałka stałego lądu, twardej bezpiecznej skały pośród wzburzonych fal. Dopiero wtedy złożyła ofiarę morzu, powoli wypuszczając powietrze z ust.

Drugiego oddechu – Próby – bała się najmocniej. Zwlekała z nim, aż zaczęła się dusić, a pod powiekami wykwitły jej ciemne kwiaty. Czuła, że instynkt wygrywa i zaraz poderwie ją na powierzchnię. Przemogła się w ostatniej chwili, wciągnęła do płuc wielki haust wody. Gardło zmroził lód. W piersiach rozgorzał ogień. Dłonie zaczęły panicznie drapać piach, chwycić palcami gęstą, śliską nicość. Wstrząsana torsjami Lorelei wykrzyczała w morze bezgłośnie strugę spienionych bąbli.

Całym wysiłkiem woli zmusiła się do trzeciego wdechu. Jak tylko zwróciła falom ostatni słony łyk, porwał ją bezdenny mrok.

## Marielle

– Co zrobisz, Gwiazdo Morza? – spytała chrapliwie ciemność.

Marielle przełożyła żelazny kiel z jednej drżącej dłoni do drugiej. Zwinęła ogon w ciasną spiralę, gotowa w każdej chwili wystrzelić niczym wodna żmija i pomknąć ku topielicy.

– Masz mało czasu – odezwał się znowu mrok, muskając ramiona syreny wstęgami czerni. – Jeszcze chwila, a ona utonie. Co zrobisz, Gorka Ło? Pozwolisz jej umrzeć? W wodzie czy od ostrza, które trzymasz w ręku? Powiedz, co podpowiada ci Głos? Słyszysz go wreszcie czy mściwe szepty ciągle zbyt głośno szumią ci w głowie? Co zrobisz, Lśniaca Wodo? Wybieraj.

– To łowczyni syren – wycedziła Marielle. – Morderczyni mych sióstr. Czy ty wiesz, ile z nas przebiła harpunem? Ile żywcem wywlekła na ląd, byśmy usychały na słońcu, nabite na skały?

– A czy ty wiesz, ilu potopiłaś ludzi? Ile okrętów zwiodłaś na rafa?

– Owszem. Liczyłam.

– Możesz być pewna, że ona was także.

– I teraz, po tym wszystkim, ja mam ją ratować? Ja? JA?!

– Jeśli tak postanowisz. Jeśli nie, to nie. Ja cię do niczego nie zamierzam zmuszać.

– Czyżby? Jestem twoim więźniem od niemal miesiąca!

– Spętałaś się sama własną nienawiścią. Złożyłaś morzu przysięgę krwi i to nie moja, a jej moc cię tu trzyma. Co zrobisz, Marielle? Wybieraj. Teraz.

Syrena milczała. Z wściekłości tak mocno trzęsły jej się ręce, że prawie upuściła złamany grot.

– Człowiek posiadł naszą moc – wydusiła w końcu.

– I to już dawno temu. Dawniej niż potrafisz sobie wyobrazić.

– Człowiek skradł syreni głos – dopowiedziała Marielle, kładąc nacisk na każde słowo, wyciśnięte przez zęby jedynie siłą woli.

Z mroku dobiegło ją westchnienie tak ciężkie, jak gdyby wisały na nim kotwice wszystkich wraków z czeluści Siedmiu Wód.

– Człowiek skradł nam wszystkim znacznie, znacznie więcej – odparła wreszcie ciemność. – A żeby to odwrócić, trzeba pozwolić mu na to raz jeszcze...

– Nie rozumiem.

– To całkiem jasne. Wspominałam już chyba, że nie jesteś gotowa. Ale morze cię wybrało. Złożyłaś mu obietnicę. Dopilnuję zatem, byś albo jej dotrzymała, albo za jej złamanie słono zapłaciła. Gotowa czy nie, dokonasz wyboru. Słusznego, błędnego, to bez znaczenia. Morze i ty i tak będziecie kwita.

– A ty?

– Co ja?

– Co z tego będziesz mieć? Ze spełnionej przysięgi nic ci przecież nie przyjdzie. Nie wierzę, że ci wszystko jedno. Sądzę, że to podstęp. Pewnie już szykujesz dla mnie miejsca w Ogrodzie Dusz i w Ogrodzie Kości...

- Wierz sobie lub nie wierz, w co tylko chcesz - mruknęła Czarna Kropla i nagle noc stała się ciemniejsza, pomimo blasku księżycy i gwiazd. - A ja znów powtórzę, co już raz powiedziałam: to nie ja jestem teraz twym największym wrogiem. Nie szukaj go w morzu, tylko na powierzchni...

- Ha! - Marielle triumfalnym gestem wskazała topielicę, której wyczarowany przez wiedźmę obraz falował i drgał na dnie wodnego wiru. - Przyznajesz zatem, że to człowiek jest wszystkiemu winien! - zawołała. - Że całe to zło zaczęło się i skończy wraz z nim! Że ta morderczyni powinna tu zginąć!

- Skoro taka twoja wola - odparła niewzruszona krakenka. - Patrz więc, jak tonie. Albo wbij jej grot w serce, podaruj szybką śmierć. Lub poderżnij gardło i z bliska podziwiał, jak dusi się krwią. Czy tego właśnie pragniesz?

Syrena już, już miała przytaknąć. Lecz nagle usłyszała w głowie echo własnego głosu. Powtórzyło pytanie. Pierwsze, które zadała. To, które samo spłynęło z jej ust, kiedy przybyła do wiedźmy, by prosić o pomoc. A potem przywołało odpowiedź Czarnej Kropli.

- Trzeci i ostatni raz rozkazuję ci: WYBIERAJ!

Marielle zasyczała wściekle. Chwyciła grot w zęby. Wybrała.

Skoczyła w wir.

## Głosy z głębin

- Zaczepnij tchu - powiedział mrok.

Zrobiła ostrożny wdech. Nie bolało. Ogień w płucach zgasł. Krtani nie miażdżyły już żelazne okowy.

Z ulgą odetchnęła głębiej.

- Otwórz oczy.

Uniosła powieki. I zaraz je zmrużyła, porażona blaskiem słońca.

- Jak ci na imię?

- Lorelei - odparła. Z wrażenia poderwała się z wody, chwyciła oburącz za gardło. - Lorelei! - powtórzyła melodyjnie, nie wierząc

własnym uszom.

Zaraz...

Uszom?

Przesunęła dłońmi po podbródku, wzdłuż linii żuchwy. Pstryknęła palcami raz z jednej strony twarzy, raz z drugiej. Z niedowierzaniem pokręciła głową. Dotknęła delikatnie płatków małżowiny. Usłyszała nawet to. Szelest skóry o skórę, głośny jak chrobot łodzi po żwirowym dnie.

Zatopiona w dawno zapomnianych dźwiękach, dopiero po chwili zreflektowała się, że nie jest tu sama. Gdziekolwiek było „tu”. Wyprostowała się, uniosła wzrok.

Oczy jak gwiazdy odbite na powierzchni morza patrzyły na nią z mroku z taką nienawiścią, że aż się poderwała. Przywarła plecami do chropowatej skały. Chciała sięgnąć po kamień, ale kieszenie miała puste. Przykucnęła, rozglądając się gorączkowo za jakąkolwiek bronią. I uniosła brwi, bezbrzeżnie zdumiona już po raz trzeci.

Nie wiedzieć jak, nie wiedzieć kiedy znalazła się na wyspie z magmowej skały, tak maleńkiej, że czerniła się niby zwężona źrenica w ciemnozielonej tęczówce jeziora, otoczonego pierścieniem gejzerów oraz bazaltowych kolumn. Nieco dalej bulgotały błotniste sadzawki, parowały gorące źródła. Na horyzoncie dymiła czerwona gardziel wulkanu, którego smoliste zbocza pokrywała sieć rozżarzonych pęknięć.

A nad tym wszystkim obracało się niebo. Raz jasne jak perła, raz czarne jak inkaust. Raz czyste jak woda, a raz mętne od chmur. Na zmianę wstawało i zachodziło krwawo-złote słońce. Migotały i gasły ruchome gwiazdozbiory. Księżyc to rósł, aż opity blaskiem stawał się okrągły niczym moneta, to znów go ubywało z każdym kęsem nocy, aż wreszcie skurczony do srebrzystego sierpa całkiem zatapiał się w czerni, jedynie po to, by znów się odrodzić. Po zmroku tańczyła zorza, a tęcza w świetle dnia. Z chmur, jeśli akurat zakrywały niebo, padał deszcz albo sypał grad, sfruwały płatki śniegu lub strzępy popiołu.

Czas płynął tu jak rzeka. Tuż pod powierzchnią wzburzona i rwąca, a leniwie spokojna przy samym dnie. Rozmigotana od świateł oraz światełek wielobarwna wstęga nieba przesuwiała się nad surowym

krajobrazem w wartkiej pętli. Ale już na dole każdy moment topił się i rozpływał w nieskończone chwile, a powietrze, gęste i zielonkawe niby morska woda, można było przelewać z dłoni do dłoni...

A może ono naprawdę było wodą?

Coś załaskotało dziewczynę w policzek. Podskoczyła i kątem oka dostrzegła swoje włosy, które unosiły się wokół głowy jasną aureolą, z ospałym opóźnieniem kopiując jej ruchy.

Ja śnię, pomyślała Lorelei. Albo umarłam.

Utonęłam w morzu lub tonę w koszmarze...

– Lorelei – odezwała się chrapliwie kałuża czerni, pełznąc w stronę harpunniczki po dnie jeziora. – Piękne masz imię, Szemrząca Skąło. Czy może wolisz, by nazywano cię Syrenim Szlochmem?

Zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, gdzieś z boku dobiegło ją wściekle prychnięcie. Z cieni kłębiących się niczym węże wypłynęła nimfa o złych, gwiazdzystych oczach, z ułamanym ostrzem w pobielącej dłoni.

– Marielle, nawet o tym nie myśl – upomniała ją ciemność. – Jedyne morzu wolno odebrać to, co darowało. Miałś wybór. I dokonałś go. Nie możesz już tego cofnąć.

Syrena zacisnęła usta, ale zatrzymała się posłusznie. Przysiadła na głazie, z głową odwróconą w dumnej pogardzie ku trzepotliwemu sklepieniu.

– Lorelei?

Harpunniczka z trudem oderwała wzrok od nimfy, czując na skórze niemal namacalny oddech mroku. Z bliska patrzyła mu w czarne jaskinie oczu i czuła, jak włoski na karku i przedramionach stają jej dęba.

– Wydajesz się zagubiona, moje drogie dziecko – stwierdził gardłowo. – Wiele ryzykujesz, żeby ze mną rozmawiać. Mam zatem nadzieję, że nie jesteś zbyt rozczarowana tym, co tu widzisz.

– N-nie... Nie jestem, ale...

– Ale?

– Słyszę twoje słowa – odparła Lorelei szeptem, jakby w obawie, że nie ma prawa podnosić głosu, który od lat nie należy już do niej. – I mogę

odpowiedzieć...

– Co morze odebrało, morze oddaje – odparła Czarna Kropla. – Tutaj, w głębinach, spoczywa połowa twojej zatopionej duszy. Tutaj odzyskujesz to, co utraciłaś. Tu leżą kości twoich bliskich. Tu mówisz i słyszysz. Całkiem jak syrena. Syrena, która kiedyś odebrała ci głos, a dzisiaj podarowała oddech.

Marielle parsknęła, wykrzywiła wargi. Wciąż jednak nie odwracała głowy.

– Dokonałaś wyboru, Gorzka Łzo – powtórzyła z naciskiem płatanina cieni, prześlizgując się po przybrzeżnych kamieniach. – Wystarczyło nie robić nic. Wystarczyło patrzeć, jak druga połowa tej ludzkiej duszy dołącza do pierwszej i opada na dno. Ty jednak postanowiłaś inaczej. Dotknęłaś wargami siniejących ust, wtłoczyłaś w płuca życiodajny oddech. Ten, którego pocałuje syrena, nie utonie w morzu – wyjaśniła wiedźma, dostrzegłszy zaskoczenie na twarzy Lorelei. – Chyba że samo morze wyrazi takie życzenie. Ale jeśli nie zaciągnęłaś u niego jakiegoś niespłacalnego długu, możesz... No cóż, odetchnąć. – Krakenka zaśmiała się gardłowo, aż z nieba odpadło kilka srebrnych gwiazd, które z chłupotem zgasły w jeziornej toni. – Tak czy inaczej w tej chwili nie toniesz. A życie zawdzięczasz tej, która odebrała ci braci. Tej, której ty odebrałaś siostry. Tej samej, którą przez te wszystkie nieme, głuche lata tropiłaś w odmętach Śpiewających Wód. I co ty na to, Syreni Szłochu? Co ty na to, człowieku?

Zapadło milczenie.

Nimfa i harpunniczka długo sztyletowały się wzrokiem. Obie czujne i złe. Każda gotowa w jednej chwili skoczyć tej drugiej do gardła.

I pewnie by skoczyły, gdyby nie przestrogi Szalonej Selkie. Gdyby słowa starej bajarki nie powróciły do Lorelei dalekim, ale dźwięcznym echem.

Dziewczyna wciągnęła do płuc łyk wodnistego powietrza. A potem powoli rozluźniła palce. Długi, ostry kamień, który skrywała w dłoni, ze stukiem poturlał się po skale i plusnął w jezioro.

– Dziękuję – powiedziała Lorelei.

Marielle zamrugnęła, jak gdyby nie rozumiejąc. Zawahała się. Zerknęła na żelazny grot w swoim ręku. Wreszcie z pewnym żalem, ale i cieniem ulgi na twarzy opuściła ramię.

– Nie zrobiłam tego, by ratować ciebie – odrzekła cierpko. – Tylko nas. Jeśli o mnie chodzi, to powinnaś utonąć we własnej krwi. I taką właśnie śmierć chciałam ci podarować. Ale wiedźma mówi, że nie możemy dłużej ze sobą walczyć, bo grozi nam teraz większe niebezpieczeństwo. Mamy ponoć jakiegoś wspólnego wroga.

– Selkie... moja morska siostra, powtarza to samo.

Marielle wzruszyła ramionami.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to ten nasz wspólny wróg zwie się Czarna Kropla – syknęła i szybkim machnięciem ogona odpędziła macki krakenki, które rozwiały się niczym dym, tylko po to, by trysnąć z jeziora po drugiej stronie głazu. – Uważaj, Szemrząca Skała. Ona nienawidzi ludzi tak samo jak syren. Na twoim miejscu nie wierzyłabym w ani jedno jej słowo...

– A jednak ty uwierzyłaś, Lśniaca Wodo – wychrypiał mrok. – Bo jeśli nie wierzysz, to czemu ona jeszcze nie krztusi się krwią?

Syrena nie odpowiedziała. Dziewczyna zaś pożałowała, że tak nieroztropnie pozbawiła się broni.

– Czyżbyś nie usłyszała nareszcie swojego Głosu? – ciągnęła wiedźma, otulając ramionami drobne plecy nimfy niczym płaszczem utkanym z nowiu. – Czy to nie on nakazał ci postąpić inaczej, niż podsuwały zgubne podszepty?

– Nie.

Ciemność zawibrowała od zgrzytliwego chichotu.

– Mnie nie okłamiesz, Gwiazdo Morza. Wiem, że Głos do ciebie przemówił. Wiem, że kazał ci sprowadzić ją do mnie.

I nagle wężowe ramiona chwyciły Lorelei za szyję i brutalnie przyparły do skały. Dziewczyna nie zdążyła nawet krzyknąć, a już czuła zimny dotyk na policzkach, już drżała pod spojrzeniem czarnej otchłani. Macki obróciły jej głowę w jedną stronę, następnie w drugą. Siłą otworzyły jej

usta. Krakenka zajrzała harpunniczce do uszu oraz gardła, mrucząc pod nosem coś, co brzmiało jak „perłowa dziewczyna”. A potem puściła ją równie niespodziewanie, co schwytała. Lorelei gruchnęła na kamienie, lecz zawiesziste powietrze szczęśliwie spowolniło i złagodziło upadek.

– Zastanawiałaś się, jak to możliwe, że ścigała cię przez tak długi czas? – zwróciła się do Marielle Czarna Kropla. – Noc, kiedy straciła rodzinę i pół własnego istnienia, to również noc, podczas której stała się odporna na urok syreniego śpiewu. Morze coś odbiera, a coś daje w zamian. I tylko jedno wciąż mnie ciekawi. – Wiedźma ujęła Lorelei za podbródek, niezbyt delikatnie zmusiła ją do podniesienia się z ziemi. – Jak podzieliłaś się morskim podarunkiem z innymi ludźmi? Wszak Himinnsongr na wszystkich wyspach w całych Siedmiu Wodach słynie jako siedliszcze nieustraszonych i niepokonanych pogromców syren...

– Aha, i co jeszcze? – zadrwiła Marielle. – Może niezatapialnych? Chcecie, to pokażę, gdzie spoczywają ich kości, a trochę się już pod wodą nazbierało...

– Jeśli policzyłaś kości na Szemrzącej Skale, wiesz, na czyją korzyść wypada rachunek – odparła sucho Czarna Kropla. – Lorelei? Odpowiedz.

Dziewczyna odchrząknęła raz, potem drugi, jak gdyby obawiała się, że dopiero co odzyskany głos znowu ją zawiedzie.

– Kiedy ogłuchłam – zaczęła niepewnie – Selkie powiedziała, że mam w uszach perły...

– Perlaka.

– Słucham?

– Woda tak długo zalegała ci w uszach, aż wdała się choroba – wyjaśniła wiedźma. – A z nieleczonej rozwinęły się guzy. Malutkie, kolistego kształtu i perłowej barwy. Perlaki.

Lorelei skinęła głową.

– Od tamtej pory na powierzchni dochodził do mnie jedynie szum morza – ciągnęła. – I któregoś razu podczas połowu tylko mnie jednej nie opętał syreni głos. Tylko moja łódź nie poszła na dno. Przed następnym polowaniem namówiłam kilku łowców, żeby zatkali sobie uszy pszczeliniem woskiem. Niestety, nie pomogło. Próbowaliśmy z gliną, wełną, trocinami,



kamykami... Aż w końcu zrozumiałam, co miała na myśli Selkie, kiedy powtarzała, że daru morza nie znajdę na lądzie. Wyprawiłam się z poławiaczami pereł na rafy koralowe, zebrałam trochę małży i morskiej gąbki. Prawdziwe perły trudno było dopasować, bo albo wypadały z uszu, albo wpadały za głęboko i wciąż przepuszczały dźwięki. Za to gąbka nadała się świetnie. Innym razem w podwodnej grocie znalazłam miękkie perły jaskiniowe, a w drugiej maziste księżycowe mleko...

– I od tamtej pory jedynie z rzadka jakiś mniej doświadczony łowca z Himinnsongr dołączał do twoich topielców, Lśniąca Woda – dokończyła Czarna Kropla nie bez złośliwości. – Pozbawiłaś tę dziewczynę wszystkiego, co miała wtedy ze sobą na otwartych wodach, i zrobiłaś to wbrew woli morza. A przecież tylko ono ma prawo odbierać. I oto jak ci się odplaciło. Zabrałaś kroplę, straciłaś jezioro.

– Jeśli próbujesz sugerować, że to wszystko moja wina...

– Nie – przerwała wiedźma tonem kategorycznym, a przy tym nad podziw łagodnym. – Nie twoja. Ani nie jej. Tylko moja.

Marielle i Lorelei spojrzały na nią zdumione. I, co tu kryć, mocno zaintrygowane.

– Moja – powtórzyła Czarna Kropla zmienionym głosem, który przypominał zgrzyt trójzębu o kamieniste dno. – Oraz jego. – Wskazała na grot w ręku gwiazdookiej nimfy.

A potem potężne ramię z niesłychaną zwinnością wyluskało żelazną drzazgę z kruchych palców Marielle.

Harpunniczka cofnęła się odruchowo. Przywarła do skały, gdy zmijowate ramię zaczęło sunąć ku niej, burząc płynne powietrze. Na głębinowym niebie akurat wstawał świt. Białozłoty blask opromienił ostrze zdobione rytym tuż pod krawędzią złamania, prawie już niewidocznym spod kostropatej rdzy.

Dziewczyna uważnie mu się przyjrzała i pokiwała głową, jak gdyby rozpoznała istic królewski profil na grawerunku.

– To ten... prawda? – spytała cicho.

– Ten?

– Człowiek, który złamał ci serce i porzucił cię dla syreny...

Krakenka wybuchnęła ni to warkliwym śmiechem, ni to rżącym kaszlem, ni to szlochem zdolnym rozedrzeć lodową duszę i skruszyć kamienne serce. Cokolwiek to było, brzmiało przerażająco. Dwie małe istoty i wszystkie cztery żywioly zadrżały w popłochu, a cały podwodny świat zniknął w atramentowych obłokach.

Pozostała jedynie czarna wyspa z magmowej skały. Czarna czeluść dookoła. Oraz Czarna Kropla.

– Jak na dwa klany, które od pokoleń robią wszystko, żeby się nawzajem wymordować, przejawiacie zdumiewająco podobne skłonności do ckliwego romantyzmu – zagrzmiała wiedźma gdzieś z samego jądra mroku. – Nie jesteście gotowe. I nigdy nie będziecie. Ale jestem coraz słabsza. Moje pieśni cichną, niedługo całkiem utoną w odwiecznym szumie. Po tym, co wydarzyło się na Himinnsongr, nie ma wątpliwości, że on znów nas odnalazł... Dalsze zwlekanie byłoby szaleństwem... Opowiem wam zatem historię tak starą, że żadna inna istota już jej nie pamięta. Kto wie, może wasze serca okażą się mądrzejsze niż te puste, gorące głowy.

Nimfa i harpunniczka wydeły usta, nachmurzyły się niby lustrzane odbicia, a widząc, że podobne są do siebie jak dwie krople wody, dwa ziarenka piasku i dwie gwiazdy na niebie, krakenka o mało po raz kolejny nie ryknęła gorzkim śmiechem.

– Posłuchajcie opowieści o Kailani, pierwszej władczyni syren – zadudniła zamiast tego uroczystym tonem. – Oraz o Ivarze, synu Skallagrima, młodziutkim jarlu zza Siedmiu Wód, samozwańczym Królu Burz i najokrutniejszym spośród potworów, jakiego kiedykolwiek zrodziło morze...

## Opowieść Czarnej Kropli

Skallagrim, syn Thorkela, wiedział, że umiera.

Wiedział także, że ze wszystkich jego synów tylko najmłodszy miał dość sprytu, charyzmy oraz waleczności, aby podporządkować sobie

większość wyspiarskich rodów i objąć tron po śmierci ojca. Stary jarl nie wiedział jedynie, czy takie przymioty uczynią Ivara dobrym władcą.

Niemal całe życie oraz całe rządy Skallagrima były bowiem dokładnie takie jak Lustrzane Jeziora wokół jego ziem: gładkie, łagodne i senne. Jarl nade wszystko cenił sobie spokój. Z przywódcami sąsiednich klanów żył może nie w przyjaźni, lecz na pewno w zgodzie, dzięki czemu przez blisko pół wieku panowania udało mu się uniknąć jakiegokolwiek wojny.

Ivar natomiast był zupełnie inny. Porywczy. Przebiegły. Niebywale ambitny. I choć trudno było w to uwierzyć, charakter odziedziczył po nikim innym, jak właśnie po ojcu. Skallagrime miotają niegdyś te same żywioły, które spędzały sen z powiek jego ojca, a dziada Ivara – Thorkela. Żaden z mędrców, żaden z wojów ani żadna z wiedźm doradzających ówczesnemu władcy nie doczekali się od młodego Skallagrima ni posłuchu, ni szacunku. Thorkel przez wiele bezsennych nocy dumał, jak poskromić dzikość ukochanego syna. Jak wyciszyć huragany w jego niespokojnym sercu. Aż w końcu wysłał siedmiu spośród najbardziej zaufanych ludzi na wielką wyprawę morską, aby w dalekich krainach poszukali sposobu na ujarzmienie gwałtownej natury Skallagrima.

I tak oto siedem drakkarów wypłynęło z Lustrzanych Jezior na siedem stron świata, każdy na jedną z Siedmiu Wód. Pierwszy przemierzył Wody Cieniste, a drugi Iskrzące. Trzeci Wody Ogniste, czwarty zaś Mroźne. Piąty bez skutku szukał w Łaskawych. Szósty nieomal utonął w Srogich.

Siódmy natomiast dotarł najdalej. Aż do Śpiewających Wód pod śpiewającym niebem. I właśnie tam, w głębi archipelagu górzystych wysp, otrzymał od starej poławiaczki pereł niezwyklej artefakt – Róg Trytona: szkarłatną niepozorną konchę zdolną pochwytać i powtarzać bez końca dowolną melodię. Poławiaczka nakazała przybyszowi złapać w muszlę pieśń łagodnego morza, której aksamitny, uśmierający szum nie tylko zapewni wysmienitą pogodę do żeglugi, ale też ostudzi gorącą głowę, wyciszy burzliwe serce i uspi furie w duszy tego, kto będzie nosi ją u szyi na sznurku z morskiej trawy. Jedyny warunek był taki, że młody następca tronu musiał sam schwytać dźwięk, który miał go odmienić.

I stało się tak, że w dniu swych siedemnastych urodzin Skallagrim Zuchwały wypłynął w morze, by złowić spokój w zaklętą muszlę, prezent od ojca. A gdy niedługo potem powrócił, przed Thorkelem stanął już zupełnie inny syn.

A teraz, dobre pół wieku później, Skallagrim Pokorny, zwany też Zatroskanym, czuł, jak życie wycieka z niego po trochu z każdym chrapliwym oddechem. Czuł też, gdyż nie mógł tego wiedzieć na pewno, że tylko czar sączący się z Rogu Trytona potrafi okiełznać żywiołowość Ivara. A jednak na samą myśl o przekazaniu magicznej konchy w ręce młodzieńca jakiś nienazwany lęk zatruwał dobrotliwe serce. Jakaś iskra w oczach krewkiego syna burzyła ojcu dotąd niezmaconą harmonię.

Skallagrim wahał się aż do samego końca, choć zapytany nie umiałby wyjaśnić dlaczego. Ale ponieważ nadal nie widział innego sposobu, a piasek w jego klepsydrze przesypał się niemal co do ziarnka, jarl na łożu śmierci podarował Ivarowi zaklętą muszlę, zdradził mu jej sekret oraz wymusił na synu uroczyste przyrzeczenie, że gdy tylko zatonie pogrzebowa łódź starego władcy, młody niezwłocznie wypłynie w morze, aby tam odnaleźć swój spokój. Taki był warunek Skallagrима, syna Thornkela, pod którym Ivar, syn Skallagrима, mógł wstąpić na tron Lustrzanych Jezior.

Młodzieniec złożył ojcu przysięgę bez zawahania oraz z taką zawziętością, że serce starego jarla na jedno mgnienie stanęło w wątlej piersi.

A zaraz potem stanęło na zawsze.

\*

Gdy stary wódz umarł i obrócił się w popiół wśród ofiarnych płomieni, pretendent do tronu zgodnie z obietnicą wyruszył na połów.

I poza jego nieżyjącym ojcem, który przejrzał na oczy o wiele za późno, bo na moment przed śmiercią, nikt nawet nie podejrzewał, że wyprawa Ivara nie ma nic wspólnego ze złożoną przysięgą. Że huraganowa dusza mogła rozwinąć skrzydła jedynie podczas sztormu. Że młodzik nie tęsknił wcale do spokoju i nigdy nie zamierzał go szukać.

On tęsknił do zawieruchy. Do błyskawic i gromów. Ognistego nieba. Zapienionych wód. Pożądał wojny. Władzy, co wylewa się daleko poza Lustrzane Jeziora, zatapiając wszystko, czego nie mógł porwać jej rwący nurt.

Młody jarl ani myślał polować na morskie ballady, których czysta harmonia koła, zmiękczała oraz usypiała. O nie, nic z tych rzeczy. Ivar pragnął być twardy, złowrogi i ostry jak skała tuż pod powierzchnią fal. Pragnął budzić lęk niczym otchłanna kipieli.

I żeby dopiąć swego, zamierzał usidlić gniew morza, zaklinając w muszli pieśni o burzy.

Przez wiele dni i nocy przemierzał po kolei każdą z Siedmiu Wód, goniąc za sztormem i tropiąc pioruny, na łodzi targanej przez wściekłe grzywacze, tak małej, tak kruchej wobec potęgi bezmiar. Aż wreszcie podczas jednej ze ściganych przez niego nawałnic Ivara dostrzegła Kailani. Księżycowa Kruczycyca. Pieśniarka Wichrów. Zaklinaczka Fal. Pani Przestworzy. Najstarsza spośród syren, której imię oznaczało „niebo i morze”, „odbicie niebios w zwierciadle wód”.

Do tej pory Kailani niemal nie zauważała ludzi. Ich małe, kruche, śmieszne stateczki z lotu ptaka wyglądały jeszcze żałośniej niż z wysokości miotających nimi fal. Syreny nie zaprzętały sobie głowy słabymi istotkami, podobne jak głębinowe smoki ignorowały morski śnieg.

Ta łódź była jednak inna niż wszystkie. Dzierżący jej stery człowiek nie uciekał przed sztormem. Ani się go lękał. Przedzierał się zawzięcie przez huczące bałwany, zawsze w głąb huraganu, nigdy z powrotem. I wciąż nie miał dość. Wciąż pragnął więcej. Było to jak dotąd jedyne ludzkie pragnienie, które Kailani potrafiła zrozumieć. I które dziwnym trafem związało los syreny z losem młodzieńca.

Kruczycyca zwykła wieść swe siostry przez nieskończony błękit, tańcząc razem z wiatrem, śpiewając wraz z morzem, a wszędzie tam, gdzie kryształowe melodie odbijały się echem od firmamentu, łądu i wody, pogoda poddawała się kapryśnej woli syren i w mig spełniania wszystkie ich zachcianki. A jeśli skrzydlatym zaklinaczkom akurat zachciało się

sztormu, to ledwo uderzał pierwszy szkwał, ledwo nieboskłon porastała patyna chmur, na horyzoncie zaraz majaczyła ciemna sylwetka łodzi.

Nim się spostrzegła, Kailani zaczęła jej wyglądać. Kołowała nad wodą i wycęzała wzrok, chcąc się przekonać, czy jakaś zawierucha nie porwała przypadkiem młodzieńca z pokładu. Czy ogarnięte szaleem morze nie wciągnęło go w kipieli. Już wkrótce, nawet podczas martwej ciszy, sokole oczy syreny badawczo przepatrywały horyzont. W jej sercu zaś kiełkował niepokój, którego nie gasił nawet widok znajomej postaci przy wiosłach, u steru lub pod rozdartym żaglem.

Albowiem zbliżała się wiosna. A wraz z nią Kruczy Księżyc. Pełnia Burz. Sezon niszczycielskich, śmiercionośnych sztormów.

Kailani oraz jej siostry już czuły zew. W ich uszach mruczał odległy grom. W oczach płonęły piorunowe błyski. Skrzydła chwyciły najłżejsze podmuchy, pierwszą zapowiedź nieobliczalnych wichrów.

Kruczyca wiedziała, że samotny żeglarz nie miał żadnych szans w starciu z żywiołem, którego prawdziwa potęga dopiero się przebudzała z głębokiego snu. Dlatego też władczyni syren próbowała zniechęcić człowieka do dalszego pościgu. Wyśpiewywała mu burzę za burzą. Śnieżyce, gradobicia, ulewy, pioruny i fale wysokie jak klify.

Lecz wszystko na nic.

Młody szaleniec nie przerwał pogoni, z jeszcze większą zawziętością brnąc przez szarpane tajfunami morze...

\*

Ivar pragnął zdobyć panowanie nad Siedmioma Wodami, a takich ambicji nie sposób zaspokoić byle zawieruchą. Pędził za burzą zdolną zatopić świat w morzu bądź we krwi i nic nie mogło go przed tym powstrzymać.

Żeglował przez całe lato, całą jesień i zimę. Aż do wiosny. Do pierwszej marcowej pełni, zwanej Kruczym Księżycem oraz Pełnią Burz.

I wreszcie, okrążył rok po wyruszeniu na morze, młody jarl doścignął demony wiatru. Wreszcie usłyszał śpiew przedwiecznego sztormu, praojca wszystkich nawałnic i wichur. Ale dopiero gdy sięgnął po

magiczną muszlę, żeby odłowić z morza zabójcze pieśni, rozpętało się prawdziwe piekło.

Opętańcze fale wyrwały mu ster z rąk. Wiatr uderzał w burty z siłą stu taranów, połamał maszt niby suchą trzcinę, zepchnął kadłub prosto na rafy. Skały przebiły dno, woda zimnym gejzerem trysnęła na pokład. Łódź w okamgnieniu zniknęła w odmętach.

A wraz z nią zniknął Ivar, syn Skallagrima.

\*

Kailani sfrunęła ze stropowych chmur, prutych i szarpanych przez gromy.

Runęła ostro w dół i w ostatniej chwili, złożywszy krucze skrzydła, wbiła się niby strzała w skotłowaną toń.

\*

Ivar wykaształ rzekę słonej wody, po czym wziął wdech tak łapczywy, jak gdyby od dnia swoich narodzin wstrzymywał powietrze specjalnie na tę okazję.

Jeszcze nawet dobrze nie otworzył oczu, a już był pewien, że utonął. W morzu albo we śnie. Przez szum fal i krwi w uszach przebijała się bowiem krystalicznie czysta, czarowna pieśń. Zniewalający głos jakiejś nie ludzkiej istoty.

Rozchylił powieki. Długo patrzył w oniemiaeniu na krążące po niebie pół kobiety, pół ptaki. A potem, zwabiony cudnymi dźwiękami, przekręcił głowę i przyjrzał się uważnie tej, która siedziała na skale tuż obok niego.

Była piękna straszny, drapieżny piękny. Jastrzębi nos. Jaskółcze brwi. Łabędzia szyja. Włosy koloru wronich piór. Krucze skrzydła o granatowym połysku nocnego nieba i morskich czeluści. W sokolich oczach odwaga orła, niewinność gołębia oraz mądrość sowy. Szpony długie, zakrzywione i ostre jak u harpii, teraz ciemnoczerwone od jego krwi. A nade wszystko słowiczy głos.

Głos, którego słuchało morze.

\*

Kailani wyłowiła tonącego z wody, wbijając szpony w osłabłe ramiona. Uniosła młodzieńca aż na strzeliste klify, gdzie ułożyła go na skalnej półce. Wystawiła twarz na światło błyskawic, po czym zaczęła zaklinać wiatr, aby zamknął topielca w ochronnym kręgu. W cichym, bezpiecznym oku cyklonu.

Z ust Kailani spływała pieśń za pieśnią o dźwiękach czystych jak brzęk wiatrowych dzwonek. Syrena była tak pochłonięta każdą z zaczarowanych melodii, że gdy w końcu spostrzegła, że młodzian odzyskał przytomność, kiedy ujrzała konchę w jego rękę oraz okrutne cienie w ognistych oczach, było już za późno.

Poczuła, jakby jej pierś ścisnęło lodowe imadło. Rozpalone haki wbiły się w krtań, brutalnymi szarpnięciami wydzierają głos z gardła, aż pozostał po nim tylko chrapliwy skrzek. Kailani zgięła się wpół jak złamana trzcina, a wtedy plecy i ramiona przeszył nieziemski ból. Gołębie serce stwardniało na kamień. Sokoli wzrok zamglili łzy.

A potem cały syreni świat runął ze skały w zimne czarne bezdno.

## Trzy córy morza

Chropawy głos wiedźmy załamał się i ucichł już dobrą chwilę temu, lecz chociaż w głowach huczało im od pytań, ani syrena, ani topielica nie odważyła się odezwać. Zresztą, cisza, jaka zapadła, była tak ciężka od niedomówień, tak gęsta od domysłów, że żadne słowo, żaden krzyk, a nawet łoskot gromu nie zdołałyby poruszyć zawiesistego powietrza.

Milczenie zdawało się trwać od zawsze. I na zawsze.

Aż w końcu Czarna Kropla westchnęła z głębi swej czarnej duszy. Nachyliła się, zakrywając sobą niemal cały nieboskłon, rozświetlony konstelacjami robaczych gwiazd. Ogromna krakenka z bliska zajrzała w oczy dwóm kruchym istotom, nieświadomym jeszcze, że oto trzymają w rękach los obu ich światów.

– Kradnąc Kailani Kruczycy jej potężny głos, będący zarazem Głosem całego klanu – wyrzęziła wiedźma – Ivar Gromowładny uciszył wszystkie syreny. I tym samym odebrał im ich prawdziwą postać. Bezgłose, nie



mogły wszak dłużej być ptakami. Wiatr, z którym nie umiały już rozmawiać, stracił je z jednego błękitu w drugi, z nieba do morza, z ognistych przestworzy do odwróconej krainy w zwierciadle wód. Nieme niczym ryby, w ryby przemienione. Ptaki śpiewają, ryby zaś milczą. I oto jesteśmy...

Marielle zacisnęła pięści. Patrzyła bez słowa na własny ogon, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Zawsze sądziła, że srebrzysta płetwa przypomina kształtem dwie załamane fale, zwrócone do siebie łukami grzbietów niczym lustrzane odbicia. Ale teraz w wachlarzowatym konturze dostrzegła parę rozpostartych skrzydeł i na ten widok aż ścisnęła ją w dołku, a w gardle zapiekły gorzkie łzy.

– Odtąd każda myśl, każdy sen i każdy czyn Kailani – ciągnęła krakenka – krążyły obsesyjnie wokół zemsty na podłym człowieku, który za uratowanie mu życia odpłacił jej gwałtem. Kruczycza pragnęła ściągnąć zapłatę krwi nie tylko od niego, lecz od wszystkich ludzi. Tak jak wszystkie syreny zapłaciły za naiwną dobroduszość władczyni. To na jej rozkaz zaczęły sprowadzać statki na zdradliwe wody o płytkich dnach, szczerzących zęby i sztylety skały. Hipnotyczny śpiew, zguba żeglarzy, były wszystkim, co pozostało z ich dawnej potęgi. Odległym echem prastarych pieśni. Nikłym pogłosem zaklętych melodii, który wraz z upływem lat coraz bardziej słabł. Aż w końcu przycichł na tyle, że wystarczył strzęp morskiej gąbki i kilka jaskiniowych pereł, żeby zmienić ludzi z ofiar w myśliwych...

Lorelei zadrżała pod mrocznym spojrzeniem Czarnej Kropli. Ogarnął ją przejmujący smutek. Ogromny żal. I wstyd.

– Ivar Gromowładny – chrypiała dalej wiedźma – przeklęty uzurpator na Wichrowym Tronie, zbrojny w magiczną konchę, siał wiatr i patrzył, jak inni zbierają jego burze. Zatapiał okręty, niszczył wrogie osady, po kolei podbijał wyspę za wyspą, z każdym rokiem znacznie poszerzając granice swych ziem. I jak za czasów pamiętnego pościgu za sztormem, tak i teraz młody jarl wciąż nie miał dość. Im więcej zdobywał, tym więcej pożył. Jak gdyby próbował gasić pragnienie, pijąc wodę mórza. Moc konchy okazała się równie potężna, co przekłeta. Zabijała Ivara powoli

i nieuchronnie, a zarazem nie pozwalała mu umrzeć. Jego ojciec wyłowił z głębin spokój, znajdując ukojenie nie tylko w życiu, ale także w śmierci. Lecz młody jarl upolował huragan. I odtąd jego duszą targały nieskończone burze, które po trochu zamieniały go w upióra...

Czarna Kropla zamilkła na tak długo, że Lorelei i Marielle zdążyły już zwątpić, czy kiedykolwiek dokończy swą opowieść.

– Wiecznie żywy i wiecznie głodny Ivar – podjęła wreszcie krakenka – od wieków próbuje wypełnić ziejącą w nim pustkę. Kiedy usłyszał o śpiewie zdolnym łamać ludzką wolę, natychmiast poczuł, że musi osiąść także i tę ostatnią kroplę syreniej mocy. Żaden człowiek jednak nie mógł rozkazywać Głosowi, nawet uwięzionemu w zaklętej muszli. Tak samo jak Głos nie został stworzony do wydawania rozkazów ludziom. Koncha powtarzała jedynie pieśni Kailani Kruczyca, zaklinając żywioły tak jak niegdyś ona, lecz nie znała melodii zdolnych omotać umysły. Ivar zrozumiał, że aby zawiadnąć ludzkimi duszami, potrzebuje syren. Niedługo potem na Siedmiu Wodach pojawili się pierwsi łowcy. Po śmierci jednej schwytej nimfy wypływali w morze, by złowić kolejną. Z początku polowania odbywały się co parę lat i tylko dla zaspokojenia żądzy sadystycznego władcy, który wcielał do swej armii kolejnych opętanych, napawając się tym, jak ślepo są mu posłuszni. Ale z czasem, gdy nienawiść między istotami z lądu a istotami z wody stała się tak silna, tak płomienna, że mogłaby topić skały i osuszyć ocean, wzajemne pogromy zdarzały się coraz częściej. Aż stały się codziennością.

Dziewczyna oraz syrena ukradkiem popatrzyły po sobie, a zderzywszy się wzrokiem, jak oparzone odwróciły głowy.

– Reszta tej historii przypadła wam w udziale – dokończyła Czarna Kropla. – Mam nadzieję, że teraz rozumiecie, że winy nie ponoszą ani syreny, ani ludzie. Tylko jedna naiwna syrena i jeden okrutny człowiek...

Lorelei ściągnęła brwi i już miała otworzyć usta, ale Marielle ją ubiegła.

– A ty, Kroplo?

Wiedźma podpłynęła bliżej, zawisła nad syreną jak fala bezgwiezdnej nocy.

– Co ja? – zagrzmiała.

Marielle poczuła dreszcz, gdy dwie otchłanne studnie, bliźniacze kratery wygasłego wulkanu, próbowały przejrzeć się w lustrach jej duszy.

– Wcześniej mówiłaś, że to ty jesteś winna – odrzekła syrena i chociaż wiele ją to kosztowało, nie uciekła spojrzeniem. – Ty oraz on. – Wskazała złamany grot w źmijowym ręku wiedźmy. – Jeśli ten ryt przedstawia Ivara, to znaczy... – Urwała, zbyt oszołomiona i przerażona własną myślą, żeby wypowiedzieć ją na głos.

Ciemność wokół Czarnej Kropli zatętniała. Zawrzała. Zakotłowała się z pluskiem i sykliwym bulgotem. Aż wreszcie zaczęła blednąć, niczym smugi atramentu rozrzedzane wodą. Na kamienne niebo wtaczała się właśnie ognista kula słońca, której złocisty blask na dobre rozproszył cienie.

I oto zamiast spowitej kirem krakenki Marielle i Lorelei ukazała się syrena. Sędziwa, dostojna, o posągowym obliczu. O oczach jak rozbite, zaśniedziałe zwierciadła i włosach białych jak obumarłe rafy. Z ogonem utkanym z mroku, który sączył się z dawno zabliznionego kikuta. Resztki czarnych łusek opalizowały granatem jak niebo podczas nowiu.

– Odciał mi skrzydła – wyszeptala chrapliwie Kailani. – Tuż przed tym, jak odarł mnie z głosu i zepchnął do morza. Nie mam pieśni ani skrzydeł, więc nie należę do nieba. Nie mam rybiego ogona, więc nie należę do wody. Jestem zawieszona między dwoma światami i w żadnym nie ma dla mnie miejsca. Najpierw szukałam zemsty. A potem przebaczenia, bo za przelaną krew ludzi moje siostry zapłaciły własną. Co morzu odbierzesz, morzu musisz zwrócić. Wreszcie pojęłam, że mój gniew, ból oraz gorzka tęsknota doprowadzą syreny do zguby. Zrozumiałam, że powinnam odejść. Przekazać władzę następczyni i udać się na pustkowie, aby z daleka trzymać nad wami pieczę. – Spojrzała na młodą nimfę. – Od wielu lat ukrywam się w tych jaskiniach, których skalne sklepienia pełne moich wspomnień są tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki... Tu mogę udawać, że tańczę na wietrze i śpiewam razem z burzą. Tutaj mogę marzyć, że cofnęłam czas.

Marielle, wciąż niezdolna wydobyć z siebie głosu, bezdźwięcznie poruszała wargami niby ryba wyłowiona z wody. Lorelei także milczała. Po tylu niemych latach miała ogromną ochotę mówić, lecz teraz zwyczajnie nie wiedziała, co mogłaby na to rzec.

– Odeszłam, lecz nigdy was nie opuściłam – ciągnęła Kailani, nie spuszczając wzroku z młodszej siostry. – Byłam obecna przy narodzinach każdej z was. Każdą zabrałam na powierzchnię, ledwo przyszła na świat. I tam, pod bezkresem nocy, nadałam wam imiona godne córek wichru, abyście chociaż w snach pamiętały, skąd przybyłyśmy i dokąd pragniemy powrócić. Każdą z was opiekuję się także po śmierci. Mój Ogród, którym lubicie straszyć małe syrenki, pozostanie bezpieczną przystanią dla waszych dusz tak długo, jak długo nie mogą one ulecieć wraz z wiatrem... I dopóki moje pieśni nie utoną w szumie fal.

– Co masz na my...

– Ja umieram, Gwiazdo Morza – przerwała wiedźma. – Dla mnie nie ma już ratunku. To polowanie będzie ostatnim, jakiego doczekam. Tym, które zadecyduje o losach nas wszystkich. Ivar wabi syreny na powierzchnię Głosem z Rogu Trytona i zmusza je do śpiewu, po czym rzuca ich uroczne pieśni na swój zaklęty wiatr, który niesie klątwy w głąb wrogich krain. Moje nieszczęsne siostry muszą na jego rozkaz opętywać ludzi, dopóki nie umrą w niewoli z tęsknoty za utraconym domem. Tym w morzu oraz tym na niebie. Pijany władzą, dręczony głodem i żerany przez pustkę, nigdy nie przestanie zabijać. Syrena czy człowiek, nikt z Siedmiu Wód nie może spać spokojnie, dopóki Ivar włada naszymi pieśniami. Dopóki może obracać je przeciwko nam. – Kailani spojrzała na Lorelei. – Czar konchy chroni go przed mocą naszego gorzkiego śpiewu, lecz nas nie ocali księżycowe mleko ani jaskiniowe perły wciśnięte do uszu. My i tak usłyszymy Głos, ponieważ on rozbrzmiewa wewnątrz nas. Rezonuje nam w ciałach, sercach i duszach. Żadna syrena, która znajdzie się w jego zasięgu, nie zdoła mu się oprzeć. I właśnie dlatego potrzebujemy twojej pomocy.

Lorelei zamrugnęła zaskoczona.

– Mojej?

Kailani skinęła białą głową. Wzdłuż pajęczynowych pęknięć w morskich szkiełkach jej oczu prześlizgnęły się iskry dawnego blasku.

– Tak, Szemrząca Skało. Wiele syren odebrałaś morzu. Teraz masz szansę spłacić długi krwi, ratując pozostałe. Możesz odzyskać dla nas kawałek naszego istnienia.

– Ale...

– Żaden człowiek – ciągnęła wiedźma z naciskiem, nie dając topielicy dojść do głosu – nie wie lepiej niż ty, jak to jest być rozdartym pomiędzy światami. Jak to jest pochować połowę siebie w odmętach obcego żywiołu. Ciebie zagarnęło morze. Nas odrzucił wichur, który nadal niesie na swych skrzydłach wykradzione nam pieśni.

– Rozumiem, tylko...

– Rozumiesz? Czyżby? Zdajesz sobie sprawę, że jedno twoje słowo przesądzi o tym, jak zakończy się nasza wspólna opowieść? Powiedz „tak”, a ocalisz nam życie, ryzykując własnym. Powiedz „nie”, a bezpiecznie powrócisz na ląd, świadoma, że skazałaś nas wszystkie na śmierć. Innej drogi nie ma. Co ty na to, Syreni Szloch? Co ty na to, człowieku? Czy jesteś gotowa posłuchać głosu rozsądku? Jakkolwiek szalony by ci się zdawał?

Lorelei milczała długo. Bardzo długo. A potem zwróciła się w stronę Marielle i patrząc w jej zastygłą w napięciu twarz, wypowiedziała dźwięcznie jedno słowo:

– Tak.

Z piersi Kailani wyrwało się tchnienie bezbrzeżnej ulgi. Marielle tylko z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

– A ty, Gorzka Łzo? – Wiedźma czule pogładziła młodszą nimfę po policzku. – Może znowu pomyliłam się co do ciebie? Może jednak okażesz się gotowa...? Zduśiłaś w głowie zapalczywe podszepty i posłuchałaś swego prawdziwego głosu. Ocaliłaś swą prześladowczynię od utonięcia w morzu. Czy oddasz jej teraz to, co masz najcenniejszego? Czy pozwolisz największemu wrogowi zabrać syrenę na suchy ląd?

Marielle przekonała się już, jak przewrotne bywają wieszczby morskiej wiedźmy. Lecz chociaż nadal nie potrafiła myśleć o Kailani jako o swojej

siostrze, a może nawet matce, jakieś wewnętrzne wołanie, jakaś dogłębna tęsknota nakazały jej zatopić spojrzenie w blasku skalnych gwiazd i odpowiedzieć na zew.

– Tak – szepnęła.

A potem zakrzyczała bezgłośnie, zaciskając palce na gardle, które naraz stanęło w płomieniach.

– A zatem śpiewaj! – zagrzmiała Kailani. – Śpiewaj, Lśniąca Wodo! Śpiewaj tak, jakby niebo miało jutro przemienić się w kamień i zgasnąć na zawsze! Śpiewaj, Gwiazdo Morza! Łykaj szloch i śpiewaj, Gorzka Łzo!

I Marielle zaśpiewała.

Na dźwięk jej perlistego głosu Lorelei poczuła, że pęka jej serce. Zasluchana, patrzyła, jak z ust młodej syreny sączy się światło księżyca i gwiazd. Jak rozmigotane nici płaczą się i supłają w wodnistym powietrzu, tworząc złoto-srebrzystą wstęgę. I wreszcie jak blask wlewa się strumieniem w czarną perłę w palcach Czarnej Kropli.

Marielle ucichła w połowie melodii, lecz jej głos śpiewał dalej. Był teraz ziarnkiem piasku w głębi morskiego klejnotu. Syrena jedną ręką zakryła nieme usta, drugą wciąż trzymała się za gardło. Płakała cicho, łykając słoną gorycz.

Lorelei drgnęła, bo nagle wyczuła chłodną, kulistą twardość we wnętrzu dłoni. Spojrzała w dół, rozchyliła palce. I ujrzała perłę, ciemną jak noc, z maleńką iskierką migoczącą w środku niby odległa gwiazda. Mocno ścisnęła ją w rękę.

– Powiedz mi, co mam robić – szepnęła do wiedźmy.

I wiedźma jej powiedziała.

## Koniec pieśni

Ludzie opowiadali potem, że Lorelei Zrodzona ze Sztormu, nieustraszona harpunniczka z Himinnsongr, postrach wszystkich nimf z Siedmiu Wód, rzuciła się w przepaść z tęsknoty za ukochanym, który odplynał w nieznaną wraz z resztą wyspiarzy, wiedziony upiorną melodią z zaklętej konchy. Wedle innej wersji pogromczyni syren skoczyła w morze,

zrozpaczona po zdradzie wybranka. A może dlatego, że nie odwzajemniał jej uczuć? Tak czy owak, ponieważ była dłużna morzu wiele syrenich dusz, sama w ramach pokuty stała się pół kobietą, pół rybą i teraz to ona siadywała na skałach, kusząc żeglarzy, dopóki pewnego dnia nie wpadła w sieci innego łowcy.

Syreny natomiast śpiewały o tym, jak jedna z ich siostr, najmłodsza i obdarzona najpiękniejszym głosem, zakochała się w człowieku, po czym poprosiła morską wiedźmę, aby ta przemieniła ją w kobietę.

Czarna Kropla miała słuszość. Ludzi i syreny dzieliło wszystko poza jednym: niepoprawną słabością do cikliwego romantyzmu.

W rzeczywistości wszystko potoczyło się zupełnie inaczej. Ale tego nikt nie mógł wiedzieć. Na Himinnsongr nie została wszak ani jedna żywa dusza, która byłaby świadkiem tamtych wydarzeń. Ani jedna, poza Szaloną Selkie, lecz i ona wkrótce przepadła jak kamień w wodę. Złośliwy powiedziałby, że tak wiele czasu spędziła w morzu, aż w końcu rozpuściła się w nim do reszty, zmieniając w morską pianę. Albo że znowu zaczęła pić słoną wodę, sycić głód piachem i kąpać się w słońcu, aż wyschła na wiór, rozpadła się w proch i uleciała z wiatrem.

Gdyby chociaż jeden człowiek spacerował po plaży o brzasku tamtego dnia, kiedy bajarka zniknęła z powierzchni ziemi i wody, zobaczyłby, jak odziana w opończę z foczej skóry Szalona Selkie wbiega w wysokie fale i pozwala im się ponieść tam, gdzie od lat spoczywała jej zatopiona dusza.

Lecz zanim jeszcze opuściła wyspę, starucha na własne oczy widziała, jaki los spotkał Lorelei. I była to jedyna opowieść, której bajarka nigdy nikomu nie powtórzyła. Jedyna pieśń, którą zabrała ze sobą z powrotem w głąb morza.

\*

A było tak, że topielica poderwała się z wody jak rażona piorunem. Upadła na kolana i wsparta na rękach, długo wymiotowała wodą, z trudem walcząc o oddech. Wreszcie udało jej się zaczerpnąć tchu. Raz. Drugi. Trzeci. Ogień w płucach i przelyku przygasł, ostygł, złagodniał. Padła na wznak, wyczerpana i obolała.

Bez końca patrzyła w jaśniejące niebo, zachodząc w głowę, czy naprawdę spędziła całą noc w morzu, czy to był tylko szalony sen...

Nadstawiała uszu, lecz słyszała jedynie fale. Spróbowała coś powiedzieć, ale znów była niema.

Sen, pomyślała trochę z ulgą, a trochę z żalem.

Dopiero po chwili zorientowała się, że trzyma w ręku drobny, gładki przedmiot. Uniosła dłoń do oczu. Serce zabiło jej szybciej, gdy ujrzała czarną perłę, we wnętrzu której pulsowała srebrzysto-złota iskra. Lorelei nie mogła usłyszeć zamkniętego w klejnocie głosu, za to w głowie zazgrzytały jej słowa Kailani.

Dziewczyna zerwała się na równe nogi. Niczym wiatr popędziła na klify. Dotarła na wierzchołek Szemrzącej Skąły, stanęła na krawędzi urwiska. Potoczyła wzrokiem po linii horyzontu, znad której lada moment miał się wylać blask pierwszych promieni słońca. Spojrzała w dół. Właśnie zaczynał się poranny przypływ. Zębate głazy prawie całkiem zniknęły pod białawą wodą.

Lorelei nie wstrzymała powietrza przed skokiem w przepaść. Nie. Zamiast tego włożyła perłę do ust. Cofnęła się parę kroków, wzięła krótki rozbieg i rzuciwszy się ze szczytu ukochanej góry, połknęła głos syreny, która niegdyś uczyniła ją niemą.

\*

A potem było tak, jak wykrakała Szalona Selkie.

Lorelei zapłacała morzu. Zapłacała słono. I morze uznało, że wreszcie są kwita.

Poszła na dno jak kamień. Tonęła we własnym koszmarze. Znów, tak jak wtedy, kiedy była dzieckiem, rozpaczliwie młóciła i kopała fale, szukając ustami powierzchni wody. Nawet nie zauważyła, że wcale nie musi się wynurzać, żeby zaczerpnąć tchu. Że nie ma już nóg, którymi mogłaby kopać. W końcu przebiła szklaną tafłę morza, wytrysnęła z głębin w fontannach kropel.

Wydostała się na brzeg skalistej wyspy, po czym wyczerpana przysiadła na głazie. Powoli uspokoiła oddech oraz walące serce. Owinęła



się syrenim ogonem, zadarła głowę i pierwszy raz w życiu z ufnością zatopiła spojrzenie w głębokim niebie, zamiast gorączkowo przepatrywać morze. W pewnej chwili czyjaś niewidzialna dłoń szarpnęła ją za najczulszą strunę duszy, niesłyszalna muzyka rozeszła się po całym jej ciele niby kręgi po wodzie.

Lorelei nie musiała szukać właściwej melodii ani słów, bo te już wzbierały w niej gwałtowną falą, po czym wartkim strumieniem popłynęły z ust i wzbily się do lotu niby wypuszczone na wolność ptaki. Wiatr poniósł jej głos na wszystkie strony świata. Była to pieśń o potężnej mocy, zrodzona z tęsknoty za bezmiarem nieba, za potęgą wichru oraz ogniem gromów. Był to śpiew, któremu nawet Ivar Gromowładny nie będzie mógł się oprzeć. Który zapragnie własnymi rękoma wyłowić z morza.

Lorelei czekała na skale przez cały dzień.

I tak jak przewidziała Kailani Kruczycyca, tuż przed zachodem słońca na horyzoncie pojawiła się łódź. Mała, niepozorna, z dziobnicą w kształcie muszli. Przy wiosłach siedział Ivar we własnej osobie, syn Skallagrima, samozwańczy Król Burz, uzurpator na Wichrowym Tronie. Głowę zdobiła mu korona z ptasiej czaszki, ramiona okrywał płaszcz ze skrzydeł wielkiego kruka. U jego boku zaś, tuż przy niskiej burcie, płynęła syrena z obrozą na szyi oraz kneblem w ustach. Była już tak słaba, że z trudem nadażała za łodzią. Co jakiś czas na długo znikwała pod falą, a Ivar po prostu włókł ją za sobą, wygłodniałym wzrokiem zapatrzony już w kolejną zdobycz.

Lorelei poczuła, jak budzą się w niej furie. Ledwo usiadła na miejscu, tłumiąc palący impuls, żeby rzucić się w stronę łodzi i ściągnąć jarla z pokładu. Lecz gdyby teraz ruszyła mu na spotkanie, Ivar natychmiast zorientowałby się, że coś jest nie tak. I przywoławszy zaklęty wiatr, uciekłby za Siedem Wód prędeej, niż tu przybył.

Niegdyś nieustraszony, dziś był zwykłym tchórzem. Odkąd zdobył wszystko, miał wszystko do stracenia. I lękał się utraty najbardziej na świecie, bo bez swoich laurów, trofeów i łupów byłby przecież nikim i nie znaczyłby nic. Dręczony paranoją, kneblował i wiązał nawet konającą

istotę, nad którą Głos z Rogu Trytona i tak zapewniał mu całkowitą władzę.

Pomna na słowa morskiej wiedźmy, Lorelei zastygła na skale w kamiennym bezruchu, z tęnym spojrzeniem utkwionym w szkarłatną muszlę na szyi jarla. Czekwała, aż podpłyne bliżej. Aż wyjdzie do niej na skrawek ładu. Aż znów spróbuje sięgnąć po to, co nie należy do niego.

Ivar zacumował łódź o szpiczasty gład. Wyszarpnął syrenie knebel i nie wypuszczając z rąk liny doczepionej do obroży, zwinnie wyskoczył na skałę. Sprężona do skoku Lorelei patrzyła, jak podchodzi do niej krokiem rozleniwionego drapieznika. Ogorzałe oblicze, włosy koloru popiołu, oczy jak dwa płomienie. A w tych płomieniach mrok tak głęboki, że kiedy Ivar klęknął przed nią i zbliżył twarz do jej twarzy, Lorelei o mały włos nie uciekła do wody.

Ujął muszlę w dłoń i powiedział kilka słów. Odczytała je z ruchu warg, lecz nie wykonała rozkazu. Nie była syreną, Głos z Rogu Trytona nie miał do niej dostępu. Jarl zmarszczył brwi, usta zadrgały mu w nerwowym tiku. Musiał się zorientować, że to pułapka. Że fałszywa syrena jest tylko człowiekiem. Zwykłą dziewczyną, z której ktoś zrobił przynętę.

I z pewnością domyślał się kto.

Pociągnął za linę, szarpiąc obrożę zniewolonej nimfy. Krzyknął coś wściekle, a tamta, bezgranicznie posłuszna Głosowi, natychmiast zaniósła się śpiewnym szlochem.

Lecz Lorelei była głucha i syrenia pieśń nie mogła jej spętać.

Gdy jarl wykonał ruch, żeby podnieść się z ziemi, gdy sięgnął po przewieszony przez ramię harpun, dziewczyna chwyciła za konchę, którą nosił na szyi, zerwała powrósło splecione z sitowia i roztrzaskała muszlę o skałę u jego stóp. A potem skoczyła do wody.

Zbyt wolno. Zbyt późno.

Dokładnie tak, jak wywieszczyła jej Selkie.

Grot przebił zakłęte ciało, upuścił z niego krew, uwolnił z gardła krzyk. Ten krzyk, co dotąd tkwił jej gulą w krtani, ten sam, co sznurował usta od dnia, gdy zatraciła się w morzu.

Krwawiła. Krzyczała.

I byłaby umarła, gdyby czyjeś ramiona nie pochwyciły jej w pól i nie poniosły z powrotem na krawędź przepaści, z której runęła o pierwszym brzasku.

Lorelei i Marielle, obie już bez rybich ogonów, za to jedna z parą ptasich skrzydeł, patrzyły ze szczytu Szemrzącej Skały, jak czarne macki ogromnej krakenki oplatają Ivara wraz z jego łodzią oraz małą wyspą, na której skończyła się jego pieśń. Jak wstęgi mroku z głębin wciągają Króla Burz w piekielną kipieli.

I tak oto morze odebrało to, co utraciło.

Tak oddało wszystko, co niegdyś pochłonęło.

A potem woda zgasiła krwawe słońce i niebo znów było pełne syren.

# Krystyna Chodorowska

\*



## Dla wilka strzecha

Jak powiedzieć wilkowi: „Ani kroku dalej”?

Nie potrafiłam zrobić niczego, co zwierzę natychmiast zrozumiałoby jako groźne. Nie mogłam zerwać się i stanąć na tylnych łapach, żeby wydać się większą. Nie mogłam zjeżyć sierści na karku, a moje zęby na żadnym drapieźniku nie zrobiłyby wrażenia.

Inny człowiek od razu wiedziałby, co oznacza moja uniesiona ręka i zaciśnięte dłonie, jedna z przodu, druga blisko przy twarzy. Pewnie

zrozumiałyby to nawet, gdyby nigdy nie korzystał z łuku (czy istnieli w ogóle tacy? Skąd brali pożywienie?). Żałowałam, że dla zwierzęcia to nie jest jasne. A jednak wilczyca nie postąpiła już ani kroku.

Patrzyłam jej prosto w oczy – może to dlatego. Gdy byłam jeszcze mała, Wesoła Chugiaq nauczyła mnie, że na wilka trzeba patrzeć śmiało, jakbym się w ogóle nie bała, a potem powoli zacząć się wycofywać i biec dopiero wtedy, gdy będę mieć w zasięgu dorosłych z bronią, stromą skałę lub drzewo.

Co dziwniejsze, wilczyca nie pokazała kłów. Zmarszczyła nieco pysk, ale nie warczała, nie jeżyła sierści, jakby czuła, że jest silniejsza i może sobie pozwolić na więcej. Ale też nie sięgnęła do truchła jelenia leżącego przed nią na śniegu. Nie próbowała mnie przegnać; stała tylko i patrzyła. Byłyśmy sobie równe.

Widziałam, że za nią kulą się dwa szare kłęбки. Szczenięta, tutaj? Jaka samica zabrałaby młode ze sobą na polowanie? – pomyślałam zdziwiona. Wtedy Nurjuk poruszył się w amautiku.

Wilczyca zastrzygła uchem i obróciła nieco łeb. Jej wilczy słuch musiał wylapać tętent przede mną, a miękkie łapy wyczuły drżenie ziemi jeszcze wcześniej.

Z początku nie zwracałam uwagi na ten odgłos, bo często zdarzało się, że mamuty wędrowały ciężkimi krokami gdzieś poza zasięgiem naszego wzroku albo tuż na jego granicy, niczym wielkie cienie majaczące we mgle; słyszeliśmy ich tupot, niby pomruk burzy albo przetaczanie się masywnych głazów gdzieś w dali. Czemu miałyby przebiegać akurat przez tę zamarznąłą łąkę? Miały do dyspozycji całą Zimną Ziemię.

Lekko opuściłam łuk, lecz nie na tyle, żeby nie móc go szybko wymierzyć. Wilczyca znów zastrzygła uszami, ale nie oderwała wzroku od jelenia. Tupot zabrzmiał mocniej, jakby pod nogami zatętnił puls twardej skały.

My, dzieci Zimnej Ziemi, mieliśmy taką grę, nazywaliśmy ją zabawą w tchórza. Trzeba było wejść na rzekę, wyszukać miejsce, gdzie lód był najcieńszy, tak cienki, że aż trzeszczał pod naszym ciężarem. Tam stawaliśmy we dwoje naprzeciw siebie i tak staliśmy, powoli kołysząc biodrami; przenosiliśmy ciężar z jednej nogi na drugą, szczerząc zęby

w uśmiechu i nasłuchując trzeszczenia lodu. Przegrywał ten, kto pierwszy zerwał się do ucieczki.

Wiedziałam już, co nadciąga, chociaż wciąż nie odwróciłam głowy.

Stado mamutów wychynęło zza wzniesienia i teraz, wielkie jak wzburzone fale, gnały w naszą stronę.

Odkąd skrzyżowałyśmy spojrzenia, wilczyca i ja, stałam jak ścięta mrozem, wydawało mi się, że w ogóle nie drgnęłam, ale mięśnie musiały mi się napiąć jeszcze bardziej, bo Nurjuk poruszył się w swojej kieszeni i pisnął przeraźliwie.

To mnie otrzeźwiło. Głupia, bezmyślna, po wielokroć durna! Rzuciłam się w bok, a potem pomknęłam pędem przez las, nie zważając na krzewy i gałęzie. Podałam starcie z wilczycą i nie odwróciłam się, żeby sprawdzić, czy moja przeciwniczka zdołała porwać choćby kąsek.

Gdy wróciłam później na łąkę, truchło już dawno zostało stratowane na miazgę potężnymi nogami.

Wiedziałam, że polewka, którą ugotuję wieczorem, będzie warzona ze ścięgien i skrawków skóry i zanim podam ją Nurjukowi do zjedzenia, będę musiała najpierw sama wszystko dokładnie przeżuć. Wiedziałam, że obudzę się w nocy, słysząc rozdzierające popłakiwanie.

\*

Niełatwo jest polować z małym dzieckiem.

Gdybym, jak większość kobiet w naszej wsi, miała braci i siostry, oni pomogliby się nim zająć, bo tak to urządziła Zimna Matka – ona najlepiej wiedziała, że wychowanie potomstwa to trudna rzecz, i nie chciała, żebyśmy zostały z tym same. Gdyby było nas więcej, zmienialibyśmy się w opiece nad nim, inni członkowie rodziny uczyliby go rozpoznawać tropy zwierząt, rzucać kamieniami czy zastawiać sidła. Mój brat, jego najbliższy męski krewny, przekazałby mu wiedzę na temat wszystkich chłopięcych spraw.

Teraz mogłabym – w ostateczności – zostawić Nurjuka z którąś ze starszych kobiet, które już odchowały potomstwo, ale musiałabym jej oddawać część mięsa, a tego nie było wcale tak dużo, ledwie starczało dla nas dwojga. Nie mogłam oddalać się na zbyt długo, żeby nie zostawiać go samego, a z nim na plecach nie potrafiłam dobrze tropić. Moje łupy były

skąpe i żalosne, dlatego tak bardzo nie mogłam odżałować tamtego jelenia, który wyżywiłby nas przez wiele dni.

O ile łatwiej byłoby, myślałam, gdybym mogła wytropić ranne zwierzęta węchem, zamiast tylko wypatrywać kropel krwi na śniegu. Żałowałam, że nie jestem wilkiem, choćby tylko w duszy.

\*

Nurjuk urodził się długi, ale bardzo chudy.

Uzdrowicielka mówiła, że to moja wina – to dlatego, że w ciąży chodziłam polować na brzeg morza, z mężczyznami i dziewczętami. Że pęłzałam po lodzie w stronę foczych przerębli, gdy mój brzuch był już na to za duży, a wtedy gruby lód wysysał z dziecka jego siły życiowe. Ale nie było wyjścia, bo foka brodata daje dużo mięsa, a tamtej zimy mieliśmy bardzo niewiele zapasów.

– Miejmy nadzieję, że jego duch okaże się silniejszy od ciała – powtarzali mieszkańcy wsi, ale wszyscy wiedzieli, że dusza nowo narodzonego malucha zawsze jest słaba, tak słaba, że oprócz niej potrzebna jest jeszcze tarneq, druga dusza, która będzie go chronić. Gdy ciało dziecka udowadniało w końcu, że zdolne jest przetrwać na tym świecie, szaman odprawiał rytuał, by ustalić, kto z naszych zimnych braci opiekuje się noworodkiem i komu winniśmy okazać za to szacunek.

Jak nakazywał zwyczaj, przez kilka pierwszych księżyców nazywano go Piitchuk – Tu Nic Nie Ma – w nadziei, że głodne duchy przemykające poza kręgiem ogniska dadzą się oszukać i przegapią jego wątłą obecność. Gdy minęło odpowiednio dużo czasu, wezwano mnie do szamanki na rytuał odnalezienia tarneq.

Naszą obecną szamankę wołano Rudy Liść, bo twarz miała czerwoną i zasuszoną jak ostatnie liście wiszące jesienią na drzewach. Wyglądała tak, odkąd pamiętam, i chyba nikt nie wiedział, jak nazywała się wcześniej.

Przez kilka księżyców błagałam duchy, by Nurjuka ochraniało coś potężnego – wół piżmowy lub wielki wilk. Może nawet coś większego. A zaraz potem myślałam, że nie, niech to będzie coś małego i zwinnego, co łatwo potrafi się ukryć przed oczyma potężniejszych istot i nie przyciąga ich uwagi. Bo kiedyś tak się stało, że największy łowca tych ziem, Ten, Który

Chodzi Samotnie, stał się moim tarneq i zamiast ochroną, jego miano stało się fatalną wróżbą, bo kilka cykli później moją matkę zabrało wywrócone czółno. Zabrało ją, zanim zdążyła mi dać rodzeństwo, i odtąd już zawsze musiałam chodzić samotnie.

Zgodnie z nakazem zjawiłam się u szamanki odpowiedniego dnia pod wieczór, gdy z okolicznych chat wydobywały się już smugi dymu, przywodzące na myśl wysokie, poczerniałe drzewa, spalone piorunem i wznoszące się aż do nieba. U szamanki powitało mnie przejmujące zimno; dopiero gdy nadeszłam, zdjęła pokrywę dymną z dachu i kazała mi rozpalić ogień. Uklękałam, wyjęłam łuk ogniowy i drewnienko zaczęło obracać mi się w rękach, a gdy płomień już trzaskały, Liść usiadła tuż przy ogniu – tak blisko, że nie wiedziałam, jakim cudem może tam oddychać. W czerpaku, który trzymała w dłoni, pływały grudki lodu. Połała sobie tym plecy. Podobno dzięki temu jej ciało tkwiło zawieszona na granicy ognia i lodu, a to pomagało jej duchowi również znaleźć się na granicy dwóch światów. Podobno gdy przebywała w świecie dusz, mogła spoglądać ich oczami.

Zgodnie ze zwyczajem miałam spędzić noc w przedsionku jej chaty, pilnując, by nikt nie skrzywdził ciała szamanki, które w takich chwilach było szczególnie narażone na niebezpieczeństwo. Leżałam oddzielona od niej zasłoną, by nie oglądać jej sekretów. Wiedziałam, że nie powinnam zasypiać, ale byłam zmęczona polowaniem, a wewnątrz chaty szybko się nagrzało.

Obudziłam się o świcie, widząc nad sobą pomarszczoną twarz staruszki. Z jakiegoś powodu nie rozgniewała się na mnie za to, że tak zlekceważyłam bezpieczeństwo jej ciała – pewnie w głębi serca uważała, że to tylko zwyczaj i że w wiosce nic jej nie groziło. Przycupnęła w przedsionku na kolanach, skulona jak wielki, chudy stwór, pajak obciążony ludzką skórą. Trzymała śpiącego Nurjuka i teraz wepchnęła mi go w ramiona. Sama rozcapierzyła kościstą dłoń, także przypominającą pajaka, i położyła ją na głowie mojego syna.

– Jesteś dzikiem – oznajmiła.

Nurjuk drgnął pod dotykiem jej powykręcanej ręki. A potem znów zarył nosem w moją pierś, jakby szukał żołądki.



Mój syn był ciekawskim chłopcem.

Miał mniej niż jeden księżyc, gdy siedząc w amautiku, zaczął rozglądać się na boki. Protestował, kiedy chciałam nakryć go kapturem, dlatego robiłam to tylko w największą śnieżycę.

Nie dziwiło mnie to zupełnie. Jako dziecko musiałam być do niego podobna, bo nawet w dorosłym wieku pozostałam ciekawska i robiłam rzeczy, których robić nie należało.

Nie przyznałabym się do tego nikomu, ale kiedy leżałam u szamanki w przedsiönku chaty, naruszyłam zasady czymś więcej niż tylko spaniem mimo zakazu. Zauważyłam, że skórzana zasłona miejscami jest tak poprzecierana, że prześwieca przez nią blask ognia. Wystarczyło podrażnić palcem, by powstała niewielka dziurka. Nie zrobiłam tego powodowana troską o Nurjuka, byłam pewna, że szamanka go nie skrzywdzi, podobnie jak nie skrzywdziła mnie ani żadnego dziecka z osady; to ciekawość nie dawała mi spokoju. Zobaczyłam, że Liść siedzi pośrodku chaty, tylko w przepasce na biodrach, a mój syn, spowity w miękkie zajęcze skórki, leżał na jej kolanach. Pamiętam, że wydobyła z mieszka garść suchej gleby, którą musiała zebrać jeszcze przed nastaniem mrozów, zanim śnieg pokrył ziemię. Splunęła w dłoń, zamieszała w błocie palcem i nakreśliła tym wzór na brzuchu i czole dziecka, a potem uniosła je pod pachy i przytknęła jego czoło do swojego. Na chwilę zamarła, pozwalając, by ich oddechy mieszały się ze sobą, co pozwalało jej poczuć cząstkę drugiej duszy.

Potem wydobyła ze skrzyni róg jelenia, bardzo młodego cielaka. Ktoś musiał upolować go specjalnie dla niej albo znalazła szkielet oczyszczony przez drapieźniki, bo praktycznie nikt z nas nie zabijał tak młodych zwierząt. Róg był wydrążony w środku. Liść wysypała z niego na dłoń brązowy proszek i zlizwała, powolutku, niemal czule, jakby to był słodki sok wypływający z pnia drzewa pękniętego na wiosnę po słonecznym dniu i mroźnej nocy. Z miękkiego skózanego woreczka wyjęła kilka drobiazgów, które mogły być suszonymi owocami, i jadła te okruchy, przytykając oczy i wydając pomruki z głębi brzucha.

Przełknąwszy grudki, sięgnęła i przysunęła do siebie rogowy dzbanuszek. Jedną ręką wciąż trzymała Nurjuka, a drugą zanurzyła w łoju i kolejno przytykała palce do ognia, aż zapłonęły wszystkie naraz. To mnie przeraziło, bo rozpalona dłoń na chwilę zawisła nad głową mojego syna, ale szamanka jej nie opuściła. Zamarła, choć rozgrzany tłuszcz na pewno już sprawiał jej ból, a potem z rozmachem zanurzyła palce w cebrzyku. Ale ja już nigdy nie zdołałam wyrzucić tego obrazu z głowy.

\*

Tamtego dnia, gdy stałyśmy z wilczycą nad truchłem jelenia i obie odeszłyśmy głodne, wróciłam do osady późno, w fioletowym świetle wczesnej nocy, gdy Brat Księżyc stał już wysoko na niebie. I tak się stało, że po drodze spotkałam Toklę, ojca Nurjuka.

Jak zawsze na mój widok zwolnił kroku i pochylił głowę, jakby oczekiwał, że dotknę go czołem i zmieszamy oddechy, chociaż zwyczaj nie nakazywał robić tego po zwykłych codziennych łowach, gdy nie odchodziło się ze wsi na dłużej niż jedną noc i jeden dzień. A Tokla i ja zdecydowanie nie powinniśmy robić nic więcej, niż zrobiliby w tej sytuacji przypadkowi mieszkańcy osady.

Chciałam go zignorować, ale on otworzył usta i domyśliłam się, że chce ze mną mówić. Niemożliwe, żeby zamierzał pytać o łowy. Tego się po prostu nie robiło, to uchodziło za niegrzeczne – jeśli ktoś niósł udziec piźmowego wołu, było to widać z daleka; jeśli ktoś wracał z pustymi rękami, było to widać jeszcze bardziej.

Dostrzegłam, że on niesie na ramieniu gęś – dzieci jego siostry, Ticasuk, zjedzą obfitą wieczerzę.

W końcu zatrzymał się i zaszurał nogami w śniegu. Przez chwilę myślałam, że złamie tabu i zapyta o łowy.

– Będiesz na przedstawieniu dziecka Ticasuk?

To nie było niegrzeczne, ale niemal tak samo głupie. Równie dobrze mógł spytać, czy zamierzam jutro jeść.

– Oczywiście.

– Kinaktok i Qimmiq wybrali się łowić na wybrzeże, może przyniosą stamtąd ładną, tłustą fokę. Powiedz, Nyja, czyż to nie będzie wspaniałe? Do

syta najeść się foczego tłuszczu?

Tokla uwielbiał jeść. Miał duże, wydatne wargi i okrągłą twarz. Jego ubranie zostało starannie uszyte z dobrych skór, co zdradzało sprawnego łowcę, a śniegowce były miękkie i wygodne; widać było, że Ticasuk dokładnie przeżuła skórę, żeby buty nie obtarły bratu stóp. Zdecydowanie był to mężczyzna, który mógł się podobać.

– Tak, to doskonałe uczucie.

Nie skłamałam ani słowem. Zamierzałam przyjść, dowiedzieć się, jakie też zwierzę objawiło się w małym Piitchuku i, co najważniejsze, wystawić kubek po polewkę z suszonego mięsa, które rodzina Ticasuk pościągła z żerdzi i gotowała od wczesnego ranka. Zamierzałam wessać pływającą po wierzchu pianę, spić grube oka tłuszczu, przepłukać usta gorącym wywarem, a potem wystawić kubek po raz drugi i tę porcję zachować dla Nurjuka. Może nawet zjeść pasek mięsa, jeśli faktycznie poszczęściłoby im się z tą foką. Ale nie powiedziałam, że zamierzam świętować długo, bo nie miałam tego w planach. Gdy wszyscy mieszkańcy kręgiem będą otaczali Ticasuk i gratulowali jej dziecku odnalezionego ducha, niepostrzeżenie wymknę się z tej gromady. W wieczór, gdy cała wioska będzie świętować, zamierzam zrobić coś szalonego.

\*

Tropiąc zwierzynę, miałam zwyczaj zadzierać od czasu do czasu głowę i wypatrywać kruków.

Kruki często podążały za wilkami, czekając na okazję, by usiąść i żerować na pozostawionym przez drapieżniki truchle. Czasem podążałam za nimi, by odnaleźć jeszcze świeżą padlinę. Nie raz i nie dwa myślałam sobie, że dużo bym dała za to, by móc spojrzeć ich oczami i szybko dowiedzieć się, gdzie leży upolowana zdobycz. Wilki miały zwyczaj wracać do trupa przez kilka dni, za każdym razem posilając się do syta. Pozwalały krukowi dojadać resztki. Ale ptaki nie zjedzą dużo mięsa na raz, a mnie bardzo przydałby się kawał łopatki.

Minęło kilka księżyców, odkąd odważyłam się złamać tabu i podpatrzyć sekrety szamanki, a duchy nie ukarały mnie za to chorobą ani innym nieszczęściem. Moje myśli stawały się coraz bardziej zuchwałe, a zwłaszcza

nie dawały mi spokoju pytania: w jaki właściwie sposób Liść spoglądała oczami zwierząt? Co się wtedy działo, czy szamanka wchodziła w ich cielesne powłoki? Czy jedynie patrzyła, a może wiedziała, jak to jest biec na czterech łapach i nurkować pod lodem? Czy zwykły człowiek potrafiłby to zrobić? Gdy byłam mała, często bawiłam się z innymi dziećmi w szamanów: wirowaliśmy wtedy w tańcu na polanie nieopodal wsi, wyrzucając ręce w powietrze i powtarzając formułkę, którą Liść wygłaszała podczas publicznych świąt. Dorosli nie zabraniali nam tego, uważali, że żadne tabu nie zostało złamane, bo duchy potrafią rozpoznać żart.

A co by się stało, myślałam teraz, gdyby dorosły człowiek, w pełni świadomy swoich czynów, odważył się na coś podobnego? Czy duchy zawsze potrafią odróżnić dziecko od dorosłego, a szamana od zwykłego człowieka? Czy – tu aż wstrzymałam oddech, porażona własną beczelnością – czy w ogóle zwracają na nas aż tak wielką uwagę?

\*

Późnym wieczorem przedstawienie dziecka dobiegło końca. Syn Ticasuk był już bezpieczny: nazywał się Tarralikitak, a nad jego duszą czuwał śnieżny lis.

Oddaliłam się od kręgu świętujących i wczółgałam do chaty szamanki. Wejście było niskie, tuż nad ziemią, by do środka nie wpadał porywisty wiatr. Wiedziałam, że zachowuję się niedopuszczalnie; duchy, jeśli to widziały, pewnie już mruczały gniewnie, ale to i tak było nic w porównaniu z odgłosami, jakie co wieczór wydawał mój żołądek.

Chata była przestronna i urządzona dostatnio – w zamian za odprawianie rytuałów mieszkańcy wioski znosili Liść najlepsze rogi, skóry i futra. Jako że była zdolną rzeźbiarką, miała też wiele noży, kubków, mis i innych naczyń, wszystkie pięknie zdobione i wyczyszczone na błysk. Wiedziałam, że przedmioty, których używa do szukania dusz, trzyma w niewielkiej skrzyni owiniętej skórą białego karibu, w najdalszym kącie sypialnym. Poszperałam w środku i już po chwili trafiłam na wąski jeleni rożek pełen brązowego proszku – zapamiętałam dobrze, który to z nich, bo policzyłam odnogi – i miękki, bezkształtny worek pełen suszu.

Wyczółgałam się na zewnątrz, zaciskając zdobycz w pięści. Nie wzięłam dużo, staruszka pewnie nawet nie zorientuje się, że trochę ubyło.

Obróciłam się, by odejść do własnego domu, i zamarłam. Dziesiątki kruków patrzyły na mnie z okolicznych dachów.

Nie mogłam krzyknąć, by je przegonić, bo ktoś mógłby usłyszeć.

Ruszyłam naprzód, ostrożnie, myśląc, że może, jeśli będę iść powoli, ptaki nie wzniesą rejdachu. Gdy jednak postąpiłam krok naprzód, kruki zerwały się i runęły na mnie wielką falą. Dziobały, gdzie popadnie, jak grad: w głowę, ramiona, plecy. W biegu szarpnęłam kaptur i naciągnęłam na twarz, by zasłonić oczy. Ich dziobnięcia wprawdzie nie przerwały mocnej skóry amautika, ale i tak bolały.



A potem okazało się, że to było tylko ostrzeżenie.

Teraz twarde, ostre dzioby rwały już ubranie, rozdzierały skórę, a lodowate ukąszenia wiatru były równie bolesne co ciosy. Czułam też wszędzie uderzenia skrzydeł, które biły, trzepotały, przesłaniały wzrok, aż w końcu pędziłam przed siebie na oślep, póki coś nie podcięło mi nóg, a w głowie nie rozkwitł ból.

Ocknęłam się zdyszana, z zaschniętymi ustami. Ogień w palenisku ledwie się żarzył.

Koszmar, zrozumiałam, otrząsając się z resztek snu. Przyśniła mi się tamta noc sprzed pół księżycy, gdy ukradłam zioła i grzyby z chaty szamanki. Wtedy nie było kruków, nikt nie przeszkodził mi w dotarciu do chaty. Nocna zmora, nic więcej.

Nurjuk zawodził głośno przy mojej piersi, co jakimś cudem nie obudziło mnie wcześniej; musiałam odpłynąć naprawdę daleko. Lewa ręka bolała, dotkliwie piekły koniuszki palców, które po posmarowaniu łojem wetknęłam do ognia. Wciąż byłam rozebrana do pasa, całe ciało miałam zimne, z wyjątkiem dłoni i miejsca, gdzie przylegało do mnie małe ciało. Nurjuk płakał coraz głośniejszym, tym swoim skrzekliwym zawodzeniem, które wwiercało się w mózg i zawsze budziło mnie z najgłębszego snu. Piers już dawno musiała być pusta. W ogóle nie pamiętałam, żebym go przystawiała.

Grzyby z miękkiego woreczka – bo to były jakieś grzyby – smakowały ohydnie; nie miałam pojęcia, dlaczego Liść zjadała je z takim namaszczeniem. Ciągłe czułam w ustach ziemistą gorycz i ostry smak żółci, która podeszła mi do gardła, gdy zmusiłam się, by przełknąć to paskudztwo. Próbowalam splunąć, ale w ustach nie było śliny. Obróciłam się do konwi z wodą, w której topiłam śnieg, nabrałam czerpakiem i piłam, aż spływała mi po brodzie. Potem zwałam się na posłanie i przystawiłam Nurjuka do drugiej piersi.

To tylko sen, pomyślałam z ulgą. Tylko sen. Ale pamiętałam też, że zanim zaczął się koszmar, przez chwilę widziałam wioskę z góry, jakbym wspięła się dużo, dużo wyżej niż na najwyższe drzewo w okolicy. Przez chwilę czułam się tak lekka, jakby moje kości były puste w środku, a palce u rąk porośnięte pierzem.

\*

To nieprawda, że zimą wilki chodzą głodne. Miękkie łapy pozwalają im łatwo stąpać po lodzie, na którym ślizgają się kopyta renów i jeleni. A wiosną, po nadejściu roztopów, wilki chętnie gonią ofiary dolinami rzek albo zapędzają je w pułapkę, gdzie drogę zagradza skała albo zwalone drzewo. Widząc taką przeszkodę, nawet jeśli jest niewielka, ścigane zwierzę zwykle zawaha się przez krótką chwilę. Wilkom to wystarczy.

Dwa księżycy po nieudanych łowach, które przerwały mamuty, biegłam na nartach wzdłuż zamrożonego potoku, zmierzając do miejsca, gdzie na tle szarego nieba widziałam czarną sylwetkę kruka. Wilki chętnie zabijały w takich miejscach, bo ofiara nie mogła uciec w bok po stromej ścianie, musiała biec potokiem pełnym wystających kamieni. Obserwując kołującego ptaka, miałam nadzieję, że gdzieś tam leży truchło.

Pokonałam zaśnieżone wzniesienie. Kawałek ciemnej sierści, który widziałam z daleka, okazał się młodym wołem, cielakiem zaledwie. Zdziwiłam się, widząc, że kruk nie zwraca na niego uwagi, zamiast tego lata dalej, tuż nad brzegiem potoku.

Gdy zbliżyłam się bardziej, ptak zniżył lot, ale nie usiadł, jakby nie miał odwagi pożywić się padliną. Odleciał dalej z ochryplym krakaniem, a wtedy zrozumiałam, czego tak wypatrywał w trzcinach. Spomiędzy badyli wysunął się wąski pysk, szyja z obfitym, szarym kołnierzem, a potem szczupłe ciało. Wilczyca patrzyła na mnie, aż w końcu podniosła ogon i lekko poruszyła nim w powietrzu, zaniepokojona, ale i zaciekawiona.

Byłam pewna, że to ona. Gdy stałyśmy nad truchłem jelenia tamtego dnia, zanim spłoszyło nas stado mamutów, wpatrywałyśmy się w siebie przez długie chwile i rysunek jej wąskiego pyska pozostał mi w głowie jak wyryty nożem. Nie wiem, czy mnie rozpoznała, ale najwyraźniej uznała, że nie jestem zagrożeniem, i spokojnie zaczęła się pożywiać.

A ja stałam na śniegu, zastanawiając się, dlaczego właściwie uparłam się, żeby szukać wilczych ofiar, patrząc akurat oczami kruka.

\*

Było więcej pytań, które nie dawały mi spokoju, gdy przebijałam się na nartach przez las. Ciągłe wracałam do jednego: co sprawiło, że wilczyca przyprowadziła szczeniaki na łowy? W którymś momencie nadałam jej imię – nazwałam ją Siwa, od jasnego kołnierza sierści. Jej młode rodzą się puchate i ślepe, a te niewątpliwie już widziały i potrafiły się poruszać. Ale nie dostrzegłam przy nich żadnych innych wilków, a przecież pamiętałam tamtego jelenia, którego trzeba było porzucić na stratowanie – był to duży, silny byk o pięknym porożu. Żeby zabijać tak duże zwierzęta, wataha musi się składać z doświadczonych myśliwych, którzy wspólnie ścigają ofiarę,

rozbiegają się i spotykają znowu, kierując się sobie tylko wiadomymi znakami. Kąsają zwierzę w biegu i czekają, aż się zmęczy, a następnie zaganiają je w miejsce, z którego trudno uciec. Natomiast Siwa zawsze chodziła sama, co mogło oznaczać tylko jedno: jej wataha została rozbita. Jest tylko ona i te dwa małe wilczki.

Po raz pierwszy pomyślałam wtedy, że ona na pewno wie, jak to jest, a w słowie „to” zamknęłam całe swoje życie. Dziwna to była myśl.

\*

Ziemia, po której chodzi jedna wilcza wataha, jest wielka, może sięgać od jednego pasma gór do drugiego albo obejmować cały las, szeroki na wiele dni marszu. Siwa – najprawdopodobniej – żyła samotnie, ale pewnie i tak nie zdołałabym obejść jej ziemi w sensownym czasie.

Gniazdo nie mogło leżeć dalej niż o dzień drogi od miejsca, gdzie wtedy spotkałam Siwą, ale jego znalezienie i tak zabrało mi pół księżycy. Mogłam go szukać wyłącznie po wyglądzie roślin, przyglądając się im na wysokości wilczego grzbietu, i obserwować miejsca, gdzie szorstka sierść starła trochę śniegu. Siwa była ostrożna, miałam właściwie pewność, że kilka razy odkryła moje ślady i – jak w takich sytuacjach robią wilki – przeniosła szczeniaki gdzieś dalej.

W końcu znalazłam je całkiem niespodziewanie – nieopodal wykrotu, który wcześniej minęłam przynajmniej dwa razy. Szczeniaki patrzyły na mnie z głębi nory, bardziej zaciekawione niż przestraszone. Nie wiedziały jeszcze, dlaczego człowieka należy się obawiać, ale co do mnie miały rację – nie musiały się bać, przynajmniej na razie. Przyjrzałam się wnętrzu nory, domyśliłam się, gdzie Siwa musiała zwykle leżeć, gdzie zwijała się w kłębek, by swoim ciepłem otoczyć młode, przytknęłam tam dłonie i pogrzebałam w ziemi. Mogłam to zrobić bez przeszkód, przez cały czas ani razu nie usłyszałam, żeby w pobliżu choć zaszeleściły zarośla. Chciałam, żeby jej zapach mnie przeniknął, chciałam go czuć, gdy wieczorem usiądę przy ogniu.

Wiedziałam, że większość wilków obawia się ludzi, doświadczona wadera może z ukrycia obserwować, jak łowca wybiera jej gniazdo, i nie zareagować, bo strach jest zbyt silny. A jednak z jakiegoś powodu byłam



pewna, że Siwa była akurat gdzieś daleko i nie widziała, jak gmeram w jej leżu. Siwa by walczyła.

\*

Gdy szłam przez tundrę, wokół moich stóp w swoich norach w zimnej ziemi kłębiły się myszy i norniki. Wiewiórki ziemne szczebiotały, gdy przechodziłam. Drobną mysz tylko z pozoru nie jest zdobyczą godną wilka – to wprawdzie niewielki, ale bardzo wartościowy posiłek. Ludzie Zimnej Ziemi nie jadali myszy, bo odzieranie ich ze skóry i odgryzanie od kości zabierało więcej siły, niż dostarczała ta odrobinka mięsa, ale potężne wilcze szczęki miażdżyły ich ciała w całości.

Podczas obrzędu szukania tarneq dziecka Liść nie wiedziała, jakiego zwierzęcia poszukuje, więc unikała skojarzeń, które mogłyby ją naprowadzić na coś konkretnego, ale ja wręcz przeciwnie. Rękami, które jeszcze pachniały dwójką szczeniąt, schwytałam mysz. Skręciłam jej łebek i z grubsza sprawiłam skórkę, a potem, siedząc już w domu za szczelnie zaciągniętą zasłoną wejściową, zacisnęłam szczęki, pozwalając, by drobne kości chrupnęły, a krew wypełniła usta.

\*

Jeśćjeśćjeść.

Krew myszy. Zlizalam ją z warg. Zęby, po których przesunął się język, były ostre, wydłużone. Ponownie oblizalam sierść na pysku, w oczekiwaniu rychłego posiłku.

Więcej. Więcej.

Otworzyłam oczy.

Jeśćjeśćjeść.

Chwyciłam wiatr w nozdrza i poczułam, jak krew śpiewa, całkiem blisko. Tej nocy miałam jeść nie tylko gryzonie.

Ren?

Taktaktak.

Lubiłam ich ciemne, smakowite mięso. Uwielbiałam wyzwanie, ich wolę walki, gdy mknęły przed siebie w panice, próbując mi umknąć.

W powietrzu unosił się apetyczny zapach. Coś niedużego koło suchego krzewu, nie zwierzę. W każdym razie nie żywe zwierzę, nic się nie poruszało, krew nie tętniła.

Resztki? Nie można zostawić.

W ostatniej chwili, gdy już prawie miałam je w pysku, zrozumiałam, na co patrzę. Kunnuk, wódz Dzieci Zimnej Ziemi, był mistrzem pułapek i miałam przed sobą jedno z jego dzieł: dużą bryłę zamrożonego tłuszczu, w której ukryto ciasno zwinięte wielorybie fiszbiny. Gdy zwierzę ją połykało, tłuszcz topił się w jego żołądku, a wtedy ostra fiszbina rozwijała się na całą długość, rozrywając wnętrzności.

Cofnęłam się, czując, jak sierść jeży mi się na grzbiecie. Niewiele brakowało.

Ren pasł się nieopodal legowiska ludzkiej watahy. Może myślał, że uchroni go to przede mną, że nie podejść tak blisko osady. Stał nieruchomo; zapadł w lekkie odrętwienie, jak to reny miały w zwyczaju nocą, co pozwalało im zachować siły potrzebne do przetrwania. Jego ciało było chłodniejsze, serce biło powoli. Wiedziałam, że odzyska przytomność dopiero, gdy wszędzie słońce. Wtedy będzie już za późno.

Podeszłam powoli, a potem uderzyłam błyskawicznie, z otwartym pyskiem, rozrywając zębami udo. Zwierzę ocknęło się i szarpnęło rozpaczliwie, rzucając się do ucieczki, ale nie zdążyło odbiec, bo zacisnęłam szczęki na jego szyi i ścisnęłam tak długo, aż przestało się miotać. Zapewne było tak przerażone, że niewiele poczuło.

Jeść. Jeść. Zatopiłam zęby.

Co ja robię?

Z trudem przypomniałam sobie, co tak naprawdę zamierzałam. Żołądek zawył mi, gdy cofnęłam się o krok – nie mogłam się zmusić, by odwrócić się do zdobyczy tyłem.

Co ja robię?

Szczenięta będą głodne.

Szczenię będzie syte.

Zmusiłam łapy do ruchu. Zawróciłam, postąpiłam krok naprzód, by odejść. Tak naprawdę to nie ja zabiłam zwierzę, Siwa to zrobiła, a teraz

musiała odejść, żebym ja mogła zabrać zdobycz. Zęby obnażyły się same, cała drżałam jak w gorączce. Zwinęłam się w spazmie, zawracając do zdobyczy. Jeść, jeść, pożerać. Młode. Jeść.

Coraz trudniej było mi się skupić, bo miałam wrażenie, że rozrywam się na pół, moje myśli ciągnęły w jedną stronę, ciało wilczyca w drugą.

Jeść, żreć, połykać. Młode. Zanieść. Teraz. Teraz.

Próbowałam dać krok wstecz. Łapy nawet nie drgnęły, jak przymarzniete do ziemi.

Żołądek miotał się na wszystkie strony, czułam, jakby coś szarpało go od środka. Chyba nigdy w życiu nie byłam taka głodna.

Jak wilk.

Sierść mi się zjeżyła, słyszałam warkot dobiegający z własnych trzewi. Ciało szarpało się w drgawkach, próbując walczyć z wrogiem, którego nie widziało.

Po co to wszystko? – pomyślałam nagle. Przecież wilczyca z młodymi nie zje wszystkiego naraz, część zostawi na później. A wtedy ja przyjdę i też się pożywię.

Wpuściłam ją i spadłam w ciemność.

\*

Wracając z polowania, znów natrafiłam na Toklę. Wskazał ręką na udziec rena, który niosłam na ramieniu.

– Dobre łowy – stwierdził.

Nie złamał tabu, bo przecież o nic nie spytał. Skinęłam głową.

– Jesteś coraz lepszą łowczynią. Widać, że twój syn jada teraz do syta. – Znów się zbliżył niebezpiecznie do zakazanego tematu, ale wciąż nie złamał tabu, bo nie nazwał Nurjuka swoim. – Ty także. Niebawem odzyskasz siły i będziesz mogła pomyśleć o kolejnym dziecku.

Cofnęłam się odruchowo.

– Nie.

– Dlaczego?

Wyobraziłam sobie samotne polowanie z Nurjukiem i drugim dzieckiem rosnącym w brzuchu, wysysającym siły, sprawiającym, że ręce i nogi stają

się ocieźżałe, a strawa podchodzi do gardła.

– Życie i bez niego jest wystarczająco trudne.

Mężczyzna milcząco wskazał na udziec, jakby się droczył. Zirytowana potrząsnęłam głową.

– Jest trudne, możesz mi wierzyć.

– Ale czyż duchy przodków nie przykazały nam tego obowiązku? Byśmy rozniecali iskrę życia? – Podszedł o krok bliżej. – Niedługo przyjdą twoje dni. Wiem, że wróciło ci już krwawienie, nie zaprzeczaj, Ticasuk widziała, jak pierzesz ubrania w strumieniu. Czekaj na mnie za cztery noce po zmroku.

– Nie.

– Nie możesz uchylać się od obowiązku. To złamanie tabu. Przyjdę.

– Zostaw mnie! Idź sobie do... – imię kobiety, która miała wielu braci, samo wskoczyło mi na język, w ostatniej chwili powstrzymałam się, żeby nie złamać tabu – ...do kogoś innego. Daj mi spokój!

Odwrociłam się i ruszyłam w noc.

\*

Następnego wieczoru od strony morza nadeszło dwóch mężczyzn.

Z początku myślano, że to wilki. Nikt by tak nie pomyślał, gdyby Wesoła Chugiaq, która często stała na straży, nie zarzekała się przez ostatnich kilka dni, że widziała wilka czającego się między kamieniami i przemykającego w suchej trawie. Kunnuk, inni starsi, nawet szamanka Liść powtarzali jej, że to niemożliwe, że wilki tak nie robią, że boją się ludzi, ale nie dała się przekonać.

Gdy nadeszli obcy, Chugiaq przez chwilę myślała, że to znów wilki, i narobiła hałasu, aż ludzie wybiegli z chat z bronią. Obcy sami byli sobie winni, bo nie podeszli od razu, by zastukać w któryś dach, tylko czaili się w trawie, skąd widać było czubki ich głów. Tkwili tam, dopóki Kunnuk nie zażądał, żeby się pokazali. Powolnym krokiem, kołysząc się z boku na bok, nieznajomi wyszli na środek placu. W rękach ściskali włócznie z kościanymi grotami i kamienne toporki, jakby obawiali się mało życzliwego powitania.

– Nazywam się Amak – oznajmił wyższy, po czym wskazał na swojego towarzysza, którego twarz ledwie było widać zza futrzanego kołnierza, jakby

wciąż próbował się ukrywać – a to jest mój przyjaciel Injuquak. Pochodzimy z Kamiennego Brzegu, szliśmy tu prawie dwa księżyce. Szukamy kobiet, które zechcą wysłuchać opowieści o naszych stronach.

Tak się na to mówiło. Czasem zdarzało się, że mężczyźni odbywali dalekie wędrówki w poszukiwaniu partnerki do pokładzin, gdy nie mogli jej znaleźć we własnej osadzie.

Usłyszałam, jak Ticasuk szepcze do brata, że się jeszcze sporo nachodzą, bo kobieta, która przyjmie ich do siebie, będzie musiała być ślepa. Rzeczywiście, nie przynieśli ze sobą zbyt wiele podarków, a jeden rzut oka na ich odzież wystarczył, by ocenić, że nie byli dobrymi łowcami. Skóry były stare, dawno niewymieniane, do tego źle zszyte pod pachami, stąd wiedzieliśmy też, że żaden z nich nie miał dzietnej siostry, która zostawałaby na dzień w wiosce i dbała o ich ubrania.

I pomyślałam, że może nieźle się składa.

Injuquak był bardziej krępy, a jego kurta prezentowała się nieco lepiej niż Amaka, który mówił za nich obu, a na plecach miał zawieszony bębenek. Miałam ochotę podejść i uszczypnąć go w żebra, żeby zobaczyć, czy rzeczywiście jest tak chudy, jak się wydaje. Widać było, że rzadko udaje mu się złapać cokolwiek więcej niż ryby.

To nie musi być takie złe, pomyślałam znów i poczułam kielkujący plan. Wystąpiłam naprzód, stając obok Kunnuka.

– Jeśli chcecie znaleźć chętne kobiety, musicie postarać się o lepsze ubrania niż te, w których tu przybyliście. Być może mam pomysł na to, żebyśmy pomogli sobie nawzajem. Wyglądacie na głodnych, a ja mam w spiżarni kawałek bobra, dobrze skruszały i smaczny. Wejdźcie do mojej chaty i porozmawiajmy.

W tłumie rozszedł się pomruk zdziwienia.

Amak pochylił głowę, by przywitać się ze mną jak należy. W przelocie dotknęłam go nosem i przyłożyłam czoło do jego czoła, ale trwało to bardzo krótko; taki kontakt był przeznaczony dla bliskich osób. Odsunęłam się i wydmuchnęłam powietrze przez nos. Nie chciałam mieszać naszych dusz, dopóki nie poznam go lepiej.

Mieszkańcy osady wiedzieli, że skoro zaprosiłam Amaka i Injuquaka przy wszystkich, na pewno nie zamierzam się z nimi pokładać, bo nie

zaryzykowałabym ściągnięcia w ten sposób uwagi złych duchów. Spółkowanie to delikatny moment, dlatego należało uprawiać je w tajemnicy – po zmroku i bez mówienia o tym głośno.

– Oto mój dom. – Wskazałam ręką chatę. Wprawdzie zapadł już zmrok, ale mężczyźni prawie na pewno zauważyli, że skóry na dachu nie są nowe. – Poczekajcie chwilę, wyjmę teraz mięso ze spiżarni, żeby nie chodzić dwa razy – dodałam. Odwróciłam się w stronę niewielkiej przybudówki i uniosłam zasłonę, celowo robiąc to bardzo wolno, tak by goście mogli zajrzeć do środka i zobaczyć suszące się tam mięsa. Jeśli po obejrzeniu chaty przez chwilę zwątpili, czy moje zaproszenie jest cokolwiek warte, to teraz rozwiałam ich wątpliwości.

– Wejdźcie, proszę – rzekłam w końcu, odsuwając futrzaną zasłonę przy wejściu.

Wczołgałam się do chaty za nimi, zapaliłam steatytową lampę pełną tłuszczu i odkryłam otwór w dachu, żeby dym mógł uchodzić. Migoczący płomień rzucał wokół bladą poświatę, przez co wszystko zdawało się bardziej miękkie i gościnne.

W chacie szybko zrobiło się ciepło, mężczyźni zdjęli futrzane płaszcze i skórzane tuniki. Zaniiosłam do paleniska tuskę bobra, którą oczyściłam już wcześniej, usuwając łuski i pazury. Po wypłukaniu i podgrzaniu skruszałe mięso nadawało się do spożycia. Mężczyźni rzucili się na jedzenie – po ich apetycie poznałam, że z pewnością nieczęsto jadali mięso, a może ich zdolności kuchenne były jeszcze gorsze niż łowieckie. Po napełnieniu żołądków wyraźnie się odprężyli, wkrótce też zaczęli się śmiać i żartować. Amak opowiadał niezwykle historie – jego głos brzmiał jak huk fal bijących o brzeg, gdy słucha się ich z bezpiecznej odległości, leżąc na brzegu pod odwróconym czołnem, przy trzaskającym ogniu. A gdy już stało się zadość towarzyskiej oglądzie, zaparzyłam wywar z kory i wyjaśniłam im, co planuję.

Amak mimo wszystko zrobił na mnie dobre wrażenie. Mógłby zabawiać Nurjuka swoimi opowieściami, za kilka lat usiąść z nim na brzegu potoku, pokazać mu, jak mierzyć w ryby włócznią i jak zakładać pułapki, a kiedy chłopiec byłby już starszy, stałby u jego boku podczas ceremonii na miejscu, które powinien zająć jego najbliższy męski krewny. Nie przeszkadzało mi, że

nie umiał polować. Potrafił przecież inne rzeczy. Jeśli pomieszkałby u mnie dłużej, mógłby zrobić sobie lepsze ubranie ze skór, których obecnie mi nie brakowało, a wtedy jakaś kobieta z pewnością spojrzalaby na niego przychylniej. A ja mogłabym przyjąć go jako brata. Nie była to częsta praktyka; zdarzała się, jeśli w jakiejś osadzie brakowało mężczyzn – jak w tej historii o niedźwiedzicy i małym śnieżnym lisie.

– Twój przyjaciel może zostać z nami kilka dni, a potem wyruszyć do innej osady na dalsze poszukiwania – zaproponowałam. – A jeśli okaże się przyzwoitym łowcą, może któraś z kobiet w naszej wiosce jednak zwróci na niego uwagę.

Niektórzy plotkarze, ryzykując naruszenie tabu, czasem szeptali, że Smągła Chulyin już dawno nie była z mężczyzną. Nie wiedzieli co prawda, czy nadal może mieć dzieci, ale na pewno miała jeszcze większość zębów.

Mężczyźni spojrzeli na siebie i przez chwilę naradzali się w kącie. Po dłuższej chwili Amak skinął mi głową.

\*

Dopiero po jakimś czasie zrozumiałam, jakie miałam szczęście, że za pierwszym razem zdołałam zabić tego rena.

Z doświadczenia wiedziałam już, że tylko jedno na pięć wilczych polowań kończyło się zdobyczą. Gdy budziłam się w ciele Siwej, od razu czułam, jak dawno jadła, i to uczucie było swojskie i niepokojące jednocześnie. Wilcze ciało doskonale nawykło do obywatnia się bez pożywienia przez kilka dni, ale moja ludzka dusza była przyzwyczajona do jedzenia codziennie.

Gdy biegłam razem z Siwą, nie jechałam na jej grzbiecie, bezradna niby dziecko w amautiku matki. Przemierzałam las na jej wilczych łapach i nie czułam się w jej skórze obca, skazana na ludzkie wspomnienia. Wiedziałam wszystko, co pamiętały jej zmysły, jedne zapachy od razu budziły radość i podniecenie, kolejne czujność, a jeszcze inne były mi zupełnie obojętne. Mięśnie same wiedziały, kiedy się przyczaić, a kiedy spinać do skoku. Gdy trafiałam na tropy innych wilków, odkrywałam, że pamiętam, jak to jest biegać we własnym stadzie, i dopiero w takich chwilach odczuwałam

przejmującą samotność. Unosiłam wtedy łeb i wyłam rozpaczliwie, jakbym nawoływała swoją watahę, choć wiedziałam, że nikt mi nie odpowie.

\*

Tokla zaczął się na mnie kolejnego dnia, gdy wracałam z polowania. Ledwie dostrzegłam, na co się zanosí, i nie zdołałam złagodzić uderzenia, gdy przycisnął mnie do pnia drzewa.

– Ty szalona! Co ty wyprawiasz?! Chcesz ściągnąć na nas zgubę?!

Odepchnęłam go ze złością; drgnął, ale mnie nie puścił. Nie strzelał za dobrze z łuku, ale był tęgi i silny w starciu wręcz.

– To ty jesteś szalony! – odgryzłam się, rozdrażniona. – Czemu czaisz się za drzewem? Dlaczego mnie napadasz?

– Nie masz wstydu, kobieto?! – Napał na mnie, przybliżając twarz, aż poczułam na ustach jego oddech. Pospiesznie odwróciłam głowę. – Wiem o twoich sprawkach. Zakradłem się w nocy do twojej chaty, przekonać się, czy to możliwe, że jesteś tak głupia, by kłaść się otwarcie z tymi przybłędami.

Potrząsnęłam wściekle głową.

– Toklo, jesteś jak dzika świnia, która ryje za nieswoimi sprawami.

Jego uścisk stężał jeszcze bardziej, gdyby nie gruba odzież, pewnie zostawiłby mi ślady na skórze.

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

Wciąż nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale nie zamierzałam się z niczego tłumaczyć.

– Owszem. A może nie. Ten jeden raz twoje wścibstwo może okazać się pożyteczne. Teraz, jeśli ktoś spyta, sam będziesz mógł potwierdzić, że nie spółkuję z tymi mężczyznami. Okazałam im jedynie gościnność.

Zaśmiał się dziko, błysnęły mu białka oczu.

– Och, nie, rzeczywiście! Za to robisz coś znacznie gorszego.

– Doprawdy? A niby co takiego?

– Umyśliłaś sobie, że zajmiesz miejsce Liść, gdy starucha wyciągnie kopyta? Stąd te twoje zabawy?



Zamarłam. Tokla uśmiechnął się triumfalnie i przysunął wyciągnięty palec do mojej twarzy.

– Nie obchodzi cię, że rozgniewasz duchy tym nieudolnym naśladowaniem? Widziałem, jak mamrociesz przy ogniu.

Zalało mnie przejmujące zimno, jakbym nagle stanęła przed nim bez odzienia. Zanim łączyłam dusze Siwej i swoją, zawsze czekałam do późnej nocy i nie sądziłam, że ktoś ze wsi może mnie przy tym zobaczyć. Po co miałby to robić? Nie miałam pojęcia, że natrętność Tokli sięgnęła aż tak daleko.

– Duchy nie są głupie – próbowałam panować nad głosem. – Dzieci bawią się w szamanów i jeszcze nikt na tym nie ucierpiał.

– Ty nie jesteś dzieckiem. Wiesz, co robisz, i mimo to ryzykujesz, by zaspokoić swoją pychę. Wszyscy we wsi powinni się dowiedzieć.

– Nie zrobisz tego!

Puścił mnie i się odwrócił.

– Może i nie zrobię... jeśli ty zrobisz coś dla mnie. Potem, kiedy foki zaczną omijać nasze przereble, a bawoły uciekną od naszych włócznie, ja być może zapomnę ujawnić na wiecu, czyja to wina.

– Czego chcesz? – spytałam i poczułam, że robi mi się duszno. Już wiedziałam.

\*

Obudziłam się przed świtem i już nie mogłam zasnąć. Myślałam o tym, jak niewiele mam czasu. Tokla zamierzał przyjść nazajutrz, póki jeszcze trwały moje dni.

Od paru księżyców mogłam polować, patrząc oczyma Siwej. Nie wiedziałam, ile grzybów zwykle zjadała szamanka przed rytuałem... Może wzięłam za dużo, bo odkryłam, że potem nie musiałam już brać więcej, wystarczyło się położyć, zamknąć oczy i mocno skupić. Może nawiązałyśmy z Siwą jakąś więź, która ułatwiała mi przejście?

Przez cały czas rozważałam w duchu, co powiedział Tokla. To prawda, teraz, gdy miałam jeszcze do pomocy Amaka, być może dałabym radę wykarmić kolejne dziecko. Ta świadomość jednak nie uspokajała mnie, bo

teraz, po tych pogróżkach, jakie usłyszałam z jego ust, nie mogłam już znieść myśli o tym, że miałyby mnie dotknąć. Nieważne, że dobrze wyglądał i że z pewnością przyniósłby ze sobą piękne podarki. Na samo jego wspomnienie ręka wędrowała do ulu zawieszzonego przy pasie, a ja się czułam, jakbym na haku w spiżarni zamiast ususzonego mięsa odkryła gnijące ścierwo. Czy potem, za każdym razem, gdy brałabym dziecko na ręce i przystawiała do piersi, czułabym echo tego wstępu? Czy przy każdym na nie spojrzeniu odczuwałabym gniew i po raz kolejny rozpamiętywała doznane upokorzenie? Czy – serce prawie zamarło mi przy tej myśli – posunęłabym się tak daleko, by zapragnąć, aby tarneq dziecka nie ocalił go, gdy nadejdzie niebezpieczeństwo?

Nie mogłam na to pozwolić.

\*

Przez całą noc próbowałam sięgać w inne strony. Wyobrażałam sobie, że otwieram umysł, jak zapewne robiła to Liść, gdy szukała opiekuńczych dusz dzieci, próbowałam rozciągnąć go niczym skórę szykowaną do wysuszenia na słońcu, i spadałam w mrok z rozłożonymi rękami. Niech to będzie niedźwiedź, myślałam, wyobrażając sobie jego długie zęby i potężne łapy. Niech to będzie mamut, prosiłam za chwilę, myśląc o głębokich odciskach ciężkich nóg tych zwierząt. Może nawet duży jeleni potrafiłby to zrobić, gdyby wypadł nagle z zarośli.

Raz za razem młóciłam na oślep rękami, jakbym próbowała łapać wodę, ciemność albo pustkę. Po każdej próbie budziłam się na ziemi przy palenisku bez żadnych wspomnień przebywania w innym ciele, słysząc chrapanie Amaka śpiącego w kącie z Nurjukiem.

W końcu, poruszając się jak najciszej, żeby ich nie zbudzić, wciągnęłam pończochy z króliczych skórek, nogawice z karibu, mokasyny wykładane futrem i zawiązałam ciasno foczą tunikę. Na to włożyłam długi płaszcz z amautikiem, obsyty przy kołnierzu lisim futrem, i wypęłzałam przed chatę. Świt nadchodził, czułam to po zimnie kęsającym policzki, choć w resztę ciała, otuloną skórą, było mi niemal zbyt ciepło. Nad horyzontem widziałam już bladą kreskę, ale nisko przy ziemi, w mroku, za kręgiem kamieni dostrzegłam łyskające ślepie.

- To musisz być ty - powiedziałam do Siwej i zamrugałam, bo oczy zapiekły mnie od wiatru. - Nie ma wyjścia. Próbowałam. Wybacz mi.

Odwrociłam się w stronę chaty, pytając samą siebie, dlaczego nie mogło być inaczej. Dlaczego Siwa i ja nie mogłyśmy biec na łowy noga przy nodze, dlaczego nie mogłam przyjąć jej pomocy i skorzystać z jej oczu i uszu? Wcześniej robiłam to wielokrotnie i sama nie wiedziałam, czemu teraz czuję opór. Może dlatego, że wcześniej z upolowanej zdobyczy korzystałyśmy obie, a teraz samolubnie miałam zrobić coś tylko dla siebie.

\*

Troptroptrop.

Przyłożyłam nos do ziemi, wtykając go w odcisnięte ślady stóp i chłonąc ostry zapach człowieka, który tędy przeszedł.

Znałam tę woń, spotykałam ją już wcześniej w całej okolicy. Wiedziałam, gdzie człowiek ten ma w zwyczaju polować, które miejsca lubi, jak śledzi zwierzęta.

Biegając, wdychałam powietrze, czułam, że skóra na grzbiecie mrowi z ledwie tłumionego lęku. Wszystkie wilki bały się ludzi. Strach przed tym silnym, doświadczonym łowcą w płaszczu z wielkim kołnierzem z wilczego futra kłębił mi się w brzuchu i jeżył sierść na karku. Ale miałam też świadomość, że zabijałam już lepszych od niego.

Łówołówołów.

Gdy miałam jeszcze własną watahę, często wpadaliśmy w środek stada wołów piżmowych, by oddzielić od reszty najsłabsze zwierzęta: cielęta i karmiące krowy. Wataha była liczna i mięsa nie zawsze starczało dla wszystkich, ale ja byłam wtedy najsilniejsza w stadzie, płodna, z brzuchem pełnym szczeniąt, i mogłam jeść do syta.

Nawet później, gdy nie miałam już watahy, zdołałam raz zabić wołu piżmowego, kilkuletniego potężnego byka, zupełnie sama. Okrążałam go i uderzałam na zmianę, zmuszając, by podążał za mną. Byk machał łbem, próbując mnie odpędzić. Uchylałam się, gdy uderzał, i doskakiwałam do niego na ugiętych łapach, gdy tylko się cofnął. Cały czas stałam naprzeciw niego na tyle blisko, by musiał podrywać łeb, bo nie mógł zahaczyć mnie z boku potężnym rogiem. Odskakiwałam, gdy atakował, i wracałam,

czekałam, aż się zmęczy. Dwa razy zdołałam wbić zęby tuż za jego pyskiem, ale Siostra Słońce zdążyła już skryć się za horyzontem, zanim wół wreszcie upadł. Przy kolejnym okrążeniu zdołałam go zająć z boku, chwycić zębami za uchem i pociągnąć ku ziemi. Po raz ostatni podniósł w moją stronę zakrwawiony łeb, spojrzął na mnie i zwałił się nieruchomo w śnieg.

Jak się przekonałam, temu człowiekowi daleko było do wołu.

\*

Obudził mnie krzyk.

Ktoś spieszył w stronę wsi, zawodząc przeraźliwie już z daleka. Zerwałam się z posłania, ubrałam pospiesznie i wypadłam przed chatę. Qimmiq z trudem wszedł pomiędzy budynki, zgięty wpół pod ciężarem, i złożył na ziemi zakrwawione ciało, a ja nie musiałam na nie patrzeć, by wiedzieć, kto leży na śniegu.

Ticasuk zatchnęła się głośno i zamrugwała. Z głośnym zawodzeniem padła na kolana, sięgnęła drżącą ręką, odwiązała ulu od paska Tokli i położyła sobie na kolanach. Wszyscy obecni patrzyli na nią w napięciu, zaciskając pięści. Kobieta pochyliła się, kołysana szlochami, aż w końcu zdarła z siebie płaszcz i miękką tunikę. Odchyliła głowę, a kiedy spojrzała prosto w niebo, uniosła ulu i wymierzyła w miejsce tuż pod lewą piersią.

Jej drugi brat, Kinaktok, padł przed nią na kolana i chwycił jej dłoń, gdy tylko ostrze dotknęło skóry, powstrzymując cios. Drugą rękę położył jej na ramieniu tuż obok szyi.

Upłynęła długa chwila, a potem Kinaktok pomógł siostrze obwiązać ranę. Ofiara Ticasuk została złożona i nie została zapomniana.

– Mówiłam wam! – wrzasnęła skrzekliwie Chugiaq. – Mówiłam wam, że wilk krąży wokół wsi! Nie chcieliście mnie słuchać!

Kunnuk skinął głową.

– Trzeba zabić to zwierzę. Gdy już raz posmakowało ludzkiego mięsa, będzie go pragnęło zawsze. Wyłożymy pułapki w lesie.

Znów miałam mało czasu.

\*

Biechiebiec.

Biegłam naprzód jednostajnym tempem, długimi rozkołysanymi susami, które szybko pożerały odległość. W pysku czułam ciężar szczenięcia. Musiałam zanieść je najdalej od nory, jak tylko zdołam, znaleźć mu dobre legowisko i zdążyć jeszcze wrócić po drugie. Miałam nadzieję, że gdy zostawię Siwą samej sobie, to, mimo oszołomienia, uzna, że stało się coś niepokojącego, skoro przeniosła młode gdzieś daleko – w końcu już nieraz tak robiła. Żałowałam, że nie mam żadnego sposobu, by móc jej powiedzieć, co się stało.

Biechiebiec.

Biegłam.

\*

Kiedy usłyszałam krzyk, wiedziałam już, że zawiodłam.

Przez ostatnich kilka dni bez przerwy niszczyłam pułapki, na które natknęłam się w lesie; w końcu doszło do tego, że spędzałam więcej czasu, wypatrując sideł niż tropiąc zwierzynę. A jednak nie znalazłam ich wszystkich.

Gdy któregoś wieczora od strony lasu dobiegł zew łowiecki: mocny, przeciągły i zakończony triumfalną nutą, serce mi zamarło, bo powód mógł być tylko jeden. Wciąż krzycząc, Kinaktok stanął na środku osady i cisnął truchło tam, gdzie wcześniej leżał trup Tokli.

Mieszkańcy wylegli z chat, by popatrzeć. Wilczyca leżała na boku, bezwładna jak sterta starych skór, z nosa wyciekła na śnieg strużka krwi. Otwarte oczy patrzyły nieruchomo, puste jak szare, zimowe niebo.

– Jesteś dobrym łowcą. – W głosie Kunnuka zabrzmiało uznanie. – Czy zostawiłeś wnętrzności na ofiarę?

Nogi mi zmiękły i nagle nie mogłam ustać. Upadłam na klęczki prosto w śnieg, wiedząc, że będą zerkać w moją stronę i myśleć, że rozpaczam po Tokli, nieopatrznie zdradzając, co nas łączyło. Szarpnięciem naciągnęłam kaptur, żeby nikt nie widział mojej twarzy.

\*

Biegłam wzdłuż rzeki. Wśród snujących się wstążek mroźnej mgły pojawiałam się i zniktałam jak duch, białe pasma połykały odgłos sunących

nart, przez co moje stopy chwilami zdawały się sunąć w powietrzu.

Życie jest jak płynąca rzeka, myślałam. Zmienia się z każdym zakrętem. Strumień życia chwilami wzbiera, a potem zwalnia, jego prądy bywają silne i rwące, a czasem śmiertelne dla tych, którzy żyją w jego wodach.

I znów miałam niewiele czasu.

\*

Nurjuk pisnął, zanurzając rączki w szarym futrze.

– Myślisz, że to bezpieczne? – spytał Amak.

Długo trwało, zanim na nie trafiłam. Nie było ich w norze pod wykrotem, którą już znałam. Zdołałam je odnaleźć tylko dlatego, że spędziłam tyle czasu, patrząc oczyma Siwej, że znałam jej wilcze ścieżki, wiedziałam, gdzie szukać śladów obecności, gdy przemykała jak duch po leśnych ostępach. Szczeniaki były osłabione z głodu. Jeden z nich raz tylko kłapnął zębami, nie opierały się, gdy wyciągałam je z gniazda. Owinęłam młode w pieluchy Nurjuka, żeby nie wierciły się w amautiku, a potem nakryłam kapturem.

Nikt mnie nie zaczepił, gdy wracałam do domu. Nikt się nie zorientował, co niosę na plecach.

\*

– Jesteś pewna? – Amak zrobił gest, jakby też chciał sięgnąć pod ławę, ale nie odważył się dotknąć sierści. Nurjuk pół siedział, pół leżał oparty o jego nogę – wychodząc, zostawiłam go pod opieką nowego brata, by zrobić miejsce pod ubraniem.

Jedno ze szceniąt, dotąd zwinięte w kłębek, obudziło się, potrząsnęło łebkiem i chwyciło Nurjuka za dłoń. Chłopiec tylko się zaśmiał. Lewą ręką chwycił wilczka za luźną skórę na szyi, a potem wyszarpnął prawą z pyska i znów machał nią na wszystkie strony.

Mój przybrany brat potrząsnął głową, a ozdoby ochronne, które nosił w uszach, zakołysały się, rzucając cienie na ściany chaty.

– Igrasz z ogniem. To groźne zwierzęta.

Odłożyłam na podłogę nożyk i kawałek rogu, który w moich niewprawnych dłoniach bardzo niechętnie nabierał odpowiedniego kształtu – nie byłam tak zdolną rzeźbiarką jak Liść. Przytrzymałam rączkę

syna i obejrzałam starannie, odwróciwszy ją wierzchem do ognia. Wilczki miały ostre zęby, ale na skórze dziecka nie pozostał nawet ślad.

– To jego bracia.

– Jesteś dziwną kobietą.

Nie odpowiedziałam, tylko wzięłam się znów do pracy i zestrugałam ostatnie wióry. Z jednego rogu udało mi się wyrzeźbić dwie figurki – człowieka i wilka – które już niedługo zamierzałam umieścić w środku niewielkiego kamiennego kopca na zboczu Krzywego Zęba. Dusza Siwej odeszła do Strażniczki Gór, by spać z nią przez wiele księżyców i wrócić do swych braci dopiero, gdy nadejdzie czas.

Spojrzałam znów na szczeniaki zwinięte w kłębki na skórzanym posłaniu. To, co powiedziałam przed chwilą, rzeczywiście było szalone, sama nie wiedziałam, skąd przyszło mi do głowy, ale teraz z każdą chwilą wierzyłam w to coraz mocniej. Może za kilka księżyców będę mogła biegać z nimi u boku, nie musząc odbierać im ciał, tak jak to robiłam z Siwą? Wspólnie moglibyśmy tropić i powalać nawet duże zwierzęta, których mięso z łatwością wykarmiłoby nas wszystkich. Nigdy wcześniej nie słyszałam, by zwierzę usłuchało jakiegokolwiek człowieka, chyba że w baśniach, ale wiedziałam, że nie ma odwrotu z tej drogi. Teraz byliśmy rodziną.

A ja musiałam polować za dwie – za siebie i za siostrę.

# Magdalena Kubasiewicz

\*



## Mówczyni Metalu

*Metal zawołał do mnie po raz pierwszy, gdy dach fabryki ugiął się pod ciężarem śniegu i runął prosto na robotników. Prosto na mnie.*

*A może to nie do końca tak – może wołał już wcześniej.*

*Może wtedy tylko pierwszy raz odpowiedziałam.*

*Miałam jedenaście lat i byłam jedną z najstarszych pracujących w swojej hali.*

*Dzieci z Turkinu, upadłego miasta-państwa, wszystkie, co do jednego.*

\*

– Dopilnuj, by było go widać w całości! W całości, Markin, słyszysz?!

Wicher szarpał sukienką i włosami zadyszanej Anyi Greds; gdyby nie podtrzymywała kapelusza, ten już dawno odfrunąłby wraz z podmuchem



wiatru. Lato tego roku przyniosło susze i upały, ale na szczycie jednego z licznych wzgórz, rozsianych na terenie Metropolii Yorku, było chłodno i wietrznie. Fotograf pośpiesznie ustawiał sprzęt, a Anya zerknęła z niepokojem to na niego, to na powód, dla którego wdrapali się tutaj skoro świt. Na Wędrowca Przestworzy, przylatującego właśnie z turkińskiej fabryki, w której powstał, do Yorku. Stąd miał wyruszyć w swój historyczny rejs: przelecieć ponad pasmem Gór Siostrzanych ku najbliższemu wolnemu państwu-miastu, Vronii.

– Rusz się, Markin, błagam cię, zaraz odleci!

– Uspokój się, Anya – skarcił ją fotograf, pochylając się za obiektywem. Podniecony pies Markina kręcił się wokół jego nóg. – To nie motyl. Nigdzie nie ucieknie. Poza tym będziesz miała jeszcze okazję obejrzeć go z bliska. Ba, ze środka. Zrobię lepsze zdjęcia.

– Chciałabym zobaczyć, jak robisz mu zdjęcia w locie, gdy będziemy w środku – syknęła Anya i wyszła z kadru.

Błysk.

\*

Zdjęcie nr 1. [Metalowy, latający statek na tle gór].

Fotografia z kolekcji „Zwiastun” wykonana przez Markina Andrejewa przedstawia Wędrowca Przestworzy podczas pierwszego lotu, w roku 9.56. Wędrowiec został wyprodukowany w 9.55, w fabryce należącej do spółki Skrzydlacz z Yorku.

\*

Nowy Port, mimo szumnej nazwy, w istocie był na razie jedynie placem, powstałym na obrzeżach miasta po tym, jak w wyniku trzęsienia ziemi runęła większość tutejszych budynków. Fakt, że spółka Skrzydlacz była skłonna pozostawić pusty tak rozległy, płaski teren, gdy obszarów pod zabudowę zawsze brakowało, najlepiej świadczył o nadziejach, jakie wiązała z nowym projektem.

W przyszłości latające statki miały wyruszać stąd we wszystkie strony świata, ku rozsiANYM po górzystym kontynencie, rozdzielonym przez góry, rzeki i wąwozy miastom-państwow. Miały rozwozić po całym kontynencie

sól z kopalń Yorku, a w zamian transportować drewno z lesistego Agmaru, ryby z Miasta na Wodzie, owoce z Doliny Zieleni, szkło z Kormiru. Na razie jednak wylądował tu tylko Wędrowiec Przesztorzy, zwiastun przyszłych zmian, statek mający na zawsze odmienić oblicze transportu i handlu.

– Zwiastun zmian... – wymruczała Anya, pośpiesznie notując określenie.

Stali z Markinem w długiej kolejce szczęściarzy, którzy mieli wziąć udział w pierwszym rejsie Wędrowca. Obsługa, ochrona, kilku zwycięzców loterii zorganizowanej przez Skrzydlacza, paru dostojników, którzy kupili bilety za niebotycznie wysokie kwoty – i najwyraźniej byli niezmiernie niezadowoleni, że teraz przyszło im czekać w kolejce z pospółstwem. Oraz ona, Anya Greds, młoda reporterka „Głosu Yorku”, mająca przygotować reportaż z historycznego przelotu. Nie łudziła się: otrzymała szansę nie ze względu na umiejętności, lecz na protekcję wuja. Zamierzała jednak udowodnić, że na nią zasługiwała.

„Odmieni oblicze transportu, handlu, znanego nam świata” – odnotowała, nie dbając o to, że brudzi palce i strony notatnika atramentem.

„Kto ma władzę nad niebem, ma władzę nad handlem”.

Zastanawiała się przez chwilę, po czym dopisała w nawiasie: „Nad światem?”. Łańcuchy górskie i kaniony przecinające kontynent utrudniały transport dóbr pomiędzy miastami-państwami. Wraz z postępowaniem technologicznym i rozwojem populacji, gdy zapotrzebowanie na zasoby rosło, a zwłaszcza na te z nich, które w dużych ilościach występowały tylko w niektórych miastach, utrudnienia związane z przewozem stawały się coraz bardziej palącym problemem. Kopano tunele, szukano przesmyków, udało się nawet połączyć niektóre miasta koleją. To jednak wciąż było zbyt mało. Metropolia Yorku potrzebowała cennych minerałów z Vronii, drewna z Agmaru, węgla z Orlego Gniazda i wielu, wielu innych towarów. Góry były potęgą, której ludzie dotąd nie potrafili sprostać. Teraz to miało się zmienić. Ale jeśli Skrzydlacz zdoła sprawić, że po niebie zaczną latać dziesiątki takich okrętów... czy wszystkie miasta-państwa kontynentu nie uzależnią się od niego? Anya zapisała to ostatnie zdanie. Teza była śmiała, musiała rozważyć, czy umieścić ją w artykule.

Przez tłum gapiów i ludzi zgromadzonych w kolejce przeszedł szmer. Ktoś kogoś popchnął, ktoś na przedzie nawoływał, by się cofnęli. Kiedy

sąsiad z kolejki omal nie wytrącił jej notatnika, Anya podniosła głowę. Markin już wychylał się z ludzkiego sznura, w taki sposób, by, broń Boże Metalu, nie stracić miejsca, ale zyskać szansę na zrobienie zdjęcia. Anya obróciła głowę, szukając źródła zamieszania. Dostrzegła kilku strażników w mundurach spółki Skrzydlacz rozpychających ludzi na boki. Torowali drogę braciom Rakiel, obecnym właścicielom Skrzydlacza, a co za tym idzie – Wędrowca Przestworzy, ale to nie para tęgich, ciemnowłosych mężczyzn przyciągnęła uwagę reporterki.

Za nimi szła kobieta w szarej, prostej sukni. Jej twarz pozostawała zasłonięta maską – obyczaj wywodzący się z Turkinu, którego praktykowanie niemal już zarzucono, niemal czterdzieści lat po tym, jak niewielkie miasto-państwo zostało wchłonięte przez York jako turkińska prowincja i wraz z nim oraz pokonanym niemal wiek temu Zanzem stworzyło Metropolię Yorku. Wokół nadgarstków kobiety zaciskały się metalowe bransolety. Podobne ozdoby miała także na szyi i talii. Nosili się w ten sposób przedstawiciele tylko jednej, najrzadszej i najbardziej cenionej profesji: Mówcy Metalu.

Dysponowali różnymi umiejętnościami, zawsze jednak związanymi z kamieniem i metalem. Gdy dotykali metalu, czasem poznawali jego skład i właściwości, potrafili prześledzić historię, doznać wizji z nim związanych. Obdarzone takim talentem osoby pracowały często w siłach porządkowych albo dla możnych Metropolii. Najbardziej ceniono jednak tych Mówców, którzy mieli zdolności do kształtowania metalu, naginania go do swojej woli, a nawet nadawania mu specjalnych właściwości.

Myra Saraabras zaś uchodziła za najlepszą spośród nich.

\*

Zdjęcie nr 2. [Dwie rozmyte sylwetki strażników w szarych mundurach spółki Skrzydlacz. Za nimi fragment postaci mężczyzny. Centralny punkt fotografii to kobieta w szarym stroju i masce, zadzierająca głowę, by spojrzeć w górę. Zdjęcie jest niewyraźne, najpewniej zrobione w pośpiechu].

Fotografia z kolekcji „Zwiastun” Markina Andrejewa. Przedstawia prawdopodobnie Myrę Saraabras, Mówczynię Metalu, projektantkę i główną konstruktorkę Wędrowca Przestworzy, później zwaną Duchem Wędrowca.

Anya Greds od dzieciństwa miała dwa wielkie marzenia.

Po pierwsze, chciała być sławna. Sławna jak jej wuj, największy śpiewak Metropolii Yorku. Tak utalentowany, że specjalnie dla niego zorganizowano trwającą niemal rok trasę po wszystkich dwudziestu odkrytych miastach-państwach, rozsianych po kontynencie – co było fenomenem, pierwszym i jak dotąd ostatnim takim przypadkiem. Wuj odwiedził je wszystkie. Nawet Miasto na Wodzie, położone na nadmorskim brzegu, niemal po drugiej stronie kontynentu, i daleką Terrę zwaną Spichlerzem Południa, gdzie na wzgórzach ciągnęły się pola uprawne, z których plony transportowano jesienią przez przełęcze ku najbliższym miastom, pozwalając im przetrwać zimę.

Anya szybko odkryła, że nie pójdzie w ślady wuja – nie umiała śpiewać, nie potrafiła grać, nie tworzyła pięknych obrazów, nie nadawała się na tancerkę. Wciąż jednak pragnęła sławy, co wcale nie było absurdalnym marzeniem. W końcu urodziła się w Yorku, największym i najlepiej rozwiniętym z miast-państw całego kontynentu. W rodzinie, która mogła zapewnić jej wykształcenie i dobre warunki bytowe.

Po drugie, chciała latać.

Marzenie o locie zakorzeniło się w jej duszy dwanaście lat temu. Trzynastoletnia wówczas Anya udała się z rodziną na piknik na jedno z wzgórz otaczających York. Choć musieli się wspinać cały ranek, widok niemal jej to wynagrodził. Ze wzgórza widziała całe miasto, największe pośród miast-państw Alhayi; kamienie i metal, z których wzniesiono budynki, lśniły w słońcu. Patrząc na wschód, mogła dostrzec w oddali zarys miejsca, które niegdyś było Turkinem, a teraz, czterdzieści lat po wojnie, stanowiło prowincję Yorku – z tamtejszych fabryk ku niebu unosił się dym. Spoglądając ku południu, widzieli zielone wzgórza prowincji Zanz, zwanej spichlerzem Metropolii. To dzięki nim York mógł wyżywić mieszkańców.

Czystym przypadkiem tamtego dnia rodzina małej Anyi stała się też świadkiem przelotu pierwszej maszyny latającej. Konstrukcja wydała się dziewczynie przedziwna, w pierwszej chwili nawet się jej przestraszyła. Statek wielkości przeciętnego budynku przefrunął ledwo kilkanaście

metrów nad nimi, wydając z siebie przerażające dźwięki. Dopiero kuzyn – z pobłażliwością, jaką zwykle okazywał młodszej i uboższej krewnej – wyjaśnił jej, że to latający statek spółki Skrzydlacz. I że przeszedł testy zaledwie parę dni temu.

Kolejnego ranka zafascynowana Anya, do tej pory niezainteresowana prasą, przetrząsała gazety, szukając artykułów o spółce Skrzydlacz, o latającym statku i o jego konstruktorce. To wtedy dowiedziała się, że już od jakiegoś czasu trwają prace nad znacznie większą machiną, która kiedyś będzie przewozić ludzi z jednego krańca kontynentu na drugi – „przybliży horyzonty” i „otworzy zamknięte drogi”.

Wtedy też zrozumiała, że najbardziej w świecie chciała: po pierwsze, by jej nazwisko ukazywało się na łamach gazet, a po drugie – wsiąść kiedyś na pokład takiej maszyny.

\*

Kabina była ciasna, niewygodna i było w niej tylko jedno okienko, tak małe, że Anya widziała przez nie zaledwie fragment nieba, a w pomieszczeniu panował wieczny półmrok. I tak mieli szczęście, że nie trafili do wspólnych kwater pod pokładem, gdzie następne dwa dni mieli spędzić najmniej znaczni pasażerowie.

Jednak nawet gdyby Anya podróżowała w takich warunkach, nie narzekałaby, a przynajmniej starałaby się nie narzekać. Właśnie dlatego, że rejs miał potrwać zaledwie dwa dni i dwie noce, podczas gdy na podróż do Vronii drogą lądową w sprzyjających warunkach potrzebowano pięciu pełnych dób. A i ten wynik był możliwy tylko dzięki kolejce i tunelowi, wydrążonemu dwie dekady temu we współpracy władz Yorku i Vronii, przy zaangażowaniu kilku Mówców Metalu. Blisko osiemdziesiąt procent kontynentu zwanego Alhayą pokrywały góry, jeziora i rzeki. Podróż do wielu miast wymagała nadkładania kilku dni drogi, nawet jeśli odległość dzieląca cel od Yorku nie była duża. Wędrowiec Przesztorzy miał to wszystko zmienić. Droga, podczas której przewożono pasażerów i maszyny w ładowni, była zaledwie początkiem.

Tyle że...

Podróż, sama w sobie, po pierwszej ekscytacji startem, gdy ożyła maszyneria, której odgłosy słycać było na całym statku, okazała się mało interesująca. Z początku Anya stała na palcach, z nosem przyklejonym do szyby, próbując dojrzeć widoki w dole, widziała jednak tylko szczyty i mgłę. Normalnie nuda nie przeszkadzałaby Anyi. Mogłaby wykorzystać te godziny na przygotowanie szkicu artykułu. Miała dość materiałów, aby stworzyć porządny reportaż, który na pewno zainteresuje czytelników „Głosu Yorku”. Szkopuł tkwił w tym, że „porządny reportaż” to było dla reporterki za mało. Chciała, by był to najlepszy artykuł roku. I by nie skończyło się na jednej publikacji. A już najlepiej, aby dzienniki i gazety w innych miastach zechciały go przedrukować.

Spędziła dwie godziny w kantine, gdzie prosiła pasażerów o wypowiedzi. Zapukała do drzwi sąsiednich kajut i zdołała zdobyć komentarz pewnego majątnego kupca oraz – to było naprawdę dobre! – znanej, vrońskiej aktorki teatralnej. Jakiś czas kręciła się przy przejściu do najbardziej luksusowej części statku, gdzie podróżowali znaczniejsi goście, ale szybko się przekonała, że łatwiej będzie się na nich zacząć już po lądowaniu. Nie miała szans przedostać się ani do ich kwater, ani do oddanej im do dyspozycji kawiarni.

Tak naprawdę jednak to nie oni ją interesowali – i nie ich wypowiedzi mogły uczynić jej artykuł historycznym. Osobą, z którą Anya chciała porozmawiać najbardziej w świecie, była Myra Saraabras. Mówczyni Metalu, która sprawiła, że metalowe konstrukcje zaczęły wzlatywać ku niebu. Anya, zbierając materiały na temat Wędrowca Przesławy, zainteresowała się także jego główną konstruktorką. Wszelkie informacje, jakie o niej znalazła, były jednak bardzo skąpe.

Myra nigdy dotąd nie udzieliła żadnego wywiadu.

Tylko raz pojawiła się publicznie: pół roku temu podczas gali, na której bracia Rakiel ogłaszali oficjalnie ukończenie latającego statku, rozpoczęcie testów i planowaną datę pierwszego przelotu.

Podobno nikt nigdy nie widział jej twarzy.

Nic nie było wiadomo o rodzinie kobiety, a i niewiele o pochodzeniu i dzieciństwie. Urodziła się na terenach prowincji Yorku, w dawnym

Turkinie, i mieszkała tam do jedenastego roku życia, kiedy to odkryto jej talent.

Wielu uważało, że jest najlepszą spośród Mówców Metalu, nie tylko w Yorku czy nawet w całej Alhayi – ale także wyrastającą ponad wszystkie pokolenia swoich poprzedników. Podobno przed dwunastu laty to ona stworzyła prototyp Wędrowca, pierwszą, niewielką jeszcze maszynę latającą.

Mówiło się, że Mówcy Metalu wkładają w swoje dzieła fragmenty dusz i to dzięki temu nabierają one niezwykłych właściwości. Wędrowiec Przetworzy istniał dzięki Saraabras.

Gdyby Anya zdołała przeprowadzić z nią wywiad, ba, zdobyć choć krótką wypowiedź, miałyby zagwarantowane, że dzienniki na całym kontynencie byłyby się o prawo do przedruku. Zwłaszcza że Markin zdołał zrobić Myrze zdjęcie – niewykluczone, że jedyne, jakie kiedykolwiek powstało. Gdyby jeszcze opatrzyć je cytatem Mówczyni Metalu...

– Anya... co ty knujesz? – zapytał Markin podejrzliwie, kiedy dziennikarka wróciła do kwatery.

Chwilę wcześniej ogłoszono zaciemnienie. Anya zaczęła pośpiesznie przeliczać banknoty wyciągnięte z torebki. Przez okienko od dawna już nie wpadało światło, zapadła noc i dolne kondygnacje statku, zajęte przez mniej ważnych pasażerów, zaraz miały zatonać w mroku.

– Masz jakieś pieniądze, Markin?

– Sto koron. Moich prywatnych – podkreślił z wahaniem. – Nasz budżet na podróż powierzono tobie.

– Jeśli chodzi o to...

– Co ty knujesz? – powtórzył, siadając na posłaniu. Anya syknęła z irytacją, gdy światła zaczęły powoli gasnąć, i rzuciła się po koszulę nocną. – Skarbie, niezależnie od tego, co wymyśliłaś, nie będę spał we Vronii pod gołym niebem. A mamy tam spędzić dobę przed powrotem, pamiętasz? Musimy też coś jeść.

– Wszystko obmyśliłam – zapewniła. Światła zgasły; ledwo zdążyła wrócić na łóżko i zaciągnąć zasłonę, by się przebrać. – We Vronii mieszka moja ciotka. Możemy przenocować u niej.

– A jedzenie?

– Da nam obiad – obiecała Anya, w duchu modląc się do Boga Metalu, aby tak właśnie było. Utrzymywała z ciotką sporadyczne kontakty, opierające się głównie na pisanych co parę miesięcy listach. Zapowiadała się wprawdzie z wizytą, ale nie uprzedzała, że zechce zostać na noc. W dodatku z przyjacielem. – Za dwadzieścia koron możemy kupić racje na dwa dni i wnieść je na pokład, by nie kupować posiłków po zawyżonej cenie w kantine w drodze powrotnej...

– Anya! Na metal, na co chcesz wydać pozostałe pieniądze? Szef dał nam trzysta koron na zakwaterowanie, wyżywienie i osobiste wydatki... co dla tego skąpca jest ogromną kwotą. Dlaczego chcesz tak oszczędzać?

– Myra Saraabras.

– Myra Saraabras potrzebuje naszych trzystu koron?

– Nie! – odparła z irytacją. – Muszę z nią porozmawiać.

– I liczysz, że zgodzi się, jeżeli zapłacisz? Naprawdę sądzisz, że Mówczyni Metalu połasi się na taką kwotę?

– Yyy... tak – zapewniła Anya po sekundzie walki z samą sobą.

Bo odpowiedź brzmiała: nie. Anya wydała swoje sto koron na zebranie informacji od załogi na temat Myry. Dowiedziała się między innymi, że ta większość dnia spędziła nie na górnej kondygnacji, gdzie tuż pod pokładem umieszczono niedostępne kwatery dla najznamienitszych gości, a w wygospodarowanym specjalnie dla niej pokoju w pobliżu maszynowni. Podobno lubiła „wszystkiego dopilnowywać osobiście”. Sama maszynownia była doskonale strzeżona, aby jednak przedostać się do pomieszczenia zajętego przez Myrę, Anya musiałaby minąć tylko dwie warty.

Jednemu ze strażników najwyraźniej wpadła w oko, bo obiecał odwrócić się w drugą stronę, jeśli Anya zje z nim obiad i zacytuje go w artykule. Drugą wartę jednak musiała spróbować przekupić. Wiedziała, że w ostatnich miesiącach pracownicy Skrzydlacza nie byli najlepiej opłacani. Zaledwie dwa lata temu jedna z głównych kopalń kompanii uległa zalaniu, przez co do tej pory borykali się z brakiem veridenu, materiału kluczowego przy produkcji machin. Projekt latających statków pochłonał ogromne pieniądze, a choć te miały szybko się zwrócić, w tej chwili spółka balansowała na granicy bankructwa.



Trzysta koron na pewno nie skusiłoby Mówczyni Metalu, ale było akurat taką kwotą, która powinna skłonić strażnika do wyświadczenia Anyi drobnej przysługi.

Pozbyła się pończoch, butów i wreszcie sukienki. Naciągała przez głowę koszulę nocną, gdy gdzieś z mroku dobiegło ją ciężkie westchnienie.

– Niech będzie – mruknął Markin z niezadowolaniem. – Ale możesz wziąć tylko te trzysta koron. Nie dam ci moich pieniędzy, zwłaszcza że Saraabras pewnie odeśle cię z niczym. I lepiej, żeby twoja ciotka faktycznie nas przenocowała.

\*

Zdjęcie nr 3. [Zatłoczone pomieszczenie o ciemnych ścianach, pozbawione okien, oświetlone przez błękitne lampy. Wystrojeni ludzie jedzą przy długich stołach].

Fotografia z kolekcji „Zwiastun” Markina Andrejewa. Przedstawia dolną kantinę Wędrowca Przestworzy.

\*

Anya wybrała na swoją misję wczesny ranek. Nocą środki bezpieczeństwa podwajano, do tego i Saraabras z całą pewnością nie przyjęłaby dobrze wtargnięcia do jej kwatery późną porą. A jeśli reporterka zwlekałaby za długo, w korytarzach mogłaby natknąć się na pasażerów, udających się do kantyny czy łazienek. Wymknęła się więc z pokoju skoro świt, modląc się w duchu, by Myra zechciała z nią porozmawiać. Ba, rzucić choćby dwa-trzy zdania. Wielkim marzeniem Anyi był cały wywiad, zadowoliłaby się jednak krótką wypowiedzią. Naczelnym „Głosu Yorku” i tak oszalałby ze szczęścia. Może nawet zdołałaby awansować?

Bez problemu przemknęła koło pierwszego strażnika, który niby to zajął się w tym czasie wskazywaniem Markinowi drogi. Szybko przeszła obok korytarza wiodącego do maszynowni. W nim wartę pełniło już kilka osób i nie chciała, by ją dostrzegli i, brońcie bogowie, oskarżyli o próbę sabotażu. Anyę zastanawiało, jak znoszą ciągły hałas pracujących silników. I jak zносиła go Myra? W tej części statku nie umieszczono żadnych kwater

mieszkalnych, a najbliższej znajdowała się kantyna dolnego pokładu, gdzie mimo pewnego oddalenia monotony szum maszyn stanowił ciągłe tło.

Spodziewała się, że nim dotrze do pokoju Saraabras, zatrzyma ją drugi strażnik. O cudzie jednak: nigdzie go nie dostrzegła. Czyżby zlekceważył obowiązki? Nie pojawił się na czas na warcie? A może przeszedł z odnogi korytarza do kolegów, tkwiących przy wejściu do maszynowni?

Skoro darowano jej okruch złota, nie zamierzała dociekać jego źródeł, niczym pewien nazbyt ciekawski górnik w opowieściach dla dzieci. Poprawiła sukienkę, przyszykowała notes i skręciła w wąski korytarz kończący się – wedle informacji, za którą zapłaciła wczoraj pięćdziesiąt koron – drzwiami do pokoju Myry Saraabras.

Anya wyszła z za rogu i zamarła. Przez chwilę nie do końca docierało do niej, co takiego widzi. Dopiero po paru sekundach jej umysł przyswoił informacje dostarczane przez oczy.

Drzwi były otwarte. W progu stała Mówczyni Metalu. Nie patrzyła na Anyę, a w bok, na mężczyznę, który powoli wnikał w ścianę korytarza. Wyglądało na to, że metal go pochłania. Nogi i ręce już się zapadły i wyłącznie nieznaczne wybrzuszenia świadczyły o tym, że niedawno się tu znajdowały. Pozostały tylko tors i twarz, wykrzywiona ze strachu – a może bólu? Twarz, którą Anya rozpoznała, bo widywała ją w gazetach, a i wczoraj mignęła jej w Nowym Porcie. Jeden z bliźniaków Rakiel.

Notatnik wymusknął się Anyi z rąk, nagle osłabłych. Mogłaby przysiąc, że w zetknięciu z podłogą nie wydał dźwięku, który mógłby być słyszalny przy szumie silników, ale Myra obróciła się w jej stronę. Dziennikarka nie czekała już jednak na reakcję. Rzuciła się do ucieczki, krzycząc przy tym tak głośno, że wrzasków nie zagłuszył nawet huk machin wprawiających Wędrowca Przestworzy w ruch.

\*

*Przebudziłam się dwa dni po wypadku w nieznanym mi miejscu. W niczym nie przypominało pomieszczeń przy fabryce, w których mieszkaliśmy: blisko dwieście sierot po rodzicach, którzy zginęli podczas zdobywania miasta przez York... czy też raczej jego rzezi. Kiedy byłam mała, odczuwałam wdzięczność za dach nad głową,*

*za miskę zupy. Dopiero dużo później zrozumiałam: trzymano nas tam tylko dlatego, że nasza praca niemal nic Skrzydlacza nie kosztowała.*

*Powiedzieli mi, że wszyscy z mojej zmiany zginęli.*

*Powiedzieli, że to moja wina – że mój przebudzony talent doprowadził do wypadku.*

*Tego, że kłamali, i tego, jak wiele było takich wypadków, rezultatów ich zaniedbania i walk o zmniejszenie kosztów, też dowiedziałam się dużo, dużo później.*

*Gdy już nosiłam szatę pełnoprawnej Mówczyni Metalu.*

\*

Zabrano ją na górny pokład. W normalnych okolicznościach Anya, przechodząc przez luksusowy korytarz, całą sobą chłonęłaby otoczenie – tu wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż na dole. Teraz jednak była zbyt roztrzęsiona, by się rozglądać. Przed oczyma wciąż widziała przerażoną twarz Rakiela pochłanianego przez metal.

Posadzona w niewielkiej, ale starannie urządzonej salce, jękając się, zdawała relację szefowi ochrony. Uwierzył jej, dzięki niech będą Bogu Metalu. Zapewne dlatego, że – jak zdołała podsłuchać – strażnicy dotarli na czas, by jeszcze ujrzeć mężczyznę. Czy raczej: fragment jego twarzy wciąż wystający ze ściany.

Anya zastanawiała się, czy Myra zostawiła go jako formę przestrogi, czy z powodu pojawienia się intruza musiała umknąć, nim zdążyła dokończyć dzieła. Po głowie wciąż krążyło jej też pytanie: dlaczego? Dlaczego Myra Saraabras zabiła jednego z właścicieli spółki, dla której pracowała? I czy teraz wszyscy byli w niebezpieczeństwie? Ile szkód na pokładzie statku mogła narobić utalentowana Mówczyni? Anya знаła możliwości Mówców głównie z opowieści i książek, ale jeśli choć połowa informacji w nich była prawdziwa, odpowiedź brzmiała: wiele.

Omam nie zginęłam, pomyślała, wpatrując się w swoje drżące dłonie. Gdzieś w głowie krążyła jednak jeszcze jedna myśl, której Anya trochę się wstydziała: Boże Metalu, cóż to za historia! Była świadkiem zabójstwa jednego z najbogatszych ludzi w Yorku! W dodatku dokonanego przez Mówczynię

Metalu! To dopiero był temat na reportaż. Wieści do Yorku nie dotrą przed nimi, a ona mogła zejść z pokładu już z gotowym artykułem.

O ile statek wyruszy w powrotny rejs i Anya zostanie w niego zabrana.

W miarę jak mijał czas, a drzwi kajuty, w której ją umieszczono, pozostawały zamknięte, zaczęła mniej bać się Myry, bardziej zaś tego, co nakaże w jej sprawie pozostały przy życiu Rakiel.

Nie wiedziała, jak długo siedziała zamknięta. Mogła szacować to tylko na podstawie koloru nieba, powoli ciemniejącego. W końcu jednak drzwi się otworzyły i na progu stanął jeden z właścicieli Skrzydlacza. Anya poderwała się z miejsca.

– Pan... Rakiel – wymamrotała, dygając niezgrabnie. Uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, który z bliźniaków zginął. Widziała ich dotąd głównie na zdjęciach albo z daleka i nie potrafiła odróżnić: obaj krzepcy, może odrobinę otyli, wysocy, o ciemnych włosach gęsto poprządkanych siwizną.

– Paren Rakiel – przedstawił się, mierząc Anyę uważnym spojrzeniem. Był blady, ale jeśli śmierć bliźniaka nim wstrząsnęła, dobrze to maskował. – Widziała pani śmierć mojego brata.

– Tak – odparła, choć jego słowa nie brzmiały jak pytanie.

– Proszę opowiedzieć mi, co się stało – zażądał, po czym zasiadł na krześle obitym materiałem i jak większość mebli na statku przytwierdzonym do podłogi.

Anya również usiadła i zaczęła relacjonować: tym razem robiła to spokojnie i rzeczowo, jak na reporterkę przystało. Gdy mówiła, na twarzy Rakiela nie drgnął ani jeden mięsień. Kiedy zaś umilkła, Paren nie zabrał głosu. Zapadła pomiędzy nimi ciężka cisza.

– Dlaczego go zaatakowała? – odważyła się spytać Anya, gdy milczenie się przedłużało. – Przecież... są państwo jej pracodawcami... ten statek to jej dzieło...

– Nie, pani Greds. Wędrowiec to dzieło Skrzydlacza – sprostował Paren Rakiel stanowczo. – Nie potrafię powiedzieć, co kierowało Saraabras. Być może ogarnęło ją górskie szaleństwo... a może jest szpiegiem, działającym przeciwko Metropolii Yorku. Znaleźliśmy dowody na to, że mogła mieć kontakty z mocodawcami z Vronii.

Anya przypatrywała się Rakielowi, nic nie rozumiejąc. Mocodawcy z Vronii? Zatrudniający Myrę Saraabras do zabicia jednego z jej przełożonych?! Vronia była biednym miastem-państwem, przed zaledwie dwoma laty zdziesiątkowanym przez zarazę. Anya nie potrafiła sobie wyobrazić, kto stamtąd mógłby pozwolić sobie na zapłacenie najszlachetniejszej Mówczyni Metalu w Metropoli za dokonanie zabójstwa. I po co? Vronia rozpaczliwie potrzebowała możliwości szybkiego transportowania towarów do Yorku, gdzie chętnie skupowano od niej minerały, zwłaszcza kamienie veridenu, z których w skromnych, pozbawionych odpowiedniego sprzętu wrońskich fabrykach nie można było skorzystać.

Wędrowiec to dzieło Skrzydlacza.

Opowiadano, że Mówcy Metalu wkładali w swoje dzieła fragment duszy...

Może motyw zabójstwa był zupełnie inny?

\*

Zdjęcie nr 4. [Młoda kobieta w jasnej sukience. Siedzi na pryczy w pokoju o ścianach z metalu, spoglądając w okrągłe, niewielkie okienko].

Fotografia z kolekcji „Zwiastun” Markina Andrejewa. Prawdopodobnie przedstawia Anyę Greds w kajucie Wędrowca Przesławcy.

\*

Anya spodziewała się, że pozostanie zamknięta do końca rejsu. O ile oczywiście będzie miała szczęście. Kiedy rozmawiała z Rakielą, truchlała w duchu na myśl o tym, że mogą ją wyrzucić z pokładu. Nikt nigdy nie znalazłby jej ciała. Zastanawiała się, jak by to wyglądało: jak długo leciałaby w dół? Czy zachowałaby świadomość aż do momentu upadku, czy może straciłaby przytomność wcześniej?

Tymczasem choć Paren nalegał, by nie wracała na dolny pokład – twierdząc, że w tej kajucie będzie bezpieczniejsza, bo „złapanie Saraabras potrwa, gdyż bardzo dobrze zna statek” – nie uwięził jej. Nie zamknął drzwi, nie prosił nawet o dyskrecję i dodał, że z przyjemnością ugości ją na kolacji! Anya była przekonana, że zechcą wszystko zachować w tajemnicy. Ba, obawiała się, że uciszą ją na wieki, by czasem nie powiedziała komuś za wiele. Wieść o tym, że Myra Saraabras dokonała morderstwa i nie została

ujęta, nie tylko rzutowała na reputację Skrzydlacza, ale też mogła wywołać na pokładzie panikę.

Jakiś czas tkwiła w pokoju, pełna obaw, że ledwo wyjdzie za próg, a spotka ją „przykry wypadek”. Po paru godzinach jednak, gdy niebo za okienkiem zrobiło się ciemniejsze, uznała, że nie wytrzyma tego dłużej. Poza tym Markin na pewno się o nią martwił.

Idąc korytarzem – szerszym i lepiej oświetlonym niż te na dole – oczekiwała, że ktoś zaraz ją zatrzyma. Nic takiego się jednak nie stało. Mijała wystrojone damy i eleganckich mężczyzn, prawdopodobnie elitę Yorku i członków zarządu Skrzydlacza. A także strażników, którzy mierzyli ją jedynie obojętnym spojrzeniem. Kiedy chciała zejść na dół, jeden z nich stanął Anyi na drodze. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Usłyszała jednak tylko, że jeśli będzie chciała wrócić na górny pokład, musi zdażyć, zanim oddzwonią trzeci sygnał na zaciemnienie.

Może wcale nie zależało im na tajemnicy.

Może było wręcz przeciwnie?

Tylko dlaczego Rakiel miałby chcieć rozpowszechnić informację o zdradzie Myry? Anya widziała wiele powodów, aby utrzymać tę wiadomość w tajemnicy, i żadnego, aby ją ujawnić. Chyba że szef Skrzydlacza postanowił doprowadzić do upadku własnej spółki! Paren mógł sobie opowiadać, że Wędrowiec Przesztorzy to dzieło Skrzydlacza, ale Anya przed wejściem na pokład sprawdziła wszystkie dostępne informacje. Statek powietrzny nie powstałby bez Saraabras. Drugi podobno był już na wykończeniu, dysponowali też prototypem, dużo mniejszą wersją Wędrowca, zdolną do przetransportowania kilkunastu osób, ale czy przedsiębiorstwo zdoła wyprodukować bez Myry kolejne? Członkowie Skrzydlacza mieli plany, zatrudniali też sześciu innych Mówców Metalu – jedną trzecią wszystkich mieszkających na terenach Metropolii – ale inwestorzy mogli się wycofać.

W korytarzu na dole kręciło się znacznie więcej ludzi niż na górze. W pierwszej chwili Anya przyjęła to z ulgą: mimo wszystko bała się trochę, że Rakiel mógł mieć rację i Myra zechce się jej pozbyć. Zaraz jednak przyszło jej do głowy, że obecność ludzi niewiele zmienia. Czy kilku przypadkowych

pasażerów mogłoby powstrzymać Mówczynię Metalu? Anya jakoś w to wątpiła.

Zajrzawszy do kajuty, z rozczarowaniem stwierdziła, że ta jest pusta. Markin albo poszedł na obiad, albo szukał swojej zaginionej współpracownicy. Anya tkwiła w progu, niezdecydowana: wejść do środka i czekać na powrót Markina? Biegać po pokładzie i go szukać, ryzykując, że się miną? A może wrócić na górę i przygotować się do kolacji, na którą zaprosił ją Rakiel? Nawet jeśli prywatnie nie miała najmniejszej ochoty na posiłek w towarzystwie Parena, to jako reporterka „Głosu Yorku” nie powinna pozwolić, by taka okazja przeszła jej koło nosa...

Kiedy poczuła na ramieniu lekki dotyk, pisnęła i podskoczyła, po czym odwróciła się pośpiesznie. Stojąca za nią kobieta cofnęła się o krok i uśmiechnęła do niej z zakłopotaniem. Miała krótko ścięte, czarne włosy, w kącikach oczu i ust znaczyły się zmarszczki, a ciemna karnacja zdradzała, że była mieszzańcem i jedno z rodziców nie pochodziło z Yorku.

– Przepraszam? Pani Anya?

– Tak – odparła i odchrząknęła, kiedy jej głos zabrzmiał nieco za wysoko. – Pan Rakiel panią przysłał...?

– Pan Rakiel? – zdumiała się kobieta. – Nie, skąd. Pan Markin. Szuka pani po całym dolnym pokładzie... Załedwie przed chwilą pytał mnie, czy pani nie widziałam. Był bardzo zdenerwowany. Właśnie poszedł zgłosić zaginięcie.

– Och! Bogowie! – westchnęła Anya, przepelniona wyrzutami sumienia. Markin, zwykle tak spokojny i flegmatyczny, musiał przejąć się jej zniknięciem. – Wskaże mi pani, w którą stronę poszedł?

– Szedł do kantyny pracowników, w pobliżu ładowni. Proszę za mną, pokażę pani drogę.

Anya skierowała się w ślad za pasażerką, najpierw głównym korytarzem, potem bocznym, prowadzącym do ładowni. Nie powzięła żadnych podejrzeń, kiedy skręciły, mimo że korytarz był opustoszały – pasażerowie nie mieli powodów, by się tu zapuszczać. Dopiero kiedy kobieta przystanąła i otworzyła drzwi w ścianie, tak sprytnie w niej zamaskowane, że Anya w pierwszej chwili ich nie zauważyła, w umyśle reporterki zrodził się niepokój.

– Nie idzie pani? – zapytała jej przewodniczka, spoglądając na nią przez ramię. Na wargach kobiety błąkał się uśmiech. Chłód ogarnął serce Anyi, nogi jakby przyrosły jej do podłogi.

Myra Sarabraas знаła statek jak nikt. Ale wcale nie musiała kryć się w mrocznych korytarzach czy ładowniach. Nikt nigdy nie widział jej bez maski. Po zdjęciu charakterystycznej szaty i pozbyciu się ozdób, które zawsze nosili Mówcy Metalu, z łatwością mogła zniknąć pośród pasażerów drugiej i trzeciej klasy...

– To zależy, czego pani ode mnie chce – wykrztusiła Anya. Ukradkiem zerknęła w bok, szacując, jak duża odległość dzieli ją od głównego korytarza.

– Tylko coś pani pokazać.

– A nie... wprasować mnie w ścianę? – zapytała reporterka w przypiływie heroicznej odwagi i ataku szaleństwa, zrodzonego z paniki.

– To mogłabym zrobić i tutaj – powiedziała Myra niemalże łagodnym tonem. – Powiedzmy, że interesuje mnie rozmowa z przedstawicielką niezależnej prasy. Idzie pani czy nie?

Anya pomyślała o bajce, którą opowiadała jej w dzieciństwie matka. O metalowym ludku, który zapraszał podróżnych do swojej jaskini i jeśli źle odpowiedzieli na jego zagadkę, zamieniał ich tam w metalowe posągi... Rozum krzyczał, by natychmiast stąd uciekała. Myra Saraabras była morderczynią. Jednostką szalenie niebezpieczną.

Ale...

...jeśli dobrze odpowiedział metalowemu ludkowi, napełniał ci kieszenie diamentami i złotem...

Instynkt reporterki i zdrowy rozsądek walczyły w niej przez parę chwil. Ten pierwszy wykrzykiwał, że to temat stulecia, że zostanie najbardziej znaną dziennikarką na kontynencie, że we wszystkich miastach-państwach poznają jej nazwisko.

Ten drugi podpowiadał, że aby osiągnąć sławę, musi pozostać żywa.

– Idę – zdecydowała w końcu i weszła w ciemny, ciasny tunel. Myra wydobyła z kieszeni latarkę i w jej bladym świetle Anya mogła zaobserwować, jak drzwi nie tyle się zamykają, co „zrastają” za ich plecami,



nie pozostawiając po sobie śladu. – Umieściła pani w projekcie tajne korytarze.

– Nie są takie tajne. Jeśli ktoś uważnie przyjrzy się planom, znajdzie większość z nich. Ale nie dostanie się do środka. Wejścia zapieczętowałam osobiście.

Anya czuła się trochę jak we śnie, gdy wędrowała za Myrą przejściem, tak ciasnym i niskim, że mimo mikrego wzrostu musiała zdjąć kapelusz, by nie zawadzać nim o sufit. Minęły przynajmniej trzy rozgałęzienia i dziewczyna zaczęła się zastanawiać, jak wiele przejść oplatało całego ogromnego Wędrowca Przewodzącego. Mała latarka Saraabras była jedynym źródłem światła, tak że reporterka widziała głównie blask i pochyloną sylwetkę Mówczyny Metalu. Gdy poświata nagle zgasła, z ust Anyi wydobył się mimowolny okrzyk.

– Ciii – padło z mroku. Dłoń Mówczyny Metalu zacisnęła się na rękę reporterki. Anya zastygła, przerażona, że Myra zaraz użyje swojej mocy... ale nic takiego nie nastąpiło. – Teraz musisz zachowywać się bardzo cicho. Chodź.

Pociągnęła Anyę dalej. Tuż za zakrętem korytarz rozjaśnił się nieco: źródłem tej odrobiny światła były niewielkie szczeliny, umieszczone w ścianie naprzeciw niej. Saraabras zachęciła dziewczynę, by ta podeszła bliżej.

W pierwszej chwili Anya nie wiedziała, na co patrzy. Spoglądała z góry na olbrzymie pomieszczenie tonące w półmroku. Paliło się tam zaledwie kilka lamp. W ich bladym świetle mogła dostrzec poruszające się na dole sylwetki strażników oraz...

Po raz kolejny tego dnia mogłaby przysiąc, że jej serce zaraz stanie. Oddech przyspieszył gwałtownie, dłonie momentalnie zaczęły się pocić. Rozumiała już, czemu Mówczyna ją tu przyprowadziła. Gdyby Anya nie zobaczyła tego na własne oczy, nigdy nie uwierzyłaby kobiecie na słowo. Bo w ładowni wcale nie przewożono maszyn.

– Czy to pociski metalu? – wyszeptała, obracając się do Saraabras. Pocisków używano głównie, aby drążyć nowe tunele w kopalniach lub celach transportowych.

Było za ciemno, aby mogła zobaczyć jej twarz. Ale podskórnie czuła, że Myra się uśmiecha.

\*

*Tak naprawdę wtedy niewiele mnie to obchodziło.*

*Zaskakuje cię to? Minęły lata. Nie pamiętałam już twarzy dzieci, u boku których pracowałam. Nawet twarz mojej matki stała się tylko zamazanym wspomnieniem. Z wojny zapamiętałam głównie strach i głód, ale żadnych jej przyczyn, jak chciwość Yorku czy szukanie zasobów. Te trzy lata spędzone w fabryce straciły znaczenie. Byłam bogata. Miałam wygodne życie. I nade wszystko: moją pracę. Wiesz, co mówią o naszych dziełach? Że wkładamy w nie fragmenty duszy.*

*Jeśli kiedykolwiek miałam duszę, to przelałam ją całą w Wędrowca Przestworzy. Dzieło mojego życia, nad którym pracowałam dwadzieścia lat.*

*Nie robię tego dla Turkinu, upadłego miasta-państwa, które w wyniku wojny przestało istnieć. Nie robię też tego dla moich rodziców czy dla tych dzieci, które zginęły wtedy w fabryce. Przynajmniej nie do końca dla nich: oni by nie wystarczeli.*

*Robię to dla Wędrowca Przestworzy, mojego dziecka, które mi odebrali i którego przeznaczenie postanowili wypaczyć.*

\*

Anya sądziła, że Myra zabierze ją do tajnego pokoju, ukrytego gdzieś w ścianach Wędrowca Przestworzy. Wróciły jednak do tego samego miejsca, z którego przyszły, i udały się do jednej z kajut gości drugiej klasy, po drodze mijając paru członków załogi. Reporterka zastanawiała się przez chwilę, do kogo kabina należała i czy Saraabras nie boi się, że ktoś odkryje intruzów, zmilczała jednak temat. Istniało przecież wiele istotniejszych pytań, które chciała zadać.

– Co robi tyle pocisków metalu w ładowni? Dlaczego są takie wielkie?

– To właściwie nie są pociski – sprostowała Myra. – To coś zupełnie nowego, wynalezionej jakiś czas temu. Nazywają je „bombami metalu”. Jeśli zostaną zrzucone z góry, siła rażenia będzie dziesięciokrotnie większa. Skrzydlacz produkował je w tajemnicy przez ostatnie dwa lata.

– Przecież to... – zaczęła Anya i urwała. Tak naprawdę nie była pewna, jak duże zniszczenia te „bomby” mogłyby zasiać. Obrócić w pył budynek? Kilka budynków? – Wędrowiec Przesłany miał przewozić do Vronii pasażerów i ładunek maszyn z naszych fabryk! Tymczasem ładownia jest pełna broni! Dlaczego?!

– Zdumiewający zbieg okoliczności – skwitowała Myra sucho. – Przystań krzyknąć i rusz głową. Jest tylko jeden cel, dla którego zabiera się ze sobą tyle broni.

– Atak – wyszeptła Anya, nagle osłabła. – Boże Metalu, oni chcą zaatakować Vronię?

Przygryzła wargę. Dłonie zacisnęła w pięści. Rozważała ten pomysł, tak nieprawdopodobny, bo przecież atak na Vronię nie miał sensu, żadnego sensu... i z każdą chwilą uświadamiała sobie, że nie, nieprawda. Ten sens jednak był. Ba, York robił już podobnie, najpierw przed stu laty podbijając Zanz, i potem przed czterdziestu zajmując Turkin. Pierwsze z państw-miast zaatakowano, ponieważ York potrzebował zanzyskich farm. Turkin zdobyto dla tamtejszych kopalń węgla. Ekspansję Metropolii zatrzymał brak możliwości, nie umiłowanie pokoju. Podróż do innych miast-państw była zbyt problematyczna, aby mogli kontynuować podboje. Do najbliższej leżącej Vronii najszybszą drogą, przez łatwy do zablokowania tunel, podróżowało się pięć dni. Dwie pozostałe ścieżki nie nadawały się do transportu wojska. Jedna była zbyt wąska i przez większość roku ginęła pod śniegiem, podróż drugą zajmowała niemal dwa tygodnie.

Obecnie Vronia była osłabiona. Liczba mieszkańców nie umywała się do tej sprzed zarazy. Vronia miała też veriden, którego tak bardzo potrzebował Skrzydlacz, zwłaszcza teraz, po utracie swojej głównej kopalni.

Jeśli rzucić bomby na mury oplatające miasto, nawet niewielka liczba żołnierzy, która przejechałaby tunelami, mogłaby je zająć. Zwłaszcza w przypadku ataku z zaskoczenia.

Dotąd góry, gęsto pokrywające kontynent, zatrzymywały agresję Yorku. Wędrowiec jednak otwierał przed Skrzydlaczem i Metropolią niebo.

– Ale... umowy... Związek Miast-Państw... – płątała się Anya, coraz bardziej zdenerwowana. – Podpisaliśmy umowy międzymiastowe! Wielką

Deklarację! Nikt nie będzie chciał z nami handlować. Ludzie... ludzie się zbuntują... Nie. Nie zbuntują się, prawda?

– Obawiam się, że nie – przytaknęła Saraabras bezlitośnie. – A i z tym embargo handlowym nie byłabym taka pewna, skoro York ma statki powietrzne. Poza tym nie obawiaj się: wszystko zostanie tak zaaranżowane, aby to Vronia była agresorem. Inaczej, owszem, Rada Metropolii pewnie powiesiłaby Rakielów... Rakiela, i połowę zarządu Skrzydlacza, na najwyższym z górskich drzew. Choćby po to, by przejąć Wędrowca.

– Vronia agresorem? – powtórzyła Anya oszołomiona. Jak ktokolwiek miałby w to uwierzyć? Zaraz jednak przypomniała sobie sugestię Rakiela: znaleźli dowody na to, że Myra mogła działać na zlecenie vrońskich mocodawców. Czy to dlatego wypuścił Anyę z górnego pokładu? Nie posłał w podróż w jedną stronę: z pokładu w dół? Liczy, że rozniesie plotkę? A potem wszystko opisze? – Powiedział mi, że działałaś na zlecenie z Vronii. Sama dałaś im pretekst!

– Nie mieliby go, gdybyś się tam nie pojawiła – odparła Myra. – Pozbyłabym się obu braci i kapitana, zanim ktokolwiek by coś odkrył. Nie byłoby komu wydać rozkazów. Ani nocą, do pierwszego ataku, ani potem, do zrzucenia bomb. Teraz nie mam na to szansy. Paren jest za dobrze strzeżony.

– Nocą? Przecież do Vronii dotrzemy o świcie...

– Nocą nastąpi dywersja ze strony vrońskich szpiegów – poinformowała Sarabraas. Choć nie nosiła teraz maski, z jej twarzy nic nie dało się wyczytać. – Zginie część pasażerów drugiej klasy, może paru pierwszej, by zdenerwować odpowiednie osoby.

Anya mocno zacisnęła pięści, wbijając paznokcie we wnętrze dłoni. Sytuacja z Myrą mogła posłużyć jako dodatkowy pretekst, ale przecież nie mogli wiedzieć, co robi Mówczyni Metalu. Oczywiście że musieli przygotować coś jeszcze.

Któs później mógł spytać, skąd bomby na pokładzie statku transportowego. Anya przeczuwała jednak, że te pytania będą padały cicho i szybko przeminą. A może Rakielowie mieli nawet już gotową wymówkę?

– Chcesz, żebym to opisała – szepnęła, trochę przerażona, trochę podniecona. Czy zdoła przedstawić wszystko w wiarygodnym świetle...? Czy

naczelny to przepuści...?

– Nie bądź śmieszna – odparła Myra, a Anya poczuła się nagle bardzo głupio. – Co mnie albo komukolwiek da jakiś artykuł? Gdy bomby już spadną na Vronię, a wojna się rozpocznie? Nie zaprosiłam cię tutaj, żebyś cokolwiek opisywała, a dlatego że Paren zaprosił cię na kolację.

– Skąd...

– Jest na tym statku kilka osób, które odpowiadają tylko przede mną – przerwała jej sucho Myra. – Dostarczyli mi informację. Ale ani oni, ani ja nie zdołamy się teraz do niego zbliżyć. Bomb też nie mogą zniszczyć. W jednej ładowni może, ale nie zdążę dostać się do drugiej. Natychmiast podniosą alarm... chyba że na pokładzie zapanuje chaos i większość strażników będzie zajętych, a nikt nie wyda im odpowiednich rozkazów.

– Boże Metalu! Ty chcesz, żebym zabiła Rakiela! – Anya poderwała się z miejsca, dłonią przysłoniła sobie usta. Obaj bracia zginą, a Myra zyska czas na zniszczenie bomb metalu, w czasie lotu albo nawet już po lądowaniu. – Nie. Nie zrobię tego! Nie wiedziałabym nawet jak! Wychodzę.

Nie ruszyła jednak do drzwi. Nie była pewna, co ją zatrzymało. Myśl o widmie wojny? O bombach spadających na Vronię?

A może obawa przed nocnym buntem i zostaniem jedną z przypadkowych ofiar?

– W takim razie, gdy będziemy mijać Górę Trzech Sióstr, rozbiję statek.

– Blefujesz. Nie zdołasz – wyszeptła Anya, powoli opadając z powrotem na prycę. Nogi pod nią zmiękły i nie była pewna, czy zdoła ustać. Bo choć chciała zaprzeczać, kamienny wyraz twarzy Myry, spojrzenie ciemnych, obojętnych oczu podpowiadały, że owszem: robi dokładnie to, co powiedziała. Stworzyła ten statek i potrafiła go zniszczyć.

– Wystarczy, że wybije dostatecznie dużą dziurę w odpowiednim miejscu. Rozbijemy się, kiedy statek będzie wykonywał precyzyjny manewr wokół góry.

– Na pokładzie jest dwieście osób!

– Dwieście sześćdziesiąt dwie – sprostowała Myra obojętnie. – Część, głównie ci na wyższym pokładzie, prawdopodobnie przeżyje upadek. Vronia

na pewno wyśle drużynę ratunkową, w końcu rozbijemy się tuż przy granicy.

– Mogę po prostu powiedzieć o wszystkim Rakielowi – wyrwało się Anyi.

Zimny błysk, który pojawił się w oczach Saraabras, sprawił, że natychmiast pojęła: popełniła błąd. Mówczyni Metalu mogła ją zabić tu i teraz. Anya zamarła; nie odważyła się nawet odetchnąć, przeczuwając, że Myra podejmuje jakąś decyzję.

– Możesz – powiedziała w końcu. – Ale szanse, że mnie powstrzymają, są niewielkie. A jeśli nawet zdołają, na Vronię spadną bomby. Zginie więcej niż dwieście osób. Weźmiesz za to odpowiedzialność, Anyu? A może chcesz zaryzykować, że ty i twój Markin, który, dodam, naprawdę szukał cię po całym dolnym pokładzie, zginiecie w katastrofie? Zrób to, opóźnij atak, a ja pozbędę się bomb. Mówcę, który znał ich sekret, usunęłam tuż przed odlotem.

– Nie dam rady – zaprotestowała Anya z rosnącą rozpaczą. Pochyliła się w przód, zacisnęła powieki, a palce zanurzyła we włosach. Ogarnęły ją mdłości: była bliska zwymiotowania na własne trzewiki. – Nigdy nikogo nie zabiłam. Nie mam nawet broni.

– To będzie twoja broń.

Anya rozwarła powieki. Myra Saraabras wyciągała ku niej kawałek metalu. Reporterka ostrożnie go ujęła, niepewna, w jaki sposób metalowa kulka miałaby posłużyć za broń. Powinna roztrzaskać nią głowę Parena Rakiela? Tego wielkiego mężczyzny, który mógłby zapewne zabić ją jednym ciosem pięści?

– Wygląda jak...

– ...bardzo mały pocisk metalu – dokończyła za nią Myra. – Kolejne moje dzieło, którego nigdy nie oddałam Skrzydlaczowi. Zostawisz to w pokoju. Kiedy go aktywuję, wywoła niewielki wybuch. W sam raz, by zabić jedną osobę.

– Albo dwie – stwierdziła Anya, wpatrując się w śmiertelny przedmiot leżący na jej otwartej dłoni. Czy naprawdę na poważnie to rozważała? Wzięcie udziału w zabójstwie? – Skąd mam pewność, że poczekaś z... aktywacją? Aż wyjdę z pokoju. Przecież nie możesz być pewna, czy on nie wyjdzie ze mną.

– Daję ci moje słowo. W zamian za pomoc. – Myra wzruszyła ramionami. Jakby jej to wszystko tak naprawdę nie obchodziło. Widmo wojny, którą chciała powstrzymać, wizja rozbicia statku, śmierć części pasażerów. Zgoda lub bunt Anyi. Jakby nic nie miało znaczenia, póki nie przeprowadzi swoich planów, w ten czy inny sposób. – Ale oczywiście nie wiesz, czy jest ono cokolwiek warte, prawda?

Anya powoli wsunęła pocisk metalu do kieszeni sukienki. Wstała i podeszła do okienka, spoglądając na niebo. Pociemniałe, wyglądało, jakby traciło kolory. Nagle ten widok zdał się jej piękny. Może dlatego, że była bardziej świadoma własnej śmiertelności.

Mogła zginąć nocą podczas ataku „szpiegów”. Gdy Myra rozbije statek. Kiedy ona sama zanieś pocisk metalu do kabiny Rakiela. Mogła też trafić do więzienia, oskarżona o zamach.

– Co postanowiłaś? – zapytała Myra.

– To ważne? Nie wiesz przecież, czy powiem prawdę – odparła Anya. Dłoń wciąż trzymała w kieszeni, palcami badała chłodną, gładką fakturę metalu. – Dlaczego to robisz? To wszystko?

– Po co pytasz?

– Jestem reporterką. Lubię zadawać pytania, a do zmierzchu i kolacji mam jeszcze przynajmniej godzinę – oświadczyła Anya, obracając się ku Myrze. – Jeśli mam ci pomóc, może należy mi się przynajmniej kilka słów wyjaśnienia? Historia Mówczyni Metalu, Myry Saraabras?

– Jest krótka i nudna – odparła Mówczyni, uśmiechając się. Uśmiech nie sięgnął ciemnych oczu. – Większość życia spędziłam w fabrykach Skrzydlacza.

– Mimo to opowiedz ją.

– Zaczniemy więc od moich powtórnych narodzin, Anyu. Bo te pierwsze tak naprawdę nie mają znaczenia. Liczy się dzień, gdy przebudziła się Mówczyni Metalu. Metal zawołał do mnie po raz pierwszy, gdy dach fabryki ugiął się pod ciężarem śniegu i runął prosto na robotników...

\*

Anya wspinała się po schodach wiodących na górny pokład, powoli, jak człowiek bardzo stary albo bardzo zmęczony. Kawałek metalu, ukryty

przemysłnie pod rąbkiem spódniczki, był chłodny – i ten chłód zdawał się promieniować od miejsca, w którym wciśnięto go między skórę a pończochę, wypełniać całe ciało.

Choć przed Myrą odgrywała pewność siebie, tego wieczora Anyi Greds brakowało zdecydowania. Wypowiedziane w kajucie słowa powracały do niej raz po raz, bez żadnego ustalonego porządku.

Na Vronię spadną bomby.

Zginie część pasażerów drugiej klasy, może paru pierwszej.

Gdy będziemy mijać Górę Trzech Sióstr, rozbiję statek.

Skąd mam pewność, że poczekaś z aktywacją?

Kiedy wchodziła na górny pokład, tylko jednego była bezwzględnie pewna: jakkolwiek decyzję podejmie, ani wieczór, ani rano nie przyniosą jej nic dobrego.

\*



Zdjęcie nr 5. [Fragment statku osiadłego na ziemi. W tle widać zarys miejskich murów Vronii. Kadr skupia się na części burty, w której ziele niewielka dziura].

Fotografia z kolekcji „Zwiastun” Markina Andrejewa. Przedstawia miejsce, w którym doszło do uszkodzenia burty Wędrowca Przesławca w wyniku zamachu przeprowadzonego podczas pierwszego rejsu statku.



# Ewa Białołęcka

\*



# JOIK DLA OLBRZYMA

Kiedy Čuvje wymyka się z wielkiego rodzinnego *lavvu*, wszyscy jeszcze śpią.

Po omacku wkłada ciepłą kamizelę, wysokie buty ze skóry rena i zdejmuje ze sznurka swoją ulubioną czapkę z długim ogonem i dzwoneczkiem na końcu. Rozlega się cichutkie brzęknięcie – Čuvje zamiera, nasłuchując. Na zewnątrz, za cienką ścianką ze skóry słysząc węszenie i ciche warknięcie – pewnie któryś z psów zbudził się, zaniepokojony przez jakiegoś małego nocnego drapieźnika. Nikt z rodziny nawet się nie porusza. *Lavvu* postawili dwa dni temu i wewnątrz wciąż jeszcze unosi się żywiczny zapach wyściółki z sosnowych gałązek. Ojciec i starszy brat ścinali je i gromadzili w stertach, a Čuvje i jej młodsze siostry nosiły całe naręczna do namiotu. Potem na tych zielonych, kłujących materacach układano stosy futer do siedzenia i spania.

Čuvje ostrożnie omija umiejscowione pośrodku palenisko, z tłącymi się jeszcze polanami, dającymi odrobinę ciepła. Potrąca zwisający z haka cenny, żelazny kociołek, ale naczynie na szczęście nie spada i nie robi hałasu. Dziewczynka ledwo, ledwo uchyla klapę i przeciska się przez szczelinę, żeby nie wpuścić do środka zimnego powiewu, który mógłby obudzić czujną matkę. Gdyby tak się stało, Čuvje mogłaby powiedzieć, że idzie za potrzebą – zwykła rzecz – ale jak miałyby wytłumaczyć, po co wynosi pod pachą reniferowe futro? Cała wyprawa byłaby na nic!

Łaskawa noc jej sprzyja! Niebo rozświetla wspaniała zielona zorza, a jej promienie spływają na ziemię pokrytą cienką warstwą świeżego śniegu. Oczy dziewczynki, nawykłe do ciemności, bez trudu rozróżniają spiczaste kształty sąsiedzkich siedzib i zaokrąglone dachy kilku torfowych ziemianek, służących za spiżarnie. Jeden, dwa, trzy... czwarta para nart opartych o ścianę namiotu należy do Čuvje. Dziewczynka związała rzemieniem zrolowane skóry, przytroczyła je do pleców, przypięła narty i ruszyła w drogę. Strach i zachwyty mieszały się w niej i rosły, prawie

rozsadzając jej klatkę piersiową. O tak! Robiła coś zakazanego, coś surowo zabronionego, na co nie odważyli się dotąd nawet dorastający chłopcy, którym w głowie tylko przechwałki i prześciganie się we wszystkim.

Oto ona, dziewczynka licząca sobie dopiero dziesięć wiosen, biegnie na swoich nartach pod świetlistym płaszczem *guovssahas*, dziarsko wymachując kijem, i zmierza na miejsce ofiarne, zobaczyć *stállu*!

Żwawo omija świerki i sosny o czubach oprószonych bielą, zagajniki brzoź i olszyn, jasnych jak duchy w poświacie z niebios. Brodzi w rozległych połaciach borowin, które niebawem całkiem ukryją się pod śniegiem. Sprzed czubów nart raz i drugi zrywa się spłoszona pardwa – Čuvje uśmiecha się na ich widok, bo ptaki już wkładają zimowe ubrania, są pstrokate, szarobrazowe w białe ciapki.

Dziewczynka, skacząc z kamienia na kamień, z nartami i kijem do nich na ramieniu, bez trudu pokonuje potok ujęty po brzegach w cienkie lodowe ramki. A *guovssahas* faluje nad głową jak bliźniacza rzeka, jak woda, która uciekła na niebo...

Nietrudno znaleźć TO miejsce. Sosny są wysokie, Čuvje musi zadzierać głowę, żeby popatrzeć na ich wierzchołki, czasem dwukrotnie przerastają najwyższe *lavvu*, ale te z Lasu Olbrzyma są naprawdę olbrzymie. Sięgają nieba, rozgarniają *guovssahas* na osobne rzeczułki. Ich gałęzie rozpościerają się nad ziemią od krańca do krańca, a pnie czarne jak sadza są tak grube, że chyba nawet mężczyzna nie mógłby ich objąć. Rosną w zwartej gromadzie, a ich mniejsze krewniaczki wyglądają przy nich jak dzieci w spiczastych kapturkach, które otoczyły grupę dorosłych.

Sama myśl o tym, że miałyby wejść w ciemną czeluść między potwornymi pniami, onieśmiela dziewczynkę. Jej odwaga ma swoją granicę i – zabawne – wypada ona akurat tam, gdzie pomiędzy kołkami rozpięty jest sznur wpleciony z rzemieni. Ziemia za nim należy już do *stállu*. Tam ma wstęp tylko *noaidi* z magicznym bębniem i tylko w porze *tjaktjadálvve*, kiedy jesień wadzi się zimą.

Čuvje znajduje kryjówkę w kępie przytulonych do siebie choinek. Zdejmuje narty, rozściela na ziemi jedną skórę i siada na niej, a drugą się otula. Czeka cierpliwie.

W mroku błyskają dwa światełka, po śniegu przemyka czarna plamka – to gronostaj w zimowej szubce poluje na lemingi.

– Pewnego dnia żona *stállu* wysłała go, żeby upolował renifera na zupę – szepcze dziewczynka. – Był on jednak bardzo leniwy i nie chciał mu się gonić za reniferami, więc rozkazał niedźwiedziowi: „Niedźwiedziu, złap dla mnie rena!”. „Nie mam czasu załatwiać twoich spraw”, odpowiedział niedźwiedź. „Idę łapać ryby w rzece. Nie, nie będę dla ciebie polował”. „Wilku, złap dla mnie rena!” – zawołał *stállu* do wilka, który przebiegł koło jego *goahti*. „Nie mogę oddać ci zdobyczy, muszę nakarmić swoje szczenięta”, odpowiedział wilk. „Nie, nie będę dla ciebie polował!”. Leniwy *stállu* powoli szedł przed siebie i próbował naciągnąć kolejne zwierzęta. Sowa była bardzo śpiąca. Sprytny lis udawał, że kuleje i nie może biegać. A gronostaj uciekł do norki i tyle go olbrzym widział. Głupi, leniwy *stállu* myślał, że maleńki gronostaj mógłby upolować dużego renifera! W końcu *stállu* doszedł tam, gdzie pasterze rozstawili swoje namioty, i zobaczył chłopca, który nożem wykopywał korzonki spod śniegu. „Ludziku! – zaryczał *stállu*. – Dawaj mi zaraz rena na zupę! Inaczej cię pożrę, a kości wypluję!”. Ale chłopiec był bardzo sprytny. Nie uciekał, bo *stállu* by go raz-dwa dogonił, ani się nie sprzeciwiał, inaczej rozgniewany olbrzym naprawdę pożarłby go jednym chapnięciem. „O wspaniały, potężny *stállu*”, powiedział. „Zasługujesz na najpiękniejszego rena ze stada. Renifery pasą się daleko i trochę potrwa, zanim znajdę tego najpiękniejszego. Poczekaj tutaj i odpocznij, o najpotężniejszy. Kiedy znajdę odpowiedniego rena, zawołam cię”. Zadowolony *stállu* usiadł pod drzewem i zapadł w drzemkę. Tymczasem chłopiec ulepił ze śniegu renifera i zrobił mu rozłożyste rogi z gałęzi. Potem przyprowadził starego, kulawego renifera przeznaczonego na *rzeź*. *Stállu* obudził się i zobaczył aż dwa reny: jeden był śnieżnobiały i trzymał wysoko piękną głowę z wielkimi rogami, drugi był szary, niepokazny i zwieszał smutno łeb. „Którego rena zechcesz wybrać, o najpotężniejszy?” – spytał chłopiec, kłaniając się. *Stállu* zaryczał jak burza, szybko złapał rena ze śniegu i wrzucił go do worka. Poszedł do domu i zawołał: „Żono, mam dla ciebie najpiękniejszego rena! Jest biały jak śnieg i bardzo tłusty!”. Był bardzo

dumny z siebie. „Szybko, wrzuc go do kotła! – zawołała żona. – Jestem już bardzo głodna!”. *Stállu* wrzucił renifera do wielkiego kamiennego kotła z wrzątkiem. Piękny biały renifer natychmiast się rozpuścił i zostały z niego tylko gałęzie na powierzchni gorącej wody. Żona *stállu* strasznie się rozgniewała i zaczęła bić męża tłuczkiem po głowie. „Ty głupku! To sama woda i patyki! Teraz będziemy musieli leć spać o głodzie!”. *Stállu* jak niepyszny wrócił do ludzkiej osady, gotów niszczyć i zabijać, ale pasterze zdążyli złożyć namioty i popędzili stada daleko, daleko. *Stállu* nic nie zyskał i rzeczywiście tego wieczoru położył się spać głodny. Sprytny chłopiec miał na imię Juoksa i teraz jest moim dziadkiem – kończy Čuvje z zadowoleniem i się uśmiecha. Tak, dziadek jest najlepszy, najmądrzejszy i najodważniejszy.

Na granicy czarnego lasu zaczyna się coś dziać. Spomiędzy pni bezgłośnie wychodzą niewielkie, ciemne postacie – ledwo je widać na czarnym tle, lecz są tam. Čuvje aż wstrzymuje oddech, kiedy widzi, jak w osobliwym, zielonkawym mroku zorzy polarnej błyskają jasne punkciki, które mogą być tylko oczami stworów. To muszą być *kuffitar*, podziemni ludzie. Być może służą *stállu* – dziewczynka nie jest tego pewna. Krzątają się, coś niosą, ustawiają pionowo dwa duże przedmioty. Spieszą się, co pewnie oznacza, że niebawem nadejdzie świt. *Kuffitar* muszą zdążyć skryć się pod ziemią, nim wyjdzie słońce. W przeciwnym razie zamienią się w kamienie i będą tkwić nieruchomo pod gołym niebem aż do skończenia świata. Wreszcie ruch pod czarnym lasem zamiera. Čuvje porusza rękami i nogami, odganiając chłód. Buty wypchane turzycą wraz z reniferową skórą dobrze grzeją, ale dziadek i ojciec, kiedy dzieci nie są zbyt chętne do pracy, często żartobliwie powtarzają: „Rusz się, bo ci krew zamarznie”.

Dziewczynka wyjmuje zza pazuchy bączek z kawałka rogu i rzemyków, buja nim przez chwilę, a rzemyki się skręcają. Potem miarowo zaczyna rozsuwać i zsuwać dłonie, bączek cicho furczy. Čuvje półgłosem zaczyna *joikować*:

– Biały ren biegnie, biały ren biegnie, biegnie, biegnie, jooo-joooelilili... joooooeli-li-li... Biegnie biały ren, a *stállu* za nim jooo-

jooeelilili... *stállu* za nim jooo-jooeelilili... Czarny ren biegnie, czarny ren biegnie, loooloolooo... li-li-li... Biegnie biały ren, a *stállu* za nim... jooo-jooeelilili... joooooli-li-li... jeje-jaaa...

Może to właśnie *joikowanie*, a może jej zapach niesiony lekkimi podmuchami wiatru sprawia, że obok jej kryjówki pojawiają się cienie o świecących ślepiach i spiczastych uszach. Kręcą się dokoła, oceniając, czy zdobycz jest warta zachodu. Co chwila przystają, węsząc, zadzierają pyski i ślą ku *guovssahas* swój przeciągły śpiew, a ona łaskawie go przyjmuje. Čuvje wstaje, groźnie dzierżąc w jednej ręce kij narciarski, a drugą potrząsa dzwoneczkiem u czapki. Dzyń, dzyń, dzyń... Dziewczynka zaczyna śpiewać, głośno i butnie, gdyż nie wolno okazać strachu. Wilk poluje na słabą zwierzynę, więc nie można wyglądać na kogoś słabego.

- Odejdź, *gumpe*...! Olele-oloulou nanele-loulou jolele...! Jestem twarda! Jestem niesmaczna! Olele-oloulou nanele-loulou jolele...! Odejdź, *gumpe*! Nie ma tu nic dla ciebie! Olele-oloulou nanele-loulou jolele...! Złap miękkiego zająca! Złap tłustego rena! Olele-oloulou nanele-loulou jolele...!

Obcy dźwięk blaszanego dzwonka i niezłomna postawa Čuvje sprawiają, że oba wilki rezygnują. Nie wiadomo, co mały dwunóg mógłby jeszcze zrobić, a wilki nie są bardzo głodne. To dopiero pora *tjaktjaddlve*, kiedy ziemię i drzewa zaczynają otulać pierwsze śniegi. Zwierzyna gromadziła zapasy przez całe lato i wczesną jesień. Napchane jagodami niedźwiedzie szykują się do snu. Nory lemingów są pełne nasion. Reny są tłuste, a przy łaniach płaczą się podrośnięte cielęta, które łatwiej upolować niż rogatego i zdeterminowanego byka. Nikomu jeszcze nie brakuje jedzenia.

W końcu robi się jaśniej, zorza blednie i Čuvje nareszcie może zobaczyć, co podziemni ludzie wytaszczyli na skraj lasu. To dwa słupy, pomalowane w kolorowe pasy: jeden jest czerwono-zielony, a drugi niebiesko-biały. Jako wnuczka *noaidi* – szamana – dobrze wie, że to barwy wiosny i lata: zielonej trawy i czerwonych owoców, oraz zimy: białego śniegu i niebieskiego lodu. Między słupami jest nisko rozpięty sznur ozdobiony kłaczkami wełny.

Čuvje na chwilę zamyka oczy i przywołuje obraz swojej osady.

Świta, stopy futer w namiotach zaczynają się poruszać. Mieszkańcy wstają, wkładają odświętne, czerwone i niebieskie ubrania pokryte pięknymi haftami. Wystrojone dziewczęta śpiewają *joik* dźwięcznymi, ptasimi głosikami, wtórując czerwono-brzuchym gilom, pogwizdującym na rozkołysanych gałązkach. Rozdokazywane dzieciaki biegają wszędzie i psocą. Mężczyźni rozpalają ognisko, kobiety wynoszą z namiotów miski z przysmakami. Tego dnia wszyscy muszą się najeść tak, żeby ich brzuchy były napięte jak bębny. To wróżba na nadchodzącą długą *dálvve*. Im więcej jedzenia w dzień ofiarny, tym łaskawsza będzie zima. Worki, kosze i skrytki w stosach kamieni pełne są suszonych grzybów, jagód i malin, wędzonego mięsa i innych zapasów, pracowicie gromadzonych w ciągu ciepłych miesięcy.

Renifery zostały przepędzone z letnich pastwisk do lasu, gdzie jest cieplej i łatwiej o pokarm. Tłuste reny o gęstym futrze kręcą się dokoła osady, pilnowane przez kosmate psy. Grzebią racicami w śniegu, szukając smakowitych kąsków.

Jeden, o wspaniałym białym umaszczeniu i czarnych nogach, stoi przywiązany arkanem do drzewa. Zwierzę ofiarne nie może być byle jakie. *Stállu* mógłby się obrazić i w ramach zemsty zesłać *garuhit*, zimę tak ciężką, że „martwi służyliby żywym”, jak mówią oględnie starzy ludzie. Jeden renifer i jeden człowiek o pierwszych śniegach – tak mówi pradawny pakt, zawarty tak dawno temu, że nie pamięta tych czasów już żaden z najstarszych żyjących. Jeden ren i jeden człowiek – a jaki człowiek mógłby być lepszy od *noaidi*? Każdego roku szaman odprowadza rena na miejsce ofiarne i czeka, aż *stállu* dokona wyboru. Čuvje czuje ucisk w brzuchu i wizja świętujących rodaków się rozwiewa. Dotąd *stállu* zawsze wybierał renifera, ale co będzie, jeśli...?

Zapewne właśnie teraz dziadek z szamańskim bębniem staje przy ogniu, pałką z rogu rena wybija rytm na napiętej skórze pokrytej rysunkami: bogów, słońca, księżyca, reniferów, niedźwiedzi, ludzi z włóczniami, narciarzy, łodzi i namiotów... Čuvje przyglądała mu się tyle razy, że zna wszystkie na pamięć. Raz nawet, kiedy nikt nie patrzył,

odważyła się dotknąć bębna, chociaż kobietom surowo się tego zabrania. Na szczęście bogowie byli pobłażliwi i nie zesłali na nią wtedy żadnej kary.

*Noaidi* śpiewa *joik* skierowany do Horagállisa, pana burzy i piorunów. Następnie przyjdzie czas na wezwanie opieki *Leaibolmmái*, władającego wszelką zwierzyną.

– A potem dziadek wrzuci do ognia mięso i tłuszcz na ofiarę bogom... – szepcze *Čuvje* i znów bawi się bączkiem, skracając czas oczekiwania.

Niebo jest już całkiem jasne, kiedy słyszy tupot i szelest nart sunących po śniegu. W polu jej widzenia pojawia się biały ren w ozdobnej uprzęży z czerwonymi pomponikami. Z jego nozdrzy buchają kłęby pary. Ciągnie za sobą narciarza w czerwonym stroju obszytym białym futrem, na szerokim pasie błyszczą miedziane ozdoby. Dziewczynka nawet nie musi się przyglądać, by wiedzieć, że to dziadek, to *noaidi*.

Szaman wstrzymuje rena, odwiązuje narty. Bez wahania bierze zwierzę za uzdę i prowadzi za symboliczną granicę z kołków i sznura. Bęben kołysze się na jego plecach. Dziadek przywiązuje rena do słupa w białobłękitne pasy. Sam staje przy czerwono-zielonym i ujmuje bęben.

Rytm jest drobny, nagły. *Noaidi joikuje* nisko, gardłowo – jest w tym pomruk niedźwiedzia i warczenie wilka. *Čuvje* siedzi nieruchomo, a *joik* przepływa przez nią, rezonując; zdaje się trwać bardzo długo. Z wolna zaśpiew ulega zmianie, głos szamana się podnosi, lecz w *joiku* nadal nie ma żadnych słów.

– Nounounaja najananono... olelele-olele-o-olele-o-olele-o... nononojononanajoooo...

Coraz głośniej i głośniej. Tętni bęben, tętni krew w żyłach. Od tego rytmu *Čuvje* zapada w trans, wypada ze świata i czasu, unosi się nad własnym ciałem.

I wtedy jej oczy zauważają ruch na granicy czarnych pni. Jeszcze chwilę temu niczego tam nie było, teraz jest... ON.

Szok sprawia, że powrót do ciała dziewczynka odczuwa jak upadek z dużej wysokości. Naiwna wyobraźnia zawsze przedstawiała bajkowego *stállu* jako ociężałego, bardzo wysokiego człowieka o płaskiej, głupkowatej



twarży i rzadkich zębach za mięsistymi wargami. Ale to nie jest bajka, jedna z wielu wyśmiewających tępe olbrzymy, chwalaćcych zaś spryt ludzi.

A *stállu* nie jest po prostu wielki. Jest potworny.

Przewyższa czarne sosny, które przy nim wydają się małe. Jest pólnagi, odziany niedbale tylko w postrzępione futra. Cuchnie jak niedźwiedź obżarty zgniłymi rybami. Jego skóra na odsłoniętych ramionach i masywnych udach jest szaroczarna, połyskliwa niczym futro wydry i pokryta białymi deseniami – tatuażami... a może to wzory, jakie maluje mróz na skałach? Zmierzwione długie włosy i broda także są białe, jak pokryte szronem, kołyszą się na zimnym wietrze. W ciemnej twarzy świeci jasnym blaskiem para oczu bez źrenic.



Straszliwe ślepie ogarniają wszystko: *noaidu*, słupy, ofiarnego rena i Čuvje ukrytą w gąszczu świerkowych gałązek.

Idzie. Zbliża się. Przystaje na krótką chwilę, kołysze ogromną, kosmatą głową, jakby wybierał... Białe ren charczy przerażony i szarpie się na uwięzi tak mocno, że przekrzywia płytko wkopany w ziemię słup. Bęben

już nie tętni, szaman tkwi nieruchomo z opuszczonymi ramionami i zadartą głową, jak zamarznięty. Całe jego ciało emanuje pierwotnym lękiem.

Potwór robi kolejny krok i obraca się...

Ku człowiekowi.

Z gardła Čuvje wyrywa się krzyk najwyższego przerażenia. Dziadek nagle zrywa się z miejsca i ucieka, nie oglądając się za siebie. W panice próbuje przeskoczyć nad ogrodzeniem, zaczepia o nie nogą i upada na ziemię. Olbrzym niespiesznie idzie za nim, po drodze zrywa ozdoby z kłaczek wełny i niedbale kopie niebiesko-biały słup. Renifer rzeźi i kwiczy z przerażenia, szarpie tak mocno, że zrywa powróż i również ucieka. *Stállu* nie poświęca mu nawet jednego spojrzenia. Patrzy tam, gdzie na śniegu odznacza się krwawą plamą czerwony kubrak szamana.

Dziadek podnosi się, po jego brodzie spływa krew cieknąca z nosa. Patrzy na wnuczkę, bezgłośnie otwierając usta.

Čuvje zdaje sobie nagle sprawę, że stoi znacznie bliżej. Nie wiadomo kiedy wypadła z kryjówki między choinkami. Stoi i ściska kurczowo w dłoni kościanego bączka, trzęsąc się od rozsadzających ją emocji. *Stállu* się zbliża i nachyla lekko. Na jego czole coś lśni, jakby najjaśniejsza gwiazda ściągnięta z nieba, w oczach kłębią mu się oślepiające błyskawice wszystkich zimowych burz. Olbrzym tchnie obezwładniającym lodowatym zimnem. To nie stworzenie z krwi i kości. Jest mrozem wyżerającym płuca, śmiercią w zamieci, ciemnością nocy bez zbawczego ognia, lodem załamującym się pod ciężarem myśliwego, wodą pochłaniającą rybaka, wycieńczającym głodem... Wszystkim, co czai się w mroku za plecami, zawsze oddzielone tylko jednym oddechem, tylko jednym uderzeniem serca.

Čuvje nie ma do obrony oszczepu, toporka ani nawet kija. Nie ma magicznego szamańskiego bębna. Ma tylko tę głupią zabawkę...

Kołyse bączkiem, zabawka zaczyna furkotać, potem warczeć jak gniewny pies. Dziewczynka nabiera głęboko tchu i rozpoczyna *joik*.

– Olele-oloulou nanele-loulou jolele...! Olele-oloulou nanele-loulou jolele...! Olele-oloulou nanele-loulou jolele...!

Čuvje czuje, jak coś z wolna rozluźnia się w jej wnętrzu. *Joikuje*, nie odrywając wzroku od gwiazdy na czole bestii. *Stállu* nawisa nad nią niczym skała.

– Oleele-oloulou nanele-loulou jolele...!

Bączek obraca się, wiruje.

– Oleele-oloulou nanele-loulou jolele...!

Przez Čuvje wartkim strumieniem przepływają jej ukwiecone wiosny, ciepłe lata i wspaniałe szkarłatno-złote jesienie. I zimy... Tak, zimy także. Niekończące się dni latem, kiedy słońce nie chowa jasnej twarzy za horyzontem. Cierpki smak żółtych malin zbieranych na torfowiskach. Miękkie futerka grubołapych szczeniaków. Srebrzyste ciała ryb pływających w potoku. Płaty mięsa suszące się przy ogniu. Nowo narodzone mokre cieleta leżące na mchu i unoszące w oszołomieniu chwiejne łebki. Ręce przetykające kościaną igłę przez niebieski filc. Objęcia matki... Śmiech sióstr...

Coraz szybciej i szybciej migają obrazy. Bączek wiruje, dłonie trzepoczą jak ptasie skrzydła.

Ktoś staje za nią, kładąc jej ręce na ramionach.

Straszliwa twarz olbrzyma zbliża się jeszcze bardziej i w końcu...

– PAKTU DOTRZYMANO. – Jego głos brzmi jak huk pękającej kry.

*Stállu* prostuje się, odwraca i kroczy w stronę drzew, a potem znika. Nie między pniami, lecz w nich, jakby się zanurzył w krajobrazie lub w nim rozpuścił.

Tylko poprzekrzywiane słupy ofiarne i zdeptany śnieg, na którym jaskrawi się kilka plamek krwi, świadczą o tym, że przed chwilą wydarzyło się tu coś przerażającego i ekscytującego.

Čuvje zwierza dłonie, zamykając w nich furkoczący bączek. Cisza jest ogłuszająca.

Dziadek obraca ją ku sobie, obejmuje twarz wnuczki spracowanymi dłońmi, długo patrzy jej w oczy, milcząc.

– Wracajmy do domu – mówi wreszcie i cisza pęka, uwalniając szum wiatru, poszczekiwanie lisa w zaroślach, sto zwyczajnych odgłosów

realnego świata.

Wracają. Nie mówią do siebie ani słowa. Dziadek zdaje się myśleć nad czymś głęboko, machinalnie pokonując na nartach przeszkody. Čuvje z początku jest odrętwiała, potem zaś zaczyna w niej narastać... rozczarowanie. Odpycha od siebie zdradliwe myśli, ale nie może nic na to poradzić. Wstydzi się. Wstydzi się za dziadka, za wielkiego *noaidi*, który stchórzył i uciekł przed *stállu*. Uważała go za bohatera! A on...

Oczywiście nie zdradzi się ani słowem, nikomu nic nie powie o tym, co zdarzyło się na miejscu ofiarnym, ale przypuszcza, że to złe uczucie zostanie z nią na zawsze.

– *Áddjá!* – odzywa się wreszcie.

Dziadek zatrzymuje się, czekając, aż wnuczka się z nim zrówna.

– Czy to był inny *stállu* niż zwykle? – pyta Čuvje nieśmiało, z wahaniem.

Szaman patrzy na nią ze smutkiem i jakby zatroskaniem. Wzdycha głośno, kręci głową.

– Nigdy nie przychodził – odpowiada w końcu cicho. – Tyle lat go wzywałem i zostawiałem zwierzęta na ofiarę, ale nigdy nie przyszedł. Dopiero teraz... I okazał się straszliwszy niż wszystko, co mogłem sobie przedstawić. O wiele bardziej straszny, o wiele...

Znów kręci głową i rusza dalej. Ciężar na sercu Čuvje maleje, choć nie znika całkiem.

\*

W osadzie wciąż jeszcze trwają świąteczne zabawy. Nikt nie pyta *noaidi* o pokrwawioną brodę – drobne obrażenia to codzienność w życiu pasterzy. Wrócił, a ofiara z rena najwyraźniej została przyjęta, to najważniejsze.

Zajęta od samego rana matka nie zwróciła uwagi na nieobecność jednej ze swoich pociech, więc również Čuvje nikt o nic nie pyta, zakładając, że po prostu oddaliła się kawałek od obozowiska, by poczekać na powracającego dziadka. Wszystko jest jak zwykle.

Nie, jednak nie wszystko!

Mijają dni, wypełnione pracą dorosłych i beztrudnymi igraszkami dzieci. Čuvje bawi się z innymi. Jeździ na sankach, rzuca śnieżkami, ściga się na nartach. Wieczorami śpiewa przy domowym palenisku. Przesławia wyrzeźbione z drewna figurki zwierząt i ludzi, ale coraz częściej pozostawia je młodszym dzieciom. Jedynie kościanego bączka ciągle nosi ze sobą i czasami wprawia go w ruch, patrząc nieruchomo przed siebie. Zabawka furczy, a myśli Čuvje wygładzają się jak spokojna woda w jeziorze. Przegląda się w nich i widzi krajobrazy, ludzi i stworzenia, których nie widziała nigdy wcześniej. Ogromna ryba nurza się w jeziorze tak wielkim, że nie widać jego brzegów. Niedźwiedź staje na tylnych łapach, zmieniając się w człowieka pokrytego futrem; szczerzy do Čuvje nieludzkie zęby, ale ona się nie boi, gdyż wie, że to nie groźba, tylko zaczepny uśmiech. Wie też, gdzie w zagłębieniu pod ośnieżonymi łapami świerczka przycupnął zając bielak. Widzi oddalonego o milę lisa skaczącego po śniegu i łapiącego mysz. Skądś wie, że następnego ranka spadną *goahpálat* – wielkie, lepkie płatki śniegu. I rzeczywiście tak się dzieje.

Wreszcie decyduje się iść do dziadka.

– *Áddjá* – mówi. – Nie umiem się już bawić. Zgubiłam gdzieś radość. A w mojej głowie są dziwne rzeczy.

*Noaidi* siedzi na skórze rena przy ogniu, nad którym wisi kocioł z wrzącą wodą. Z naczynia sterczy parę deszczulek, a starzec niespiesznymi ruchami noża wygładza kolejną i dokłada ją do pozostałych.

– Kiedy ktoś stanie twarzą w twarz ze *stállu*, nie będzie już taki jak przedtem. – Kiwa głową. – Widzę, co się dzieje. Nie jesteś już małą dziewczynką, w ogóle już nie jesteś dziewczynką. Twoje ciało jeszcze nie dojrzało, ale dotknęła cię *Máttaráhkká*. W naszym plemienu nie było *noaidi* kobiet, ale to nie znaczy, że takich nie ma w ogóle. Moja Čuvje, nie na darmo nadano ci takie imię: ciemność zawsze ustąpi przed światłem. Podtrzymałaś *soahpamuš* z *Dálvvi Stállu*. Będę cię uczył wszystkiego, co powinna wiedzieć szamanka, choć wiele musisz odkryć sama, bo rzeczy kobiece są zakryte dla mężczyzn.

Wskazuje kocioł z drewniakami.

– Robię dla ciebie pierwszy bęben, wnuczko.

Čuvje patrzy na niego szeroko otwartymi oczyma. Bezwiednie wkłada rękę w zanadrze, szukając kościanego bączka. Coś jej mówi, że to nie bębenek będzie jej głównym przewodnikiem po niewidzialnym świecie.

Gdańsk, maj 2022

---

*áddjá* – dziadek

Čuvje – imię żeńskie ludu Saamów, prawdopodobnie pochodzi od słowa čuovga (światło, jasność).

*garuhit* – klątwa

*goahpálat* – duże płatki śniegu lepiące się do wszystkiego (Saamowie mają ponad dwieście określeń na rodzaje śniegu)

*gumpe* – wilk

*joik* – rodzaj ludowego śpiewu Saamów

Juoksa – saamskie imię męskie oznaczające łuk

*kuffitar* – podziemni ludzie

*lavvu* – stożkowate, przypominające tipi tymczasowe mieszkanie Saamów

*Máttaráhká* – pierwotna bogini, twórczyni ludzkiego ciała, opiekunka kobiet i dzieci

*noaidi* – szaman

*soahpamuš* – układ, pakt, ugoda

*stállu* (a także *stallo*, *staalo*) – żarłoczny, niemądry olbrzym, bohater bajek ludu Saamów, tradycyjnie bezlitośnie oszukiwany przez ludzi

*tjaktjadálve* – czas jesienno-zimowy

## Inne nieba

Copyright © by Jakub Różalski, Ewa Białołęcka, Krystyna Chodorowska, Agnieszka Hałas, Anna Hryczyn, Aneta Jadowska, Aleksandra Janusz, Anna Kańtoch, Magdalena Kubasiewicz, Anna Nieznaj, Martyna Raduchowska, Milena Wójtowicz, Aleksandra Zielińska 2022

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2022

Redakcja – Joanna Mika, Paulina Stoparek

Korekta – Anna Strożek, Magdalena Świerczek-Gryboś

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Projekt okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Obrazy na okładce i wewnątrz książki – Jakub Różalski

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2022

ISBN mobi: 9788382102956

ISBN epub: 9788382102963



628

Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka



Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Karolina Prewysz-Kwinto, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski, Barbara Chęcińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Mateusz Wesołowski

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Paweł Kasprowicz, Marcin Mendelski

Administracja: Klaudia Sater, Monika Kuzko, Małgorzata Pokrywka

finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziak

**[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)**

**[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)**

**[www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)**

Galeria obrazów Jakuba Różalskiego, z których część posłużyła autorkom za inspirację do opowiadań

Aneta Jadowska | GÓRKA LASU | str. 1



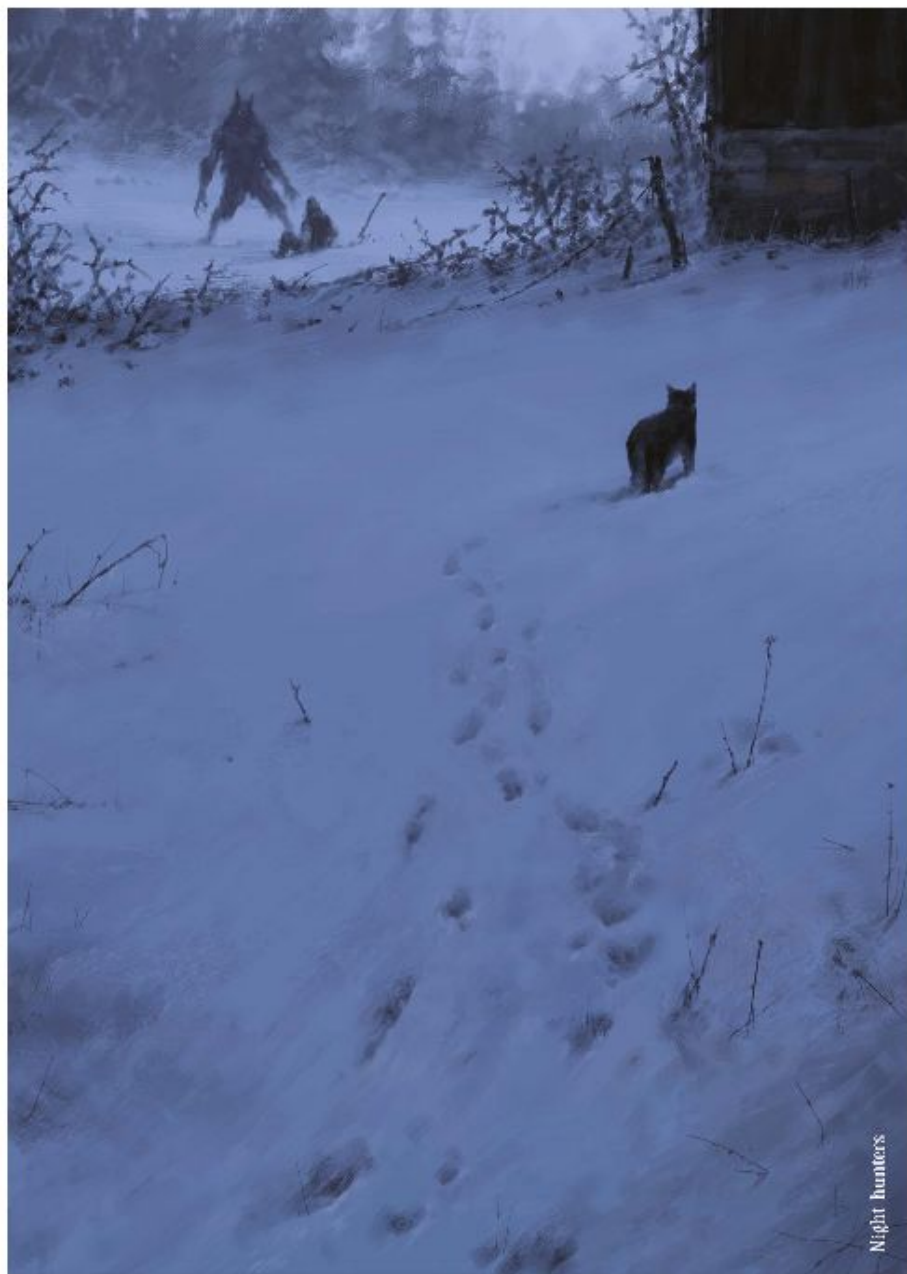




Dłuższą chwilę patrzyła za nim,  
zaciskając palce na sztachetach.  
Drzazgi wbily jej się we wnętrze dłoni,  
ale nie poczuła bólu







Night hunters













Where the ancient pagan temple had once stood





Spectator

© 2014 Loh



Milena Wojtowicz ULINKA str. 203









Brother Zydyd and the Last Crusade



Witka stała oparta o ścianę,  
kiedy przyjechał pan rycerz na  
wielgachnym koniu, takim nażartym,  
że nikt w wiosce zwierza tak  
wielkiego nie widział. Pan rycerz  
z siodła nawet nie zsiadł, co by stóp  
brudem ziemi sobie nie uwalać









What are you doing, Mommy?









Wszystko, co kiedyś miała,  
wszystko, czym wcześniej była,  
wciąż dryfowało na martwej fali  
gdzieś bardzo daleko od domu.  
Morze daje i morze odbiera













Illegal attempt to cross the border







Rudolph's Uprising

Idzie. Zbliża się.  
Przystaje na krótką chwilę,  
kołysze ogromną, kosmatą głową,  
jakby wybierał...

